



NOWELE KONKURSOWE

„CZASU.“

TREŚĆ:

Begrowski S. SZKOŁA KWINTYNA.

Czaszka T. DORA.

Górski K. M. BIBLIOMAN.

Grabowski T. PRZED LATY.

Miciński T. NAUCZYCIELKA.

Rystan J. JERK.

Tetmajer K. KSIĄDZ PIOTR.

Żuławski J. PAX.

* * * PIERWSZY UCZEŃ.

Korzeniowska J. LISTY NARCZY.

INSTYTUT
BADAN INTERAKCYJNYCH PAN

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-240 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

W KRAKOWIE,

SPÓŁKA WYDAWNICZA POLSKA.

1897.



2445

<http://rcin.org.pl>

SZKOŁA KWINTYNA

OPOWIADANIE Z ŻYCIA DAWNYCH RZYMIAN

przez

Ścisława Begrowskiego.

Z KONKURSU LITERACKIEGO »CZASU«.



W KRAKOWIE,
SPÓŁKA WYDAWNICZA POLSKA.
1896.

W KRAKOWIE, W DRUKARNI »CZASU« FR. KLUCZYCKIEGO I SP
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.



Wiek cały upłynął od czasu, gdy Kajus Juliusz Cezar mieczami legionów swoich położył ostateczny kres niepodległości Galii. Przedajne pióra historyków i także ody poetów głosiły, że podbitym panowie świata dali porządek i szczęście.

Sami wyuzdani i zepsuci aż do szpiku kości, nie znający wędzidla chuciom i żądom swoim, władzey Rzymu wydawali prawa i przepisy, które skutym w okowy barbarzyńcom miały wskazywać drogę sprawiedliwości i obowiązków społecznych. Rzym wrzał samowolą i rozpustą, a mieszkańców prowincyi wodzono jak spętane konie na krótkich wędzidlach, aby ich trzymać w ładzie i karności. Kiedy sarkali na zbytne skrępowanie, powtarzano im, że dla własnego dobra prosić winni, aby wędzidło było jak najkrótsze, by się im czasem brykać nie zachciało.

I wołano na wsze strony, że dla świata nastala nowa doba dobrobytu i szczęścia, a niedowiarkom wskazywano na ruch i żywot po miastach i portach w podbitych krajach.

Rzeczywiście kipiła tam i szumiało, jak w garnkach przystawionych do ognia; do odległych, dawniej nieznanych lub niedostępnych okolic, kupcy przywozili wykwintne towary i wracali z bogatym zyskiem. W miejscach, gdzie stały gromady nędznych chat i zagród, niby grzyby z ziemi wyrastały domy murowane, wspaniałe pałace, wznoszone dla prokonsulów i publikanów, co z prowincji wybierali podatki dla cesarza i senatu, pamiętając dobrze o własnej kieszeni. Po miastach stały gmachy magistrackie, przybytki urzędników i pisarzy, którzy paśli stada podbitych i strzygli ich do samej skóry. Dla tych nowych panów, skarżących się na tęsknotę za Rzymem i nudy prowincyi, budowano termy, teatry i cyrki i wabiono do nich tuziemców, aby poznawali, jak ich władzey bawić się umieją.

Mołoch uliczny bratał się ze zgrajami przybyśców, od żołnierzy, pachołków urzędowych i lada-cznie uczył się niewykwintnej łaciny wiejskiej, którą jeszcze kaleczyły i przekręcały usta, do barbarzyńskich tylko dźwięków nawykłe.

Cieszyli się Rzymianie, iż ziemia prastarych wrogów, tych, którzy niegdyś wyrzynali senatorów na forum, co potem poszli za Hannibalem aż do samego serca Italii, przywyka do jarzma, że prawnukowie Ambioryksów i Wercyngetoryksów umieją mówić gładko po łacinie i przychodzą do szkół, aby się w gramatyce i retoryce ćwiczyli. I szkoły posypały się na całej przestrzeni od Massylii i Narbony aż do niebezpiecznych fal morza

Brytańskiego. W nich potomkowie możniejszych rodów galskich na jednych ławach z synami urzędników rzymskich i kupców greckich wpychali sobie w głowę zawile prawidła gramatyczne i wykrętne reguły retoryki, a historyi przodków swoich uczyli się... z Komentarzy Cezara.

Z owych Komentarzy dowiadawali się, że prapradziadowie ich byli tylko nierozsądną i niesforną zgrają, w którą rozum wszczepił dopiero ów mąż, co ugiął swawolną Galię do stóp potężnego ludu rzymskiego. Dla jej własnego dobra i dobra całego świata oddał ją w ręce miasta, co niby nienasycony żarłok chłonęło przy orgii dziejowej kraj za krajem, naród za narodem... wszystko dla dobra świata.

Z dzieła znakomitego wodza a samochwalczego literata dowiadawali się jeszcze, że w dniu, kiedy ów dobroczyńca zwycięską stopę postawił na wolnej ziemi galskiej, przodkowie ich dzielili się na dwa rodzaje. Jedni liczni a nierozumni lekkomyślnicy walczyli głupio za marne dziedzictwo po ojcach, nieokiełznaną swobodę, której nawet użyć nie umieli, drudzy rozsądni i zaeni (zwłaszcza w oczach przyszłego pana) jak psy, dobrym węchem obdarzone, przychodzili do stóp jego, aby nimi szczuł bujających na wolności współbraci.

Praprawnuków wzwyczajano w szkołach rzymskich do zapominania przeszłości, do szydzenia z niej, a zarazem do chętnego znoszenia jarzma obecnych czasów.

W Narbonie, stolicy dawnej Prowancyi, gdzie najpierw usadowili się byli Rzymianie, słyęła szkoła przybyłego aż z wiecznego miasta gramatyka i retora Kwintyna. Urodził się on z ojca niewolnika i matki niewolnicy, sam też w latach pacholeęcych jadł chleb niewolniczy i niejednokrotnie na plecach nosił siniaki... od laski pańskiej.

Pan jego, opasły i wyczerpany nadużyciami kielicha i rozpustą patrycyusz, kazał go uczyć czytać, pisać i deklamować, bo potrzebował kogoś, coby go do drzemki poobiedniej kołysał wierszami Wergiliusza i Horacego. Młody niewolnik przypadł mu do serca głównie dla tego, iż komentował poetów nudnemi uwagami, a te prędko sen na powieki pana przywoływały. Umierając wynagrodził zasłużonego około jego drzemki lektora udarowaniem go wolnością i zapisaniem mu w testamencie 1000 sestercyj, których spadkobiercy wypłacić nie chcieli.

Wyzwoleniec Kwintyn otworzył szkołę w Rzymie, ale szkół tych było tam tyle, ile chwastu w nieplenionej niwie. Zakładali je najwięcej Grekowie pod protekcyą senatorów i zbogaconych — bogowie sami wiedzą jak — wyzwolenców rzymskich. Nauczyciele greccy umieli zyskiwać sobie zwolenników, głaszając o cudach swej mądrości płatnemi usty plotkarzy, przytem nader zręcznie usuwali wszelkie współpracownictwo.

Kwintyn chelpił się głośno, że wynalazł dziesięć nowych prawideł gramatycznych, z czego oni sztydzili, twierząc, że prawidła owe są na to je-

dynie, aby jeszcze większe brzemie ciążyło na uczniów pamięci.

— Jeden włos z brody mojej więcej znaczy niż cała gramatyka Kwintynowa — zapewniał z nich każdy tych, co mu ucha cierpliwie użyć zechcieli.

Kwintyn musiał nadto walczyć ze skąpstwem ojców rzymskich, bo niedarmo Juwenalis powiadał, że niczego nie cenili tak tanio, jak nauki potomków swoich. Niesumiennosc ich dochodziła do tego stopnia, iż *ludi magistri* musieli nieraz podawać skargę do sądu o należną sobie zapłatę. Tymczasem z prowincyi dochodziły wieści, że tam płacono sumiennie za naukę i jeszcze niejeden ojciec względy dla swoich dzieci drogo okupywał.

Po miastach galskich gramatycy i retorowie rzymscy zbierali spore sumy od bogatych kupców greckich i tamecznych barbarzyńców, którzy synów swych łaciny uczyć zniewoleni byli, bo z językiem ojczystym nawet po za miedze wiosek wyjrzeć nie można było. Rządzący Galią Italowie nie rozumieli i nie chcieli rozumieć mowy podwładnych, więc dla nich cała ludność ich języka uczyć się musiała.

Kwintyn wiedział dobrze, iż, kiedy roślinie na jakimś gruncie się nie darzy, na inną ziemię przesadzić ją trzeba. Nie darzyło mu się w Rzymie, przeto zabrał nie *lary* i *penaty*, bo świeży zwolnienie ich nie miał, ale kilkanaście zwitków papirusowych i wyniósł się do Narbony szczęścia

próbować. Rozmyślając po drodze, wynalazł jeszcze siedem nowych prawideł retorycznych i przybwszy na miejsce, nową szkołę otworzył.

Wielkie tablice, porozwieszane po rogach ulic i na placach publicznych, głosiły wszem wobec i każdemu, kto czytać je zechciał, że do Narbony przybył z Rzymu znakomity gramatyk i retor, twórca dziesięciu nowych prawideł gramatycznych i siedmiu retorycznych, mąż w mądrości równ Sokratesowi, a Demostenesowi w wymowie; mąż, co w głowy tych, co do szkoły jego się zapiszą, przeleje wszystką wiedzę szkolną i książkową.

Prefekt Narbony powitał go życzliwie, jako krzewiciela kultury rzymskiej i polecił, aby władze rządowe przybyszowi uczniów napędzały.

Właśnie w tymże czasie cesarz Klaudyusz wydał surowy zakaz, by Druidzi nie ważyli się wykonywać swych ofiar i praktyk religijnych, by nie włączyli się pomiędzy ludnością galską i nie wykładali tajemnic prastarej swej nauki, bo ta umysłom niepotrzebne myśli nasuwa. Szczególniej śledzono tych, co przyjeżdżali z za morza, z zielonych wysp Brytańskich, bo na nich ciążyło podejrzenie, iż wzywają lud do wytrwania w wierze i obyczaju ojców i że są największą przeszkodą w prędkiej i skutecznej romanizacji. Szkoły Druidów pozamykano, ich samych porozpędzano, lub uwięziono. Młódz galską skierowano do szkół łacińskich, które zakwitnęły i właścicielom swym dobre zyski przynosiły.

Na taką to szczęśliwą chwilę przybył Kwintyn i szkoła jego zaroila się uczniami z pośród młodzieży rzymskiej, greckiej i galskiej.

Była ona w Narbonie przedstawicielką retoryki i... feruli rzymskiej.

Katami dzieci pisarze starożytni nazywali nie-raz nauczycieli. Kwintyn ani myślał stanowić pod tym względem wyjątek, tem więcej, że wyjątki uznawał tylko w gramatyce.

W owych czasach naukę szkolną poczytywano za rodzaj trapienia, które miało być koniecznem dla wykształcenia umysłu, a nieodstępnymi towarzyszami każdej lekcyi były batóg i laska, owa nieśmiertelna ferula szkoły starożytnej. Kwintyn nie szedł drogą tych retorów, którzy, jak powiada Petroniusz, taką przynętę kładą na wędkę, jaka rybki do wędy przywabia. Wierzył w ferulę, owe, zdaniem Marcyalisa, smutne berło pedagogów, jako jedyny środek na chłopców i podrostków, najniesforniejszych ze wszech zwierząt, według słów Platona.

Przechodnie, klnąc srodze, mijali dom Kwintyna, bo z niego rozlegały się krzyki uczniów katorowanych przez zniecierpliwionego szafarza mądrości szkolnej.

* * *

W piękny dzień kwietniowy, gdy już słońce było dość wysoko i jasne jego promienie oświecały białe mury domów, tak, iż blask aż oślepił

oczy, gromady niedorostków dążyły do postronnej ulicy, gdzie była szkoła Kwintyna.

Szli niechętnie, jak gdyby ciągnięci przymocą, bo już słońce należycie dopiekało, a przytem czuli i zbliżanie miesięcy letnich, w ciągu których szkoła zamykana była. W myśli pieścili się nadzieją owych czterech miesięcy, w których użyją zieleni łąk i lasów, kąpieli w czystej wodzie rzek i strumieni, a nadto nie będą gryźli twardych wzorów gramatyczno-retorycznych przy wtórze wymyślań nauczyciela i ciągów jego feruli.

Godzina była dość późna, minęła już chwila, wyznaczona na rozpoczęcie lekcyi, ale drzwi były jeszcze zamknięte i gromadom niedorostków czarny jak węgiel Afer powtarzał niechętnie.

— Jeszcze go niema w domu.

— Gdzie nauczyciel? gdzie Kwintyn? — pytali młodzi natrętnicy.

Afer nie odpowiadał na pytanie.

Niektórzy domyślali się, że musiał być w porcie, bo często go tam widywano, jak snuł się pomiędzy właścicielami naw i bogatymi kupcami, których synowie do jego szkoły uczęszczali. O czem rozmawiał z nimi, zgadnąć trudno, ale nieraz, gdy wracał, szli za nim niewolnicy, niosący w koszach przeróżne dary od rodziców. Wyzyskiwacz rzymski siedział i w tym zgarbionym uczonym, co, zdawało się, prócz retoryki i gramatyki nic innego nie miał w głowie.

Młodzieniaszkowie snadź nie gniewali się na zwłokę; wiedzieli oni, że acz lekcyja później się

zacznie, zawsze o jednej skończy się godzinie. Chodzili po ulicy, gwarząc wesoło; niektórzy posiadali na belkach i kamieniach, gdyż nieopodał budowano nowy dom i materyał na budowę zwożono.

Na kamieniach tych, nieco na uboczu, siedziało dwóch młodzieńców. Jeden z nich był ubrany we wzorzystą tunikę i jasno niebieską chlamidę. Czarne oczy i nos charakterystyczny wskazywały od razu Greka z pochodzenia. Dziwnem przeciwieństwem włosy jego nie były dość ciemne, snać do krwi helleńskiej jakaś obca dołączyła się przymieszka.

Rzeczywiście Hyperion był synem kupca greckiego, ale matka jego pochodziła ze krwi galskiej z ziemi Arwernów, z rodu, co przed stu laty wydał bohatera Alezyi, króla Wercyngetoryksa, ostatniego wolności galskiej obrońcę.

Z teje samej krwi pochodził i towarzysz jego, Gutruat, młody Gal, który wraz z nim chodził do szkoły Kwintyna.

Przed kilku miesiącami przybył do Narbony, gdzie, ulegając życzeniu ojca, uczył się pilnie retoryki łacińskiej, gdyż stary Lakteryusz, aczkolwiek nie usychał z miłości dla Rzymian, pojmował praktyczną potrzebę uczenia się ich języka.

Pierwotnie Gutruata uczył łaciny młody Gal, który przedtem w samym Rzymie chodził do szkoły. Szpiegi doniosły, że młodzieniec nawet w stolicy Tybrowej nie rozkochał się we władcach Galii i i że uczniom swoim po cichu opowiada wiele rzeczy, nie wchodzących w zakres gramatyki. Chro-

niąc się przed sądami rzymskimi, nauczyciel uszedł do Brytanii, a Lakteryusz, by usunąć od siebie wszelkie podejrzenia, wyprawił syna do Narbony.

Gutruat płakał, kiedy jednego dnia kazano mu zdjąć kaftan w prążki z długimi rękawami i krótkie szarawary, które u Galów wysmiewali Rzymianie. Z żalem także składał swój pas, okowany złotem i srebrem, złoty łańcuch oraz wstążki złocistej barwy, które rodacy jego nosili na ramieniu i przegubie. Niewygodnie i kuso mu było w tunice, nie umiał obejść się z toga, atoli Lakteryusz nie chciał, aby w Narbonie syn jego choćby szatą budził podejrzenie.

Galowie godzili się już ze swą dolą, a najuporczywsi za nieprzejednanych uchodzić nie chcieli.

Gutruat siedział na kamieniu ze skurezonemi nogami. Łokieć prawicy wsparł na kolanie, na roztwartej dłoni położył podbródek, na który już drobniutki meszek przyszłej brody występował. Milczał ponuro, a milczenie to niecierpliwilo rozmownego krewniaka.

— Co tobie jest, Gutruacie? — zapytał Hyperion.

— Tęsknota szarpie mi wewnątrz — odrzekł młody Gal, podnosząc głowę i ztrząsając z czoła długie jasne włosy — tęsknota, ból, złość mię dręczą! Ach, po co ja tu do Narbony przyjechałem?

— Po co, ty pytasz?

— Po to chyba, aby widzieć, jak w tem mieście, założonem przez Tektozagów, czyste plemię celtyckie, rozpierają się wdziercy i wyrodki, co im kraj szaty całują.

Hyperion zaśmiał się.

— Co chcesz? — rzekł. — Stolica pierwszej prowincyi w tutejszym kraju!

— Tak, niestety! Tutaj po raz pierwszy opuściła nas Andrasta ¹⁾, co przed wiekami przodków naszych daleko aż na brzegi Tybrowe prowadziła.

— Za to dziś Minerwa italska potomków uczy tutaj sztuki i mądrości.

Gutruat uśmiechnął się szyderez.

— Jeśli ta mądrość — rzekł — naprawdę od niej pochodzi, to Minerwa musi być bardzo głupią niewiastą.

— Nie podoba ci się nauka Kwintyna?

— Co ma mi się podobać?... Co my słyszymy w tej szkole? Bezczelne przechwałki, kłamstwa samochwalcze, jak gdyby Kwiryeci jedni tylko byli narodem na świecie.

— Nosiciele prawa i oświaty...

— Ach, jak urągają nam, jak szydzą z nas, jak gdybyśmy Celtowie, byli jakiemiś półzwierzętami i dopiero zaczęli stawać się ludźmi wtedy, kiedy oni do nas przyjść raczyli. Wy Grecy, jesteście szczęśliwsi od nas.

— Jakto? Czyż oni nas oszczędzają? Czyż nie przypominają nam złośliwie dawnych swarów pomiędzy Atenami i Spartą i dzisiejszej naszej niewoli? Albożeś zapomniał, jak niedawno Kwintyn

¹⁾ Bogini zwycięstwa u Galów.

zadal chryję ¹⁾ na temat: „Biada tobie, Grecyo śpiewająca, bo wkrótce po radościach będziesz płakała?” ...²⁾)

Gutruata błękitne oczy błyskawice miotały, wspomnienie zaś poganienia Hellady rozpałiło ogień w piersi Hyperiona.

— Nie szczędzą i was — rzekł młody Gal — nadają szyderczo przydomek Greczyneków ³⁾, jak gdyby pacholał w porównaniu z nimi, mężami siły i rozumu.

— A wszystko, czem się chełpią, nam jedynym zawdzięczają. Bo czemuże byli oni, zanim Scypio nowie wskazali im na naszą poezję i filozofię, jako na karmę dla ich ciasnego umysłu? Czemu byli? powiedz, czem.

— Alboż ja wiem? — odparł wzgardliwie Gutruat.

— Byli zgrają złodziei, wprawnych jedynie w rzemiosło rzeźnicze. Umieli zarzynać ludzi na bojowisku... i to była wszystka ich chwała!

— Dziś głoszą, iż mają najwspanialszą literaturę na świecie.

— Kto to mówi? kto? — krzyknął Hyperion i zerwał się z kamienia.

— Kto?... Choćby Kwintyn i jego uczniowie. Nawet Galowie nasi wierzyć w to poczynają.

¹⁾ Chryja — wypracowanie na temat jakiejś sentencji lub faktu z żywota znanej osobistości.

²⁾ *Vae tibi, Graja canens, quia mox post gaudia flebis.*

³⁾ *Graeculi.*

Hyperion siadł znowu i zaśmiał się szyderczo.

— Ach, niech oni nie chlubią się tyle swym Wergiliuszem i Horacym. Gdyby Homer przy boskiej lutni nie wyśpiewał był tytanicznych walk Achajów z Trojanami, nie mieliby oni swej Eneidy z tym pobożnym płakaniem, od którego swój ród wileczy niby wywodzą. I oni swą sztuczną, wymęczoną poezią i wymową chcą zdumiewać nas... nas, Hellenów, cośmy cały świat piękna i mądrości nauczali! Na Herę i Afrodytę, jeden frazes Demostenesowy więcej wart, aniżeli wszystkie mowy tego nadętego pyszałka Cycerona.

Gutruat pochylił głowę, potem wyprostował się i rzekł:

— Pomnę, przyszedł do domu ojca mojego siwobrody Druid z arfą i śpiewał... o Wercyngetoryksie, o jego zwycięztwach i klęsce. Kiedy mówił, jak bohaterski król sam wyjechał do obozu Cezara, aby poddaniem swoim okupić ocalenie swego wojska, wszyscy pozakrywali twarze polami płaszców i plakali, niby dzieci. Niech mi który z Rzymian powie, czy płakał kiedy nad Eneaszem.

— Wercyngetoryks! — zawołał Hyperion. — Wielki to zaiste bohater, godzien stać obok Filippomena i Arata!

— I pomyśleć sobie, że tego króla, szczytnego mężem i poświęceniem, wleczono w kajdanach za tryumfalnym wozem Cezara, że go ścięto, jak zbrodniarza! Czyż ten Rzym cześci mężem tylko wtedy, gdy się przeciwko jego wrogom zwraca? Zaiste Wercyngetoryksa pomścili bogowie w onym

dniu, gdy Cezara właśni ziomkowie stylusami, jak wieprza karmnego zakłuli.

— Cicho, cicho, zapaleńcze! Czyż nie widzisz, że zbliżają się Trebiusz i Marcyan?

— Czegóż mam zważać na nich?

— Czego? Czyliż nie wiesz, że to synowie tych, co waszych kajdan pilnują, waszych dozorców więziennych i katów?

— Synowie tylko...

— I przyszli pretorowie ziem galskich. Wierz mi, iż oni dobrze chwytają niebaczne słowa barbarzyńców i uczą się czytać w głębiach ich duszy pilniej, aniżeli gramatyki Kwintynowej. Więc strzeż się, praprawnuku Wercyngetoryksa, pilnuj słów języka twego i spojrzeń oczu twoich.

— Mamże kryć się, niby żmija, w zaroślach. Na Tarana i Belisanę¹⁾ jestem Gal ze krwi ojca i matki, i śmiało spojrzę im w oczy. Ach, czemuż mi bogi złego wzroku nie dały, abym mógł ich urzec, iżby wiedli i schnęli, jak oliwka, której korzenie robak podgryza.

— Nie wy, ale oni taki wzrok mają.

— A jednak ty nie lękasz się ani ich spojrzeń, ani rozmowy z nimi... Snadź używasz fortelu lub czaru jakiego...

— Ach, nie, nie... ale widzisz, ich ojcowie u mojego ojca... pożyczają pieniądze.

¹⁾ Taran najwyższy bóg w mitologii galskiej, Belisana bogini mądrości.

Zdaleka szło do szkoły dwóch wyrostków z grubymi rysami, śmiałem, zuchwałem okiem, w którym przebijała pewność siebie i pycha. Wzdęte wargi świadczyły o silnie zmysłowym temperamentcie. Złote *bulle* ¹⁾ w formie soczewicy, wiszące na szyi i mające bronić ich od złego wzroku, wskazywały, że są to synowie Rzymian, a zarazem, że ich jeszcze za niedorostków poczytywano.

Wszelako niedorostkami już nie byli, zbliżał się bowiem dla nich ten dzień, w którym mieli otrzymać białą togę męską. Mieli przyobiecane, że od tej chwili przestaną chodzić do szkoły, oni zaś sami postanowili sobie wyrzucić z głowy całe brzemie, które w nią gramatyk był wtłoczył, Marcyan zaś uczynił wotum, że zaciśniętą pięścią pogrozi Kwintynowi, gdy go potem gdzie napotka.

Zwierzył się z tym zamysłem Trebiuszowi, ten zaś parsknął śmiechem.

— Jeżeli — rzekł — poweźmiesz zamiar połamania mu kości, to powiedz mi wcześniej, abym ci mógł dopomóc w tem szlachetnem dziele.

— Szaleńcze! — zawołał Marcyan. — Czyżbyś ośmielił się podnieść rękę na starszego?

— Rękę nie... ale kij gruby a sękaty.

Trebiusz i Marcyan lubili rozprawiać o niedalekiej, tyle wyczekiwanej chwili wyzwolenia z jarzma szkolnego, dziś jednak nie mówili o niej, ale rozmowa ich toczyła się o towarzyszach Galach i Grekach.

¹⁾ Kulki.

— Nie cierpię tych Greków — powiadał Trebiusz — choć ubierają się ładnie, włosy trefią i kłaniają się nisko.

— A jednak ojciec twój chętnie obcuje z nimi. Mają do niego przystęp nawet wtedy, kiedy nikogo innego do siebie nie przypuszcza.

— Bo mu przynoszą pieniądze. Co do mnie, chodziłbym między nimi z biczem i smagałbym ich jak niewolników. Jednego Phlygippa dość lubię, bo mię uczył jeździć konno. Ach, ten Kwintyn! Z jego łaski moich siwoszów po całych tygodniach nie objeżdżam, a u difru¹⁾ koła rdzewieją.

Przypomnienie koni i wozu zasmuciło Trebiusza, ale rozweselił się, bo idące z amforami po wodę niewolnice zaczęły go zalotnym uśmiechem.

— Stójcie, dziewczęta! — zawołał — woda wam w cysternie nie wyschnie.

— Do szkoły! do szkoły! — wołały niewolnice. — Ludimagister za spóźnienie gniewać się będzie.

— A ma twardą łaskę w kącie — dodała Anizya, dziewczę ponętnych kształtów, nader śmiałe i zalotne.

Młody Rzymianin oburzył się niesłychanie.

— Strzeż języka — zawołał, grożąc pięścią — bo...

— Bo co?

— Bo cię srogo za to ukarzę.

— Eh, nie może być!

¹⁾ *Difros* — wóz dwukołowy.

Inne niewolnice zanosiły się od śmiechu.

— Strzeż się, Anizyo — wołały — panicz wycalować cię gotów.

— Naprzód wycaluję, potem wybije — krzyknął Trebiusz.

Krew zawrzała w żyłach młodzika; zalotne szyderstwo, krzywiące usta dziewczęcia, podrażniło go niesłychanie. Prawie instyktownie skoczył ku zuchwałej piękniś, ta krzyknęła i pomknęła niby spłoszona sarenka. Za nią popędziły jej towarzyszki.

Przechodnie stawali na ulicy, zdumieni widokiem podrostka, biegnącego za gromadą dziewczęząt. Ich uśmiechy ironiczne powstrzymały Trebusza w pogoni.

— Ach — mówił, wróciwszy do towarzysza — gdyby to nie było na ulicy!

— Urwisz z ciebie, Trebiuszu!

— Nie odrodziłem się od mego ojca!

— Co też ty mówisz? Twój ojciec człowiek taki porządny... słynie z pobożności...

— I słusznie... pali bogom kadzidła... i zapatruje się na bogów... ha, ha, ha!

— Czegóż się śmiejesz?

— Alboż nie wiesz, jakie to ładne oni dają nam przykłady.

— Kto taki?

— A któżby?... Ojcowie nasi i... bogowie nasi... Mój ojciec, pretor cesarski, w dzień chadza w powadze swego urzędu, a wieczorami wymyka się jak najlichszy chłystek, żeby gdzie ja-

ką ładną niewiastę uścisnąć... Co chcesz... Zatrąca się na Jowisza... Ojciec bogów i ludzi siedzi na Olimpie, grzmi i miota na grzeszników błyskawice, ale niech no jaką nieszpętną dziewczkę zobaczy, już go nie patrz w niebieskich pałacach. W maszkarze byka skrada się po Europę, lub sypie się złotym deszczem do komnaty dobrze strzeżonej Danai...

— Błóżysz bogom, religii naszej, najdoskonalszej... jedynej na świecie.

— W imię tej doskonałości płacimy złotem i honorami owym nizeziemnikom, co własnych bogów zaprzędają. Z barbarzyńców, którzy naszą wiarę przyjęli, natworzyliśmy łotrów do zakażenia całego świata... Ach ta doskonałość naszej religii! Pusty śmiech mię porywa! Nasi kapłani...

— Ludzie poważni, święci...

— Z długimi brodami... ha, ha, ha!... Satyry to wszeteczne! Lubieżnicy i miłośnicy łatwego zarobku! Każdy z nich gotów cudzołożyć jak Jowisz, a kraść gorzej od Merkurego! A ten nieoceniony poseł bogów, jak on kradł znakomicie... woły i dziewczki i... wiele innych rzeczy! Co to za wzór dla pisarków po magistratach naszych!

— Zkąd ci to wszystko do głowy przychodzi?

— Najdroższy, jeszcze dzieciakiem zabawiali mię takimi bajeczkami pedagogowie i niańki, a małoż tego w szkole się nasłuchamy?

— Wieleż ty tam słuchasz w owej szkole!... Śmiejesz się tylko po całych lekeyach, aż Kwin-tyna doprowadzasz do wściekłości.

Trebiusz skrzywił się szyderezo.

— Wróżka przy urodzeniu przepowiedziała mi, że śmiać się będę zawsze i wszędzie, a Kwintyn gniewa się na mnie. Na Herkulesa! Czyż ja mogę sprzeciwiać się przeznaczeniu?

— A jego horoskop wskazywał to, że za śmiechy twoje bić cię będzie.

Trebiusz aż podskoczył.

— Bić! bić!... Kogo?... Mnie, syna pretora cesarskiego?... O, zaiste, takich rzeczy nawet horoskop wskazywać nie może. Niech sobie Kwintyn bije Galów, Greków, nawet tych niedołącznych Rzymian, co mu ulegają, ale mnie niech da pokój!

A po chwili dodał:

— Jeżeli śmiech był w moim horoskopie, to w jego horoskopie z pewnością było to, że ludzie z niego śmiać się będą.

I jakby na potwierdzenie słów swoich parsknął śmiechem, ujrzał bowiem w pewnem oddaleniu nauczyciela.

I niewolnik dostrzegł go także, otworzył więc drzwi i cała zgraja oczekujących niedorostków sypała się do szkoły, jak do podstawionego naczynia sypią się gruszki lub jabłka z otrząśniętego drzewa.

Kwintyn szedł zgarbiony, a jednak głowę do góry zadzierał i brzuch w majestacie swojej powagi wypinał.

Gromadka niewolnic stała u cysterny, zaczepiając przechodniów i gwarząc wesoło. Widok nadchodzącego Kwintyna pobudził ich szyderstwo.

— Znowu ten brzydal idzie! — mówiły jedna do drugiej.

— Że też taki potwór ma śmiałość chodzić po świecie. A toż spojrzenie jego nieszczęście przynieść może.

— Niech bogowie wróżbę odwróca.

-- Dziwna rzecz, iż po urodzeniu rodzice nie strącili go z jakiej urwistej skały, aby takie niezdarne plemię się nie mnożyło.

— Ach, oni pewno ślali do krewnych i przyjaciół z oznajmieniem, że im się syn narodził. Krewniacy schodzili się, dawali dary matce i cieszyli się, dziękując bogom, że pokolenie brzydaków nie wyginie.

Kwintyn nie słyszał tych słów szyderych, bo zaiste nie byłby wyszczerzał do uśmiechu przedzonych zębów i warg słodko nie krzywił. Lubieżność kryła się w tajnym zakątku jego wnętrza tam, dokąd jeszcze gramatyka z retoryką przeniknąć nie zdołały. W tej chwili wielki retor zapomniał o powadze swego stanowiska, o blasku, co nań splywał z 17 wynalezionych przezeń prawideł, wdzięczył się i czule wykrzywił pomarszczone oblicze.

Pożądliwie wyciągnął rękę, aby pochwycić koło pasa Anizyę, która urągliwie spoglądała na niego.

— A ten czego chce? — krzyknęła i odskoczyła na bok.

Woda z pełnej amfory, którą trzymała na głowie, chlusnęła i oblała niewczesnie zalotnego retora.

Staął, zjadliwym wzrokiem przeszył niewolnicę i krajem togi lysinę, twarz i szyję obcierał. Niewolnice uragały mu śmiechem.

W niewyschłej jeszcze na ramionach szacie Kwintyn wszedł do szkoły.

Na ławkach siedzieli uczniowie porządkiem według zasługi. Co miesiąc odbywał się egzamin, stanowiący rodzaj gonitw o miejsce, które zdobywali ci, co niby lepsze dawali odpowiedzi. Zręczny mistrz potrafił tak prowadzić egzamin, iż pierwsze miejsca dostawały się leniwym ale zuchwałym i pewnym siebie synkom rzymskim, Greków sadzano po nich, Gallów zaś wypierano na ostatnie miejsca.

A jednak byli oni najzdolniejsi i najpracowitsi z uczniów i tak prędko i biegle przyswajali sobie język cyceronowy z jego wybrednymi obrotami i frazesami, iż potem niejednen zwycięzko współzawodniczył na polu literatury ze spadkobiercami Sallustyusza i Horacego. Jeszcze w późnych wiekach, gdy już poezya i wymowa przekwitły w Rzymie, utrapionym tyranią cesarzy i rewolucjami pretoryanów, nie przestały być uprawiane po zromanizowanych miastach Gallii i Brytanii.

Kwintyn stanął przed uczniami i groźnie marszcząc czoło, rzekł z majestyczną powagą:

— Dosłyszałem w rozmowie waszej kilka niepoprawnych wyrażen i to z ust rzymskich. Na Jowisza, czegoż mamy wymagać od grubych barbarzyńców, gdy nam sami Kwiryści styl psować będą?... Ty, Marcyanie...

— Psuje, psuje styl — przerwał błazeńsko Trebiusz — bo zbyt przestaje z niewolnikami i niewolnicami, którzy do szkoły nie chodzili i Cicerona nie czytują.

I śmiał, się wykrzywiając twarz cudacznie.

Kwintyn oburzył się; czuł on oścień, ukryty w słowach młodzieniaszka, a skierowany ku niemu samemu.

— Zawsze ten sam — rzekł ze wzdrygniętą powagą — śmiechem wykrzywiony satyr i faun.

— Faun, nimf zmykających miłośnik, mówi Horacy — dorzucił cynicznie Trebiusz.

Kwintyn aż wzdrygnął się, rękę wyciągnął, aby pochwycić ferulę, atoli przypomniał sobie ojca pretora i ramię mu opadło. W bezsilnej złości wargi tylko zagryzał.

— Uciszcie się — krzyknął — dobadźcie tabliczek i stylusów; będziecie pisali extemporale.

Chodził zamyślony; nie mógł wpaść na temat do zadania.

Nareszcie po długim namyśle Kwintyn ropoczał.

— Mowa...

— Jaką Hannibal — podszeptał Trebiusz złośliwie.

Młodzi nieponie byli przyzwyczajeni do owego nieszczęśliwego wodza kartagińskiego, który po tylu wiekach był nieustanną ofiarą szkolnego pedantyzmu.

Kwintyn stanął. Z oblicza poznałbyś, że pierwotny, niejasny zamysł ustąpił innemu.

— *Macte virtute!*¹⁾ — zawołał. — Macie słuszność! A więc: mowa, jaką miałby Hannibal do Scypiona, gdyby był zwyciężył pod Zama.

— I Scypiona wziął do niewoli — podszeptał Trebiusz.

— Owszem... i Scypiona wziął do niewoli — potwierdził pedant. — Uciszcie się i piszcicie!

— Ha, ha, ha! Sam Momus zstąpił na niego i darzy go takim natchnieniem — rzekł Marcyan do ucha Trebiuszowi.

— Gdyby Hannibal był zwyciężył pod Zama... ha, ha, ha! — powtarzali ze śmiechem młodzi Rzymianie.

— Ach, czemuż tak się nie stało? — szepnął z westchnieniem Gutruat.

Hyperion uszczypnął go w kolano.

— Cicho, szalony barbarzyńcze! — rzekł mu do ucha. — Koledzy twoi mają uszy.

Nastał szmer, jak w roju pszczoł; młodzieniaszkowie wyjmowali tabliczki, woskiem natarte, próbowali ostrza stylusów i rozmawiali jedni z drugimi.

— Cicho! Milczenie! — wołał Kwintyn — zabierajcie się do pisania w cichości i skupieniu ducha!

Większa część usłuchała jego napomnienia, ale młodzi Rzymianie nie uspokoili się ani trochę. Pisali oni, ale jeden radził się drugiego, a Trebiusz najspokojniej pokazywał swoje tabliczki

¹⁾ Brawo!



siedzącemu nieopodal Barbiuszowi, słynnemu z nieuctwa i niedołęstwa.

— Każdy niech pisze ze swojej głowy; wypracowanie winno być samodzielne, wołał Kwintyn.

Ale wołanie jego nie odnosiło skutku, Rzymianie nie zważali na nie wcale. Byli oni w prowincjach wszechpotężni i bezkarni... nawet w szkole.

W Kwintynie żółć kipiała, wzdymały się wątroba i śledziona. Ach, z jakąż rozkoszą smagałby do umoru Trebusza, duszę wypędziłby mu z zuchwałego cielska. Wszelako złość jego gryzła się w sobie bezsilna, bo w pamięci tkwiło mu jedno niedawne zdarzenie.

Zniecierpliwiony bezwstydem podrostka, jednego razu zamierzył się nań ferułą, ale Trebusz nie uląkł się, ferułę wyrwał mu z ręki, a przytem wobec wszystkich przypomniał mu ciężki, które odbierał był za dni niewolnictwa swego.

Rozżalony poszedł na skargę do ojca Trebuszowego, ale na zadośćuczynienie usłyszał tylko te słowa:

— Gdybym, magistrze, ja był na twojem miejscu, nigdyby żaden uczeń nie ośmielił się rzec mi coś podobnego.

Kwintyn, bezsilny wobec Rzymian, iskrzącymi oczyma szukał kogoś wśród barbarzyńców, na kim mógłby wyrzucić złość swoją, co mu piersi rozsadzała.

Oko jego padło na Gutruata, który pisał tak pilnie, iż stylus jego szybko biegł po tabliczkach.

— Głupcze — zawołał Kwintyn — czego się tak spieszysz? Czy chciałbyś co prędzej pozbyć się roboty? Lepiej dawaj baczenie, aby tam waszych obmierzłych barbaryzmów nie było.

Gutruat podniósł błękitne oczy na retora. Zdawało się, że słyszy tylko dźwięk jego głosu, ale znaczenia słów nie rozumie. Stylus jego biegł po tabliczkach bynajmniej nie wolniej niż wprzód.

Młodzieniaszkowie rzymscy oglądali się na Gutruata, a widząc, że mało zważa na napomnienia Kwintyna, chichotali szyderezco. Bawiło ich takie zajęcie, z jakim pisał młodzieniec.

— Kwintynie — rzekł Trebiusz — strzeż się... on z rodu czarodziejów pochodzi.

— Wywołał ducha Hannibalowego i ten mu dyktuje mowę — dorzucił Mareyan.

Gutruata doleciały słowa dowcipnisiów; nie oderwał stylusa od tabliczek, ale uśmiechnął się. On oczyma ducha widział przed sobą wielkiego Kartagińczyka i na tę chwilę wierzył w jego zwycięstwo pod Zamą i ostateczny tryumf nad nienawistnym plemieniem.

Retor został doprowadzony do ostatecznego stopnia zniecierpliwienia.

— Dosyć! — wrzasnął — kto do tej chwili nie skończył, niech już nie kończy. Gutruacie, przeczytaj nam, coś napisał. A wy słuchajcie i uważajcie na każdy błąd, każde niepoprawne wyrażenie...

Gutruat wstał i czytać począł. Oko jego błyszczało zapalem.

Pierwsze frazesy, dźwięcznym odczytane głosem, obudziły zdziwienie słuchaczy. Nie było w nich ani jednego błędu, na który czyhali, owszem odznaczały się poprawną łaciną.

— *Macte virtute!* — rzekł z dumą retor. — Patrzcie... i muł, gdy go dobrze ucza, może chodzić, jak koń szlachetnej rasy.

Słuchał z zadowoleniem, bo rozkoszował się rezultatami nauki, które za swoją zasługę poczytywał. W duszy przyklaskiwał, ale nie Gutruatowi, tylko sobie, że tak dobrze ucznia swego wyuczył.

Gutruat czytał z zapalem, który wzrastał, ale bynajmniej nie pod wpływem pochwały magistra. Porywała młodzieńca postać pogromcy zaklętych wrogów i jego mniemany tryumf. W wypracowaniu swem kazał Hannibalowi dziękować bogom za zwycięstwo, o którym wieść — jak mówił — „rozejdzie się na wsze strony świata i zgnębionym przez ciemieżców przyniesie odetchnienie i uweselenie serc strapionych.“

Naraz słuchacze osłupieli, już nie z podziwu nad poprawnością łaciny, lecz ze zdumienia. Hannibal przez usta Gutruata uragał Rzymianom.

— ...Jeżeli — mówił — bogi, wrogie rodzajowi ludzkiemu, sprawiają, że po tej klęsce otrząśnicie się z czasem, jeżeli ułatwią wam dopięcie waszych celów, godnych furji Erebu, to kiedyś zlitują się nad utrapioną, unieszczęśliwioną przez was ziemią i wśród barbarzyńców północy wzbudzą mężów, którzy dokonają tego, o co ja się daremnie kusilem. Niech tylko idą śmiało naprzód,

niech się nie lękają samochwalczej legionów chwały, niech zatkną uszy na sofistyczne kłamstwa retorów, niech mijają rozkosze Kapui i nie zatrzymują się na czwartej mili pod miastem. Wtedy Rzymianie przypomną sobie, jak w przodkach ich zamierały serca na krzyki „Hannibal przed bramami!” I w nich zamrą serca i albo padną w proch pod nogami zwycięzcy, albo po słabej obronie Rzym runie w gruzy, a oni, panowie świata, wyginą od miecza, albo zaprzędani pójdą w niewolę... bo, jeśli bogowie są szafarzami nieuniknionej, acz nierychłej sprawiedliwości, nie zaś li tylko pochlebami siły i przemocy, za cudzą niewolę własną płacić potrzeba.

Kwintyn stał, jak gdyby w kolumnę się był zamienił.

— Milcz! milcz! kandydacie na szubienicę — krzyknął.

Pochwycił ferulę i z wściekłością głowę młodzieńca okładał.

Gniew i złość zagroziły drogę potokowi wymysłów, któremi chciał młodocianego zuchwalca osypać. Bił go więc tylko, dysząc i sapiąc, a ryk śmiechu młodych Rzymian wtórował uderzeniom feruli.

— *Furcifer* — rzekł w końcu zmęczony nielitosnem biciem. — Zkąd ci takie myśli przyjsię do głowy mogły? Zbrodniarzu, ze krwi bezrozumnych buntowników zrodzony, wierz w to mocno, iż Rzym nigdy nie zginie.

— Nigdy! nigdy! — krzyczeli młodzi Rzymianie.

— Choćby srogim bogów wyrokiem ostatni Rzymianin miał zemrzeć bezpotomnie, to jeszcze zostanie po nas wielka literatura, wstrząsająca dusze retoryka, kunsztowna gramatyka, która trwać będzie nieśmiertelnie, która ludzkość po wsze wieki uczyć będzie...

— I trapić po wsze wieki — rzekł półgłosem Gutruat.



TOMASZ CZASZKA.

D O R A .

NOWELA

Z KONKURSU LITERACKIEGO »CZASU«.



W KRAKOWIE,
SPÓŁKA WYDAWNICZA POLSKA.
1896.

W KRAKOWIE, W DRUKARNI »CZASU« FR. KLUCZYCKIEGO I SP.
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.



I.

Rozweselili się, gdy siedli na oświetlonej werandzie „pod Przepiórką“ i wszystkie twarze były uśmiechnięte; działało tak na nich może światło samo po dwugodzinnej wędrówce w ciemności. Ożywione, choć zmęczeniem zamglone jeszcze oczy, wodziły wokół z jakimś pożądaniem ciepła i blasku. Mimowoli każdy spoglądał co chwilę na Dorę. Matka, kobieta starsza, tuszy pełnej, o siwych jak mleko włosach, oczach niebieskich, które spoczywały z jakimś wyrazem łagodności i słabości na córce, radowała się jej wdziękiem, dziwnym wskutek zmęczenia w twarzy i jakby gorączki w przyśmionych, czarnych oczach. Doktor, mężczyzna zbudowany silnie, o twarzy szerokiej, zarosłej nierówno, oczami widocznymi tylko w kształcie błysków z poza okularów, patrzył na Dorę, jak dawny przyjaciel i lekarz rodziny; czerwone, grube jego wargi uśmiechały się jak do dziecka. Inaczej pan Henryk.

Nazwiska jego nie wymawiano nigdy. Z rodziną przez te trzy lata, które przepracował w komptuarze, żył się tak, że przyzwyczajono się do niego, jak do czegoś, czego się potrzebuje codziennie,

i codzień ma na zawołanie. Nazywano go dzieckiem, choć wiekiem dawno już był mężczyzną. Dziecinnie szczerą fizyonomią, prawie śmiesznie szczerą; w niebieskich oczach, na gładkiej, różowej twarzy odbijało się wszystko. Rudy był — wada, którą mu jednak, jak utrzymywał doktor, poczytywała panna Dora za przymiot; prześladowano ją tak tem rudem dzieckiem, że cudem zdołała prawie zachować koleżeńską swobodę wobec młodego, niebrzydkiego zresztą człowieka. Ujmujący wyraz nadawała twarzy Henryka prawdość, jakaś skrupulatna prawda, łącząca się niekiedy z pewną jakby podejrzliwością; często wśród swobodnej rozmowy milkł nagle i spoglądał na kogoś z podełba.

Teraz patrzył na Dorę. Z natury dość zmysłowy, posiadał pewną skłonność do nadawania wszystkim swoim choćby bardzo ziemskim uczuciom, wobec siebie samego barwy idealnej, nad którą się unosił. Zwykła bladość twarzy Dory, przechodząca w lekki ton złotawy, a nadająca jej wyraz subtelnej dystynkcyi, drażniącej zmysły jak zakazany owoc, działała na jego instynkta, niby słodycz mleczna, mdła a silna; zdawało mu się, że cały ten czar płynie dlań tylko z jej czystości dziewiczej, jej duszy anielskiej. Wierzył, że w oczach jej czarnych zachwyca go tylko melancholijna trochę powaga, nieopuszczająca jej nawet w chwilach wesołości, skutkiem jej niezmiernie wrażliwej, myślącej natury. Kochał jej włosy ciemne i suche; patrząc w rozpromienione nitki na

przejrzystej skroni dziewczyny, przypominał sobie typ Dolorozy, na której czole pukle takie grają jakąś pieśń smutną. Nie zdawał sobie jednak sprawy, jak silnie pociągają go przy tem wszystkim pełne i miękkie kształty postaci, jej ruchy senne, cała ta nieświadoma sobie kokieterya ciała kobiecego.

Dora poczuła wzrok jego i ruszyła nerwowo głowę; po chwili spojrziała mimowoli na niego, po czem zarumienili się oboje.

Zaraz potem poczęła żartować z doktorem, a Henryk schował twarz w wielkim bukiecie dzwoniaków, bławatków i maków, z których wiała mu jeszcze wieczorna przechadzka. Odurzył się tą zbraną wonią pól i czuł znowu ubiegłe tak niedawno chwile, czuł przedziwny rytm przechadzki w mroku obok ukochanej kobiety; wszystko, co się wznosiło do niego z traw i z ziemi, czuł, jakby szło od niej, z fałdów jej szeleszczącej sukni. Że przedstawiała mu się tak ciemno, że odgadywać ją dopiero musiał, czyniło mu ją podwójnie drogą. I czuł znowu, jak barwne wspomnienie, to sine, zgasłe sklepienie nieba, które jak morze działa na duszę, choć się w nie nie patrzy. Przesuwały się przed nim wszystkie gasnące światła owej chwili, puszyste chmurki, gorejące przed nimi, cudaczne kształty wierzb nad drogą, tajemnicze szmery wieczoru, łączące jak wspólna modlitwa wśród głębokiej ciszy.

Podniósł znowu oczy i ujrzał się w wypisie światła płonącej w nocnej czerni lasu. Otaczał go

świątek lamp miejskiej cywilizacji; na dole, pod werandą, w improwizowanym ogródku, stoły okryte białym obrusem, przy nich gdzieś szare gromadki; miejskie fraki kelnerów rażące na zielonem tle, przesuwaly się szybko, szklanki dzwoniły, z półmisków wznosiły się ciepłe zapachy w górę, w żywy rozgałęziony dach, którego liście wydawały się sztuczne, papierowe, pod wpływem światła lamp z dołu.

Tak — pomyślał, gdy oprzytomniał — skończyło się coś bardzo słodkiego, i kto wie, czy powróci? Ujrzał koło siebie twarz oblane ciepłym tonem, zadowolone, wypoczywające, a wśród nich znów twarz Dory. Nigdy nie byłem tak ciebie bliski — mówił do niej myślą, całując niby wzrokiem jej rysy łagodne, rysy Madonny z obrazu Bellini'ego — nigdy nie miałem tak ciebie, jak przed chwilą; szkoda! Przypominał sobie codzienny ich stosunek, który znów zapewne wróci. Nie był to nawet stosunek brata z siostrą; brakło czegoś do tego — może ciepła? — Tak, może ciepła... Darmo, była córką jego przełożonego, przewyższała go zresztą we wszystkim, ona taka mądra, piękna... Przewyższała go zanadto... Powtarzał to sobie nerwowo; naprzód ze smutkiem, potem wpatrując się w jej twarz, powtarzał to już mechanicznie, a ogarniało go jakieś silne, namiętne pragnienie. Czasem myślał: ty moja, ty moja... i rozpałało go to jak wino, które pił, a które nigdy nie działało na niego tak silnie, jak w tej chwili. Gdy się poddawał temu uczuciu, nie myślał już nic.

I począł rozmawiać głośno. Aż Dora spytała :

— Czy długo jeszcze do pociągu?

Doktór spojrział na zegarek :

— Dobrze pół godziny.

Ojciec umówił się z rodziną, że przybędzie za nimi pociągiem wieczornym, gdy pokończy swoje interesa w mieście. „Przepiórka“ drewniany dom szwajcarski, urządzonej jak hotel, choć zewsząd otoczony dzikim lasem, służyć im miał za punkt zborny i nocleg. Stał nad samą drogą kolejową, która przerzynała las o kilka kroków za domem. Na drugi dzień projektowano stąd wspólną wy-cieczkę pieszą.

— Za pół godziny! — pomyślał naraz Henryk niechętnie. Wolalby, żeby pozostali tak, jak do-tychczas. Wiedział, że potem będzie skrepowany, nie będzie już miał jej tak blisko. Myśl ta była mu jeszcze nieprzyjemniejszą, gdy przypomniał so-bie, że z ojcem Dory przyjechać ma dawny jego znajomy, jakiś profesor z bardzo znanem nazwi-kiem. Każdy nowy mężczyzna, który zbliżał się do Dory, przejmował go nieufnością; ten szcze-gólniej, bo zdawał się być oczekiwany niecierpli-wie, z ciekawością. Myśl o tem męczyła go tak, że sam rozpoczął rozmowę o profesorze, udając radosne oczekiwanie. — Erhard? to podobno hi-storyk; czytał o nim tyle razy w dziennikach, tyle razy...

Potem wszyscy mówią o nim; doktór, który go zna, opisuje go, chwali... Chęć zbliżenia się uczo-nego do rodziny kupieckiej, wydaje się pochlebuć

dla wszystkich. Henryk słyszy tylko dźwięki tego wszystkiego i patrzy na Dorę, która oparta i przechylona w tył siedzi ze spuszczonei oczyma, odpowiadając niekiedy, jakby bojaźliwie, pytając na jego spojrzenia uporcezywe i namiętne. Chciałby z nią być sam przez chwilę, szepnąć jej... powiedzieć... spytać, sam nie wie co... Naraz przychodzi mu coś do głowy. Z nienaturalnym spokojem pyta Dorę:

— Nie wyjdzie pani naprzeciw ojca?

Ona spojrziała na niego wielkimi oczami.

— Wcześniej jeszcze...

— Nim dojdziemy do stacyi...

Doktor robił ruch, jakby chciał pomódz Dorze do wstania. Ale młodzi wstali już, gotowi do nowej wycieczki.

— Gdyby najbliższym pociągiem nie przyjechał — upomina matka — nie czekajcie, broń Boże, do następnego!

— Nie. Może pójdziecie państwo z nami?

Henryk poparł wezwanie Dory nieszczerym gestem. Ale sędziwa pani, która oburzyła się na samą myśl o chodzeniu, rzekła głosem, pokrywającym ziewanie:

— Idźcie sami, jak będziemy doktora tak mężczyć, nie pójdzie już nigdy z nami.

Młodzi zeszli z werandy. Weszli w szeroką, ciemną aleję, wyciętą w lesie, prowadzącą do dworca. Henryk pomyślał, że idzie z nią całkiem sam, że idzie z nią sam w nocy. Droga wydawała mu się jakąś jedyną drogą, po której się

płyń. Starał się uprzytomnić sobie jaknajwyraźniej chwilę obecną, aby użyć całej jej słodyczy. Wsłuchiwał się w szmer, który mógł być oddechem Dory. Podał jej ramię, a gdy wsparła się na niem, szepnął:

— Jaki ja szczęśliwy!

Dora rozmarzona, milczała, nie mając siły na trzeźwy swój śmiech, jakim zwykle witała podobne wylewy uczucia towarzysza. Milczenie to sprawiło na nim nieledwie wrażenie gorącego wyznania. Spokój naokoło śpiewał mu prawie; tam w czarnej gęstwinie, na pustej drodze, wznoszącej się w białym świetle, milczało wszystko, jak Dora. Rytm kroków mówił coś w noc ciemną, co szeptało potem dalej i gubiło się w krzewach, gałęziach powietrza. — Jesteśmy sami i razem — czuł. Czasem zatrzepotało, zaszeleściło coś w liściach, jakiś ptak, albo nietoperz .. Dora opierała się wtedy silniej na nim, schylała głowę, tak, że jej włosy go muskały. Uczuł dreszcz jakiś, który płynął po całym ciele; stawiał nogi, jak pijany.

Zielone i czerwone światła zaczęły się już mięgać przed nimi; ostry zapach kolejowy mięszał się z wyziewami śpiącej zieleni i późnej nocy. Potem słyszeli drgające dzwonenie z dworca.

Na peronie było pusto. Jakby we mgle świeciły słabym blaskiem dwie latarnie. Usiedli w ciemnym kątku peronu, osłoniętym winem. Za chwilę zbliżył się do nich jakiś człowiek z czapką na oczach i latarnią w ręku, mrużąc niewyraźnie pozdrowienie.

— Piękny czas — zaczął rozmowę.

— Piękny — powtórzył Henryk drżącym głosem; czekał z dziwną niecierpliwością, aż ten człowiek sobie pójdzie.

— Państwo na wycieczce?

— Na wycieczce — odpowiedział szorstko i nerwowo. Zdawało mu się, że i Dora chce być z nim samą, że czekają razem na jakąś dziwną chwilę. To pragnienie ogarnęło go tak, że drżał cały. — Naraz byli sami, a potem on nie wiedział, co robi.

Nachylił się ku niej i obejmując jej ramię szeptał:

— Gdyby pani wiedziała... Doro, gdybyś wiedziała, co ja...

Nie słyszał nawet i nie rozumiał swych słów. Potem objął ją w pół i przycisnął do siebie.

— Doro!...

Czuł, że ciało jej drga całe, spojrzał na nią i widział jej oczy, jakby senne, twarz bladą, a usta zaciśnięte.

— Ja ciebie kocham... ty moja...

Ona, jakby cierpiąca, przechyliła głowę w tył, potem schyliła się na jego ramię. Henryk poczuł na piersiach ciężar jej ciała, a gdy zobaczył odsłonięty biały kawałek szyi, począł nagle ustami swemi jej ust szukać...

Naraz Dora spojrzała ku niemu. Oświetlona, mignęła jej na chwilę twarz jego gładka, jakby gorąca twarz dziecka; bez zarostu, otoczona rudym włosiem. Wzdrygnęła się raptem i wyrывая się szybko, wyprostowała się i wstała.

Jednocześnie prawie rozdarł ciszę przeciągly świst lokomotywy. Zerwał się wiatr i podniósł lekki kapelusz Dory, która poprawiała go odwrócona tyłem do Henryka. Potem posunęła się naprzód, gdy wagony przesuwały się koło niej, a Henryk stał jeszcze oszołomiony, patrząc na nią nieruchomym wzrokiem.

Gdy Henryk po chwili podawał rękę ojcu Dory, drżał jeszcze cały.

— Doro, przedstawiam ci profesora Erharda.

Niewielki mężczyzna o czarnych faworytach i włosach skłonił się jej żywo.

— Cieszę się bardzo, że mogę poznać pana — mówi Dora tonem tak swobodnym, że Henryk pyta się, czy to wszystko, co minęło, nie było snem tylko. Językiem dotyka ust swoich, które są spieczone, jakby były na nich jeszcze ślady szczęścia, które go spotkało.

Profesor idzie naprzód z Dorą, rozmawiając z nią wesoło, Henryk idzie z tyłu ze swym przełożonym, który opowiada mu coś o interesach; na twarzy jego błąka się uśmiech senny. Ma teraz uczucie, że nie użył owej chwili. Trzeba było myśleć wtedy o tem, że to jej usta, że to ona... Ale to był może początek; potem musi przyjść wielkie szczęście. Robi mu się gorąco i napada go wesołość szalona, która mu kipi aż w końcach palców.

Przyszli do restauracyi; nastąpiły witania i przedstawienia. Gdy Henryk siedzi znowu przy oświetlonym stole i wśród ożywionych twarzy, ogarnia go nagle pewność swego szczęścia. Nie boli go to,

że Dora, śmiejąc się, rozmawia z nowym przyby-
szem. Ma uczucie, jakby ta Dora była już jego
i jakby żaden w świecie mężczyzna nie mógł mu
jej zabrać. Patrzy na profesora i obserwuje go
spokojnie, z ciekawym uśmiechem jak wszyscy.

Ten profesor sprawia przedewszystkiem wraże-
nie człowieka, który chce odpocząć pełną piersią,
a który umie to robić tak dobrze, że godzinami
może być dzieckiem. Praca, myśl przetrawiona,
wryła mu się prawie we wszystkie rysy jego
twarzy, leżała chmurą na jego czole i nadawała
trzydziestokilkolcletniemu mężczyźnie pozór jakiejś
przedwczesnej starości, ale jasne spojrzenie, po-
godny uśmiech na ustach oświecłały to wszystko
świadomą siebie, zadowoloną siłą. Ruszał się dzi-
wnie zamasyście, a wszystko w ruchach tych
było ciężkie, szerokie. Gdy siada przy stole, śmieje
się, jakby bez powodu, z samej tylko uciechy,
ręką zagarnia włosy, a potem mówi ciągle, pra-
wie ciągle do kobiet i żartobliwie. Ręką małą,
wychuchaną suwa szybko po czole wysokiem, po-
przerzynanem wzdłuż i wszerz różnemi kreskami.
We wszystkim, co mówi, skacze jakaś wesołość
rubaszna, jak wakacyjna pustota szkolnego dzie-
ciaka. Humor jego prawie banalny, prosty, wy-
daje się tylko śmiechem wyswobodzonym; tkwi
w tem jakiś nieświadomy komizm, tem bardziej,
że wyrazy wszystkie wymawia prawie rażąco czy-
sto, po książkowemu; ma się niby wrażenie nai-
wnego prostaczka i uczonego jednocześnie.

Po krótkiej chwili stał się punktem środkowym małego towarzystwa. Czar jego był niewysłowiony; polegał może właśnie na kontraście w osobie tego człowieka. Najbliższy żart jego działał jak najpiękniejszy błysk ducha, w rubasznym jego, obcesowem obejściu kryła się dziwna dystynkcyja.

Ojciec Dory narzekał, że profesor zanadto pracuje i że powinno się uważać za cud, że udało się wyciągnąć go z miasta.

— E, co tam! — obruszył się uczony. — Praca mnie nie strawi, bo praca to moje życie. Niema jak praca. — I uśmiechał się z chłopską niemal dumą i zacierał ręce; zdawało się, że to mówi człowiek, który przez dziesięć godzin z rzędu ciosał kamienie.

Henryk, rozmarzony, otulony niby w usypiającej, ciepłej zadowoleniu, przyjmuje w siebie wrażenia łatwiej może niż zwykle, ale z tępszą, zaraz kapitulującą refleksją. Widzi profesora i Dorę, jak harmonizują ze sobą wyrazem twarzy i uśmiechem i nie niepokoją się wcale. Przedewszystkiem zdaje mu się, że Dorę posiada już wyłącznie, a potem sposób, w jaki profesor traktuje jego ukochaną, wydaje mu się śmiesznie ryzykownym, nieprowadzącym do niczego i nieszkodliwym. Sam przyzwyczajony mówić do swego ideału na kłęczkach, jak do królowej, nie rozumie wprost sposobu z jakim obchodzi się z nią ten czarny profesor. Mówi on, jak do jakiegoś maleńkiego stworzenia z takim uśmiechem, schylając się przytem, jak matka do dziecka — ledwie że nie zmienia

głosu pieszczotliwie. — Gdy ona coś powie, on śmieje się, jak do szczebiotu ptaka.

Henryka dziwi z początku, że Dora godzi się z tym sposobem traktowania siebie, że przyjmuje to tak mile, z takim poddaniem się. Ale naraz przychodzi mu myśl, że to ona udaje tylko dziecko, aby on był dzieckiem tem większem, bo ją to bawi. I Henryk cieszy się tem spostrzeżeniem; nie spuszcza wzroku z Dory. Wydaje mu się, że na jej ustach leży ten sam wyraz, jak gdy rozmawia z swą małą siostrzyczką. W jej stosowaniu się do „baby“ jest wtedy więcej słonecznego uśmiechu, niż w dziecku samem.

Cieszy się Henryk trafnością swego sądu. Oczka jego małe już bardzo błyszczą, jak dwa szkiełka, pod rzęsami, na ustach błąka się nie nieznaczący uśmiech; myśli, że jest wcieloną ironią obserwatora.

On sam przecież zna Dorę najlepiej. Chciałby posłać jej spojrzenie, ale to mu się nie wiedzie; Dora nie patrzy na niego, udaje pewnie, że go nie uważa — tak, wobec innych! Nie mogąc porozumieć się z nią wzrokiem, ogarnia okiem całą jej postać i czuje ją już jako własność. Patrzy na nią, jak na ową poważną Dorę, a jako drażniący kontrast czerwienią mu się jej usta, których wilgotne ciepło czuł jeszcze; wprawia go to w odurzenie zmysłowe.

Powszechna rozmowa przechodzi w stan jakiś powolniejszy; usta poruszają się leniwiej, uśmiech przypomina ziewanie. Siedzą już sami prawie; na

dole tylko jakaś para przy kuflu piwa, tuląca się do siebie, usypiająca już samym swym widokiem, szepece, jak słabo tykający zegarek... Kelnerzy, rozpierający się po próżnych krzesłach, patrzą, jak psy głodne, oczami wzywając prawie gości, aby sobie spać już poszli.

Milcząc, podążyli wreszcie sennym krokiem do hotelu. Na dole rozpoczęło się dzielenie towarzystwa przez portyera, który wyznaczał apartamenta.

Nie wiedząc jak, lub czy wogóle się pożegnał, Henryk znalazł się naraz w przeznaczonym dla siebie pokoiku na poddaszu. Tu, zdejmując suknie, śmiał się głośno ze siebie, bo było mu tak dziwnie. W głowie poczęło mu się naraz kręcić. Na oknie szeleściła i rysowała się gałązka bzu, poruszana wiatrem. Księżyc oświetlał wszystko. Poczł pokusę, aby otworzyć okno i uczynił to z zadowoleniem, jakby gasił pragnienie. Potem rozbiegając się dalej, przedsięwziął sobie, że w łóżku do snu myśleć będzie o tej scenie na dworcu.

Ale gdy się położył, zasnął, nie doszedłszy w myślach do dworca. W pokoju było cicho, tylko gałązka bzu szeleściła, poruszana wiatrem i posrebrzona promieniami księżyca.

II.

Zdziwisz się pewnie, moja droga Maryniu, gdy otrzymasz ten list. — Dora! Tak Dora, która ma zapewne lepszą pamięć niż ty... Założyłabym się, że nie wiesz już o czem mówiliśmy pewnego pię-

knego wieczoru przed laty. Myślę o tym wieczorze czerwcowym, ostatnim, jaki przeżyliśmy razem na pensyi.

Na niebie było dużo gwiazd, w powietrzu wiele zapachu lipowego kwiatu. a my byłyśmy obie w jakimś uroczysto tkliwym usposobieniu. Mówiliśmy o życiu, które czeka nas za murem klasztornym, mówiłyśmy o naszej przyszłości, to znaczy: mówiłyśmy o miłości i mężczyznach.

Skąd mi to przyszło na myśl, dlaczego piszę o tem do ciebie? Dlatego, że... Maryniu zdaje mi się, że kocham...

Opowiem ci wszystko — przedtem jednak przypomnij sobie, com ci mówiła wtedy o moim ideale. Szczęcę się tem, że zapatrywania moje nie zmieniły się w niczem. Mówiłam ci, że potrafiłabym tego tylko kochać mężczyznę, którego czułabym wyższość nad sobą pod każdym względem. Trzymam się tego, badam to z bojaźliwą prawie skrupulatnością w człowieku, który kiedyś może być moim mężem. W każdym słowie, które wypowie, w każdym jego spojrzeniu, choćby tem — ciepłem, pieszczącym, miłosnem -- a nawet głównie w tym wzroku miłosnym.

Miłość, to rzecz niezbędna w małżeństwie. Wierzę w to, jak w ewangelię, choć urodziłam się w ostatniej części dziewiętnastego wieku, a może właśnie dlatego. Zdaje się, że się teraz przychodzi już z dojrzałą głową na świat i czuje w sobie życie weześniejsze, nim się jeszcze żyło naprawdę. Czy dlatego może matki nie chowają już przed

nami książek, prowadzą nas do teatru i t. d. Nie wiem; nie chcę przed tobą pozować na mądrość, ale zdaje mi się, że w tem całym prowadzeniu nas i także w opinii męskiej o nas, leży jakieś niesłychane *qui pro quo*, którego nie umiałabym wyrazić. Ale... mówiłam ci o miłości, i mówiłam ci, że wydaje mi się ona niezbędną.

W tym względzie jednak czuję w sobie dwie siły przeciwne. Nie mogę wyobrazić sobie życia obok człowieka, którego kochać nie byłabym w stanie; jednak ilekroć wyobrażę sobie mężczyznę, klęczącego z poniżeniem u stóp moich, patrzącego na mnie owym wzrokiem, w którym mieści się coś dzikiego prawie, czuję wstręt nieopisany. *A propos* tego, dam ci dowód zaufania, zwierając ci się z pewnej rzeczy, której nie opowiedziałabym żadnej innej kobiecie. Przedemną klęczał już raz tak mężczyzna i nie tylko patrzył na mnie tym wzrokiem, ale... pocałował mię, objął w swoje ramiona, tak, że czułam jego gorący oddech, drganie jego piersi... Ja sama rzuciłam mu się prawie na szyję; i tym mężczyzną — nie był mężczyzną, tylko nasz Henryk. Przeczytasz to co najmniej z politowaniem dla mnie... Nie wiem już, jak się to stało, dosyć, że się stało; i dodam ci tylko tyle, że było to na wycieczce i że było parno, ja byłam odurzona trochę wiosną, oszołomiona zmęczeniem, rozgrzana winem. Przykro mi, że muszę go teraz nie cierpieć, choć nieobecnego. Dostał jakąś posiadłość w Wiedniu, gdzie ma pono korzystniejsze widoki. Gdy odjeżdżał, miał lzy

w oczach, a gdy podawał mi rękę, byłam dla niego na chwilę szczerze dobrą i życzliwą. Oszukuję go mimowoli, nie rozmówiwszy się z nim na seryo; to dziecko myśli, że może się teraz spodziewać więcej, niż przedtem, a nie wie, że dzieli nas teraz więcej, niż świat cały, bo mężczyzna, którego kocham... Na tamtego nie mogłabym nawet patrzeć bez odrazy. Wiele może w tem względem niego niesprawiedliwości, ale dotknął mię człowiek, którego nie kocham; nienawidzę wstydu mojego, a tem samem Henryka. Jakie szczęście, że sobie pojechał! Lubiałam go do niedawna; był, jak rekreacya po ciężkich myślach i mądrej książce. Teraz wiem, że lekceważyłam go zawsze. Płaszczyl się przedemną; gdybym mu była kazała, leżałby przedemną w błocie.

A teraz powiedz, czy to nie ironia losu, że na tej samej wycieczce, tego samego wieczoru, po owej hańbiącej scenie z Henrykiem, którą czuję tylko jak gorączkowy sen letni, a która gra w życiu mojem mniej więcej taką rolę, jak w wielkiej przyrodzie gnom górski, śmieszny, garbaty — czy to nie dziwne, mówię, że wtedy właśnie poznałam człowieka, który, zdaje się, będzie mi kiedyś wszystkim!

Maryniu, żebyś ty wiedziała, co ja teraz przechodzę, ach, żebym ja sama wiedziała, dokąd mię to uczucie doprowadzi i co w sobie mieści!

Ojciec przywiózł go wtedy ze sobą na wycieczkę. Profesor Erhard... Nie znasz? Ach słyszałaś o nim, proszę cię, któżby nie słyszał! Słyszałaś

nazwisko, albo czytałaś w gazetach, na okładce książki — albo ja wiem.. wszędzie... Bo to jeden z tych, których część duszy ogarnia świat i nim się go pozna osobiście, wie się trochę z tego, co w sobie mieści. A gdybyś go zobaczyła, wyczytałabyś to choćby z jego czoła, z jego oka, z całej osoby. Maryniu, ja żyję teraz tem wrażeniem wielkiem, jakie wywiera na mnie jego osoba, ale gdybym miała ci go opisać, nie potrafiłabym setnej części tego oddać, co w nim widzę i czuję. Gdy ci powiem, że jest średniego wzrostu, że ma czarne oczy, wąsy i faworyty, że nie jest bynajmniej typem profesora, bo nie jest ani suchy, ani łysy, nie używa okularów nawet czytając hebrajskie rękopisma... czy wyobrażasz sobie coś w tem wszystkim? A dla mnie wszystko w nim coś mówi, wszystko znaczy, gdy go widzę, albo o nim myślę. Nieraz w myślach twarzy jego nie widzę, ale gest każdy mogłabym opisać, ton jego głosu słyszę jeszcze; różne drobnostki, różne cienie w zachowaniu się dla innych może niewidoczne, a dla mnie tak ważne, że składają jego istotę.

Piękność leży w oczach. Bije z nich siła męska, tak wielka, że choć ma ręce jak pensjonarka, barki nie wiele szersze od moich, czujesz w nim prawie olbrzyma. Jeszcze coś, czego dokładnie wyrazić nie jestem w stanie, a co wpływa, zdaje się, właśnie z tej męskiej budowy jego charakteru. Jest dziwnie nieszczery; nie znaczy to, że się maskuje; nie, to znaczy, że nie rozdaje siebie, nie rozdaje wszystkiego, co ma. Czuję

2*

to i kocham w nim. Gdybym została kiedy jego żoną, zrobiłby mię może szczęśliwą połową swej duszy, drugą schowałby dla siebie i kto wie, czy za to nie kochałabym go tem więcej. Taki Henryk, który wylewał się cały w swych wodnisto-niebieskich oczach, był mi co najwyżej tem, co jedna z was, które nosicie wszystko na dłoni; spowiadając mi się z chwilowych uczuć i wrażeń, był tak ekliwo szczery, jak ty i ja, gdy zwierzałyśmy sobie wzajemnie nasze niemądre mrzonki.

Inaczej on. Ale on, to wogóle taka osoba wyjątkowa... Tego, co czuję, opisać ci nie mogę.

Opowiem ci, jak to wyklulo się, wyrosło, zarosło całą mą duszę. W ów wieczór na wycieczce, taki pachnący, senny, wtedy zastanawiałam się już, kto to taki, dlaczego i czem mię zajął? Potem nastąpiła noc, którą, może dzięki Henrykowi, przepędziłam gorączkowo, na pół we śnie i na pół na jawie. Wszystko grało we mnie i burzyło się; nie mogłam dojść z sobą do ładu.

Zdawało mi się, że dlatego spać nie mogę, że w pokoju tłoczy się jakaś mgła księżycowa, przesiąknięta zapachem bzu... Takie to było mdle, tak rozciągało się koło mnie i nademną, tak dusiło mię, że wstrzymywałam oddech i zdawało mi się, że połykam ciągle coś słodkiego. I czułam pragnienie świeżego powietrza górskiego. Wyobrażałam sobie szczyty alpejskie, sterczące w różowych obłokach, pokryte mchem; czułam zapach jodeł. A potem spostrzegłam naraz, że on trzyma mię za rękę i mówi coś do mnie uspokajająco. Widzę

jego czarne faworyty, ironiczne oczy i z największą dokładnością deseń jego fularowej krawatki. Wszystko, co mówi, prawda... Jaka ja nierozsądna, że nie myślę o tem, że to cały mój spokój, jedyne szczęście, że on tak trzyma mię za rękę, i że ten bez, to tylko mrzonka, i że jestem głupią dziewczyną. On mię nauczy od jutra myśleć, bo dotychczas nie umiałam tego, ale teraz on już zawsze trzymać mię będzie za rękę. Dlaczego boję się jeszcze i cierpię? czy to nie dosyć?

Dobrze — mówię — dobrze — i patrzę na jego fularową krawatkę — tylko niech mnie nie odstąpi. Czy on się na mnie gniewa, że cierpię? Ale ja temu nie winna, tylko Henryk a ta mgła mię męczy... Henryk dziecko? tak, ale stało się i ta mgła i nudność zostanie...

Nie! nie zostanie! gdy mnie weźmie, wszystko będzie dobrze. — A potem mówił coś jeszcze długo aż do rana... Trzymał mię za rękę i mówił tak spokojnie, jednostajnie, miło, a mnie zdawało się, że słyszę strumień, płynący po świecących kamkach. — Uśmiechałam się szczęśliwie, a pierś wstrząsała mi się ciągle, jak po płaczu i drżałam jakby w gorąccze.

Na drugi dzień rano, gdy słońce oblało już moja poduszkę i przez zmrużone oczy patrzyłam na tańczące w powietrzu proszki promienne, czułam się, jak po bezsennej nocy. Głowa była próżna, a choć ogarniało mię jakieś leniwe ciepło, zdawało mi się, że jestem, albo w nocy byłam chorą. Ale zaraz poczułam żywe drganie w sercu, gdy pomy-

ślałam, że go zobaczę znowu — tego ze snu. Liczyłam minuty. Ze snu, czy mrzonki nocnej zostało mi coś jeszcze w nerwach i zdawało mi się, że dzisiaj jakiś dzień szczególny, decydujący. Gdy zejść na dół, on mi coś powie, potem przyjdą rodzice, którzy wiedzą naturalnie wszystko — a potem... Uderzyłam się w czoło i śmiałam się ze siebie; robiło mi to przyjemność, tak się śmiałam. A potem patrzyłam się w zwierciadło, bez ram, upstrzone przez muchy. Oglądałam się na wszystkie strony; potem mówiłam, gestykulując... Spuszczalam oczy, uśmiechałam się kątami ust i mówiłam — do niego...

Nie wiem, jak długo to trwało, ale zapewne długo, bo naraz drzwi się otworzyły i weszła matka w kapeluszu i z parasolką w rękę. — Tak się przestraszyłam, nie wiedząc, czy co widziała, czy nie! — „Co ty jeszcze...! Dziecko, wszyscy już na dole. Co za szkaradny śpioch, spiesze się!”

Na dole przywitał mnie powszechny śmiech; czekali pewnie długo na mnie. Śniadanie, a potem w drogę przez jasne łąki i rosą ubrylantowane, ostro pachnące lasy; ścieżki były wilgotne a ziemia, cyklamenny, wszystko frementowało po nocy świeżością. Pośliznęłam się kilka razy po wilgotnych liściach i żółtych szpilkach, a wtedy Henryk i profesor prawie jednocześnie podali mi ramię. Wyobraż sobie, oparłam się nie na nim, tylko na Henryku. Po kilku krokach, które uszliśmy tak razem, zdawało mi się, że czuję przez chwilę, jak Henryk ramię moje silniej do siebie przyciska.—

Spojrzałam na niego szybko i gwałtownie, uwalniając się nieznacznie. Na kapeluszu miał jeszcze zwiędłe kwiaty, uzbierane wczoraj, twarz miał nieznośnie rumianą i uśmiechał się, nie wiem dlaczego... Te kwiaty bolały mię prawie, tak mi były niesmaczne. Czy miałaś kiedy to denerwujące uczucie, gdy po balu, w gorące południe, zobaczyłaś przypadkiem na twej toalecie bukiet z wieczoru. *Mal des cheveux* wtedy najnieznośniej się czuje. On cały był mi takim bólem, takim niby ostudzeniem. Kiedy nie myślałam o śnie swoim, to czułam go jeszcze w całym ciele i zdaje się, że on mi odebrał wszelką słabość do bzu — i Henryka...

Musiało coś w oczach moich być z tego snu, bo w najobojętniejszych rzeczach, które mówiłam z profesorem, leżało jakieś ciepło serdeczne. W postępowaniu jego ze mną zauważyłam od dnia poprzedniego zmianę, której dokładnie określićbym nie mogła. Nieraz, gdy patrzył na mnie swemi wielkimi oczami, zdawało mi się, że go coś zastanawia we mnie, że nad czemś myśli.

Spytałam go, czy jest muzykalny.

Odpowiedział, że nie gra na żadnym instrumencie, ale rozumie, lubi muzykę, a słuch ma bardzo wrażliwy.

— Ach, jeśli tak — pomyślałam sobie — jeśli rozumie muzykę, to wie, co gra mój głos, gdy mówię do niego. I starałam się uważać na ton mego głosu, aby on nie usłyszał w nim jakiegoś kompromitującego nokturnu.

Ale mimowoli byłam ciągle sobą, bo nigdy nie byłam tak silnie sobą. Jeżeli się tak zbadamy uczucie, moje dziecko, to gramy prawie zawsze jakąś rolę. Ja — pannę Dorę, ty — pannę Maryę, a nigdy nie żyjemy tak naturalnie, jak kwiaty na łące. Jest w tem coś dziwnego, a wydaje mi się to czysto kobiece. Co innego taka nieszczerłość męska. Taki profesor mówiąc do ciebie, zmyśla tylko: pana niema w domu. A wie się dobrze, że jest, tylko nie chce wyjść cały ze swojej nory. Inaczej my. My przebieramy się prędko za pannę Dorę, albo Maryę, mówimy: pani jest w domu i przyjmujemy w tej masce gości.

Trzeba wyjątkowych chwil, aby się raz było sobą. Zdaje mi się, że kiedy on na mnie patrzy i ze mną mówi, jestem sobą mimowoli i nie mogę być inną.

Jaki on po męsku dziecinny! Nie odstępuje mnie na krok. Wypytuje mię o tysiąc drobnych szczegółów z mego trybu życia: Kiedy wstaję? A co potem robię? Czytam? Dobrze, a co czytamy?...

Musi go takie stworzenie z warkoczem intrygować naukowo. Po każdej mej odpowiedzi śmieje się, jak rozbawione dziecko. A potem pędzi mię dalej. — No, a potem, po obiedzie?

I tak aż do wieczora, a rano każe mi znowu wstawać. Dowcipkuje coś o toaletach, pyta się o różne materye, jakby go to interesowało. Kokietuje swą męską niezgrabnością w tych rzeczach.

Ale pana czuć w domu coraz więcej. Jak ten pan mruga z po za poważnych oczów, jak uśmiecha się nieznacznie, kręci węża!

— Jak dziś ślicznie mamó! — wołam naraz szczęśliwa.

Henryk już dawno niesie dwie zarzutki i parasolkę mamy, sunąc w aryergardzie; profesor już dawno prowadzi mię pod rękę.

— Do najbliższej stacyi kolejowej, a tem samem końca wędrówki już niedaleko, a on mię ciągle przesłuchuje. Niechby mię kto inny tak spróbował bawić! A z nim czas leci mi prawie; słońce przesuwają się nad drzewami niby wielka wskazówka na zegarze, mama już ciężko oddycha ze zmęczenia, ojciec udaje zucha i pogwizduje jak zwykle, gdy mu się ciężko idzie, a mnie wydaje się, że wyszłam dopiero z „Przeziórki“. Czy i jemu tak samo?

Zdaleka widzę już dworzec i nagle napada mię odwaga i ochota spróbowania z nim gry odwrotnej; zaczęję ja się teraz pytać.

Poprawiam coś koło włosów; bawię się wstążką od parasolki... Hm...

— A pan... pan do późna musi siedzieć pewnie na tym... uniwersytecie?

Patrzy się zdziwiony, jakby nie wiedział o kim mowa. Ja czerwienię się cała. Machnął ręką, jakby odganiał muchę.

— E! proszę pani, co tu mówić o takich nudnych rzeczach.

Jestem załęczniona, nie wiedząc dlaczego, i gniewam się na siebie.

Za chwilę jesteście na peronie i czekamy na Henryka, który, jak zwykle, załatwia kupno biletów, tym razem i dla profesora. Profesor studjuje z doktorem rozkład jazdy, ojciec kupuje cygara, a ja siedzę w kącie ławki przed poczekalnią, zamysłona i nie swoja, nie słysząc, co mi matka opowiada.

Gniewa mię coś, martwi... Wiem, że tych kilka słów, powiedzianych przez niego, tak mi dokuczają, i razem wiem, że nie było w nich nic szorstkiego i obrażającego. Nie gniewam się nawet na niego, tylko jestem smutna. Czuję naraz coś nieprzyjemnego, ciężącego, jak mgła. Powiadam sobie, że odtąd będę inaczej do niego mówiła. Ale zaraz potem wydaję się sobie śmieszna; nie wiem, gdzie patrzeć, aby nie spojrzeć na niego. Bez powodu chce mi się prawie płakać. I następuje taka chwila, jak przed burzą; każdy nerw drga we mnie, jakby się stało coś niepowetowanie bolesnego, a zbliżała się noc, w której męczyć się będę wspomnieniem tego smutku.

Przypomina mi się raz jeszcze cała wycieczka i czuję lekki wyrzut z powodu Henryka. On mię tak uwielbia; przecie ja sama zapomniałam się wtedy. Chciałabym, żeby już wrócił z kasy, abym mogła na niego spojrzeć raz poczciwie, ciepłej, przebłagać go jakoś, rozrachować się z nim wzrokiem. Jestem niecierpliwa i zirytowana, skubię niemiłosiernie bukiet, który mam na kolanach.

Wreszcie dzwonek zapowiada pociąg, zjawia się sapiący z pośpiechu Henryk. I teraz następuje coś dziwnego. Profesor zbliża się do mnie, podaje mi ramię i pyta po dawnemu:

— No cóż, panno Doro, bolą nas nogi? Biedna panna Dora, biedna..

A we mnie zmienia się wszystko; rozstrojenie rozplywa się tak gwałtownie w jakimś, prawie rzewnie miłem uczuciu, że gdy patrzę na niego, odpowiadając mu uśmiechem, nie wiem, czy oczy moje nie błyszczą dziwnie. W tłumie pasażerów i zamieszaniu mam czas widzieć jeszcze żdziwienie jego.

Potem siedzę w wagonie z tem pewnem mdłym uczuciem koło szyi i serca, jak je się ma wskutek płaczu. Co on sobie pomyśli! W duszy powtarzam nerwowo: — Jesteś głupia dziewczyna — wstydz się — wstydz — podlotek. — A to rzeвне uczucie nie opuszcza mnie, jak na złość. Czerwienię się prawie ustawicznie, bo on siedzi koło mnie i swobodnie mię obserwuje. Nie wiem co ma za wyraz twarzy, tylko czuję jego wzrok i patrzę z natężeniem przez okno na przesuujące się słupy telegraficzne i budki kolejowe. Naraz słyszę za sobą śmiech dziecka. — A już taka moja natura, że kiedy małeństwo takie się pojawi, nie mogę wytrzymać, żeby go sobie nie obejrzeć, więc obracam się żywo i za chwilę jestem w najlepszej komitywie z małym bobem, które niańka za mną trzyma, a które ciągle obraca się i wyciąga łapki do mego kapelusza.

To szczęśliwie zmienia sytuację, zaciera wszystko bez śladu. Napada mię znowu wesołość, w którą miesza się mój sąsiad z widoczną o swoje ubranie obawą, która bawi mię niewymownie.

Profesor odprowadza nas w mieście aż pod dom. Tu rozłączenie powszechne. Henryk najwidoczniej w złym humorze, albo obrażony, żegna się z angielskim chłodem, doktor, jak zwykle. *per frère*; profesor chrząka, widzę, że będzie coś dłuższego. Matka podaje mu rękę z stereotypowem: „co piątek jesteśmy w domu“, on zerkając na mnie, mówi do mamy:

— Tak mi było z państwem dobrze! Mój Boże, ja taki dziki, ale z państwem czułem się tak swojsko... Dziękuję serdecznie! Więc państwo tu mieszkają — aha! Nie można też czasem wstąpić na chwilkę, gdy człowiek wolny?

„Piątki“ ignoruje najwidoczniej. Matka, której podobał się stanowczo, prosi go serdecznie, aby zrobił nam tę przyjemność, kiedykolwiek i o jakiejkolwiek porze dnia będzie miał ochotę.

Możesz sobie wyobrazić, z jakim uczuciem znalazłam się znowu w domu. — Jak się pokazało, „baby“ w naszej nieobecności zbiło wielką wazę w salonie, co spowodowało mię do tak gorącego pocałowania go, że dostałam okropną burę od matki, która musiała potem słuchać do północy krzyków z kołyski.

— Jak ja się rozpisalam! — Jedna stronica... dwie... Jeden dzień opisywałam ci tak szczegółowo, a mam pisać o tym całym dziwnym stanie,

w którym się teraz znajduję. Ale właściwie, gdy zastanowię się nad tem, to przez te kilka tygodni czułam to samo, co w ów jeden dzień. To, co wiem dziś, wiedziałam już wieczór po wy-cieczce.

Był taki naiwny ze swojemi odwiedzinami. Przychodził literalnie, kiedy mu się podobało, a odchodził, kiedy chciał. Należy już prawie do nas. Ja co dzień odkrywam w nim coś nowego, a jak się pokazuje, widziałam to wszystko już dawno od pierwszego wrażenia. Czy ja go kocham? Albo ja wiem, co to znaczy kochać? Na pensyi wiedziałyśmy to, zdaje się lepiej, gdyż rozprawi-łyśmy o tem do północy w sypialni.

Co nocy prawie zastanawiam się nad tem i wiesz, kiedy wydaje mi się, że go kocham na-prawdę? Gdy pomyślę, że on mnie zapewne nie kocha. Wtedy robi się pusto i zimno w pokoju, cienie sprzętów nabierają dla mnie jakichś obcych, pustych zarysów, smutno mi tak, że nawet płakać nie mogę.

Najczęściej jednak nie myślę, tylko mam uczu-cie, że mię to wszystko gdzieś niesie. Mam tylko dziwnie ostry wzrok, gdy go obserwuję; czasem chwytam się na tem, że chciałabym prawie od-kryć w nim jakie błędy i śmieszności.

Czasem znowu napada mię lęk niewypowie-dziany, gdy mi błysnie w głowie możliwość tego, co... możliwość, że mi się oświadczy. Potem na-stępuje zwykle ślub i zostaje się czyjąś żoną. Co po za tem, to przedstawia mi się, jak ciemność

tajemnicza, której zanadto się boję, żebym mogła patrzeć w nią dłużej. Gdy w nocy przychodzę do tego punktu, zakrywam kołdrą głowę i liczę do kilku tysięcy, żeby tylko zasnąć i nie myśleć. Z fatalizmem czekam, aż przyjdzie profesor, weźmie mię, jak raz we śnie za rękę, a wtedy... wtedy droga moja, dam się pewnie zaprowadzić, dokąd on zechce.

On przychodzi po południu, a wtedy i dzień zaczyna się dla mnie, a potem już tak toczy się to wszystko samo. Niby rzeka wielka, płynąca z szumem, obłana słońcem. Błyszcą się różne światełka, tu i tam migają się fale. Gdy patrzysz na jedną kroplę, w głowie ci się maści wszystko, kropla rozpryska się w tysiące złotych pyłków i płynie z wielką wodą. Przyjście jego czuję już chwilę przedtem, nim słyszę jego kroki po schodach. Zresztą „baby,“ cieszące się na cukierki, anonsuje go przy oknie. Mama ucieka regularnie z wielkim pośpiechem ze sofy, na której urządza sobie poobiednią drzemkę, gubiąc przytem szal i pantofle. Potem wchodzi, zawsze w tej samej granatowej bluzce i z krawatką na bakier i przeprasza, że wpada tak „bez żenady“ i weześnie. Potem mówi ze mną samą z pół godziny, poufale, przyciszonym głosem.

Zdziwisz się, gdy ci powiem, że prawie zawsze on mówi, a ja tylko, gdy mię zapyta. A przecież dobrze mi z tem. Mam mniej więcej takie uczucie, jak gdybym mówiła z moim mistrzem. Zdaje się, że to główny charakterystyczny rys mojej mi-

łości dla niego. Kocham, gdy daję się tak prowadzić słowem, wzrokiem i myślą, kocham go, gdy się czuję słabszą od niego, a opierającą na nim. Dlatego nie myślę naprzód, tylko czekam, aż on o mnie pomyśli, poprowadzi mnie.

A teraz, gdy się już ze wszystkiego wyświadała, powiem ci o męczącej mię nieraz i jak komar kłującej myśli, która mię wśród szczęścia nawiedza.

Jest to myśl o tej — rzeczy z Henrykiem. Żebyś mi sto razy powiedziała, że to było głupstwo, dzieciństwo... Moja droga, czy może mi kto powiedzieć, dlaczego to się stało? Zrozumiej mię. Wszystko musi mieć przecie jakieś znaczenie; w każdym szczególe piękna, w każdej drobnostce życia... Dajmy na to, że pocałunek ten wówczas był do wytlómaczenia, to nie jest on do wytlómaczenia teraz. Prawda, wtedy nie znalazłam jeszcze Stefana — prawda, wszystko prawda... A przecie to dyssonans, niezgrabna jakaś kreska w moim życiu i nie mogę dać sobie z nią rady...

A teraz ściska cię milion razy twoja kochająca cię...

Dora.

III.

Kiedy skończyło się witanie, przeszła cała burza przy spotkaniu się dwóch osób, niegdyś sobie bliższych, a oddalonych na czas długi, obie kobiety spojrzwały na siebie z tą chciwą ciekawością kobiecą, która chce przeniknąć do głębi.

Marya szczególnie zdawała się pochłaniać wzrokiem każdy rys, najdrobniejszy wyraz w twarzy swej przyjaciółki. Oto mężatka! — myśli, jakby znajdowała się przed wielkim wodospadem i mówiono jej: oto Niagara!

Dora zmieniła się, a raczej może każdy rys jej postaci otrzymał tylko inne znaczenie estetyczne. Jej pleć zawsze blada, pociąga perłowym swym tonem, a to, co gra w tej barwie, rozlewa się miękko w całej postaci, pełnej, wykończonей. Na twarzy, w oczach, coś szczęśliwie skończonego; uśmiech spokojny opowiada o jakimś ostatnim akcie kobiecego życia. Marya czuje się tem z początku prawie onieśmieloną; przyjaciółka wydaje się jej w pierwszej chwili jakąś obcą kobietą, o wiele starszą, o wiele trudniejszą od tej, którą znała niegdyś. Ale złudzenie powoli znika: to przecie Dora z przed laty, Dora z pensyi.

Miesza ją jeszcze otoczenie: małżeństwo czuć prawie w powietrzu. W drugim pokoju cicho, ale może w trzecim, czwartym.... Głosem trochę niepewnym pyta:

— No, cóż?

Dora odpowiada wesołem skinieniem głowy, które znaczy: wszystko w porządku. A potem mówią o innych rzeczach swobodnie.

Naraz Marynia myśli, że niedługo będzie musiała wrócić do matki, do hotelu, i że wizyta u przyjaciółki dała jej właściwie mało wrażeń... Co to Niagara? trochę wody i nic.... wszystko w porządku... hm...

Rozmawiają o drobnostkach. Dora wstaje czasem i patrzy przez okno.

— Patrzę tylko, czy Stefan nie idzie.

— A... tak... — przypomina sobie Marynia, potem rumieni się — ty go musisz bardzo kochać...

— Ależ rozumie się — odpowiada Dora z uśmiechem. — To u was noszą jeszcze te rękawy? Pomyśl, kazałam sobie robić na wiosnę suknię...

I dalej w tym samym tonie. Słońce świeci leniwo, w szmerze ich rozmowy ziewa południe.

Dorę gniewa naturalna mina, z jaką Marynia przyjęła do wiadomości, że „wszystko w porządku“. Jakby to było czemś takim zwykłym. Ach, żeby ta dziewczyna wiedziała!.. Ale jak tu zacząć?

Wstaje i idzie do okna, niby patrzy na ulicę, bawi się sznurem od storów.

— Maryniu!

— Co?..

— Prawda, jak to czas leci?

— Pewnie.

— Hm... Czy pamiętasz mój list do ciebie... wiesz?..

Tamtej zabiło serce z ciekawości.

— Pamiętam — mówi i śmieje się neutralnie.

Dora siada znowu koło niej, przechyla głowę w tył i, patrząc w sufit, mówi niby do siebie:

— Przed dwoma laty!.. pisałam w nim... pewnie wiele o Stefanie?

— I jak wiele! Wiedziałam już wtedy, co z tego będzie....

— I ja także — wzdycha Dora zamyślona.

Naraz śmieje się i jakby ze wstydem zakrywa twarz rękami:

— Nie wiedziałam tylko i nie mogłam wiedzieć, co potem z tego będzie..

Marynia spojrzała na nią szybko.

— Jakto... potem? po ślubie?..

— Nie rozumiesz mnie. Chcę tylko powiedzieć, że, kochając, nie wiemy prawie nigdy, co nas czeka; małżeństwo wyobrażamy sobie, jako zakończenie, a ono jest dopiero początkiem życia; dlatego rozczarowanie musi przyjść..

— Rozumiem cię — przerywa Marynia z mądrym uśmiechem. — Przed ślubem kobieta wyobraża sobie ukochanego mężczyznę takim, jakim się go chce, bez błędów, bez słabostek, jakimś rycerzem idealnym.

— Mylisz się. Tego nie wyobrażałam sobie nigdy. Tak kochają zazwyczaj tylko dzieci i mężczyźni. My, kochając, znamy mężczyznę tak, jakbyśmy go nienawidziły; błędy kochamy z nim razem. Takim, jakiego kochałam przed ślubem, okazał się i potem. A przecież, jeśli dziś mówię, że wszystko w porządku, to nie myśl, że mnie to nie nie kosztowało.

Marynia otworzyła szeroko oczy i patrzyła na przyjaciółkę.

Dora spojrzała na nią.

— Co mówiłaś?

— Nic..

Tego, co błysnęło jej w głowie, nie odważyła się powiedzieć. Byłoby to jak niezręczne uderze-

nie w delikatny jakiś instrument. Dokoła taki poważny, uroczysty spokój, każdy sprzęt wydawał się symbolem harmonii małżeńskiej. A przecież to nasuwało się tak naturalnie. Nie zawiodła się na swoim mężu, a szczęście z nim przecie czemś okupiła. Może rezygnacją z miłości innego, który zjawił się w jej drodze. Naczytała się już tyle podobnych rzeczy w romansach, że ta kombinacja wydaje jej się czemś powszedniem. A jednak w życiu to zawsze bardzo, bardzo ciekawe.

— Nie pojmuję ciebie zupełnie, droga — mówi słodko. — Czyż to trzeba cierpieniem zdobywać sobie szczęście, którego oddawna było się pewną? Nie mogłaś przecie zawieść się na pożyciu z mężem, jeśli na nim samym się nie zawiodłaś.

— Myślisz?

— To jasne. Naturalnie, jeśli nie nastąpiło coś nieprzewidzianego.

— Coś nieprzewidzianego! A czemże jest wszystko z drugiej strony ołtarza, jeśli nie czemś nieprzewidzianem? Jeśli nie znaleźmy dotychczas prawie życia, możemyż mieć jakieś pojęcie o tem, które nas czeka, choćby z mężczyzną, którego znamy?

Nastąpiła pauza, podczas której Marynia udawała spokój i patrzyła na końce swych trzewików, czując dreszcze ciekawości.

— Jakże ci go opisywałam?... — zaczyna znowu Dora.

— Jako ideał — uśmiecha się z roztargnieniem Marynia.

— Nie; wiem z pewnością, że nie; chyba jako ideał względny, jako mój ideał, a ten miał przede wszystkim ręce i nogi. Opisywałam ci go tylko, jako mężczyznę, o którego przewadze moralnej nad sobą byłam przekonana. To w nim właśnie kochałam; oprócz czegoś jeszcze, to jest — jego.

— W czymże ta przewaga jego się objawiała?

— W czym? W wielkich rzeczach i w drobnostkach — we wszystkim. Czulałam ją na każdym kroku, a nie ciążyła mi, lecz owszem była mi tylko źródłem ciągłej i silnej rozkoszy. Jeżeli mi rozkazywał wzrokiem, uśmiechem, przyjmowałam to jak pieśczętę, jak coś słodkiego, czego używam, kochając. Te nasze pieśczęty...

— To bardzo pięknie — mówi Marynia, uśmiechając się zamyślona — ale wybaczyć, z tem wszystkim nie mogę sobie wyobrazić na przykład — miodowych miesięcy. Czy nie jest to za uroczyście; czy nie ciąży jednej stronie? Ja inaczej wyobrażałam sobie taki stosunek! Gdy chodziście pod błękitnem niebem włoskiem...

— Pod tym błękitem nie byliśmy dotychczas — mówi z uśmiechem Dora.

— Jakto? wybieraliście się...

— My? Ja się wybierałam, ale Stefan przekonał mię, że to niepotrzebne.

— Co ty mówisz!

— A żebyś wiedziała, jak łatwo dałam się przekonać! Miał tyle słusznych argumentów; najpierw, że taka podróż poślubna to właściwie rzecz

bardzo banalna i tysiąc razy zużyta, powtóre, że piękniej takie życie we dwoje rozpoczynać we własnym ciepłym kącie... Czy to nie ładnie powiedziane „we własnym ciepłym kącie“? — Mówił mi jeszcze wiele takich rzeczy, które mi szły prosto do serca — nie wiem już co? Ale w końcu rzuciłam mu się na szyję.

— Tak? — hm... Pewnie, że to wszystko... Ale czy nie było w tem trochę, troszeczkę — egoizmu z jego strony? Nie wiem, ale ja klóciłabym się z nim przynajmniej trochę.

— Ja się nie klóciłam. I potem także nie, gdy wyperswadował mi chodzenie na bale, które, podług jego zdania, robią z nas kameruńskich murzynów, do teatrów, które, jak statystyka wskazuje, po kolei co tyle a tyle lat spalić się muszą...

— Doro, przestań, to okropne! To tyrania!...

— Ależ ja spełniałam wtedy tylko moją własną wolę, poddając się woli jego; czy nie rozumiesz tego? Czy nie rozumiesz, że to panowanie siły jego nad moją wolą, było mi prawie wyrafinowaną rozkoszą?

— I to... ty, ty? ta niegdyś kapryśna, samowolna...

— Wiedz moja droga, że przerobił mię zupełnie, że przerobił mię nieznacznie, powoli, nie wiedziałam kiedy i jak. Stałam się inną. Domyśliłam się tego dopiero, gdy się zaczęłam tem martwić...

— A kiedy to nastąpiło? — spytała Marynia spieszenie.

— Kiedy? — powtórzyła zamyślona Dora. — Alboż ja wiem? Zdaje się, że z jesienią; zdaje

się, że gdy lato minęło z każdym liściem żółtym, który spadał na ziemię, traciłam, niby kryształą z duszy...

Umilkła, a po chwili zaczęła znowu:

— Byłam czemś w rodzaju duchowej papugi; zajmowałam się wszystkim, co należało do sztuki, poezji, ale ze wszystkiego brałam tylko błyskotki, we wszystkim obracałam się w skrajnościach, miałam duszę przybraną podług ostatniej mody...

— A tak; czytałaś Baudelaire'a?

— My, kobiety, musimy mieć modne myśli, tak jak suknie i kapelusze, choć ściśle rzeczy biorąc, wierzymy tylko w dwanaście artykułów wiary. a zresztą tylko w to, czego możemy się dotknąć, co możemy schrupać zębami. Zresztą, zdaje się, że w takim papuzim nastroju jest młodość, a w końcu, że trzeba na to i trochę oleju w głowie. Wiesz, moja Maryniu, że teraz, kiedy postarzałam się moralnie o lat kilka i widzę wszystko w właściwym świetle, widzę, jak nieroztropnie postąpił mój mąż, wrywając mi moje pstre piórka po kolei...

— Dlaczego?

— Dlaczego? Dlatego, że zestarzałam się za prędko, że prędeziej, niżby to się stało zresztą, zaczęłam myśleć o rzeczy bardzo niebezpiecznej: o sobie, podczas gdy moje piórka poniosłyby mię były z pewnością gdzieindziej. Dlatego, że.. mąż, który chce być jeszcze czemś innem, niż mężem, a więc chciałby swą żonę uszczęśliwić tylko połową swej duszy, powinien jej zostawić przynaj-

mniej dowolne rozporządzanie choćby tylko cząstką siebie samej, i... choćby w interesie własnym.

— Nie całkiem to wprawdzie rozumiem, lecz zdaje mi się, że wiem mniej więcej, o co chodzi. Ale mówisz przecież, że z początku nie cierpiałeś na tem, że owszem sprawiało ci to przyjemność, jakże się to działo?

— Jak? Zdawało mi się, że tracąc coś z siebie, pod jego wpływem rosnę zarazem w tem, na czem mi zbywało dotychczas, że on użycza mi coś ze swej siły, że mię podnosi do siebie, kształci, uszlachetnia. Czasem czułam się, jakby świętą, codzien nową przyjmującą objawienie. Widząc się co rano w zwierciadle, czytałam najdokładniej, ile mi szlachetności przybyło od wczoraj.

— To zabawne.

— Gdzieżtam! to bardzo poważne. Ty nie znasz tego uczucia spokojnej dumy, z jaką się patrzy z wysokiego stanowiska swego szczęścia na cały świat! Jak tamto wszystko blahe, obojętne! Bo tamto wszystko wydaje się czemś nieskończonem, a my obejmując szczęście stoimy niby u mety. Tamto wszystko: słowa... słowa... Patrzę w jego twarz spokojną i widzę, że właściwie niema żadnych kwestyj. On taki spokojny! A gdy mię weźmie w ramiona, jestem szczęśliwą, jestem u jedynej możliwej konkluzji wszystkich rzeczy.

— A ludzie nie widzieli tej zmiany u ciebie?

— Ludzie... ludzie... Co mnie obchodzili ludzie; albo ja wiem, co o mnie myśleli? Ach prawda!.. czekaj-no!.. znasz naszego doktora? On zna mię

od dziecka i, zdaje się, że mię kocha jak ojciec. Ten doktor... Dziwiłam się nieraz, dlaczego teraz taki poważny, spokojny, zaczął wdawać się ze mną w różne dysputy, broniąc przytem zasad najskrajniejszych, uśmiechając się dziwnie drwiąco, gdy mu odpowiadałam moim, świeżo nauczoną językiem. Musiał się przytem bardzo irytować.

— Wierzę; żal mu było, że stałaś się papugą twego męża.

— Z czasem stałam się i jego żoną. Ale to o wiele później... dla mnie o wieki później. Przedtem przyszedł czas, w którym cierpiałam, męczyłam się, czas...

— Gdy lato minęło i przyszła jesień?

— Gdy przyszła jesień — Tak...

Dora umilkła i z dziwnym uśmiechem patrzyła przed siebie.

— Widzisz to okno? — zaczęła znowu — przy którym wyglądam teraz tak niecierpliwie męża? Teraz zieleń je otacza, słońce uśmiecha się i lśni się na szkle. Wyobraź sobie, jak ono wygląda w jesieni, jak za niem smutno, mglisto, nieprzyjaźnie. To okno znam dobrze, bo przepędziłam przy niem samotnie poranki, gdy męża nie było w domu, smutne szare godziny, gdy zostawiając mię samą, pracował w drugim pokoju. Ranki były najsmutniejsze. Myśli są najgorszym towarzystwem. A przytem musisz wiedzieć, była szpara w oknie. Taka mała, nieznaczna szparka... Zdaje się, że po części ta mała szpara była powodem burzy, która potem na mnie przyszła...

— Dzieciństwo... Jakże to?

— Widzisz, gdy się ma odczuć jakieś wielkie nieszczęście, poprzedza je zawsze prawie mały rozstrój, drobny ból fizyczny jest ostatnim powodem, że się je odczuwa wogóle. Ze szpary z okna wiało a niedługo przyszedł silny ból w twarzy. Zaczęłam naraz myśleć pod wpływem tego. Myślałam, że siedzę tu sama i smutna, a na mnie wieje zimno z okna, on zaś stoi teraz na katedrze i opowiada swoim uczniom o rozwoju szczepu słowiańskiego.

— Mogłaś przecie kazać naprawić okno, moja Doro, i byłoby ci w pokoju i ciepło i swojsko. A twój mąż? przecie był profesorem, musiał zajmować się swoją nauką, zostawiając cię samą gospodarstwu? Czy jest coś prostszego nadto?

— Jakaś ty mądra! — szepnęła Dora ironicznie. — Co to znaczy „proste“ co „naturalne“? Czulałam wtedy tylko sam fakt, który przedstawiał mi się jako sytuacja o tragice najwyższej... Czulałam, że cierpię, a on o tem nie wie; logika bólu mówiła mi, że cierpię przez niego! Zresztą stąd tylko poczęły się moje myśli. Myślałam potem ogólniej...

— Zaczęłaś myśleć krytycznie o twoim mężu...

— Nie; zaczęłam myśleć nad sobą. Poczulałam się słabą; nie wiem, jak przyszła mi świadomość jakiejś własnej niudolności, która mnie bolała, nad którą poczęłam płakać. — W domu było mi tak dobrze i ciepło — mówiłam, szlochając, podczas gdy czulałam denerwujące wianie z okna — w domu

uważano mię za pierwszą, w domu byłam mądrą, pewną siebie. Teraz nie mogę nawet myśleć. Gdy mi przyjdzie jaka myśl, wiem, że on przyjmie to chyba swym zwyczajnym uśmiechem, że ma mię za niedojrzałe dziecko...

— Poczęłaś czuć twoją niewolę.

— Nie myślałam wtedy o niewoli, bo myśląc o niej, musiałabym nienawidzić tego, którego jestem niewolnicą; nie, myślałam tylko o własnej niemocy, to mnie gryzło, doprowadzało do rozpacz. Przytem ciągły ból zębów...

— Więc okna nie dałaś naprawić?

— Nie z niedbalstwa. Tylko w końcu zaczęłam rozkoszować się cierpieniem. Dawniej trzymałam przynajmniej książkę w ręku, choć nie zawsze mogłam czytać; teraz siedziałam z założonymi rękami, z twarzą, szarpaną bólem, opuchniętą, zalewając się łzami, grzebiąc w przykrych myślach...

— Przebacz Doro, ale to już szczyt dzieciństwa, dzieciństwa, o które nie posądziłabym cię nigdy!

— Łatwo ci się śmiać. To było dziecinne? Może być; a wiesz dlaczego byłam dzieckiem? Bo robiono mnie gwałtem starą, i byłam nią, dopóki nie byłam samą. Osamotniona, stawałam się dzieckiem, które cierpi często tragiczniej, wyrafinowanej, niż starsi.

— A mąż nie spostrzegł tego nigdy? Musiałaś przecie źle wyglądać...

— Ach moja droga, gdy on był przy mnie i zaczął się mną zajmować, stawałam się zdrową,

zapominałam o wszystkim. Mogłabym była mieć się tak wiecznie, aż przypadkiem przyszedł przewrót.

Marynia spojrzała na przyjaciółkę z napięciem.

— Jakżeż to było?

— Zaproszenie na bal.

— A? No i cóż? Mąż wyperswadował ci pewnie znówu tę przyjemność?

— Gdzież tam! Nie dałam się.

— Oho! To był prawdziwy tryumf?

— Rozumie się. Byłam przez dni kilka rozgąszczoną z radości. Okno kazałam naprawić, nie myśląc iść na bal z opuchniętą twarzą. Przedpołudnia miałam zajęte konferencyami z krawcową...

-- Jaka miałaś suknię?

— Białą, dekoltowaną, z czerwonymi różami.

— Dajesz ciągle jeszcze robić u...

— Tak, u tej samej, co dawniej. Mówię ci, była śliczna! Rachunek dopiero przed dwoma miesiącami odważyłam się pokazać Stefanowi.

— No i cóż dalej? Wyobrażam sobie, że gdy przeprowadzi się choć jedną rzecz...

— Tak, to mię cieszyło; było mi chwilowem odurzeniem, wyswobodzeniem; wogóle ten cały czas, wiesz, nawet chwila przed balem, różne drobnostki, które mię cieszyły, choćby tylko to, że miałam wyjątkowo uczucie, że obracam się teraz przynajmniej na jednym polu swobodniej, niż mój mąż. Wyobraż sobie, ubierałam się jeszcze,

on pukał już do mnie, żeby iść. Chciał wybierać się już o ósmej, bo tak napisane na zaproszeniu.

— Niezłe...

— Gdy mu wytłómaczyła to, co każdy porządny człowiek powinien wiedzieć, to jest, że inaczej się pisze, a inaczej czyta godziny rozpoczęcia, on, śmiejąc się, przyznał, że to są rzeczy, „na których pewnie lepiej się znam od niego.“ Nie masz pojęcia, jak mię to cieszyło! Może być, żeś zresztą bardzo mądry — myślałam, uśmiechając się — ale to są naprawdę rzeczy... To rozkoszne uczucie wzrosło naturalnie na sali balowej.

— Naturalnie — twój żywioł. Musiałaś się uczuć, jak ryba w wodzie.

— Albo jak żołnierz, gdy proch poczuje! Teraz na mnie kolej — myślałam ze wzruszeniem uroczysem. Zaczęłam całą pierśią żyć w tej atmosferze ciężkiej i ciepłej, przesiąkniętej perfumą i światłem. Moje podniecenie musiało działać i na innych, spotykałam tyle spojrzeń, tyle przyjaznych twarzy!... Naraz... widzę — zgadnij kogo?...

— Kogo?

— Właściwie nie poznałam go z początku, bo stał odwrócony odemnie, ale zastanowił mię kolor włosów, w całej postaci uderzyło coś znajomego. Dopiero matka mi powiedziała — Henryk.

— Co — ten?!

Marynia zerwała się, zelektryzowana. To ogromnie interesujące! Henryk...

— Ten Henryk, który cię, wtedy... o którym pisałaś?...

— Ten sam. Wrócił z Wiednia.

Marynia gotową była udzielić przyjaciółce już naprzód absolucyi z wszystkiego, co teraz miało się stać z tym... z tym Henrykiem. Przsunęła się do niej z ożywieniem i objęła ją w pól.

— Moja droga... Mogę sobie wyobrazić to wzruszające uczucie, gdy się po tak przykrych chwilach zniechęcenia zobaczy naraz człowieka, z którym wiąże się wspomnienie ze szczęśliwych czasów! Daremnie, Doro, choć opisywałaś mi to zajście z Henrykiem z pewnem... Nie, nie, to było takie poetyczne! Musiał cię tak kochać! I kto wie, gdybyś nie była poznała twego profesora... Ale cóż dalej? Jakże się znalazł wobec ciebie? czy był obrażony, zimny?

— Nie przyszedł się nawet przywitać. I to mię irytowało niewypowiedzianie. Dowiedziałam się od matki, że wrócił już od kilku tygodni, że się bardzo zmienił, nie czerwieni się, jak dawniej... wogóle nie ten sam. Gdy odwrócił głowę, spostrzegłam, że rysy jego twarzy tak samo niesmaczne, jak po owej scenie na dworcu niegdyś.

— Ależ Doro! — mówi Marynia lekko rozczarowana.

— Błady był tylko, musiał żyć wesolo w tym Wiedniu..

— Albo płakać za tobą.

— I oczy te same; gdy patrzę w nie, czuję mdłości, szczególnie, gdy widzę jednocześnie jego

rude włosy. Ale w tych oczach leży jeszcze coś dla mnie: wspomnienie chwil, w których czułam się silną, panowałam nad obcą wolą; leży w nich jakaś zdolność do uginania karku, niewolnicza uległość słabego lub dziecka.

— Ach, Doro, przysięgłabym, że teraz ten rys właśnie nie odpychał cię, jak dawniej, że owszem po tylu upokorzeniach...

— Tak, tak... masz słuszość... Ale jeśli mię pociągał, to tak jakoś niezdrowo, niejasno, jak coś, co brzydzi, i czego się pożąda zarazem. Gdy patrzyłam na niego, był mi prawie wstrętny, ale obudzały się we mnie jakieś dziwne chętki, prawie barbarzyńskie; chciałam prawie, aby ten człowiek leżał u stóp moich... Ileż razy czynił on to dawniej, słowem, wzrokiem, całem obejściem! Miałam jakieś ludzające niby pragnienie...

— Kto wie, jakie to było uczucie, które cię naraz ogarnęło z taką siłą?

— Maryniu, jak było, tak było; wiem, że męża mego kochałam i wtedy nad wyraz, nad życie. Czy pojmujesz, że wdychałam mimo to, jak do najprzedziwniejszej rozkoszy, aby ktoś, dajmy na to ten Henryk, którego wzrok mię drażnił, klęczał znowu przedemną...

— Lecz jakżeście się zeszli?

— Ja sama przyszłam do niego.

— Jakżeż to się stało?

— Widzę, jak córka gospodyni zbliża się do niego, mówi mu coś ze słodkim uśmiechem, a on niby sztywnym, obojętnym ruchem bierze jej kar-

necik i coś pisze. Czyni to na mnie wrażenie, jakby dziecko udawało dorosłego; miałam ochotę wytłuc go, drapać ze złości, a zarazem laskotało mię coś, aby pójść do niego, nie zważając na nic, zagadnąć go pierwsza. Zrobiłam to.

— Cóż on?

— Gdybyś go była widziała w tej chwili! Dawny Henryk; mały, zażenowany, czerwony, kłaniał się z kilka razy, nie wiedział, gdzie ma patrzeć, co mówić; rok wychowania w Wiedniu, angielska mina, wszystko wywietrzało mu, zdaje się, w tej jednej chwili. A ja miałam przyjemne uczucie, jakbym męczyła jakie pulchne, tuczone zwierzątko.

— O czem mówiliście ze sobą?

— Czy ja wiem! Nie wydawało mi to się rozmową, ale snem, jak cały wieczór, potem aż do końca. Czułam tylko przez cały czas, że chęć moja szalona nie opuszcza mnie ani chwili; mówiłam z nim o różnych, niemożliwie nudnych rzeczach. On myślał pewnie, że uśmiecham się do niego... ja śmiałam się do mojej myśli. Gdybym chciała, mówiłam mu w duszy, zaprowadziłabym cię tak nieznacznie, słowem, słówkiem, wzrokiem i wolą, jak na sznurku, dokąd tylko zechcę...

— Ale to zachowanie się twoje musiało mu zawrócić głowę, naturalnie jeśli już sam twój widok...

— Wiedziałam o tem. Ale musiałam do końca. Wiem teraz, że my kobiety działamy często niebezpiecznie, bo ślepo, jak żywioly.

— Jakże to się skończyło tego wieczora?

— Nie wiem... Było mi tylko zimno we wszystkich nerwach, gdy siedziałam rankiem obok męża w powozie. Bolała mię po raz pierwszy obecność męża; byłam niby upokorzona wszystkim: rankiem, mdłym wspomnieniem wieczoru, rzeczywistością dnia. Myślałam o jakimś szarem jutrze, i czułam się znowu małą i słabą.

— Więc tak szybko nastąpiła reakcja?

— Na drugi dzień zbudziłam się późno po południu... i wiesz z jaką myślą? o Henryku.

— Doro, ależ to... to miłość w najzwyczajszej formie!

— Nie! to nie była miłość.

— Cóż więc? Z myślą o nim zasnęłaś pewnie, myśl o nim witała cię na dzień drugi. Ale cóż to, jeśli nie namiętność, która rozbudziła się naraz w tobie?

— Namiętność?.. być może, ale jaka? osądz sama. To uczucie wtedy... Niby głód zwodniczy, niby pragnienie...

— Miłość Doro, miłość! Dlaczego ty mi nie ufasz dziecko? To przecie...

— Słuchaj. Moje myśli były naprawdę dziwnego rodzaju; wyobrażałam sobie chwilę, że oszukuję męża z Henrykiem i walcząc ze wstrętem, wykończyłam sobie wszystkie szczegóły tego widziadła w głowie. Ale naraz spostrzegłam się, że to chęć wczorajsza tak mię męczy. Biłam się z rojem chaotycznych myśli, które rozrywały mi głowę. Potem pytałam się z dawnym spokojem, tak, jakby ty teraz: miłość... miłość? Odpowiadałam sobie ze

wstrętem: nie, a skrzywienie pióra w pokoju mego męża powtarzało mi ciągle to samo pytanie.

— To skrzywienie pióra musiało ci być sumieniem?

— Nie poczuwałam się do żadnej winy. Myśl, że mój mąż pisze teraz, denerwowała mnie tylko. Otulając się ciepłem rozgrzanego mem ciałem łóżka, chroniłam się od jakiegoś codziennego chłodu, który mnie czeka, gdy tylko wstanę i będę znowu biedną, zahukaną Dorą. Naraz, nie wiem dlaczego, wstałam z łóżka. Światło z drugiego pokoju wołało mnie. Zarzuciwszy szlafrok na siebie, weszłam do niego.

— Aby się skryć przed sobą samą?

— Aby... Męczyła mnie poprostu wątpliwość, męczyło poprostu niezaspokojenie, które czułam w sobie, a że po spokój, po odpowiedź zwykłam się była zawsze udawać do mego męża, więc nie wiedząc sama, co czynię, mimowoli, sennie...

— Ale czyż nie czułaś, że on właśnie, on jedyny nie mógł ci tu być doradcą, że on...

— Nie czułam niczego. Poszłam tylko do niego. On głaszcze mi rozplątane włosy i pyta, czym się wyspała? Kiwam głową i czytam tytuł na jego robocie: Wędrówki ludów. Potem ziewam i czuję naraz ochotę do mówienia. — Opowiadam mu historyjkę o Rózi Lisińskiej.

— Co to za Lisińska?

— Nie wiem sama.

— Jakto? pyta Marynia.

— Czytałam to nazwisko gdzieś w jakiejś gazecie, czy powieści — nie wiem. Opowiadam mu okropną rzecz o mojej koleżance Lisińskiej...

— Cóż ci wpadło do głowy?

— Opowiadałam mu, jak rok temu, poszła za swego Lisińskiego — no a potem, ledwie w rok po ślubie, zdradziła go. Słyszałam to niby wczoraj na balu. Zdradziła go z jakimś oficerem, uciekła.

— Po cóż to wszystko na miłość Boską. Jak mogłaś mieć tyle odwagi, aby tak igrać z niebezpieczeństwem! Jedno spojrzenie, jedno nierozważne słowo, a mógł cię odgadnąć, mógł...

— A gdy skończyłam wszystko, spytałam go, czy to nie okropne? co on o takiej kobiecie myśli?

— Ale po cóż to, po cóż?

— Ach! — Jedni przykładają plastry na ranę, drudzy szarpią miejsce, gdzie boli. — Dziecko, czy nie odgadniesz, że ja chciałam, by on o tem mówił? Zabłąkałam się niby w jakąś obcą dla mnie krainę i potrzebowałam tam towarzystwa, aby nie zginąć z trwogi. Opierałam się zawsze na nim, a teraz potrzebowałam go więcej, niż kiedykolwiek; musiał mi towarzyszyć i w myślach. Spytałam go więc, co może usprawiedliwić taką kobietę, która zdradza swego męża?

— A on?

— Przewracał spokojnie w słowniku i powiedział, że nie wie. Szarpię go więc za rękaw, nie daję mu spokoju. Co warta taka kobieta? Jak mogła tak zgrzeszyć wobec tego, który ją kochał. Wpadam w zapał, ciskam gromy, słowem — nie daję mu spokoju... Gryzie pióro nerwowo; przeskadzam mu najwidoczniej. Wreszcie odkłada pióro i zaczyna mówić. Widzę, że go podrażniła;

jeśli się teraz rozgada, będzie mówił, jak na katedrze.

— Cóż mówił?

— Z początku cieszyłam się tylko tem, że wogóle mówił; słów jego nie rozumiałam. W pokoju zrobiło się ciepło i swojsko, patrzałam mu w oczy. Ogień w kominku, on przy pracy, a ja przy nim... Mówił o tem, co mię bolało, więc byłam teraz z nim razem. Zauważyłam naraz, że głos ma bardzo miły, że niektóre wyrazy wymawia jakoś szczególnie. A gdy zaczęłam wsłuchiwać się w słowa, uderzył mię niespodziewanie ich sens... Gdym zrozumiała przeszedł mię dreszcz, chcę mi się śmiać... Wiesz on...

— On?...

— On — bronił jej... tej...

— Która nie istniała wcale?...

— Tak, tej, która nie istniała, ale — bronił kobiety, która zdradziła męża. Powiedz mi, czy to nie umierać ze śmiechu? Czy on wie — mówię sobie w duszy — co ja myślałam przed chwilą w łóżku? Nie, nie wie i nie może wiedzieć — to właśnie tak cudownie śmieszne, że on tego nie może wiedzieć, a wszystkie mądrości...

— Tem zdaniem swoim wypowiedział sąd sam sobie. Musiałaś słyszeć ze słów jego, że jesteś wolną, jeśli kochasz innego! Tem zdaniem...

— Ja słyszałam z tego coś innego, moja droga. Słyszałam z tego — zgadnij Maryniu!

— Nie wiem.

— Słyszałam z tego: jesteś silną! Jesteś moją, godną mnie współzawodniczką! Zdawało mi się,

że rosnę przy nim, a on maleje. I byłam mu wdzięczną za to; czułam, że teraz dopiero patrzę na niego, jak żona na męża.

— Tego nie pojmuję zupełnie...

— Nie pojmujesz? Czy ty to możesz pojąć teraz moja biedna? Gdybyś była wtedy na mojem miejscu... Widzisz, ja czułam wtedy, że pojmuję jasno cały sens życia mego, jako kobiety. Dotychczas czułam się nieszczęśliwą. Dlaczego? Bo czułam się słabą, bo wydawało mi się, że on nie ma prawie czego kochać, bo on jest wszystkim, a ja niczem. W tej chwili dopiero poznałam siłę, siłę — kobiety.

— A w czemże ta nasza siła?

— A czemże silne jest życie samo? Czy oni, ze swoim rozumem, ze swojemi książkami pojmą kiedy to życie? Ono igra z nimi i ich logiką, tak, jak serce nasze, jak turkot z ulicy, zdawało się, że się natrzęsa z mego uczonego męża i jego szlafroka, kiedy on bronił kobiety, która, idąc za popędem serca, opuszcza męża.

— Więc myślisz, że jesteśmy silnemi, bo nas nie znają?

— Tak, jak my nie znamy często siebie. Nie mogą wiedzieć, co się dzieje w naszym sercu. Walczą z nami rozumem, a my walczymy z nimi naszym rozumem: sercem. Owego wieczora po balu ja czułam przewagę nad nim, jakiej on nademną mieć nie mógł nigdy. Bo on, czując się silniejszym, okazywał mi to zawsze. A ja — ja, gdym odkryła w sobie władzę, rzuciłam mu się

na szyję. On myślał, że przyznaję mu słusność, a to była tylko radość szalona, radość: „jestem silna, silniejszą tem więcej, że mocy mojej nie widzisz!“

— Jak się nad tem głębiej pomyśli, to to jest cudowne!

— Pewnie, droga moja, chwile, jak ten dzień, który był właściwie pierwszym dniem naszego małżeństwa, powtarzać się teraz będą w mem życiu. Tak, jak wtedy milczałam, tak milczeć będę potem. Cicho krzątać się będę koło niego, cicho słuchać jego rozkazów i mądrości. I będę go kochać. Będę go kochać bez cierpienia, bo będę kochać w nim nietylko jego, ale i swoją własną siłę. A teraz powiedz mi jeszcze, dziecko... W końcu mego listu do ciebie przed laty, zastanawiałam się, może przypominasz sobie, na co los zesłał mi tego Henryka w drogę...

Dzwonek z przedpokoju przerwał naraz poufałe zwierzenia przyjaciółek. Marynia ruszyła się niespokojnie.

Zostańże — zatrzymuje ją Dora — to tylko on. Ale pamiętaj: wszystko, com ci mówiła...

— Wiem, to naturalnie tajemnica.

— Tak, jak kobiecy sekret toaletowy.

Drzwi się otwarły.

— Mój mąż — mówiła po chwili Dora — przedstawiając wchodzącego.

K. M. GÓRSKI.

BIBLIOMAN.

NOWELA

Z KONKURSU LITERACKIEGO »CZASU.«



W KRAKOWIE,
SPÓŁKA WYDAWNICZA POLSKA.

1896.

W KRAKOWIE, W DRUKARNI »CZASU« FR. KLUCZYCKIEGO I SP.,
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.



I.

Był niski, stary i zgarbiony. Miał na sobie pal-
tot zzieleniały, obszarpane spodnie, z pod których
wydobywały się za duże buty, o końcach zakrzy-
wionych, jak dzióby okrętów. Przed trzema laty,
w kwietniu, wydrapał się na górę aż do józef-
polskiego pałacu i chodził rankiem dookoła gma-
chu, wodząc po murach oczyma. Stawał parę razy
przed drzwiami z napisem „zarząd dóbr książę-
cych“, ale nie wszedł i krążył dalej, trzymając
ręce w kieszeniach. Woźny wychylił się nareszcie
z niskich drzwiczek i chciał go odprawić, jak włó-
częgę. Ale staruszek upierał się, że ma interes
do pana bibliotekarza.

Pan bibliotekarz nazywał się Gościszewski. Sie-
dział już od kilku lat w tem pustkowiu i korzy-
stał z wczasu, z bogatego archiwum, aby nau-
kowo pracować. Inni, starsi od niego, nie mogli
się oswoić z zupełną samotnością pałacu, ani ze
smutkiem gór czarnych, obrośniętych świerkami.
Gościszewski wytrzymał, bo miał plan i przyszłość

przed sobą. Pisał obszerne dzieło, studyum historyczno - obyczajowe z końca XVIII stulecia p. t. „Stanisław August i Łazienki.“ Wymówił sobie u właściciela Józefpola, że z dniem, w którym skończy pracę, opuści stanowisko i powróci do Lwowa, gdzie mu obiecywano katedrę na uniwersytecie. Książę, zmuszony przebywać zagranicą dla zdrowia, przyjął ten warunek; dbał bowiem o to, aby jego biblioteka przydała się w jakikolwiekby sposób krajowi i skłaniał się do wszelkich ustępstw i ułatwień. Książka Gościszewskiego była już doprowadzona do połowy. Tego ranka przeglądał autor dawniej napisane rozdziały, czytał je jak rzecz po części zapomnianą, prawie obcą i zakreślając coś tu i owdzie ołówkiem, doznawał pewnego wewnętrznego ciepła, nieśmiałego zadowolenia z pracy.

Naraz wręczył mu woźny kartę wizytową z napisem: „Leonard Sztremer“ oraz parę broszur, które staruszek dodał jako polecenie. Były to jego własne elukubracje, kupa książeczek w różnobarwnych, wypłowiałych okładkach, drukowanych na szarawej bibule. I to gdzie! w Sanoku, w Wadowicach, w Rzeszowie; dwie tylko nosiły napis: Paryż. Gościszewski wziął je do ręki, zrazu się uśmiechnął, ale potem cmoknął ustami w niesmaku i zniecierpliwieniu. Bo jakież to były tytuły!

„Pogański grób z epoki kamiennej, odkopany pod Buczaczem przez L. S.“

„Najstarsze polskie druki, zagrabione lub zniszczone przez Moskwę.“

„Niecو wiadomości o Litwie, zaczerpniętych z ustnej tradycyi wiernych synów Polsko-Litwy.“

„Czy Moskale są Tatarami? Napisał Słowianin.“

„Emigracya polska i jej wszechświatowa misya.“

„Kilka uwag o znaczeniu Polski w przyszłych ludzkości dziejach.“

Młody uczony zniercierpliwił się tą literaturą drobiazgową, archeologiczną, pełną dziwacznej historyozofii. Pod okładkami przeczuwał z góry mnogość frazesów i wszelki brak naukowych faktów. Otworzył jedną z broszur i natrafił na ustęp, w którym się autor powoływał na mowę Fenicyan i na hittyjskie plemiona.

Potrząsł głową i wziął broszury w rękę, jak gdyby chciał je zważyć. Po chwili jednak wstał od stołu i kazał poprosić pana Sztremera.

Ten zaś wszedł szybko i stanął przy drzwiach. Gościszewski nie potrzebował go mierzyć wzrokiem, bo staruszek był tak nieśmiało i pokornie zgarbiony, że obejmowało się go jednym spojrzeniem.

— Czy pan dobrodziej pragnie korzystać z biblioteki?

Sztremer skinął głową.

— Książę jest nieobecny, ale polecił mi dopomagać każdemu, kto istotnie naukowo pracuje. Mikołaju podaj panu krzesło. Czem mogę służyć?

— Ja... szukam rzadkiego druku z XVIII wieku.

— A jaki tytuł?

— Tytułu nie znam, tylko treść i datę wydania: Sandomierz 1794.

— Więc jakże pan będzie szukał?

— Proszę o pozwolenie przejrzienia wszystkich druków z XVIII stulecia.

— Wszystkich?

— Tak, bo mogłoby być, że broszurę oprawiono razem z innym drukiem.

Gościszewski spojrział znowu na starca na jego sinawe, zalężnione oczy, tak blade, jak gdyby z nich dawną barwę zmyto wodą, splukano. Pomyślał w duchu, że ten dziwny gość gotów umrzeć, zanim wszystkie książki przerzuci. Jakieś współczucie ulitowanie ostrzegło go, że lepiej już nie pytać. Odpowiedział więc:

— Mikołaj będzie panu podawał książki kolejną.

Potem usadowił starca w przyległym pokoju pod oknem, przy wielkim, białym, bibliotecznym stole. Otworzył drzwi od swego gabinetu, kiwnął na woźnego i szepnął mu do ucha:

— Niechno Mikołaj uważa, czy stary czego nie chowa do kieszeni.

Sam wrócił do pracy, ale mu jakoś nie szło. Woźny kręcił się ciągle, przynosząc i odnosząc stosy książek, a miał skrzypiące buty. Sztremer brał każdy tomik do ręki, przybliżał go do twarzy, jak czynią krótkowidzowie, czasem przymrużał jedno oko, wertował zwykle stronicę po stronicy, ale nie czytał. Potem, metodycznie, odkładał książkę na bok.

Kiedy wybiła dwunasta, Gościszewski wstał i wszedł do drugiego pokoju.

— Panie Sztremer — rzekł — musimy przebrać. I ja, i woźny idziemy na obiad, ale będzie-

my tu o trzeciej. Książę przeznaczył w pałacu dwa pokoje dla gości, którzy pracują w bibliotece; może się pan tu zainstaluje po południu.

— Dziękuję panu, nająłem stancję w karczmie.

— A może — dodał bibliotekarz mniej śmiało — możeby pan ze mną zjadł obiad?

— Dziękuję raz jeszcze, najpokorniej. Ja przyzwyczajony do karczmem.

— To pan już dawno tak jeździ po bibliotekach?

— O, bardzo dawno.

Gościszewski zaryzykował jeszcze jedno pytanie:

— A czy nie wolno spytać, czego pan szuka?

— Da Pan Bóg, że znajdę, to pokażę, panie bibliotekarzu. Jak mi Bóg miły, chociażbym pana miał w nocy zbudzić, to zaraz pokażę.

— Ale pan nie będzie tu mógł nocą pracować. Książę nie pozwala, boimy się ognia.

— Wiem, wiem; tu jest porządek.

Gościszewskiemu zdawało się, że zrobił czemś przykrość Sztremerowi, bo oczy skryły mu się pod zmarszczkami czoła. Starzec poprawił palcami długie, siwe, w tył spadające włosy, wskazał woznemu książki, które może odnieść, i wyszedł z kapeluszem i teczką w rękę, ukloniwszy się głową.

Mikołaj zdał wtedy raport, że gość nic do kieszeni nie chowa.

Bibliotekarz stanął zaś przy oknie i patrzył chwilę w dzień szarawy i smutny. Pałac józef-polski stoi na górze, na ostatniem północnem od-

roślu Beskidu. Gościszewski widział z narożnego okna, jak się mgławice wloką po szczytach i rozdierają o świerki. Poniżej chmur stoki były ciemne, ponuro-błękitne, niemal szafirowe. Dalsze szczyty zginęły zupełnie, padał drobny, powolny deszczyk. Do osady, leżącej już na równinie, prowadzi z wyżyn gościniec, w pogodne dni lśniącobiałe, dziś szary. Z za drzew wystawała czerwonomalowana sygnaturka kościoła w Józefolu i trochę dachu karczmy, smarowanego smołowcem. Po gościńcu, bez parasola, szedł w wielkich butach Sztremer. Zakasał spodnie tak wysoko, że wyglądały mu żółte cholewy. Podniósł kołnierz paltota i szybko schodził do wsi.

II.

Gościszewski nie miał od dawna towarzystwa, nie widywał prawie ludzkiego oblicza. Co parę tygodni zdarzyła się partya wista u proboszcza, na dole w Józefolu, ale partnerzy nie zawsze mu byli do smaku. W bibliotece nikt nigdy nie pracował, Sztremer był pierwszym gościem tego rodzaju. Kiedy się staruszek zabierał wieczorem do siebie, bibliotekarz miewał nieraz ochotę wybiedz za nim, zatrzymać go, pogadać. Nie chciał się jednak narazić na odmowę, na jakie dziwactwo z jego strony. Zaczął sobie powtarzać, że i on sam musiał zdziczeć na pustkowi, że nie potrafiłby już może starego oswoić, rozruszać, pozyskać jego zaufania. Wmawiał w siebie, że dla nich obydwóch będzie najlepiej, jeżeli tych kilka

dni przepędzą obok siebie, ale nie ze sobą i poprzestaną na urzędowych stosunkach. Liczył, że tydzień powinien Sztremerowi wystarczyć i czekał niemal jego wyjazdu.

Robota szła mu tymczasem niedokładnie, jak sądził dla tego, że odwykł od pisania wśród ruchu i szelestu papierów. Na prawdę zaś przeszkadzał mu gość dlatego, że go zaciekawiał. Co chwila wstawał bibliotekarz od biurka i szedł niby do okna. Przez drzwi otwarte mógł wtedy rzucić okiem na starca. Ale on nie podnosił żrenie z książki i przeglądał ją dalej z jakąś niepokojącą dokładnością automatu. Gościszewskiego drażniła ta obojętność. Gniewała go ta ufna pilność, ten badawczy upór, sam bowiem doszedł był w pisaniu do tego stadyum, gdzie już gorączka opada, gdzie się nie materyałów, ale poglądów i wyrazów szuka.

Sztremer był jak maszyna. Zjawiał się co rano, znikał z uderzeniem dwunastej, wracał potem o trzeciej i pracował do zmroku. Gościszewski, sam spokojny i twardy z natury, zazdrościł jednak temu człowiekowi, który w miejscu nerwów miał jedynie wolę. Wieczorem schodził zwykle bibliotekarz do wsi na przechadzkę. Zaciekawiała go teraz żółta karczma pod czarnym, lśniącym dachem i musiał ze sobą walczyć, aby przez blade oświecone okna nie zajrzeć do izby, gdzie według jego przypuszczeń staruszek stanął kwatery. Raz — było to na czwarty wieczór od jego przyjazdu — spotkali się naraz koło karczmy. Mrok

był silny i ledwo, że nie wpadli na siebie. Musieli się przywitać i, sami nie wiedząc jak, podali sobie ręce. Gościszewski zakłopotał się chwilę i wybąknął, że idzie z listami na pocztę. Starzec nie odrzekł nic, ale mechanicznie zwrócił się i dotrzymał kroku młodemu. Niebo było górą zupełnie czyste, podobne do błękitniejącej, gładkiej, rozpiętej nad światem opony. Tu i owdzie znać było na niej, jakby przekłucie szpilką i trochę błędnego promiennego złota przedostawało się przez otwór; gwiazdy drgały.

Skoro mu Sztremer towarzyszył, miał Gościszewski prawo nawiązać rozmowę.

— I cóż, jakiż rezultat pańskich poszukiwań?

— Dotąd żadnego. Ale kto wie? Taka wspaiała biblioteka!

— Nieprawda? — podchwycił Gościszewski. — Można dużo odkryć i jest nad czem pracować.

— I pan też pewno coś pisze?

Książka leżała nezonemu tak długo na sercu, od tak dawna niemówił z nikim o niej, że chociaż czuł, że go Sztremer tylko pozornie zrozumie, zaczął opowiadać jej treść i wdał się w cały wykład o XVIII stuleciu. Stary słuchał, nie objawiał zdania, tylko przypominał różne źródła, odnoszące się do pracy. Gościszewski przekonał się, że jego towarzysz zna wybornie epokę i zaczął na niego patrzeć uważniej z boku, a że był słusznego wzrostu — i z góry. Twarz Sztremera nie okazywała żadnego silniejszego ożywienia. Pytał spokojnie o ten lub ów pamiętnik, znał nietylko

druki, ale i rękopisy, widział był architektoniczne plany lazienkowskiego pałacu, pamiętał niektóre cyfry z kosztorysu. Zaczął wspominać manuskrypta w muzeum Czartoryskich i w Ossolineum. Potem rzekł:

— A zna pan także warszawskie biblioteki?

— Szperałem w nich dość dużo. Siedziałem umyślnie parę miesięcy w Warszawie.

— A widzisz pan, a widzisz pan. Muie tam nie puszcza.

— Pan dobrodziej pewno emigrant?

— Z 48-go roku.

I Sztremer dodał po chwili namyślenia:

— A widzisz pan. Pan może dużo wydobyć, dużo jeszcze dobrych rzeczy napisać. Czytałem pańskie dawne prace. I ma pan dużo lat przed sobą. Dużo wiedzy i — metodę.

To ostatnie słowo wymówił z namaszczeniem, jakby jaką rytualną formułę, Gościszewskiemu zaś rozradowało się serce. Nie był zarozumiały i lekcewał sobie własną wiedzę, własne dotychczasowe roboty, ale jedna rzecz napawała go dumą: poczucie gruntownej metody. Zachwyciło go to, że nawet autor dyletanekich broszur ma dla niej cześć należną. Przyciszył głos, bojąc się, że mu wybuchnie i starał się rzec obojętnie:

— Kończyłem nauki w Lipsku.

— Ja widzisz pan — mówił Sztremer — jestem samouk. Tyle tylko, że zawsze szperał i nasłuchiwałem się wiele na emigracyi, od starszych. Kogo tam nie było za moich czasów w Paryżu!

Znałem najbliższych Niemcewiczowi i ks. Adama i Mickiewicza i...

Tu urwał, a Gościszewskiemu przyszedł na myśl, nie wiedzieć dlaczego — Towiański.

— Zawszem dbał o przeszłość — mówił po chwili. — To widzisz pan, jest cała moja metoda.

Nie mówili już więcej, bo bibliotekarz czuł, że gdyby rozmowa szła dalej, możeby, w tę noc coraz piękniejszą, obydwaj powiedzieli za wiele. Ostrzegała go jakaś wewnętrzna trwoga, że istnieją sprawy, wobec których przestaliby się rozumieć. Nie chciał zniszczyć od razu rodzącej się wreszcie ufności. Doszli z powrotem do karezmy i podali sobie znów ręce, mówiąc to jedno słowo: „dobranoc“.

Gościszewski zaczął iść wolno pod górę do pałacu, którego kominy bielejące wychylały się z ciemnych drzew ogrodu. Mgła wieczoru opadła i dach dużego gmachu zaczął się lśnić w srebrne i tęczowe połyski. Bo księżyc pełny wyszedł z za rudawych mgławic i rozświecił się niebawem tak jasno, że promyki gwiazd pochowały się znowu przy nim i wydawało się, że idzie po wielkiem niebie samotny.

III.

Nazajutrz ujrzał bibliotekarz z radością, że Sztremer jest bardziej ożywiony, skłonniejszy do rozmowy. Od czasu do czasu wstawał od stołu i przynosił Gościszewskiemu jakiś tomik, pokazując mu palcem ustęp, który dla jego pracy mógł mieć

wartość. Tego wieczora wyszli już razem i młody uczony zaczął obszerniej mówić o swej książce. Od kilku dni nie tknął zaczętego rozdziału, ale tem więcej myślał o całości. Przypominały mu się kolejno wszystkie wątpliwe hipotezy i pytania, wszystkie przemilczane, niezglębione sprawy, wszystko, co się w nim wśród pracy pisarskiej uśpiło. I naraz wzięły te myśli górę nad jego spokojem, wyroiły się jak pszczoły i huczały po głowie. Mówił więc o książce ze Sztremerem, w którym zaczął uznawać powagę. Ale stary nie odstąpił od wczorajszej taktyki; nie wdawał się w poglądy, przypominał tylko fakta i źródła. Widocznie nie podzielał nawet tej drobnej sympatii, którą Gościszewski czuł dla Poniatowskiego, jako dla rozumnego, cywilizującego monarchy. To też w ciągu tego wieczora i następnych dwaj badacze nie zbliżyli się na krok do siebie. Nagadali się jednak bardzo dużo, zabrało się bowiem na pogodę i noce bywały dość ciepłe. W południe wynosił się zawsze Sztremer chyłkiem z biblioteki, jakgdyby chciał uniknąć zaproszenia na obiad. Gościszewski widział to i nie próbował go zatrzymać. Natomiast w godzinach pracy nadskakiwał mu i wydobywał książki z coraz to nowych zakątków. Kazał nawet odbić paki, w których leżały świeżo nabyte, dotąd do katalogu nie zapisane broszury. O tem, czego stary szuka, nie było nigdy mowy.

Minęło tak parę dni i robota staruszka musiała się zapewne zbliżać do końca. Jakoż w niedzielę,

przed dziesiątą, wstał Sztremer od stołu i wszedł do bibliotekarza z jakąś niezwykłą, smutną, a jednak uroczystą twarzą.

— Skończyłem. Dziękuję panu najserdeczniej za pomoc i za to, żeście mi ułatwili szukanie. Niech to wam Pan Bóg wynagrodzi. Pokój temu domowi.

To mówiąc, miał już w ręku kapelusz i teczkę z papierami, a zdązał ku drzwiom. Gościszewski zabiegł mu drogę.

— I nie znalazł pan?

— Nie, nie znalazłem. I tutaj niema.

Podał bibliotekarzowi rękę, jakgdyby chciał skrócić pożegnanie, potem rzekł:

— Dzwonią na sumę. Czas do kościoła.

I poszedł równym krokiem, tak panujący nad sobą i tak spokojny, że Gościszewski znowu nie śmiał go zatrzymać.

Ale po chwili, kiedy oszołomiony tem rozstaniem stanął w oknie, zrobiło mu się smutno i żal mu było puszczać tego starca, który po jasnym słońcu schodził w świat gościńcem. Sygnaturka powtarzała swoje jednostajne, uroczyste wezwanie. Powiedział sobie, że musi starego jeszcze spotkać i zbiegł do kościoła.

Msza była zaczęta i kościół pełen ciężkich kadzidłowych zapachów. Cały lud śpiewał, a pieśń podnosiła się czasami tak wysoko, że przygłuszała organy, wpadała potem w jakąś otchłań, gubiła się sama w głębi swej melodyi. Zdawało się, że na chwilę nikt nie ginie gdzieś pod belkowa-

niem kościelnego sufitu, w zaułkach chóru, że słyhać tylko jej echo. A potem znów powracała pełna, silna i brzmiąca. Obok słupa przy chórze klęczał Sztremer i modlił się bez książki, z rękoma przyciśniętymi do piersi, tuż pod siwą brodą, z wyrazem takim, jak gdyby nie wychodził z ustawnego błagania.

Msza trwała długo i dym kadzideł odurzał Gościszewskiemu głowę. Po nabożeństwie wybiegł, nie witał się ze znajomymi, ale szedł w pewnej odległości za Sztremerem. Nareszcie, w ostatniej chwili, tuż przed karczmą, zaczepił go i poprosił:

— Nie zrobiłby mi pan wielkiej uprzejmości przed odjazdem? Nie zjadłby pan ze mną obiadu?

Stary drgnął, jak gdyby go to zaproszenie nie zaskoczyło nagle, jak gdyby się coś stało, o czem wiedział i czego się zarazem obawiał. Ale twarz wypogodniała mu odrazu i odparł:

— Owszem chętnie. Chciałbym nawet z panem pomówić.

Bibliotekarz zapał dech w sobie, ale nie usłyszał ani słowa. Sztremer rozmyślał widocznie i starał się dogonić Gościszewskiego, który biegł szybko pod górę. Doszli tak do pałacu, gdzie w jasnym narożnym pokoju drugiego piętra stanęły, po raz pierwszy od wielu lat, dwa nakrycia na obrusie. Słońce padało do mieszkania i na podłodze rysowały się ciemne ramy okien i jasne kwadraty szyb. Było tak pięknie na dworze, że od południowej strony można było okna nawpół roztworzyć; wchodziło przez nie lekkie wiosenne

tehnienie, ciepłe i ciche, bo drzewa były jeszcze bez liści i bez szmeru. Poza ogrodem obejmowało się z góry okiem Józefpol z kościołem i ostatnie stoki gór porosłych, gdzie między czarnymi świerkami świeciły jasną barwą modrzewie, jak zielone, powiewne widziadła. Z dwóch innych zachodnich okien miało się widok na równinę, na łąki już żywe, na wielkie, błękitne powierzchnie wód nagromadzonych. Kwiaty wydostały się z murawy, kwiaty żółte, liliowe i białe, tak gęste, tak obfite, że zdawało się, że chcą całą ziemię ogarnąć, wszystkie jej soki pochłonąć, zarósć całą glebę, wypić wszystkie niebieskie i złociste kałuże. A dalej poza łąkami ciągnęły się w słońcu długie, proste białe drogi wapienne i stały przy nich wsi wśród wierzb czerwonych, palących się w blasku, chaty przesłonięte mgławicą lekką i niebieską. Przez okno otwarte słychać było tylko, jak pogwizdują drozdy, odpowiadając sobie z drzew ogrodu.

Zaczęli jeść pośpiesznie, jak ludzie, którzy na coś czekają. Ale Mikołaj, który dziś udawał służącego, dolewał pilnie do kieliszków i stary sam nie wiedział, ile wypił. Od zwykłego tematu, od XVIII stulecia, przeszedł do osobistych wspomnień i opowiadał anegdoty z emigracyi. O tym Wyzowskim, gajowym z Galicyi, który się po rewolucyi 1830 r. znalazł w Paryżu i żył z różnych przypadkowych zajęć, np. ze zbierania grzybów w lasach około Fontainebleau. Kiedy wybuchła wojna krymska, Wyzowski chciał się zacią-

gnać do pułku ochotników, który się wtedy formował w Londynie, a że nie miał funduszu na drogę, postanowił się puścić wplaw przez morze, pewny, że muszą być na morzu częste wyspy, a na każdej wyspie klasztory, gdzie go, jak w kraju nakarmią i opatrzą na drogę. Opowiadał o tym drugim żołnierzu, czwartaku, który na emigracyi założył sklep optycznych narzędzi i za subjekta przyjął swego dawnego oficera. We dnie, dopóki zakład stał otworem, subjekt ulegał we wszystkim chlebodawcy, ale wieczorem, kiedy zamknęli okiennice i wyszli obydwaj na miasto, powracał dawny służbowy stosunek i prosty żołnierz musiał znosić kaprysy porucznika, który go bez ceremonii kpał i traktował jak dziecko. Bieda zaglądała nieraz do oficera na Montmartre, ale nikt nie mógł go nakłonić do przyjęcia jakiejś pomocy. Optyk kazał mu przysłać bezimiennie ubranie, ale on chował je do szuflady, w przekonaniu, że jaki przejezdny Polak podała krawcowi jego adres i że się niebawem po nie zgłosi. I chodził dalej w granatowym kubraczku.

Sztremer uśmiechał się wprawdzie, opowiadając takie dzieje, ale poważniał i miał łzy w oczach. Ściągały się usta, a śmiały się tylko jego blade, smutne, wodą zmyte oczy. Gościszewski zaś myślał, słuchając, że byli to jednak inni ludzie, odmienni od tych, których znał w życiu i od tych, o których pisał książki.

Po skończonym obiedzie zapytał Sztremer, czy może zapalić krótką fajkę, którą wydobyl ze sur-

duta. Błękitny dym uciekał przez okno otwarte. Stary wstał, włożył jedną rękę do kieszeni i zaczął chodzić po obszernym pokoju.

Naraz przystanął i rzekł:

— Teraz panu powiem, po com tu przyjechał. Doznałem od pana dużo dobrego. Proszę, proszę, niech się pan nie wymawia! Doznałem dużo życzliwości i pomocy. Widzę, że pan o przeszłości myśli inaczej, jak ja, ale cóż robić! Możemy się mylili... Kiedym pana pożegnał i wchodziłem do kościoła, powiedziałem sobie tak: jeżeli go jeszcze zobaczę, to mu wszystko powiem. Nie mówiłem o tem — Bóg widzi — nikomu. Ale pan jest młody, poczciwy, może dużo zrobić. Pan bywa także w Warszawie — widzisz pan. Może pan znajdzie — ja już jestem chyba za stary. Czy to panu nie przeszkadza, że chodzę? Niech mię pan przez chwilę posłucha.

IV.

Przed dwunastu laty wróciłem z emigracji do kraju. Nie było co myśleć o tem, aby mię puścili do Suwałk, osiadłem w Galicyi. Byłem wtedy jeszcze tęgi i mogłem pracować na życie. Zacząłem dawać lekye, jak w Paryżu, lekye matematyki. Bo ja się właściwie kształciłem na technika. Nauczyłem się był francuszczyzny, mogłem wyklądać jako tako historję literatury. Siedziałem dwa lata w Krakowie, byłem dozorcą na pensyi. Potem dostałem we Lwowie miejsce w pensyonacie panien. Byłem także bibliotekarzem w dwóch domach.

Miałem zawsze do czynienia z książkami. Nasłuchałem się dużo o XVIII wieku i zacząłem szpeprać. Piszą teraz tyle o tych sprawach i — uczciwszy uszy — tyle błazeństw. Myślałem o tem, aby też coś wydać. Ale trudno było, bo ani pieniędzy, ani czasu. Aż tu nagle — magnat ze mnie! Brat mój ze Suwałk ma się teraz dobrze. Dowiedział się, że jestem w Galicyi i przysłał mi przez przyjaciela całą schedę po ojcu. Było tego z procentami — no, było dużo, kilka tysięcy rubli. Puściłem guwernerkę w trąbę i osiadłem we Lwowie, czytałem w bibliotekach i robiłem notatki. Myślałem coś pisać, raz to, raz owo, a zawsze o przeszłym wieku. Zastanawiała mię, widzisz pan jedna rzecz — poeci za Stanisława Augusta. A może i pana, co? Czy się panu nie zdaje, że to były kpy — i nie więcej? Rozbierają im kraj, a oni nie. Ani jeden się nie zachnął. Czy to możliwe, aby żaden kraju nie kochał? Tak, widzisz pan, tak! Wiem, co mi pan powie. „Święta miłości kochanej Ojczyzny.“ Śliczna strofa, w Iliadzie dla myszy. A jeszcze tego było mu za dużo, sam się sparodyował. Chwalić Katarzynę, to umieli, albo wzdychać, jak ten Karpiński, co pisał wiersze dla Repnina. Niech mi go pan nie broni. Panie, miałem sam w ręku list Repnina do niego! A co mi z tego, że któryś dostał potem melancholii, albo zwaryował. Co mi po ich ogłupieniu! Trzeba było w wierszach szaleć, a nie patrzeć na kompas w Zofiówce, albo siedzieć jak mruk w Janowie. A cóż u Boga Ojca, od czegoż mieli mowę?

Trzeba było tak krzyknąć do narodu, aby się obudził. Albo też, jeżeli byli za słabi, trzeba było podnieść taki płacz, żeby się ziemia zatrzęsła i Europa żeby słyszała... A oni nic. I to mają być poeci! Wy się gniewacie, kiedy mówimy, że Adam, to był prorok. Jakże go mam nazywać? poetą? Razem z Trembeckim, co?

Tu stary spojrzął na Gościszewskiego, zaglądnął do okna, odsapnął trochę i mówił:

— Oddawali wrogowi kraj bez wystrzału: niechaj ich!! Ale żeby się ani jeden człowiek nie znalazł... Sam nikt nie pójdzie z pukawką na nieprzyjaciela, ale na krzyk dosyć jednego człowieka. Ani jednego, ani jednego, coby coś z siebie wydobyl, raz jęknął, aby choć ludzie wiedzieli, że ktoś kona. Abyśmy się nie musieli dziś wstydzić przed światem, żeśmy szli na śmierć nietylko bez oporu, ale jeszcze niemi. Owce przynajmniej beczą, kiedy je kto zarzyna.

A oni tam siedzieli za piecem u pańskiego króla i dawali narodowi mądre rady. To nie ich rzecz! Jeżeli w godzinę naszej śmierci nie było nikogo, coby po nas zapłakał, to niema się po co schylać. Ale ja, widzisz pan, nigdy w to nie uwierzę, żeby takiego poety nie było. Pomyśl pan tylko, kiedy się gotowało powstanie Kościuszki, nie miał nikt wstać i zawołać: „do broni!“ Toż kiedy kto usłyszy trąbkę wojskową, to mu i dzisiaj coś dzwoni w sercu i chce mu się iść w takt za żołnierzami i śpiewać... Moskwa szła przez taką ziemię, jak ta, w taką wiosnę, jak dzisiaj, paliła

wsie, o tutaj, i te kościoły, a serce nie miało w nikim zakiepieć i wezbrać? Przecież to wszystko miało być na zawsze stracone, ten kraj, ta wiosna i ci ludzie. Kiedy komu dom sprzedadzą, to się z nim żegna, a kraju niktby nie pożegnał? Potem przyszła noc, jak plaga egipska, i nikt nie dał znać głosem, że jest tu, nie nawoływał na swoich? Nie, panie, był wtedy jakiś wielki poeta, był, bo musiał być. Może nieznany, może nieogłoszony drukiem, to inna rzecz!

Miałem teraz z czego żyć, mogłem sobie jeździć. Postanowiłem go szukać, poświęcić na to resztę życia. Niech pan nie mówi, że dla słabej sprawy. Ja, widzisz pan, znałem poetów, wielkich poetów, może największych, jacy kiedy byli! Ja wiem, co oni znaczą dla narodów... Zacząłem się tedy włóczyć, szperałem Bóg wie gdzie, po probostwach po miasteczkach, po dworach. Żeby pan wiedział, co ja się nacierpiałem. Księża uważali mię za wędrownego farmazona, a szlachta myślała, że jeżdżę po prośbie, jak kwestarz, albo że niby zbieram składki na starych emigrantów, a chowam grosz do kieszeni. Nie wyrzucam ja im tego, ale nie łatwo było znosić. Przyzwyczałem się, widzisz pan, do karczem.

Byłbym był dawno dał pokój szukaniu, gdyby nie ta wytrwała wiara, że go znajdę. Co rano mówiłem sobie: „może dziś“, co wieczora: „jutro“. Nie wziąłem nigdy starej książki do ręki, abym choć przez chwilę nie pomyślał, że go już mam. Spodziewałem się go ciągle, czekałem go w ka-

żdym stosie dawnych druków. Szedłem do nich instynktownie, jak lunatyk do księżycy. Przeczynałem je w zakamarkach, w piwnicach. Nauczyłem się wertować tomy i wiedzieć od razu, co w nich siedzi. Szukałem mego poety ciągle, nieustannie. I raz go nareszcie znalazłem.

Gościszewski słuchał tych wyznań z niepokojem. Żrenice jego biegły za wahadlowym chodem starca. Nagle przystanął przed nim Sztremer i młodemu zaćmiło się w oczach.

Sztremer zaś mówił dalej:

— Jeżdżąc po świecie za szpargałami z XVIII wieku, dostałem się przed trzema laty — było to w późnej jesieni — do takiego pałacu, jak ten. Nie powiem panu, gdzie — bo i na co? Chciałbym tę tajemnicę i ten mój wstyd zabrać ze sobą do grobu. Czasem wołałbym o tem wszystkim nie pamiętać!... Biblioteka była na dole, jak tu, ale w wielkim nieładzie, bez bibliotekarza. Pracowałem w niej, kiedym chciał, a że w pałacu bywało ludno, siadywałem najchętniej nocami. Dawali mi tam jakąś lojówkę i czytałem. Raz, już dobrze po północy, zabierałem się wrócić na górę do siebie, kiedy mię nagle coś tknęło, żeby jeszcze jeden stos książek przejrzeć. Była między niemi broszurka w takiej marmurkowej okładce *alla rustica*, jak to się je często spotyka w przeszłym wieku. Rzuciłem tylko okiem na tytuł i dziś go już nie pamiętam. Coś w rodzaju „Zabawek wierszem“ — ale nie to. To pewna, że na dole stało: „Sandomierz, 1794“. Na odwrotnej stronie był napis,

który mogę dokładnie powtórzyć, bo go umiem na pamięć, jak Ojciec Nasz. Niech pan słucha: „Ten ostatni, zostały mi egzemplarz wierszów syna mego, poległego pod Raclawicami, składam do stóp Jaśnie Wielmożnego Pana Wojewody w dowód wielkich i niezasłużonych łask Jego.“ Następowaly zwykle tytułatury, był „Wielce Miłościwy Pan mój i Dobrodziej,“ a niżej „pokorna sługa, Teofila K.“ Daty nie było, ale „nota“. Uważasz Pan, była taka nota: „Inne egzemplarze tej książki i cała drukarnia przez wojska Imperatorskiej spalone były.“

Możesz pan sobie wyobrazić, jak się rzuciłem na tomik. Doznałem zawodu: Same miłosne pieśni do pasterek! Chloe, Doris, Filon, męki, wdzięki, łona, białe ramiona, zwykły zmysłowy ton XVIII wieku. Przytem traćilo to wszystko saską porcelaną, takie to było gładkie, wymuskane. Czasem, czasem coś tęskniejszego, szerszego, ale mało. Były też ze trzy sielanki już trochę bliższe starożytności, coś, coś, jak eklogi tego Chénier, co go to stracili za wielkiej Rewolucyi. Wiersze wydawały mi się nie złe, może nawet lepsze od innych współczesnych. Ale zawsze nie to, czego szukałem. Zaczynała mię już zdejmować dawna gorycz na tych ludzi. Mówilem sobie: i ten nie wiedział, co się wkoło niego dzieje. Cieszyłem się, że chociaż zginął uczciwie i młodo, bo byłby także pisał wiersze dla Repnina. Ale potem napotkałem jakieś „obrazy cnoty“, oczywiście z Plutarcha. Nie było to nadzwyczajne, ale wiedziałem,

że chłopiec rozumie cnotę po rzymsku, że myśli o męstwie, a nie jak ci wszyscy, o tkliwości serca. Potem oda na ogłoszenie konstytucyi, taka sobie, szkolna, trochę napuszysta. Obok zaś czterowiersz na transparent w dzień Trzeciego Maja i jakiś dłuższy poemat, jakby opis, jakby wspomnienie tego wieczoru, iluminacyi na ulicach. Autor siedział widocznie podczas wypadków w Warszawie. Uderzyła mię tam zaraz jedna rzecz: brak allegoryi, jakiś osobisty ton, coś prostszego. I wie pan, czem się autor cieszył? Nie zbrataniem stanów, ale wzmocnieniem siły narodu, wojskiem. Pomyslałem sobie: oho, jakiś młody oficer, może uczeń szkoły kadetów. Nie frazesy, nie jakobińskie wywody o równości, ale miłość kraju, chęć wojaczki.

Zacząłem dalej czytać i przerzucać, potem musiałem natężyć wolę, aby czytać spokojnie. Czuję, że tracę głowę i że mi się myśli już płaczą. Tomik był mały, nie zostawało mi do końca, jak może z tuzin wierszy. Pieśń na obchód rocznicy Trzeciego Maja, naturalnie satyry na zdrajców. Nie wiem dziś, czy to było dobre, nie pamiętam nawet tytułów, widzę tylko koszlawe czcionki, źle odbite, wciśnięte w gruby papier. Czasem zdaje mi się, że gdybym miał znowu chwilę zupełnego spokoju w życiu, potrafiłbym zebrać myśli, powiedzieć, co tam było, przypomnieć sobie parę strof. Próbuję często, n. p. teraz, ale wiersze mam tu gdzieś, w tyle mózgu, nie chcą jeszcze same z głowy wyjść, a nie mogę ich

gwałtem wy dostać. Wiem, że czytałem w coraz większem rozradowaniu; pamiętam także, że kolumny druku były coraz węższe, wiersz coraz krótszy i bardziej rytmiczny. Czułem, że te piosenki nie były już pisane wyłącznie dla siebie, ale i dla towarzyszków, pewno w obozie. Był nawet wiersz pożegnalny do matki, jakby w przeżuciu bitwy. I jeszcze jeden wiersz miłosny, do Chloi. Chłopiec zaczął być źle, gorzej od Gustawa, ale musiała w nim być dusza, widzisz pan, obudził się, jak Konrad. Mówiłem sobie, że przy nim cały Körner — furda, i nawet Romanowski, chyba jeden Petöfi... Bo taki dumny, taki prosty, śmiały. Już teraz wiedziałem, że to on, zem go znalazł. Czytałem już spokojniej, radośnie. Była oda do zhańbionej Ojczyzny, dalej wiersz do Kościuszki — teraz znowu pamiętam tytuły. A potem stało mi się tak, jak gdyby słońce weszło: Pieśń do odrodzonej Ojczyzny. Wszystko, wszystko, czegom czekał, czegom pragnął — i żal i skarga i pogarda dla współczesnych i taki krzyk, taki hymn, jak gdyby ten człowiek wiedział, że mówi za całe przysze pokolenia. Czekałem tylko, czy na końcu nie znajdę już słów: Jeszcze Polska nie zginęła.

Panie, nie pracowałem darmo, nie zmarnowałem życia, nie zawiodłem się. Pierwsza moja myśl, było to dziękczynienie Bogu, że nas ustrzegł od klęski, od hańby milczenia i że mnie biedakowi dał na to dowody w rękę. Byłem taki przejęty, tak drżący, taki znużony czuwaniem, zem nie ukląkł, ale siedząc, oparłem głowę na dłoniach

i zacząłem się modlić. Panie, ja byłem dotąd człowiek twardy, ja nie płakałem od lat i dopiero potem nauczyłem się płakać. Ale teraz łzy kapaly mi na twarz, takie łzy, których mi i pan i aniołowie niebiescy mogą zazdrościć. Mówiłem sobie, że wydobędę tego poetę z ukrycia, że go w milionach egzemplarzy rozrzucę po kraju, że wrócę do Francyi, opowiem światu o tym ogromnym śpiewaku. Ogarniała mnie coraz większa błogość — takie rozmarzenie, że siedząc tak, usnąłem.

Ranek zaczął nareszcie szarzeć i zajrzał mi w oczy. Okna nabrały sinawego, fioletowego koloru. Kiedym przetaił powieki, ujrzałem na szybach drobnutki kropelki mgły, osiadłe wśród nocy. Było mi ciągle uroczyście na sercu i dobrze. Nie czułem już zmęczenia, pamiętałem wybornie wszystko, co mi się zdarzyło przed zaśnięciem. Wyciągnąłem rękę po tomik, aby go chwycić, przekonać się, że jest. Ale go nie znalazłem. Czuć było w pokoju dym i swąd. Przekonałem się, że w ciągu snu przewrócił pewno świecę, bo lichtarz z drobnym końcem ogarka leżał na marmurowym stole. Wszystkie moje notatki musiały spłonąć. Jakoż ujrzałem kupę zeczeriałych i pokręconych kartek.

Przeszedł mnie wtedy po ciele taki mróz, jakiego nigdy w życiu nie doznałem. Otworzyłem usta i chciałem krzyczeć, ale mnie zdjęła trwoga w tej samotności i pomroku zostałem tak chwilę z otwartymi ustami. Wstałem i zacząłem szperać.

Na płycie kamiennej nie było nic, prócz zgliszczy; zachowały się tylko tekturowe okładki mojej te czki. Nie mogłem jednak przypuścić, aby i bro szurka przypadła. Szukałem w półmroku, bo dru giej świecy nie było. Szukałem po wszystkich stołach, po krzesłach, pod stołami. Przeglądałem stosy książek na podłodze, myśląc, że tam może tomik odłożył. Potem przyszedł strach przed od powiedzialnością i niema, zacięta wściekłość i go rączka. Zacząłem przerzucać półki, drapałem się po szafach, szukałem tam, gdzie książki być nie mogło. Wiedziałem, że szukam na próżno, a nie mogłem przestać.

Nareszcie usiadłem znowu i zdaje mi się, że się na chwilę zdrzemnął, właśnie, kiedy słońce wschodziło. Wytrzeźwiła mnie dopiero zupełna ja sność. Zrozumiałem wszystko, co zrobił. Był je den, może jedyny egzemplarz na świecie, a ja m go przez niedbalstwo spalił. Bo gdybym — wi dzisz pan — był wtedy ukląkł, wszystkoby się nie stało.

A może też — i mówiąc to, cofnął Sztremer ręce w tył, jak człowiek, którego biorą na tor tury — może mi się to wszystko tylko śniło.

Com potem robił, to już mniejsza. Nie płaka łem jeszcze wtedy. Zebrałem, w jakimś strachu, niedopalone resztki papierów i wrzuciłem do pie ca, jak złoczyńca — aby ukryć ślad zbrodni. Kiedy się ludzie obudzili w pałacu, kazałem słu żącemu, aby podziękował państwu za gościnność i z torebką w ręku poszedłem na wieś, nająłem

furę, pojechałem na kolej. To wszystko — robiłem naprawdę, jak we śnie, jak gdybym się jeszcze ciągle nie mógł otrząsnąć z tego mroku, wśród którego się dziś obudziłem. Na bryczce zebrałem jednak myśli i przypomniałem sobie całą rzecz tak, jakem ją panu powiedział. Skleiłem w głowie tytuły wierszy i ten napis matki autora.

We Lwowie przepędziłem dwa tygodnie w jakimś oszołomieniu. Pamiętam tylko chwilowe, takie silne napady rozpacz, że chciałem się topić. Ale mi Bóg łaskawy wiary zupełnie nie odjął. Zrozumiałem wkrótce, że jeżeli dotychczas szukać, była to moja dobra wola, to teraz jest obowiązek. Pamięta pan, jak tam było napisane: „Ten ostatni zostały mi egzemplarz“? Więc matka musiała ich mieć więcej. A przecież przesłał pewno jeden i tej Chloe, skoro ją jeszcze w wojsku wspominał. Egzemplarz może jeszcze gdzieś być — tylko gdzie?

Ja, widzisz pan, szukam też od blisko trzech lat. Ale jestem stary. Dopóki żyję, niech pan o tem nie mówi nikomu. To już jest moja ostatnia próżność na ziemi, nie chcę, żeby ludzie wiedzieli, com zawinił. Ale jak się pan dowie, że Sztremer umarł, niech pan nie żałuje czasu i niech pan coś zrobi dla sprawy. Wypowiadałem się przed panem z całej nędzy mego życia, niechaj mi pan teraz przyrzeknie, że i pan będzie szukał. Łatwiej mi będzie umrzeć i Bóg mi prędzej przebaczy.

Gościszewski wstał z krzesła i podał starcowi rękę, ale nie powiedział ani słowa, bo szczęki mu drżały, i nie chciał się rozplakać.

V.

Po wyjeździe Sztremera bibliotekarz rozpoczął metodyczny przegląd całego józefpolskiego księgozbioru, zarówno rękopisów, jak druków. Nie znalazł nic. Zabrał się więc, chociaż z niechęcią, do dawnej swojej pracy, ale mu wśród pisania strzelało ciągle do głowy, że na tej półce albo w owej pace mógłby się tomik znaleźć. I wtedy odkładał robotę na bok a szperał. Czasem budził się w nim dawny człowiek. Wyrzucał sobie, że to zajęcie się cudzą sprawą jest tylko formą próżniactwa, gniewał się na starego, któremu się coś przyśniło, i na siebie, że, jak baba, snom wierzy. Kiedy się tak nastrofował, praca szła mu zazwyczaj przez kilka dni, ale go coś zawsze dręczyło. Czuł sam, że pisze tylko mechanicznie, że pracuje tylko połową swej myśli, że gdy przestaje się zmuszać, wybuch w nim z dawną siłą ta jedyna istotna jego myśl, co jak podziemna rzeka sączy mu się nieustannie w głębi, na dnie głowy, myśl, gdzie jest, czy jest gdzie tomik Sztremera? I żeby sobie ulżyć, szedł do pólek i znów się zaczynało szukanie.

Najgorzej było mu w lipcowe gorąca. Przywykł teraz do późnego wstawania i codziennie postanawiał pisać w nocy, ale noc schodziła potem na przeglądaniu manuskryptów albo dawnego inwentarza

biblioteki, oprawnych i kartkowych katalogów. Dobrze mu było tylko z niemi; nocami miewał dobre, ufne chwile. Ale kiedy rano wstał i przekonał się, że książka znowu ani na krok nie postąpiła, ogarniała go złość i poczucie niemocy. Przypominał sobie wiadomość, wyczytaną przed laty w gazecie, że w Ameryce jest jakieś miasteczko, w którem panują zaraźliwe waryacje i gdzie mieszkańcy doznają po kolei tego samego obłądu.

Ulgę zaczęły mu dopiero przynosić długie spacerery po okolicy. Chodził po górach, drapał się na szczyty, szukał jelenich tropów, męczył się fizycznie, a uwagę jego pochłaniały strumienie, polany, stare świerki, ścieżki, opasujące skałę, cała głucha natura, od której był odwykł.

W początku października wszedł raz do niego Mikołaj z wiadomością, że p. Sztremer umarł w Przemyślu. Na dowód przynosił numer dziennika, gdzie nieboszczyk występował jako „znakomity historyk“ i „słynny archeolog“. Po pierwszej chwili żalu Gościszewski sam się zadziwił, że go ta wiadomość uspakaja. Zatelegrafował do księcia z doniesieniem, że skończył pracę i z prośbą o natychmiastową dymisyę. Nazajutrz przyszła z Rzymu odpowiedź, w której książę w uprzejmych słowach namawiał bibliotekarza do pozostania na stanowisku, dodawał jednak, że w razie naglącej potrzeby zwalnia go z obowiązków i prosi o wręczenie kluczy i inwentarzy zarządcy dóbr józefpolskich. Zajęło to jakiś czas, poczem Gościszewski odebrał pensyę, której oddawna nie pobierał

z kasy. Robił to wszystko spokojnie, systematycznie, jak człowiek, który nie potrzebuje się namyślać, bo jest w zupełnej zgodzie z samym sobą. Czuł, że niema co zwlekać, bo prędzej czy później puści się w świat i będzie szukał, aż znajdzie. Jakoż pożegnawszy się z proboszczem i z Mikołajem, wyjechał na pociąg tą samą furmanką, która przed pół rokiem odwoziła Sztremera.



TADEUSZ GRABOWSKI.

PRZED LATY.

SZKIC Z ŻYCIA „PROWINCYJ ZABRANYCH“.

Z KONKURSU LITERACKIEGO »CZASU«.



W KRAKOWIE,
SPÓŁKA WYDAWNICZA POLSKA.
1896.

W KRAKOWIE,
W DRUKARNI „CZASU“ FR. KLUCZYCKIEGO I SP.
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.



Iwan Mikołajewicz Wirowkin posiwał w służbie administracyjnej, a w powiecie ma opinię uczciwego człowieka.

Na urzędzie sprawnika nikomu nie dokuczył, na nikogo nie zrobił donosu, dla podwładnych jest dobry. Mówi nawet niezłe po polsku, a w miasteczku opowiadają nawet, że jest pochodzenia małoruskiego i spędził w dzieciństwie lat kilka w domu polskim, gdzieś w gubernii kijowskiej.

Przesiedziawszy lat kilkadziesiąt na jednym miejscu, w Kostromie, stał się prawdziwie ruskim człowiekiem. Służba — niema co i mówić — rzecz nie wesoła, a obowiązki ciężkie. Ot i dziś Lachów nie nienawidzi, ale... Wiadoma rzecz, rząd, naczałstwo, gubernator surowi, a ruski naród też wielki, bardzo wielki. A oni zawsze dumni, choć dziurami świecą. Więc trzeba nieraz serce schować do kieszeni. Instrukcja rzecz niemiała...

A jednak oni inni, jacyś inni. Brak im tylko pokory, komenderówki słuchać nie chcą. Mili jednak i serdeczni. W Kostromie poznał bliżej jednego z nich i zaprzyjaźnił się. Było to właśnie

po urodzinach Koli. Było na wódce, blinach i pierogach z wyzigą kilku kolegów czynowników i dwóch jenerałów w odstawce. Biedni ludzie, pensyę emerycką przegrywali w karty, więc po przyjaźni każdemu trzydzieści pięć rubli srebrem na pamiątkę. Bo też i honor dwóch jenerałów mieć przy stole i to z ośmioma krestami prócz medali. Polak, choć biedny, wygnaniec nie wziął ani rubla. Kola od dzieciństwa bardzo dużo kosztuje.

Iwan Mikołajewicz ma syna bardzo dziwnego. Wąs mu już dawno pod nosem się puścił, szynel gimnazyasty przed trzema laty zrzucił i na uniwersytet już chodzi, ale rozumu ani za kopiejkę. Gdy był dzieckiem, mówiono ojeu, że Kola będzie popem. Wiadomo, młodzi nie gardzą groszem i czemś lepszem od grosza. No, Kola Iwanowicz nigdy młodym nie był. Siedzi nad łaciną i greką, mruczy i pisze, pisze i mruczy, jak diak przy umarłym. Próbował go pokazać tu i owdzie, rozbawić. Ani chybi, rozumny durak z niego. Ot i teraz, ojciec jedzie telegą, no, niemałą sprawę waży, a on, Kola... Prawda, że konie ciągną jak ze smołą, ale i Kola mógłby coś zagadać, a nie iść pieszo po piaskach. Jamszczyk głupi, do czterech nie zliczy. Zagadasz, to oczy wybałuszy.

A Iwan Mikołajewicz niemałą sprawę rozważa. Jak zaczął myśleć od dni trzech, to nie lepszego nie wymyślił. Że się rzecz uda, nie wątpi. Dachnowiecki skompromitowany, zgubiony. Niebawem zjedzie komisya, sąd, zlecą się żydzi. A on, on Iwan Mikołajewicz ma rubli dużo, z dwadzie-

ścia tysięcy, może więcej z procentami. Kostroma bardzo mu posłużyła. Był tam wprawdzie niższym czynownikiem w administracyi, ale przemysł rodzi ruble. Związał się z teściem, który handlował rybami i zrobił pieniądze. Mógł i służbę porzucić i dom kupić, ale po śmierci Wiery Piotrównej, matki Koli, zbrzydził sobie Kostromę. Wciągnął się i do służby, więc podał się o przeniesienie. Teraz ma wyższy czyn, ale obowiązki ciężkie, bardzo ciężkie.

Dzień był gorący, czerwcowy. Na bezchmurnem niebie lśniło słońce wielkie, płonące. Iwan Mikołajewicz zdjął biały kaftan ze złotymi guzikami, a chustką rakowego koloru obcierał pot, kapiący z czoła równie czerwonego jak chustka. Kilka razy rzucił też okiem w stronę Koli, który, rozpiąwszy mundur studencki, szedł z grubem cygarem po piachach traktu, z wzrokiem, wlepionym w ziemię. Ojciec dumiał tymczasem i dumiał. Wyrwało go raz z zamyślenia gwałtowne zakoleysanie się telegi. Zmarszczył szerokie brwi i krzyknął gromko:

— Wasia, jedź porządnie!

Koltuniasty Białorusin, nie obracając się na koźle, wygłosił:

— Słucham, wasze wysokobłagorodje!

Telega znów zatrzęsła się potężnie.

— Wasia — odezwał się znów głos silny — nie wiesz jak daleko do Dachnówki?

Jamszczyk obrócił się na koźle, położywszy pierwaj bat na kolanach i odezwał się, cedząc zwolna wyrazy:

— Trzy wiorst, a może i cztery, wasze wysokoblagorodje!

To rzekłszy, krzyknął mocniej na trójkę, która zaczęła iść rażniejszym krokiem po grząskich piaskach. Iwan Mikołajewicz zanurzył się znów w głęboką zadumę. Wzrok jego leciał gdzieś daleko, gdzieś na koniec tej drogi, która ciągnęła się niby linia wśród dwóch ścian puszczy. W ciemnych głębiach grało coś cicho, uroczyście i odzywały się głosy jakies głucho, niskie, to skrzypienie, lub trzask nagły, to jęki, lub pogwizdy cienkie. Półświatła i półcienie mieszały się też w mgłę jakąś sinawą, subtelną... Iwan Mikołajewicz lubił puszcze. To jego marzenie, miłość, pożądanie!

Ot i teraz, jeśli los posłuży, postawi na swoim. Nikomu też krzywda się nie stanie. Niema co mówić, Dachnowiecki nie taki durak, żeby odrzucać taką propozycję. Dzieci niema, a wychowanka, to nie własna krew. On stary, niedolega... Zresztą Iwan Mikołajewicz ma protekcję. Gubernator nań łaskaw, obiecał mu rangę pomocnika przy sobie, bo Iwanow już niemłody, i zapewnił pomoc przy licytacyi. Mniejsza o czyn, o kresty, gdy będzie miał co własnego, swojego. Dachnówka niewiele warta, las i moczary, bo resztę dawno sprzedano, ale zawsze szmat, gospodarstwo, dwór. Nikomu źle nie życzy, a takiemu i Bóg błogosławi. No, trzeba się postawić odpowiednio, przemówić mądrze, poprosić jeżeli na to przyjdzie i będzie dzieło skończone. A te Laszki dumni...

Serce zabiło mu silniej w szerokich piersiach. Naciągnął biały, parusinowy kaftan, poprawił coś koło rzemienia od szabli i uśmiechnął się z zadowoleniem. Następnie obrócił się na siedzeniu i głośno zawołał:

— Kola Iwanowiczu, siadajcie, czas jechać prędzej!

Do telegi zbliżył się młodzieniec wysoki, szczupły, o cerze oliwkowej i oczach bladych, bez połysku. Rzucił niedopałek cygara i zgarbiony ciągle usadowił się powoli i systematycznie koło ojca, zapinając długi uniform studencki, który wisiał na nim, jak suknia na drewnianej lalce. Na twarzy jego, noszącej ślady wielkiego zmęczenia, nie widać było żadnych objawów radości, czy smutku. Zdawał się znudzonym, chorym.

Telega poczęła posuwać się po równiejszym, twardym trakcie, a trójka, podskakując, biegła teraz klusem. Między drzewami pojaśniało trochę. Cichły też głosy puszczy zlewał się w szum harmonijny, jednostajny, bez przeskoków i dysonansów. Wierzchołki sosen stały w wieńcach świetlanych, podczas gdy puszcza mroczyła się stopniowo. Przez trakt przebiegło stadko saren z młodem i znikło w jasnej zieleni podszycia boru.

Jamszczyk złożył bat na kolanach i śpiewnym, białoruskim akcentem odezwał się:

— Skrajny koń utyka, wasze wysokobłagorodje!

Iwan Mikołajewicz obudził się z zamyślenia i wybuchnął prawie szorstko:

— Czego tam?

Jamszczyk powtórzył swoje słowa, na które otrzymał odpowiedź, wyrzeczoną głosem gniewnym:

— Jedź szybko!

Telega posunęła się, jak ptak spłoszony.

Drzewa teraz przeświecały mocno. Jedna ściana otwarła się nagle i roztoczył się widok rozległy, daleki. Konie poczęły prychać i parskać, czując zapach świeżo skoszonej trawy, leżącej na łąkach mokrych, pełnych kwiecia o tęczowych barwach i żółtych nenufarów. W dali widać było jasną, błękitną szybę Niemna, który płynął zwolna, majestatycznie wśród podmokłych brzegów, gdzieś w przestrzeń mglistą, promienną teraz przy zachodzie.

Iwan Mikołajewicz stał się teraz bardzo niecierpliwym. Nie dość że Kola milczał jak zakłęty, jeszcze w dodatku skrajny, biały koń utyka i to w tej chwili... Znak to nie najlepszy. Podobnie utykała klacz, gdy wracał od lekarza do chorej po położu Wiery Piotrówniej. Teraz jednak sprawa inna. Spąsowiał przecież jeszcze mocniej, a ręką lewą ścisnął mocno rękojeść metalową szabli. Drugą ręką, grubą i miękką, jak poduszka, osłonił oczy i rozpatrywał coś na horyzoncie, którego brzeg płonął teraz purpurowo.

Choć znał dobrze miejscowość, dotknął ręką pleców jamszczyka i zapytał:

— Blisko już Dachnówka?

Białorusin wstrzymał trójkę i rzekł, wyprostowany, jak świeca:

— Dwór widać, wasze wysokobłagorodje!

Sprawnik rzucił się na siedzenie i krzyknął głośno:

— Jedź!

Telega pomknęła, jak strzała.

W istocie ukazał się w oddali na wzgórzu duży, budowany z drzewa, z werandą od przodu i obszernymi gankami z tyłu dwór. Tuż pod lasem szarzały gumna, suszarnia, tok, świronek i domek stróża. Położeniem swem górował dwór nad chatami, które rzędem stały wzdłuż traktu. W dali, na krańcu wsi, białe świeżo snąć pomalowane mury osuniętego w ziemię kościółka i czerniała wśród lipowych koron wysoka, drewniana dzwonnica. Gdy na drodze podniosły się szare kłęby pyłu, srebrzysty, cienki jęk dzwonka ozwał się zrazu cichutko, potem mocniej, donośniej płynąc gdzieś w dal, przez przestwory, przepojone świetlanym, różowym pyłem, aby zniknąć w falach rzeki, której wedy miały teraz refleks różowy, subtelny.

Przez głowę Iwana Mikołajewicza przebiegały myśli różne, jedna bardziej przykra od drugiej. Patrzył niby obojętnie w okolo, a z synem usiłował zawiązać rozmowę na temat, nie mający nic wspólnego z prawdziwymi jego myślami. W czasie rozmowy wtrącał jednak niespodziewanie takie zwroty:

— Zrujnowany zupełnie. Zostanie mu chyba dziesięć tysięcy rubli i to nie. Przedłużenia terminu nie uzyska i w senacie. Naczalstwo dotąd odwlekało termin sprzedaży, nakazanej dawno,

przed laty... Tą sprawą z kościołem dokuczył gubernatorowi. Marszałkiem był, a już wtedy podobno wchodził z władzą w zatargi. A także niezły człowiek...

Gdy pojazd był blisko dworu, Iwan Mikołajewicz podniósł się nieco i zawołał głosem przyciszonym:

— Wasia!

Białorusin nadstawił ogromnych uszu. Iwan Mikołajewicz mówił:

— Kieruj prosto do wrót i wstrzymaj trójkę przed tylnym gankiem!

Telega przebiegła jeszcze kawał gościńca i wtoczyła się przez szeroko otwarte wrota na obszerny, trawą porosły dziedziniec, pusty zupełnie. Przybyli spojrzeli ku gankowi i nie widząc nikogo, zeskoczyli szybko, idąc wolno ku drewnianym schodom, wiodącym na tylny ganek.

Na niebie gasły blaski dnia.

Gdy sprawnik znalazł się wraz z synem w salonie, chodził czas jakiś dużymi krokami niespokojny, prawie rozirytowany. Stary Mateusz, który obwieścił rychłe zjawienie się gospodarza, znikł, a marszałek niezdrów widocznie, kazał długo czekać na siebie. Więc chodził, chodził, zatrzymując się niekiedy przed przedmiotami, które zwróciły jego uwagę. Kola najspokojniej w świetle zaczął rozpatrywać się w albumie, świszcząc pod nosem jakąś aryę. Iwan Mikołajewicz zaklął cicho i chodził dalej.

Oparłszy się ręką na fotelu w stylu empire, przyglądał się z uwagą rzeźbionej w drzewie lwiej paszczęce, a myśl jego unosiła się równocześnie w sferze obrachowań i wybiegów, jakich miał użyć w najbliższej przyszłości, za chwilę może. Żal mu było trochę Dachnowieckiego, ale interes własny, widoki osobiste głużyły skrupuły. Zresztą on nie był sprawcą złego, korzystał tylko ze sposobności. Gdyby Dachnowiecki był uprzedzony wcześniej o zamiarach władzy, gubernatora, mógłby znaleźć kupca lepszego, zyskać coś więcej. Ale nakaz posłany wczoraj określał termin sprzedaży do dni trzydziestu...

Iwan Mikołajewicz doznał naprawdę uczucia przykrego, myśląc o tym nakazie. Niema co mówić, rzecz to smutna. Ale on, on zrobi tak, że nikomu krzywda się nie stanie, a on sam zyska najwięcej. Dachnowiecki mu się nie oprze, to jego deska ratunku. Chyba chce zrujnować siebie i iść na tułaczkę z nią, z córką, którą podobno bardzo kocha. Jakiś głos szepce mu, że dzieło się uda, a wtedy...

Rozjaśnił zmarszczone czoło i wodząc chwilę oczyma po wytartych adamaszkach portyer, zatrzymał się z kolei na szeregu rodowych portretów, wiszących rzędem na ścianach, okrytych złotym, a dziś spłowiałym deseniem z róż na tle wiśniowem. Poglądził długie wąsy, a wzrok swój utkwil w pierwszym z rzędu portrecie, który wyobrażał męża ogromnej tuszy, zakutego w stalową, o błękitnym połysku zbroję, z przewieszoną

przez ramię wilczurą, z lewą ręką opartą na rękojeści miecza bardzo długiego i szerokiego. Inny miał długą brodę i ogoloną czaszkę, a postać też niemalej objętości okrywał kontusz karmazynowy o żółtych wylotach; na lewym boku u wstęgi, opasującej piersi, miał krzyż wśród złocistej gwiazdy, a prawicę zasunął za piękne fałdy kunsztownego pasa. Jeden z ostatnich miał śnieżną, zawijaną w rurki perukę, koronki pod szyją i u rękawów sukni jasnej, błękitnej, i rysami oblicza przypominał pana domu.

Sprawnik miał już skończyć przegląd portretów, gdy zegar, stojący w wysokiej, oszklonej szafce, począł syczącym, ochryplym tonem głosić godzinę i w tejże chwili poruszyła się portyera i marszałek ukazał się w pokoju. Wskazawszy uprzejmie miejsce gościowi, rzucił przelotnie okiem na przedstawionego sobie Kolę i sam usiadł naprzeciw sprawnika.

Iwan Mikołajewicz śledził go uważnie, ale ku wielkiemu zdziwieniu, nie znalazł w nim najmniejszej zmiany. Marszałek był już niemal starcem, a surowe linie twarzy podnosił jeszcze brak zarostu, który zgolony był starannie. Chudy, sztywny, miał jednak w spojrzeniu i w ruchach, mimo wieku i schorowania, pewną krzepkość i zgrabność światowca. Siwymi, słabo widzącymi oczyma, mierzył on gościa od czasu do czasu, starając się z wyrazu twarzy czynownika, którego szanował zresztą wielce, odgadnąć cel obecnej wizyty.

— Wybaczcie panie... panie marszałku, że zajechałem do was. Miałem interes w tej stronie, no i wstąpiłem. Człowiek...

Dachnowiecki wtrącił sucho, ale uprzejmie:

— Panie Wirowkin, przepraszam za wizytę nie pięknie. Dom mój zawsze otwarty dla ludzi dobrych. Miło mi mieć panów u siebie.

Iwan Mikołajewicz zdawał się być nieco zafrasowanym. Szukał słów na odpowiedź, ale one uciekały na wsze strony, jak obłoki przed wiatrem. Uczuł pomieszanie, niepokój. Dachnowiecki ciągnął dalej, wodząc swemi dużemi, wypukłemi oczyma po obliczu gościa:

— Pan zapewne w urzędowej podróży po powiecie. Słyszałem, że masz pan być posuniętym do wyższej rangi. Strata to dla powiatu, dla ziemian...

Głos marszałka stał się dźwięcznym, prawie serdecznym. Na szerokiej, rumianej twarzy sprawnika zarysowało się teraz wyraźniej zakłopotanie, połączone z zadziwieniem. Nie rozumiał niepojętego spokoju marszałka. Oczy jego szukały jakichś oddalonych, w ciemnych kątach stojących sprzętów, na które barwny abażur lampy nie rzucał silnych odbłasków. Iwan Mikołajewicz nie lubił kryć się z niczem. Z trudnością więc wykrztusił:

— Dziękuję wam.

A potem dodał:

— Ot, wiecie panie marszałku. Wiadomo, instrukeya, wyższy czyn, miłość dla syna jedynaka, ale ja zostałbym, gdyby...

Dachnowiecki zmrużył powieki, a wyraz jego twarzy, na którą padał różowy refleks lampy, stał się jeszcze bardziej surowym i poważnym, niż poprzednio. Światło w lampie zaczęło drgać wskutek lekkiego prądu powietrza, które wpadło falą przez otwarte okna. Ciszę przerywał tylko chórny rzegot żab nadniemeńskich, który ustawał chwilami, przechodził w pojedyncze, oderwane recitativa, często nader dziwaczne, zmieszane... Iwan Mikołajewicz zbierał z trudem rozpierzchłe zwroty, które przygotował w drodze, mówiąc dalej głosem niepewnym, drgającym:

— Wy, panie Dachnowiecki, rozumiecie to. Straciliście, jak ja, żonę, a wasze... wasze dziecko wam drogie...

Na wspomnienie żony marszałek ściągnął brwi, a oczy utkwiał ponuro w ziemię. Sprawnik sądził, że droga, jaką obrał, była najlepszą. Mówił tedy dalej:

— Ot, dużo tu mówić, a zawsze wyjdzie na jedno. Pozwólcie, że zapytam, co myślicie teraz...

Umilkł, czując, że zanadto szybko przystępuje do dzieła. Tymczasem marszałek podniósł głowę i rzuciwszy okiem na Kolę, który tonął w rozłożonym na stole albumie, zagadnął nagle w środku słów gościa:

— Panie Wirowkin, wiem, że mi jesteś życzliwy. Daruj, że zapytam cię o rzecz dla mnie ważną. Wiesz pan zapewne, że cięży na mnie wyrok sprzedaży. Robiłem długo starania, ale dziś jestem chory...

Mileżał chwilę, a potem kończył:

— Lekarz nakazał mi spokój. Wysłałem prośbę o nowe odroczenie. Miałem w tych czasach odebrać pewne wiadomości. Myślę nawet jechać sam z córką do gubernatora. Interesa też zle, więc i innych spraw nie mało do załatwienia...

Iwan Mikołajewicz uczuł jakies niemiłe klucia w całym ciele. Pobladł nieco, choć w pokoju, mimo otwartych okien było ciepło, duszno nawet. Ale po chwili przyszedł do siebie. Słowa marszałka dowodziły wyraźnie, że o nakazie nic nie wie. Czy może jeszcze ma nadzieję? Iwan Mikołajewicz gubił się w domysłach. Marszałek tymczasem kończył zasepiony:

— Próbowalem niedawno zaciągnąć pożyczkę, ale odmówiono mi. Zdaje mi się, że to sprawa nieżyczliwych. Chciałbym jeszcze lat kilka wegetować. Umrę niebawem, a córka...

Iwan Mikołajewicz przysunął się bliżej i wtrącił, nie spuszczając na chwilę z oczu wyrazu twarzy marszałka:

— Służba służbą... Wiadomo, że gubernator was nie lubi. Ja wam coś powiem, wyście stanęli niedawno oporem jego poleceniu, pisaliście do senatu. Gubernator za radą archireja kazał zamknąć kościół... Ja wam odradzałem szczerze...

Oczy sprawnika świeciły jakimś blaskiem mocnym, a na twarz występowały ognie. Przysunął się jeszcze bliżej do gospodarza domu, który zdawał się nie zwracać uwagi na poruszenie wido-

czne u gościa. Nastąpiło milczenie, które przerwał znów gość:

— Służba służbą; no, ja wam powiem, jak swojemu. Rosyanie nie są tacy źli, jak się to mówi między wami. Sam żyj i drugiemu żyć daj, to nasze przysłowie. Nasz batiuszka znalazł podobno jakieś papiery, w których jasno napisane, że wasz kościół należał kiedyś do innej wiary i mówi, że trzeba go powrócić cerkwi. Ale rzecz nie w tem. Gubernatorowi nawet już o kościół nie chodzi. Między wami a nim dzieło skończone..

Na bladych policzkach marszałka zakwitł słaby rumieniec. Otworzył usta, jakby chciał przerwać mówiącemu. Sprawnik zauważył to i rzekł żywo:

— Panie Dachnowiecki, dajcie mi dokończyć. Wiem, że wam idzie o ten kościół, ale rzecz nie w tem... Instrukcya instrukcya, no ja wam powiem, że ta rzecz... druga nie da się odmienić. Dzieło w tem, żeby skończyć lepiej niż można. Ja bardzo rad, że mogę wam pomódz. Ale na to trzeba waszej zgody i zezwolenia waszej córki. Tak, inaczej źle wyjdziecie..

Oczy błyszczały mu gorączkowo, a na czoło wystąpiły grube krople potu. Wpadł widocznie w zapał, czy rozrzewnienie, gdyż rzęsy stały się także wilgotne. Dachnowiecki zamyślił się głęboko, nie okazując na twarzy zbytniego wzruszenia. Chwilami spozierał ku drzwiom, z których wyszedł, jakby oczekiwał czyjegoś przybycia. Był to człowiek znużony życiem i cierpieniami, a w pewnych chwilach pragnął zawsze pomocy czyjejs,

oparcia się na kimś. Słowa Wirowkina były dla niego zagadką. Nie rozumiał nawet dobrze ich treści, gdyż sprawnik mówił szybko i nieporządnie. Odezwał się przeto sucho, nie patrząc na gościa :

— Wiem, że sprzedać Dachnowkę muszę, ale mam jeszcze jakieś znajomości w senacie. Dziękuję panu za łaskawą chęć pomocy, ale ja i moja córka będziemy pisali, prosili. O pieniądze na najważniejsze spłaty postaram się gdzieindziej...

Iwan Mikołajewicz stał się jeszcze bardziej ożywionym i gorączkowo bębnił po stole jakieś fantazy. W siwych jego oczach koncentrowały się blaski mocne. Czuł, że nadeszła dla niego chwila ważna. Postanowił przeciąć węzeł odrazu i rzecz postawić jasno. Spojrzał na Kołę, który oglądając fotografię jakiejś młodej osoby, mrużył oczy i wargami cmokał, i po chwili milczenia spytał :

— Panie Dachnowiecki, wybaczenie, ale... czy otrzymaliście wczoraj jakie pismo?

Marszałek przymknął oczy na chwilę i zdawał się sobie coś przypominać.

— Tak — odezwał się po chwili natężonego oczekiwania ze strony gościa — jest to jakaś sprawa błaha. Odebrała je córka i powiedziała mi, że jutro lub później załatwi się wszystko...

Na obliczu czynownika odbiło się wyraźnie współzucie. Pobladał nieco, a oczy zaszyły mu mgłą lekką. Wreszcie głosem zmienionym odezwał się :

— Panie Dachnowiecki, wiem, co było w tem piśmie. Przechodziło ono przez moją kancelaryę.

Jego Ekscelencya generał-gubernator rozkazuje wam w ciągu miesiąca od terminu nakazu sprzedać Dachnowkę, gdyż w przeciwnym razie nastąpi sprzedaż urzędowa. Gubernator nie pozwala wam też pozostać w obrębie kraju jego władzy podległego. Ja, panie Dachnowiecki...

Umilkł, gdyż ogarnął go lęk na dźwięk słów przez siebie wypowiedzianych. Oliwkowa, blada twarz marszałka stała się siną, ciemną prawie. Żyły niebieskie na czole naprężyły się silnie, a w kątach warg uczyniły się brózdy głębokie. Twarz nabrzniiała mu też dziwnie, a oczy szeroko otwarte, utkwione były czas jakiś w ów portret, z którego ciemnych ram spoglądał surowo rycerz w stalowym pancerzu. Po chwili spuścił oczy i zdawał się zostawać w stanie odrętwienia, nieczułości zupełnej, cichego przygnębienia.

Iwan Mikołajewicz obejrzał się niespokojnie, a potem miękim, cichym głosem wyrzekł:

— Panie Dachnowiecki, nie pora jeszcze się smucić. Posłuchajcie mnie...

Marszałek zdawał się go rozumieć i patrzył wzrokiem szklanym, nieruchomym. Nawet Kola się przeraził i wystraszonymi oczyma spoglądał na obu. Sprawnik zmieszany, począł się lękać na prawdę, gdy nagle sfaldowała się kotara u drzwi salonu i lekka, drobna postać kobieca podbiegła, jak widziadło, ku odrętwiałemu starcowi i obejmując rękami jego szyję, wyszeptala:

— Ojczy!

Na ledwo dosłyszalny szmer, marszałek podniósł oczy, powiódł zamglonym wzrokiem dokoła, a potem, zwrócony do pomieszanego sprawnika, rzekł spokojnie:

— Wybacz panie Wirowkin... Spodziewałem się tego: nie myślałem jednak, że... to tak prędko przyjdzie. Nie umrę tu już...

Słowa ostatnie wymówił tonem, który targnął nawet dość mocne nerwy Iwana Mikołajewicza. W pokoju zapanowała teraz cisza. Płomień w lampie chwiał się nieustannie, u przez otwarte okna widać było łąki i srebrną wstęgę Niemna w powodzi mgły świetlanej, którą rozlewał cichy wędrownik niebieski.

Iwan Mikołajewicz zrozumiał teraz, że należy działać, lub wyjechać z niczem. Głosy jakieś wołały gdzieś w głębi jego duszy, aby szedł do celu prosto i śmiało. Nadzieja przysłoniła mu wszystkie trudności niby ową mgłą srebrzystą, którą rozsiewał jasny glob miesiąca po uśpionej ziemi. Panna Dachnowiecka, jak ją nazywano w okolicy, wydała mu się bardzo piękną, ale czuł też, że jest dobrą, bardzo dobrą. A on znał się na kobietach. Wydała mu się nawet różną od Polek, które widywał gdzieindziej. Oczy duże, ciemne, głębokie, włosy krótko obcięte, nosek mały, figurka śliczna. Przypominała mu nieco Wierę Piotrównę, matkę Koli. Ta miała jęduak więcej powiewności i powagi w dużych, długą rzęsą przyćmionych oczach. A głos miała taki słodki, taki pieściwy i drżący,

gdy blada, jak lilia, wyszeptala jedno słowo, które ocuciło odrętwiałego starca...

Iwan Mikołajewicz uczuł przez chwilę lęk jakiś. Ale zapanował nad sobą i zaczął mówić głosem drgającym, a spiesznie :

— Panie marszałku, ja wam coś powiem. Ot, ja przed wyjazdem z Kostromy uzbierał na tem i na owem. Wiadomo, kopiejka strzeże rubla. Dla syna wszystko, co mam. Ot, ja kupuję waszą Dachnowkę...

Spasował jeszcze mocniej, ręką otarł pot z czoła i nie chwytając w piersi oddechu, mówił dalej :

— Panie Dachnowiecki, wszystko dla syna... U nas w Rosyi służba ciężka, a w szkołach ucz się wiek, umrzesz, a durakiem zostaniesz... Nie chcę, by Kola jadł chleb z nauki, ale aby był gospodarzem, jak dziad i pradziad. Rozumiecie, panie Dachnowiecki... Mówię tedy do Koli: Ja ciebie wykieruję na gospodarza! Wy Dachnowki nie opuście. Dam wam mieszkanie, dom cały. Gubernator pozwoli wam zostać, trzeba tylko pojechać, prosić...

Odetchnął na chwilę, patrząc teraz wzrokiem błagalnym na nią. Była bladą, jak miesiąc w pełni, a oczy świeciły mocniej od gwiazd. Oparta o poręcz fotelu marszałka, mierzyła sprawnika wzrokiem spokojnym, chłodnym. On wyciągnął dłoń ku marszałkowi, jakby chciał ująć go za rękę i mówił szybko :

— Wy panie Dachnowiecki macie uprzedzenia. No, niema co mówić, nie ja winien, że tak jest.

Ja, sami wiecie, mam za zasadę pomagać wszystkim. A także syn, Kola... Jak myślę o nim, tak mnie zaraz tu, koło serca... Nauką się zamęcza..

Dachnowiecki słuchał go uważnie, a on kończył:

— Panie Dachnowiecki, ja ojciec... Moja Wiera zarazby rzekła: Coś ty za ojciec, gdy za synem gadać nie umiesz? Ustępstwa wam zrobię wszelkie. Ja, ja was proszę o waszą córkę dla Koli...

Zamilkł, ale w tej chwili wstrząsł się cały jak w febrze. Gdyby stał, odskoczyłby pewnie. To ona, ona krzyknęła. Spojrzał na nią pomieszany. Białe policzki jej pałały jak róże i ręką jedną chwyciła się ramienia marszałka, który okazywał jednak dziwną spokojność. Jej pierś falowała mocno pod ciemną, brązową sukienką. Wyglądała strwożona, a zarazem alabastrowe czoło marszczyło się, jak woda pod wiatrem.

Iwan Mikołajewicz uczył drzenie gdzieś daleko, w głębi serca, a oczy przesłoniła mu jakaś mgła szara. Dachnowiecki utkwił oczy w portretach, wiszących rzędem pod sufitem, i mówił zwolna a zimno:

— Panie Wirowkin, prawdziwie obowiązany jestem za życzliwość wyrazić mu podziękę. Wiem, że sam jesteś dobry i syna kochasz. Oddziela zaś nas, tak oddziela... całą przepaść. Nie myśl, bym miał uprzedzenia stanowe lub inne. Są między wami dobrzy, nawet bardzo wielu. Ale widzisz, ja, starzec, mam swoje zasady, a także... zgodzę się z losem. O mnie nie chodzi...

Ujął z pewną energią za rękę córkę i rzekł:

— Kocham ją, jak ty syna. Biedne dziecko szlacheckie, sierota po matce, a ojciec, niech mu Bóg wybaczy... Nie mam prawa do niej.

Umilkł, utkwivszy oczy w jej twarzyczce bladej, bardzo bladej. Iwan Mikołajewicz wstał i patrzył na nią pomieszany... Oczy miała osłonięte rzęsami, ale widział ich blask mocny, dziwny, fałdy na czole i usta zaciśnięte silnie. Mroził go wyraz jej rysów, choć nie mówiła nic.

Dachnowiecki kończył z widocznym chłodem:

— Panie Wirowkin, byłeś życzliwy i otwarty. Zapytaj mej córki, ja zostawiam jej wolę...

Sprawnik uczył dreszcz w całym ciele. Wydała mu się naraz tak piękną, że myślał wołać na Kolę, stojącego nieruchomo, by padł przed nią i bił pokłony, jak w cerkwi. Ale po chwili rozwagi opamiętał się. Wyjąknął tedy cicho, a nieśmiało:

— Panno... panno Alino...

Jej wargi zadrżały silnie i pobielala cała, jakby owiał ją wiatr mroźny. Potem, niedając dokończyć sprawnikowi, wyrzekła głosem cichym, ale spokojnym:

— Nigdy!..

Iwan Mikołajewicz pobladł mocno. Zły był, oj zły, ale też ból uczył mocny. Zrobiło mu się żal Koli, siebie i stał chmurny, bezradny i strapiony ciężko. Czy ona pomyślała nad tem, co rzekła? Alboż mało Polek idzie za Rosyan. A on, Kola uczony i dobry też. No, niema co mówić, niewel sołe położenie. Spojrzał na marszałka, który, trzymając rękę córki w dłoniach, patrzył nań ze spo-

kojem, na nią, która stała przytulona do starca, blada i śliczna zarazem, na Kolę, który również blady, jak płótno, wpatrywał się w nią, jak w zjawisko i zaklął w duchu.

W podwojach, wiodących do jadalni, ukazał się Mateusz w jakiejś ciemnej liberyi i poważnym głosem obwieścił, że herbata na stole. Iwan Mikołajewicz zerwał się prędko z fotelu, na którym usiadł dopiero wyczerpany, zgryziony, i rzekł sucho, a z źle ukrytym bólem:

— Panie Dachnowiecki, wybaczenie, muszę odjechać zaraz...

Za kilka minut telega wytaczała się znów za bramę, wśród głośnych wykrzyków, które spadły na biednego Wasię, rozspanego zupełnie. Przez niebiosa płynął ciągle księżyc czysty, promienny, a nad srebrzystą wstęgą Niemna i nadbrzeżnemi łąkami rozciągnęły się smugi mgły bardzo białej i świetlanej, która uczyniła je całkiem niewidzialnemi. Telega znów pomknęła ku puszczy.

Ojciec Makary jest mężczyzną sześćdziesięcioletnim, a w życiu przeszedł już немало.

W młodości był podobno bardzo cenionym dla swych zdolności przez biskupa ostatniej „opornej“ dyecezyi i mówiono o nim wiele. Później z biegiem lat i wypadków stanął w opozycyi do pasterza i uległ wpływom wyższym. Nadzieje jego w owej epoce sięgały wysoko.

Zawiódł się nieco, a — smutno powiedzieć — nawet jego własne owieczki poczęły zagrażać jego

osobie, życiu. Otrzymywał jakieś kartki, znaki i usunął się wcześniej. Jest już od dawna na nowej siedzibie, a o Zabużu prawie zapomniał. Powodzi mu się nieźle, dochody nie ostatnie, a zwierzchnicy też dość łaskawi. Od lat kilku rozwinął nawet działalność dość imponującą.

Na skutek jego starań usunięto z miasteczka zbyt gorliwego księdza, który raz dał mu poznać swą o nim opinię. On osądził też, że dwa kościoły w powiecie są zupełnie zbyteczne, a archidj. posłał odpowiednie przedstawienie gubernatorowi. Dziś ma już na myśli trzeci kościół w Dahnówce.

Ojciec Makary przeżył dużo, ale wygląda względnie młodo. Średniego wzrostu, chudy i bardzo rosły w ramionach, o ciemnym jak węgiel zaroscie i włosach długich, lśniących, ma oczy czarne, patrzące zezem. Ztąd mówiący z nim nigdy nie wie, w którą stronę patrzy w danej chwili ojciec Makary. Surowe, gminne rysy nie nadają też jego fizjonomii wiele wdzięku.

W miasteczku nazywają go kosookim. Pewien urzędnik z sądu ujrzał raz rankiem na drzwiach cerkwi wielki karton, przedstawiający ni mniej, ni więcej tylko — samego batiuszkę z rogami na głowie. Pod wyobrażeniem osoby stał napis węglem: ezort. Były potem dochodzenia, śledztwa, ale sprawca znikł jak kropla w morzu. Ktoś wyraził się złośliwie, że twórcą kartonu był ten sam urzędnik, biegły podobno rysownik i liberalny w opiniach.

Ojciec Makary lubi wychodzić przed obiadem na przechadzkę. I dziś ujrzano go jak zwykle idącego zwolna przez rynek w stronę, dokąd jednak zwykle się nie udawał. Szedł zamysłony, a wiatr suchy, upalny rozwiewał mu długą i ciemną brodę, nie oszczędzając także sukni długiej i przestronnej. Ojciec Makary miał córkę i musiał o niej myśleć. Była to osóbką już nie pierwszej młodości, niezbyt piękna i w dodatku, o czem szeptało nawet w miasteczku, zbyt rezolutna i śmiała w postępowaniu z mężczyznami.

Niejeden czynownik chętnieby się o nią pokłonił, bo ojciec Makary miał podobno nieco rubelków w skrzyni, ale panna Masza traktowała starszych konkurentów z góry, rzucając natomiast wyzywające spojrzenia na studentów i opierając się z lubością w antraktach tanecznych w miejscowej „rotondzie“ na ramieniu młodzików, których usta, jak sobie po cichu mówiono, nieraz zabląkały się w okolicę jej ust.

Ojciec Makary kroczył z głową podniesioną, ale chmurny i przygnębiony. Właśnie dziś rano wleciała Masza do jego pokoju i bez uwagi, że ojciec miał za chwilę udać się do cerkwi, jęła wykrzykiwać i stukać nóżkami o podłogę wcale nieprzystojnie. Chodziło naturalnie o tego niedźwiadka Kolę, który od niejakiego czasu bywał stale w ich domu i jak się okazało niedawno, bez wiedzy ojca. Ojciec Makary już ręce zacierał z radości, gdy nagle Kola znikł i nie pokazywał się nawet

na ulicach, kędy śledziła go podczas przechadzek codziennych Masza.

Dziś oświadczyła ojcu energicznie, że winien na miejscu, u sprawnika zasiągnąć wiadomości o zbiegłym. Nie zaszkodzi też wybadać tego ostatniego, czy nie byłby skłonny namówić syna do dalszego bywania w ich domu. Była to misya dość trudna i połączona z przeszkodami natury osobistej. Sprawnik trzymał się bowiem zdaleka od ojca Makarego i ten ostatni, nie myśląc też wcale o spełnieniu polecenia córki w całej rozciągłości, zamierzał tylko zbadać sytuację. W tym celu dążył wprost do prywatnego mieszkania Iwana Mikolajewicza. Nie zastał go jednak, gdyż urzędowe godziny jeszcze się nie skończyły. Niezadowolony już z pierwszego niepowodzenia, szedł zwolna do biura naczelnika powiatu.

W pierwszym pokoju młodzi czynownicy zerwali się z krzesel i opadli następnie, jak automaty. Jeden młody podbiegł i całując szeroki rękaw sukni duchownej, odebrał laskę i cylinder. Ojciec Makary zajmował bowiem w hierarchii godność protoreja. Sprawnik, siedzący w trzecim pokoju, zmarszczył brwi pod okularami i z niechęcią odłożył na bok czytana właśnie gazetę. Ojciec Makary wszedł szybko do kancelaryi, nie zwrócony ani na chwilę plecami do wiszącego na ścianie obrazu, który przedstawiał panującego w naturalnej wielkości i w pełnym jeneralskim uniformie, i wyciągnął już zdaleka rękę do powi-

tania, usiłując nadać swej twarzy wyraz jak najprzyjemniejszy.

Wymieniono pierwsze wyrazy grzeczności, po których rozmowa zaraz rwać się poczęła. Ojciec Makary jał wypytywać się teraz o nowiny z powiatu, o interesa, na co sprawnik odpowiadał monosylabami. Jasne jego czoło powleczone było ckmurą jakąś, policzki drgały nerwowo, a jednak milczał, gniotąc palcami jednej ręki leżącą na stole gazetę. Kilka razy rzucił okiem koło siebie i znów zapadł w zadumę.

Ojciec Makary ocenił położenie i poruszając się na krześle, jakby do wyjścia, wycedził jak najśłodziej:

— Widzę Iwanie Mikołajewiczu, żeście dziś nie do pogadanki. Przyjdę innym razem...

Sprawnik zaprzeczył ruchem ręki, a gość kończył:

— No, ale powiedźcie mi, co wam dolega. Może ja poradzę...

Milczenie. — Ojciec Makary stracił ochotę do dalszych badań. Spostrzegł jednak, że sprawnik otrząsa się nieco z tonu obojętnej grzeczności i poczyna patrzeć nań uważnie. Była to natura nie umiejąca ukryć długo czegokolwiek. Rzucił pomięty dziennik i rzekł głosem niskim, przygnębionym:

— Ot, wiecie ojcze Makary, że jak bieda dostąpi, to dostąpi...

Urwał na chwilę, a gość podchwycił troskliwie:

— Jakaż to bieda, jeśli wolno wiedzieć?

Iwan Mikołajewicz spotkał się na chwilę z kosem wejrzeniem protorejeja i mówił dalej tonem ponurym:

— Nie pytajcie ojczy Makary z czego bieda, kiedy ona jest. Ot, nieszczęście i koniec... Może przynajmniej potem się namyśli, przemieni...

Ojciec Makary nie domyślił się jeszcze niczego, a sprawnik kończył z westchnieniem:

— Albo go ożenie, albo bieda?

Pierś słuchającego wezbrała nieznanem mu dziś jeszcze zadowoleniem. A więc to Kola broi. No, są środki na to. Trzeba tylko przewidzieć, obmyślić, zachodzić i omotać obu ptaszków. Zapytał tedy tonem prawie wesołym:

— A czy to niema rady na młodych?

Sprawnik otworzył szeroko oczy, a potem rzekł z akcentem smutnego powątpiewania:

— Kto wie?

Ojciec Makary obserwował go z pilnością, a potem położył rękę na dłoni sprawnika, mówiąc:

— Iwanie Mikołajewiczu, powiedzcie mi wszystko. Nie mogę wam dać inaczey dobrej rady.

Ton tych słów był miękki i poważny. Pod ich wrażeniem sprawnik odpowiedział:

— Niema co mówić dużo Kola był ze mną na objeździe w Dachnówce, gdzie, jak wiecie, ma w tych dniach nastąpić sprzedaż urzędowa. Ot i zakochał się w córce, czy wychowanicy Dachnowieckiego. Jeździ co dzień do Dachnówki, pod dwór podchodzi, ale mówi, że boi się, aby go nie widziała. Poszedł w duraki i koniec.

Chwilę panowała cisza. Ojciec Makary gładził długą, czarną brodę, a duże, kose jego oczy świeciły mocno, jak u kota. Zdawać się mogło, że jest mocno poruszony tą wiadomością. Spodziewał się jednak wydobyć z sprawnika jeszcze nowe wyznanie. Więc po chwili oczekiwania zaczął to-nem twardym, a kryjącym radość wewnętrzną:

— A więc runie jedno gniazdo agitacyi. No, i wy Iwanie Mikołajewiczu uczuliście ich pazurki. Uważacie, że nawet patrzeć na siebie nie dają, przed drzwiami trzymają ludzi godnych. No, nie będą was teraz nazywali polakującym. Uważajcie, co wam powiem. Ja, na waszem miejscu zоста-wiłbym im po sobie pamiątkę...

Ale sprawnik spochmurniał tylko bardziej i słu-chał gościa obojętnie, co jeszcze bardziej podnie-cało jego zapał.

— Kola jeszcze młody — ciągnął głosem pod-niesionym — ugiąć się da. Ja wam radzę wziąć go pod ojcowską komenderówkę, nie pozwalać na głupstwa. Jest u nas dość panien przykładnych i nie bez urody. U mojej Maszy zbiera się ich kilka. Kaźcie Koli przyjść, to rozbawią go, od-mienią... Młodzik zapomni i zaduraży się. Mówię wam, będzie wnet nowa miłość. Ja, ja coś sły-szałem nawet o Koli, tu w miasteczku. No, ale o tem innym razem. Gdybym był na waszem miejscu, przedstawiłbym tego Dachnowieckiego w naczalstwie tak, żeby go i mlekiem nie obmył. Dowody się znajdują zawsze. Sybir, no a w drodze

łaski choćby oddalone gubernie. Wierzcie mi, trzeba tak zrobić...

Oczy batiuszki łyskały teraz dziko, a ręce drżały ze wzruszenia, czy z wściekłości. Iwan Mikołajewicz słuchał bez zajęcia mówiącego głosem silnym, prawie grzmiącym, a potem rzekł ze spokojem:

— Ojcie Makary, nie mówmy o tem. On i tak zrujnowany, nieszczęśliwy. Ja mojego syna ratować muszę. Dziś mówił mi, że się zabije, otruje, rzucał się...

Ojciec Makary zawołał:

— Nie bójcie się. Nie takie rzeczy działy się i dobry koniec uwieńczył dzieło. Kola młody, a tacy zawsze to mówią. Ja go nawrócę, przemienię. Obaczycie, że inny człowiek będzie z niego. A po nich nie zostanie i śladu. Kości ich każę wyrzucić z grobów. Zwyciężycie wy i cerkiew, idea... Bądźcie tylko energiczni...

Twarz pokryły mu cienie jakieś, a palcami rwał brodę, mierzwiąc ją w sposób dziwaczny. Iwan Mikołajewicz zamyślił się, a po chwili rzekł chłodno:

— Wybaczcie, słaby jestem, innym razem pomówimy. Muszę iść odpocząć.

W istocie poblądł mocno, a na twarz wystąpiły mu wielkie krople potu. Ojciec Makary przygryzł silnie usta, ale twarz ubrał w wyraz współczucia. Dotknąwszy lekko dłoni sprawnika znalazł się prędko w pierwszym pokoju, gdzie znów powtórzyła się scena z cylindrem, laską i wstawianiem.

Iwan Mikołajewicz pozostał sam, strapiiony, chory.

Gdy stary Mateusz wyszedł na tylną werandę dworu, różowa, okolona wieńcem białych włosów twarz jego zachmurzyła się mocno.

Cały dziedziniec, cichy zwykle i pusty, pełny był chłopstwa, w którym przeważały kobiety i dzieci. Mężczyźni gromadzili się pod szopami, szepcząc coś tajemniczo, baby z dziećmiakami na rękach lub przy boku cisnęły się do werandy. Przez otwartą bramę wsuwały się ciągle nowe gromadki, twarze mało znane, z za puszczy...

Mateusz osłonił dłonią oczy od słońca, które w tej chwili tonęło w rubinowem przeźroczu chmur i udając, że szuka czegoś, podreptał starym krokiem ku schodom, wiodącym na dziedziniec. Mimo, że serce miał ściśnione bardzo i z przestrachem myślał o bliskiem opuszczeniu kątów, gdzie służył od dziecka Dachnowieckim i miał służyć gdzieś daleko jeszcze do śmierci, uczył mimo zgryzoty ulgę jakąś; rad był, że przyszli. Już dziś rano słyszał coś o tem od gajowego; czekał więc, co będzie dalej i dreptał ciągle...

Tymczasem słońce nie myślało jeszcze zniknąć w świetlanej mgłę obłocznej i promieniowało silnie, rozlewając po niebiosach blaski silne, różowe. Podczas gdy środek sklepienia miał refleks szmaragdu, brzegi świeciły kolorem lapis lazuli, lub przechodziły w ton blady, niezabudkowy. Tu i owdzie wędrowały szare, kłębiaste obłoki, a w powietrzu duszno było i cicho. Na dziedzińcu zaś robiło się tłumniej, ciaśniej. Chłopstwo przy-

sunęło się teraz bliżej do werandy, zgodnie, powoli, jakby je ożywiała myśl jedna, uczucie. Ludzie ci w szarych, płóciennych kurtkach, w szerokich hajdawerach i w łykowych łapciach, z wojskowymi czapkami, w ciemnych, spracowanych dłoniach, szeptali coś kobietom, które potakiwały im z otwartymi ustami. Twarze ich surowe, brunatne, o zwojach włosów długich, lnianych, często zwiniętych w kołtun, wyrażały jednak myśl jakąś, gorączkową żądzę, zamiar. Wszystkie zaś pełne były smutku.

Słońce zgasło, ale luna purpurowa świeciła na obłokach jaskrawo. Atmosfera stawała się też parną, prawie duszącą mimo wiatru, który zrywał się niekiedy, zrzucając chmury śnieżnego kwiatu na głowy tłumu, grupującego się w zwartych kolumnach pod koronami lip dziedzińca. Za ogrodzeniem szumiała też puszcza głucho, monotownie. Tłum na dziedzińcu począł się ruszać jak olbrzymie ciało szare, mileżące, a kilku odważniejszych wstąpiło nawet na schody. Szmer jakiś przelatował nad masą, oczy wszystkich poruszały się niespokojnie, niemowlęta nawet poplakiwały żałośnie.

Mateusz począł się gniewać. Czemu przyszli bez wezwania? Mają wolność i myślą, że równi, do dworu się sami wpraszają. Czego chcą wreszcie, czy nie dosyć ma przykrości pan marszałek, aby mu jeszcze chłopstwo kwasu swą wizytą dodawało? Bez pożegnania także się obejdzie. Myślał już gromko rzucić im rozkaz oddalenia się, ale przypomniał sobie, że to jakoś nie po ludzku.

Możeby też i nie usłuchali, bo od czasu uwolnienia z poddaństwa zhardzieli ogromnie. Było ich też wielu, niektórzy nawet z dawnych włości Dachnowieckiego klucza.

Krążąc tedy i mrucząc ciągle, zdecydował się wejść do sieni, zamknawszy drzwi za sobą. Dochodził tu przez na pół otwarte drzwi salonu niski, lekko drżący głos marszałka, rozprawiającego z prawnikiem, przybyłym wczoraj z Wilna. Panna Alina krzątała się koło komody, zbierając jakieś miniatury do wyplatanej kasetki i przysłuchując się pilnie rozmowie. Marszałek, siedząc na zwyczajnem miejscu, mówił:

— Panie Altuchow, to moje postanowienie nieodmienne. Czuję się zresztą zdrowszym, spałem lepiej i rozdrażnienie ustało. Córka też chce mi oszczędzić chwil przykrych. Wiem, że pan sprawę moją za własną uważa i czekam od niego tej przysługi. Daję panu zupełne pełnomocnictwo...

Siedzący na przeciwległym fotelu Rosyanin skłonił się lekko i przecierając chustką zamglone lekko złote okulary, zaczął:

— Wasza wola, trzeba jednak pisma, dowodu... Marszałek spojrział na córkę i wnet wszystkie przybory znalazły się na stole. Za kilka minut pełnomocnictwo było gotowe.

Teraz marszałek pogrążył się w zadumę, a jasne, niebieskie oczy Altuchowa utkwily w twarzy panny Aliny, która myślała o opuszczeniu pokoju. Była bladą, przeźrocystą prawie, ale oczy

czarne błyszczwały jak brylanty, a usta były tak różowe, jak listki róży polnej lub orchidei.

— Pani — rzekł po chwili, zanurzwszy palec w dużej, o złotawym połysku brodzie — możesz wpłynąć na ojca, by zmienił postanowienie. Z kupcem można nawiązać jakieś układy i pozostać jeszcze kilka tygodni w Dachnówce. Ojciec jest silnie rozstrojony i podróż wpłynie na niego niekorzystnie. Gubernator nie określił terminu wyjazdu..

Ona milczała, oddychając ciężko. Wreszcie szepnęła cicho:

— Nie, nie mogę, nie powinnam...

— Czy to ostatnie słowo pani?`

— Tak, ostatnie.

Milczenie. Altuchow zmierzył ją uważnie z zażyciem i zrozumieć jej nie mógł. Był przekonany, że jego rada była zupełnie na miejscu.

Zachmurzył się nieco i rzekł surowo:

— Będąc wczoraj w miasteczku, słyszałem od kilku osób, że sprawnik Wirowkin ma chęć kupna. Jest to dobry człowiek i z ochotą zgodzi się na warunki...

Na jej twarzy zarysowało się niezadowolenie jakiegoś. Ściągnęła lekko usta, a pierś poczęła się mocniej poruszać. Marszałek zdawał się drzemać w wygodnem krześle. Rzekła tedy cicho, ale tonem stanowczym:

— Panie Altuchow, proszę, byś nie robił żadnych kroków...

Na twarzy adwokata odbiło się zadziwienie. Nie dając jednak za wygraną, rzekł z żywością:

— Zdrowie ojca pani zrujnowane, rozstrój nerwowy, a siły prawie żadne. Tydzień lub dwa mogą wiele zaważyć. Potem pojedziecie.

Ona milczała, ukazując teraz na twarzy pewien niepokój i lęk. Wreszcie odezwała się głosem niepewnym:

— Nie mogę... Ojciec oporu nie znosi. Zrobię, jak zechce.

Altuchow zasępił się i marszcząc czoło, począł rozpatrywać papiery, leżące na stole. Dachnowiecki poruszył się w krześle, rzucił wzrokiem dookoła i szybko, jakby przypomniał sobie coś nagłe, odwrócił się do córki, mówiąc:

— Wiesz, Alinko, że zmieniłem projekt. Jedziemy zaraz, za godzinę. Nie chcę tu dłużej zostać, duszno mi, a jutro oni... tu będą.

Zdawał się bardziej ożywiony, blade policzki nabierały blasków, kończył bez oddechu:

— W miasteczku zanocujemy. Każ zaprzęgać Alinko. Pana Altuchowa czekamy w hotelu...

To mówiąc, lekkim, elastycznym krokiem szedł do swego pokoju, gdy niska, zgarbiona postać Mateusza zjawiała się w pokoju. Sługa wyglądał zafrasowany, strwożony prawie.

— Włóścianie — rzekł zwolna — są na dziedzińcu i chcą mówić z panem marszałkiem.

Twarz Dachnowieckiego pociemniała. Ściągnął brwi, ale w tej chwili uczuł, że piersi rozpiera mu jakieś uczucie nowe, bolesne. Musiał się oprzeć na ramieniu córki, która podbiegła przelękniona.

Ruszył wreszcie zwolna, oddychając z trudnością. Za nimi powlókł się Mateusz.

Na dziedzińcu tłum zakolysał się gwałtownie i uczyniła się cisza taka jak w kościele. Bór tylko za ogrodzeniem jęczał ponuro, a z koron lipowych spadał wciąż deszcz kwiatowy. Na niebie chmur szarych przybywało i mrok rozpościerać się poczynił.

Marszałek ruchem ręki odsunął cisnące mu się do kolan baby, a powieki drżały mu nerwowo. Tonem pewnym, ukrywającym cierpienie, zagadnął:

— Czego chcecie?

Przy ostatniej sylabie głos zmienił mu się, a oblicze pokryło się smugami sinemi. Tłum milczał jak osłupiały, wpatrując się w obojga państwo jak w tęczę. Po chwili odezwał się znów głos marszałka, ale z akcentem łagodności:

— Pytam was raz drugi, czego chcecie?

Cisza. Z końca dziedzińca dolatywał tylko szept daleki, przygłuszony, a dzieci w płachtach zaplały rzewnie. Teraz przedarł się przez tłum chłop może siedmdziesięcioletni, z włosiem rzadkim i białym jak mleko, z długą, rozwianą brodą, o brwiach szerokich, z wyrazem pokory w oczach wyblakłych, zapadłych wśród wychudlej, kościstej twarzy. Objąwszy obojga państwo za nogi, rzekł głosem bez dźwięku, ale tak, że mogli go słyszeć bliżej stojący:

— My tu przyszli prosić jasnych państwa, aby nie wyjeżdżali...

Baby podniosły oczy błagalnie, a chłopci pochylili głowy, potakując kilkakrotnie. — Zbliżył się drugi, człowiek olbrzymiego wzrostu, z twarzą pełną ponurej determinacji, także siwy zupełnie.

— My — rzekł głośniejszym, białoruskim akcentem — nie chcemy, by panowie nas opuszczali. Nie wpuścimy tu nikogo...

Oczy z natury łagodne, świeciły teraz dziko. Baby poczęły szlochać chórem, a najbliżsi pochylili się znów do nóg marszałka i „panny.“ — Dachnowiecki milczał, a panna Alina była białą jak płótno. W swej ciemnej, materyalnej sukni wyglądała jednak jak anioł smukły, przejrzysty, biały przy chmurnym, czarno ubranym marszałku.

Uczuła w tejże chwili, że ramię, oparte na jej ramieniu, drży mocno, konwulsyjnie. Pamiętała, że zdarzało się to w chwilach przejść ciężkich. Opanowywało wtedy marszałka odrętwienie zupełnie, a przez gardło wydobywało się rżenie chrapliwe, przytłumione. Kolana zatrzęsły się pod nią ze strachu i głosem słodkim, choć zmienionym, szepnęła coś ojcu do ucha, a sama zwrócona do stojących najbliżej, odezwała się tak głośno, że słyszano ją przy wrotach:

— Pan marszałek chory, odejdźcie!

Masa zwarta na dziedzińcu, poczęła szeptać tajemniczo, potakiwać głowami, wreszcie rozrzedzać się stopniowo. Na gościńcu zrobił się gwar większy. Tymczasem na niebie zwały chmur szarych, strzępiastych zlały się powoli w sklepienie, poruszające się leniwo, ciemniejące, w chmurę rucho-

mą, zwiśłą, grubą, spuszczającą się nisko nad dworem i puszczą, huczącą teraz głucho, groźnie. Z nad Niemnowej fali wzniosły się słupy mgły brudnej, rzadkiej, a mrok uczynił się grubszy, gęstszy.

Na trakcie było już całkiem pusto, gdy z wrót wytoczyła się karetą, kierując się szybko w stronę przeciwną od wsi, na drogę boczną, wiodącą do miasteczka. Gdy pojazd zniknął niebawem na skrócie, błysk jasny, osłepiający rozświetlił całą okolicę. Za nim błękitne, zygzakowate taśmy, jęły rozdzierać czarną chmur oponę w tysiącnych kierunkach. Huk, przerywany olśniewającymi błyskami, potężniał, rósł, przeciągał się bez końca. W krótkich przerwach dźwięczał tylko głos jęczący sygnaturki na dachu kościółka, pomieszany z szumem spadających strumieni wody.

Puszcza chyliła się pod szaloną wichurą, wydając niekiedy głosy przeraźliwe, rozpaczne, twarde, jakby łamiących się gałęzi i pni odwiecznych. Nad rzeką zakłębiły się szare tumany mgły, a huk chwilami rósł do szaleństwa, do wściekłości...

Wysoko ku czystym lazurom wystrzeliły białe mury i wieże kościoła katolickiego w Kijowie.

Z miejsca, na którem się wznosi, wielkie, słoneczne, świecące złotemi baniami mnogich cerkwi, strojne mnóstwem ogrodów i willi miasto, widne, jak na dłoni. Za kościołem zieleni się równina,

na której gdzieniegdzie czernią się ławki, a w dni świąteczne zjawia się Niemiec z karuzelem, zakupnie z tanimi przysmakami, roje gawiedzi ciekawej, żądnej uciech wszelkiego rodzaju. Zwyczajnie jest tam jednak spokojnie, pusto, a spoczywający na jednej z ławek może podziwiać masy domów, rozrzucone po dolinach i wzgórzach, białe pałacyki, tonące w szmaragdowej zieleni, blask złotych kopuł w promieniach słońca i niebios lazury, zwarte w ogromny, modry strop nad tym chaosem murów, zieloności, złota, lśniącym, dziwnym, jaskrawym.

Za Dnieprem, którego ciemne nurty opływają stopy wzgórza, widok odmienny. Szeroka, stepowa równia bez różnitości, odcieni, przeskoków, w dali ciemna nitka lasów i lekki, siny obłoczek pod spadającym błękitem — to całość prosta, barwna, choć bez blasku i tęczości. Płynące po niebie welniste strzępy rzucają duże cienie na tę nieskończoność zieloną, gładką, jednostajną. Na jasnej szybie rzeki ciemnieją łodzie i ładowne statki, dym wiotki w wieńcach unosi się z kominów w przestwory, tłum przewoźników i handlarzy roi się ciągle w dole na wybrzeżu, niby mrówki rozpraszając się i skupiając bez przerwy.

A dzień był piękny i letnie słońce wędrowało samotnie wśród bezkresów lazuru, niezaćmionego ani jedną chmurką. Nabożni powrócili dawno do swych zajęć, a koło kościoła zrobiło się pusto i bezludno. Pan Dachnowiecki doszedł do jednej z ławek i zdjąwszy szary, wysoki cylinder, jął

ocierać chustką pot, lejący się z czoła. Następnie usiadł i patrzył.

Był to jeden z tych dni, które dają w całej pełni odczuć uroczy powab dnia letniego. Mimo, że upał wzmógł się ogromnie, lekki wiatr niósł od rzeki prądy orzeźwiający, słodkie i pan Dachnowiecki czuł też jego oddech świeży, subtelny. Niebiosy pływały w jaskrawej powodzi światła, a ogromne banie cerkwi, stojących na górach promieniały złościście, jak olbrzymie stopy ogniste. Ulicą spuszczałą się ku rzece maszerowało trzech kacapów w czerwonych „rubaszkach“ z wodząc ochryplymi głosami pieśń pijacką.

Pan Dachnowiecki przyglądał się ruchom statków na rzece i dumał.. Dzień dzisiejszy był dla niego pamiętnym. Opuścił w nim przed laty Dachnowkę na zawsze, by do śmierci tulać się daleko od gniazda. Co przecierpiał fizycznie i moralnie przez te lat kilka, nikt nie zrozumie. Gdy umarła mu żona, nie czuł się jeszcze tak nieszczęśliwym. Miał jeszcze własny kąt, wspomnienia. Mateusz śpi też od roku pod zieloną murawą. Ale w tem życiu smutnem, w tych resztkach bez wartości i uroku świeciła mu gwiazda jedna. Była nią ona, córka. Bez niej zginąłby schorowany, stary. Zdawało mu się, że gdy jej nie widział koło siebie, brakło mu tehu, życia.

Troska o nią powiększała jego siły, otuchę. Wychował ją z żoną, potem sam uczył, ale też zualazł skarb, dziecko, wszystko. Ona była promieniem, który rozjaśniał ciągle ciemną otchłań

jego terazniejszego bytu. Bez niej strata rodowego gniazda dobiłaby go ostatecznie, odjęłaby resztę sił żywotnych. I teraz pracuje biedaczka, by zapewnić jeszcze lepszy byt, niż ten, który zapewniała mu suma, pozostała z sprzedaży.

Cały ranek przepędza na lekcjach, a zawsze wesola, śpiewająca, rozkoszna, istny anioł nadziei i pociechy. I kiedy pomyślał, że ona ma nadejść wkrótce, łzy stanęły mu w siwych, zapadłych oczach. On tak potrzebuje jej obecności, wzroku, głosu. Od dni kilku spostrzegł w niej pewną zmianę, ale pytać nie chciał. Zastał ją raz, opartą na krawędzi okna, z zapatrzonemi gdzieś w dal oczyma, smutną. Nie zauważyła nawet jego obecności..

Słońce podniosło się już wysoko, a nad rzeką ruch już ustawać zaczynał. Od wody płynął ciągle powiew chłodny, lekki, ożywczy. Pan Dachnowiecki dumał ciągle. Postanowił dziś córkę wybadać koniecznie. Może trafi się z powodu jakiejś straty materialnej, może utraciła lekcję lub doznała złego obejścia. Myślał już o tem wczoraj. Trzeba koniecznie usunąć powód jej zmartwienia. Chleba nie zabraknie, a dziecko traci zdrowie, wesołość. Z temi myślami podniósł się z ławki i zwolna, opierając się na lasce, zwrócił się ku miastu w myśli powrotu do domu.

Szedł teraz krokiem żywszym, gdyż obawa o nią dodała mu siły. Wydawało mu się, że widzi ją zdążającą z daleka, z głową pochyloną nieco, i zatrzymującą się niekiedy. Gdy ujrzała go, przyspie-

szła kroku i uśmiechnęła się, jak zwyczajnie, słodko. Była pąsową prawie ze zmęczenia, a w jasnej, o szerokich bufach sukience, w kapelusiku słomianym z wiązką niezabudek wyglądała rzeczywiście ślicznie. Podbiegła lekko i całując jego rękę, wsunęła w milczeniu rączkę pod ramię, prosząc, by niedowierzał lasce.

Szli w milczeniu w dół ulicą Kościelną ku rynkowi. Zdąła dochodził ich uszu głośny turkot powozów i gwar przechodniów na wiecznie ożywionym Kreszczatyku. Skręcili, idąc czas jakiś rynkiem, w jedną z bocznych ulic. Pan Dachnowiecki zapomniał na chwilę o postanowieniu i zaczął uskarżać się na dotkliwy reumatyczny ból w nodze, który dokuczał mu dziś w nocy. Ona pobladła lekko i zaraz zaczęła mówić o środkach, jakie trzeba będzie zastosować dziś, zaraz.

Weszli wreszcie do mieszkania. Ponieważ godzina obiadowa była jeszcze daleką, przeto pan Dachnowiecki postanowił pójść do swego pokoju i zdrzemnąć chwilę. Weszła za nim i stanąwszy pod oknem patrzyła w ogród. Niebo było ciągle jasne, świetne, promienne. W ogrodzie, na który wychodziły okna pokoju ojca, lekki wietrzyk stąpał po wierzchołkach drzew i krzewów, a w powietrzu unosiły się muszki o lśniących skrzydełkach i róż korony wydawały woń mocną, odurzającą.

Pan Dachnowiecki śledził ją uważnie. Usiadłszy w fotelu, oparł nogi na podstawionym stoleczku i przypatrywał się jej troskliwie. Zdawało

mu się, że blednie niekiedy, a drobne, różowe usta drżą niekiedy jak listki na drzewach ogrodu. Chwilę milczał zatopiony w myślach, a potem rzekł tonem poważnym:

— Alinko, tobie coś jest. To nie pięknie ukrywać przed ojcem swoje smutki.

Ona drgnęła, a potem zaróżowiona mocno zwróciła się do niego z uśmiechem nieco melancholijnym:

— Ja papo myślałam... tak myślałam teraz o chorobie papy...

Choć widział w jej oczach przywiązanie, a czułość w głosie, czuł, że ona coś ukrywa koniecznie. Więc pytał dalej, ale z odcieniem miękkości w głosie:

— Pewno która z elewek nie zrobiła zadania, a ciebie to już irytuje Alinko...

Zarumieniała się teraz, jak zorza wieczorna, i wtrąciła żywo:

— Nie papo, moje elewki są bardzo pilne...

Umilkła i zbliżywszy się do ojca, usiadła na krześle najbliższej stojącym. Zdawała się pomieszana, bladła, to czerwieniała.

— Wiesz Alinko — mówił ze smutkiem — że nie chcę cię widzieć zadumaną. Tyś zawsze tak żywa, ruchliwa, jak żywe srebro. To nie jest bez kozery. Musisz mi powiedzieć wszystko. Trzeba się ograniczyć, przenieść gdzieś na prowincję. Ta praca ciebie nabawi choroby jakiej. Chcesz widocznie, abym ja...

Zerwała się z krzesła i objąwszy jednym ramieniem szyję ojca, przytknęła alabastrowe paluszki do jego ust. Udał marsa i rzekł poważnie:

— No Alinko, wóz albo przewóz...

Ona zbladła lekko, a w ciemnych oczach zaświeciły brylanty, które starała się ukryć pod długą rzęsą. Wydawała się wtedy tak cudowną, jak róża w rozkwicie, a twarz jej miała zarazem wyraz tak przykrego zakłopotania, że pan Dachnowiecki uczuł jakieś bolesne drżenie koło serca i zaczął prawie z prośbą:

— Alinko, jeżeli mnie kochasz, powiedz, co ci sprawia przykrość...

Ona milczała drżąca. Wreszcie po długiej pauzie, która jemu wydawała się wiekiem, zbliżyła usta do ucha ojca i wyszeptala kilka słów cicho, tak cicho, że nie mógł jej nikt słyszeć prócz, niego.

Teraz pan Dachnowiecki pobladł mocno a oczy zamgliły mu się na chwilę. Przytulił ją do siebie i pytał klęczącą, strwożoną, z oczyma spuszczo-nemi w ziemię:

— A czy on, on godny ciebie?

Głos jego był zmieniony, a ona wyszeptala ledwo dosłyszalnie:

— Tak.

A potem cała w płomieniach mówiła szybko:

— Poznałam go od kilku miesięcy, w zimie jeszcze. Spotkałam go u Święckich. Wiesz papo, jacy oni poczciwi, Litwini jak my; wyszukali mi kilka elewek. Jego rodzina na Wołyniu, matka gospodaruje na folwarku z trojgiem dzieci. On nie mógł ukończyć gimnazjum z powodu rozporządzenia ministra o niemających uczniach, i... poświęcił się zawodowi praktycznemu...

Na licach jej płonęły róże, a w swej wstydlivosti, zalęknieniu wydawała się jeszcze bardziej uroczą, niż przedtem. Podobna była wtedy do lilii promieniejącej czystym blaskiem wśród zielska, albo do gołąbka, który zbłądził z zwykłej drogi i ogląda się strwożony za stadkiem współbraci.

Mówiła tedy dalej, ale wolniej już:

— Skończył szkołę techniczną w Charkowie i teraz jedzie na posadę inżyniera w cukrowni hr. Tarchanowa. Chciałby przedstawić się ojcu, ale dotąd nie śmiał, nie mógł... Ja, ja myślałam dziś prosić Święckiej o pomoc, ale wahałam się...

Mówiąc to głosem drżącym, miała w oczach taki czar niepewności, obawy, taki wyraz błagalny w wyrazie twarzyczki, że oczy i twarz mówiły więcej, niż usta. Pan Dachnowiecki siedział niemy, nieruchomy, uderzony jej słowami. Czuł jakiś żal, czy niepokój w głębi, ale głos i rozwaga zagłuszyły te objawy i zapanował nad sobą. Czuł, że ona nie musiała omylić się w wyborze.

Więc rzekł głosem nastrojonym poważnie, ale nie bez smutku:

— Dziecko moje, pragnąłem, abyś była szczęśliwą i wyegzaminuję go lepiej, niżbyś ty to potrafiła. Ja stary, ale twoje życie długie...

Ona patrzyła mu w oczy z miłością wielką, a potem wesoło, ale i z powagą zapytała:

— Ale ty, Ojcze, nie będziesz mnie mniej kochał? Postawiłam mu za warunek, by obok mnie zastąpił ci syna...

Pan Dachnowiecki uśmiechnął się z dobrocią i rzekł:

— Zobaczymy...

Na zegarze wybiła pierwsza. Panna Alina zerwała się z klęczek i całując drżące ze wzruszenia ręce ojca znikła z pokoju, jak widziadło.

Słońce rzucało na ziemię powódź promieni, a błękit był tak czysty, jasny, świetlany, jak marzenia zakochanych. Plamy słoneczne barwiły podłogę, a przez okno lekki wietrzyk wpadał chwilami, muskając czoło starca, który myślał o przeszłości jej, swej ukochanej córki.

I w dniu tym przybyło światu troje ludzi szczęśliwych.

W miasteczku i w Dachnówce zmieniło się wiele od znanych nam czasów. Sprawnik Wirowkin porzucił myśl kupna i czeka spokojnie terminu ukończenia służby. Z syna ma zaś wielką pociechę. Kola wybił sobie z głowy niedorzeczne rojenia i znów zjawił się u protojereja, gdzie panna Masza przyjęła go ostentacyjnie. Sam ojciec Makary oddaje się dalej z poświęceniem walce z agitacją..

W Dachnówce, która zmieniła już dwa razy właścicieli, kościół zamknięto, mimo oporu ludu, który okazał się równie buntowniczym przy licytacji Dachnówki. Poskromiono masy za pomocą sotni kozaków, sprowadzonych z miasteczka. Tru-

mny Dachnowieckich, spoczywające w sklepach kościółka otwarto, kości znalezione złożono zapewne przez pomyłkę na cmentarzu prawosławnym. Słysząc, że djacy cerkiewni obłowili się przy tej sposobności rozmaitemi drobnostkami i sprzedawali po podrzędnych szynkach pierścienie, karabele, guzy...

Ale to może zmyślenie, a agitacya, która, jak mówi ojciec Makary, nie gardzi nawet potwarzą, jeszcze dość silna w tym zakątku.



TADEUSZ MICIŃSKI.

NAUCZYCIELKA.

NOWELLA

odznaczona drugą nagrodą
na konkursie literackim „Czasu”.



W KRAKOWIE,
SPÓŁKA WYDAWNICZA POLSKA
1896.

W KRAKOWIE,
W DRUKARNI „CZASU“ FR. KLUCZYCKIEGO I SP.
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.



2 września.

Otóż jestem na pensyi.

Zaczynam od zapisania swych wrażeń, aby siłę ich rozproszyć przez refleksyę... Uczuciom swoim chcę dać reprezentacyę, aby nagłym wybuchem rewolucyi nie zaskoczyły mnie znienacka.

Chodźcie, chodźcie moje smutki, tęsknoty, nieokreślone marzenia — do tego niewodu, w którym pośniecie. Taki los ryb i wszystkiego, co żyje. Więc i ta śmieszna potrzeba, która wychodzi z serca blada, tęskna, jak Goplana i chwyta się pierwszego sznura żórawi — zginąć musi...

Nie mogę uwierzyć, żeby na dworze panował jasny dzień wrześniowy! Zegar mojej duszy pospieszył się i wydzwania wichrem listopadowym żalobne pieśni, targa gałęzmi obnażonych drzew, szumi liśćmi — to moje zwiędłe pragnienia.

Ha, ha! nastrój cmentarnej ballady! Gotowabym się śmiać do rozpuku, gdybym miała przed sobą widzów i gdyby ci widze mnie obchodzili... Kurtyna zapadła, aktorka została sama i może

1*

cierpieć swobodnie. Chciałabym głowę położyć na kolanach twych, zmarła matko, wypłakać się i zasnąć snem nieprzebudzonym. Bo, widzisz, jestem chora i żyć nie chcę!

„Trochę w tem wina jest mojej młodości,
Trochę tych grobów, co się w kraju mnożą,
Trochę tej wiecznej w życiu samotności...”

Samotność... nigdyś mi z nią było dobrze. Prawda, że wtedy cały świat mieściłam w sobie, a dziś świat cały za mną pozostał.

Ztąd mi jest źle, smutno, tęskno.

Widać, że człowiek nie może bezkarnie z jednej atmosfery duchowej przenosić się do drugiej, musi przebyć chorobę gorączki, majaczenia, bezsenności, utratę sił, apatyę.

Zdaje się, że ktoś już to powiedział, zatem, że ktoś tak czuł... Mniejsza o to. Obojętną jest mi świadomość, że na tym świecie, gdzie niema już nic nowego, nawet cierpiąc, musimy kogoś naśladować.

5 września.

Odebrałam list od Halszki.

Pisze mi, że nad Rivierą spędzają czas wśród zieleni eukalyptusów i pomarańczy, a w noc księżycowe kołyszą się łódką na miękkich, granatowych falach śródmorza. Dlaczego tak szczegółowo opisuje mi swą miłość? Konrad wydaje się jej utajonem, w powłokę ludzką przybranem bóstwem. Śmieszne są te młode żony: przed ślubem jeszcze

zachowują pewną zdolność krytyki i myślenia, ale potem — na długie kilka tygodni rozlewają się w jedno jezioro upojenia i dźwięczą monotonna kaskadą miłosnej egzaltacji.

Podobno miłość jest zręcznym fortem natury, dążącej do zachowania gatunku. Leon twierdzi, że w stanie zdrowym jest to *rost-beaf en garni*, zwykle, czerwone mięso pod przykryciem zielonych sałat i złotych rydzyków.

Niechę pisać dłużej — jestem zdenerwowana: zacznę się przytłumiać poprawianiem kajetów.

* * *

Głowa mnie znów bolała silniej jeszcze, niż zwykle. Zobaczyła to nasza przełożona i powiada: „Niech pani położy się lub wyjdzie na spacer, my tu panią zastąpimy. Do życia pensyjnego trzeba się dopiero przyzwyczaić.. troszkę u nas jest hałasu i gwaru.“

Troszkę gwaru! O szóstej rano budzi przeraźliwy dzwonek, zaczyna się powtarzanie lekcji z pensyonarkami, wszystkie siedm fortepianów i cztery pianina zaczynają bębnić... O ósmej względna cisza — panny wychodzą na spacer. Potem lekcye do trzeciej — godzina spaceru, obiad — i znów korepetycye, brzęczenie wszystkich fortepianów do dziewiątej. Ot i teraz — w sąsiednim pokoju uczy się ktoś mazurków Szopena, trochę dalej wygrywają etiudy Lütsehga, a zdaleka dochodzą mnie zbite dźwięki kilku utworów, granych jednocześnie.. Prawdziwe piekło.

Gdy wieczorem kładę się do łóżka, doznaję wrażenia, jakby cały pokój ze mną się kołysał, a potem wszystko zaczyna zapadać w jakąś miękką, welnistą głębinę, w jakąś bezmyślność i bezczuciowość.

Zapewne sen jest przedsionkiem do czegoś lepszego.

„Lepiej siedzieć, niż stać; lepiej spać, niż czuć, a najlepszą jest śmierć.“

* * *

Odebrałam list od Stefka... Mój drogi bracie — nie zapomnę ci nigdy tego szczęścia, jakieś mi wyrządził swoim dobrym listem!

Donosi mi o swych zajęciach uniwersyteckich, przygotowuje się do colloquiów i w ciągu dalszym pisze rozprawę. Ma nadzieję zdobyć stypendyum, „a wtedy, moja droga, lata uniwersyteckie przeminą szybko i zostawią głęboką, dobrze zaozoną bruzdę w umyśle moim... Życie na niej sadyć będzie różne trawy i zboża, a jeśli się uda plon dobry — do ciebie, najdroższa, będzie on należał“.

Wybacz mi, braciszku, ten mój egoizm bezgraniczny i słabość — nie duszy, ale nerwów! Skarżyłam się na samotność, gdy mam ciebie... o gdybyś wiedział, jaka jestem już spokojna i odważna.

Do pracy!

* * *

(W nocy). — Pensya pogrążona we śnie.

W tym samym pokoju, oddzielone parawanami, stoją łóżka czterech małych pensyonarek. Lubię

dzieci... Stefek utrzymuje, że według Galla, mam silnie rozwinięty gruczoł instynktu macierzyńskiego.

Poco szukać gruczołów, gdy każda kobieta ma ogólną potrzebę kochania — ale niekoniecznie własnych dzieci, własnej rodziny.

D. 22 września (w nocy).

Godzina druga. Zaczytałam się, nie spostrzegając, że tak późno.

Miasto śpi, cisza. Otworzyłam okno i patrzyłam długo na spadające gwiazdy.

Myślałam, ile wieków krąży w ciemności, aby na krótką chwilę w atmosferze ziemskiej zabłysnąć, zgasnąć — i znów szybować w bezgraniczach. Czyżby i nasza ziemską świadomość była tylko błyskiem chwilowym wśród olbrzymiej drogi istnienia ciemnego, to jest nie ujmowanego przez nasze zmysły?

Pytanie, jak beczka Danaid, nie dające się wypełnić rozumowaniem.

A więc oczy ściągamy z nieba i patrzymy na dół: ulice szare, proste, dogmatyczne; na nich rzędami latarnie świecą, jak złote guziki w galowym mundurze.

Przeszła jakaś wystrojona dama — zdziwiłam się, co robi o tej porze sama — na ulicy, gdy nagle podszedł do niej jakiś mężczyzna, rozmawiali przez chwilę, a potem znikli w bocznej uliczce.

Czy wszyscy mężczyźni są tacy? nie sądzę — zwierzę jest silne, ale człowiek silniejszy.

* * *

Nie mogę spać — wybiłam się ze snu. Wsta-
wałam, aby spojrzeć, jak śpią małe. Kostecka ma
gorączkę, majaczy, mówi o lalce, to znów o tatusiu,
którego mama przeklina.

Biedne dziecko! domyślałam się smutnego dra-
matu w jej rodzinie. Kiedyś jej koleżanki zaczęły
opowiadać o swych rodzicach i tęsknocie za do-
mem.

Ona milczała. Wtem któraś zwróciła się do niej:

— Kostecka! ty jedna z nas wszystkich jesteś
szczęśliwa, bo rodziców nie kochasz i nie tęsknisz
za nimi.

— Kłamiesz! — odparła gwałtownie — matkę
kocham więcej, niż wy wszystkie razem swoich
rodziców.

Ach Boże, jak ona przez sen zawołała: nie bij
mamy! Obudziła się...

Nareszcie ją uspokoiłam. Długo przy niej leża-
łam, opowiadając fantastyczne baśni o śpiącej
królownie, elfach, kryształowych podwodnych pa-
łacach. Zasnęła z uśmiechem i śni teraz zapewne
o rozkosznych dziwach, jakimi się roi podziemne
państwo karlików.

Fantazyo, błogosławiona wróżko ludzkości, która
tworzysz cieniste ogrody i srebrne fontanny tam,
gdzie bez ciebie byłaby pępna, spalona słońcem
płaszczyzna!.. Potępiają cię, że dajesz tylko mi-
raże, jakgdyby życie również nie było mirażem,
załamany w pryzmacie naszej duszy! Tylko, że
ten pryzmat jest czasem brudny, zamglony i daje
zamiast widm tęczowych szare płachty, a wtedy

mówią: „realizm!“ Łudzicie, okłamujący siebie! czyliż w istocie zjawisk nie spoczywa duch, a duch czyliż nie jest harmonią? a harmonia czy nie tworzy piękna?

A więc piękno — to właśnie najistotniejszy realizm!

4 października.

Wątpię, czy zdolam długo wytrzymać na pensyi. Nie odstręcza mnie nawał zajęć, ale ten zgiełk ustawiczny, rwetes czyni mnie niezdolną do myślenia, do jakiegokolwiek poważniejszej pracy umysłowej. Mania już do tego przywykła — jest drugi rok na pensyi i powiada, że się czuje dobrze zakonserwowaną, jak jaszczurka w spirytusie: chodzi o to, aby nie zgnieć zbyt szybko... Odrazu zaprzyjaźniłyśmy się z sobą — jest to dziwnie sympatyczna, dzielna i prawa natura. Wciągnęła mnie do koalicji, do której należy jeszcze Stefka. Ta ostatnia ma lat 23, a wygląda na trzydzieści: od lat ośmiu jest nauczycielką. Ogromna pessimistka. Wierzy w przeznaczenie, a jako cel życia uważa powrót do bezmiernej ciszy i niebytu.

Może to poza. Nie wierzę, aby młoda dziewczyna mogła być zdecydowaną buddystką.

Chociaż! być młodym — znaczy pragnąć, być dziewczyną, — znaczy być uzdolnioną do miłości, a nauczycielka odpowiada definicyi pszczoły robotycznej: jest to wyspecjalizowanie w kierunku pracy, istota bezpleciowa.

Jakiś Francuz rokuje nam świetną przyszłość — w cywilizacji. Prowadząc analogię dalej, mężczyznom przypadłaby skromna, ale nie bez wagi rola — trutniów. Niech żyją wielkie dążenia cywilizacji!

* * *

Klasa moja uczy się doskonale, prócz Kosteckiej. Martwię się, tem więcej, że bardzo lubię tę dziewczynkę. Jest nad wiek swój poważna i rozwinięta, ale nie ma najmniejszej chęci do pracy. Przyszła wczoraj do mnie po lekcjach i usiadła na stołeczku.

Nie zwracałam na nią uwagi, zajęta poprawianiem ćwiczeń. Nagle słyszę — Kostecka płacze.

— A toż co — pytam — sumienie dręczy grzesznicę?

— Tak, paniusiu — odrzekła.

— A więc zabierz się do roboty, żebyś nie miała dwójki z polskiego na cenzurze.

— Cóż ja na to poradzę, już zapóźno. Na jutro zadane wypracowanie — jeszcze go nawet nie zaczęła.

— Moja Zosiu — powiadam — jestem pewna, że napiszesz doskonale, tylko weź się do niego ochoczo. Poprawisz sobie stopień i mamie nie zrobisz wielkiej przykrości. A i mnie będzie smutno, gdy się przekonam, że mam uczennicę leniwą, choć zdolną.

Wstała i nie mówiąc, poszła do stolika.

Pisała przez dwie godziny, wreszcie sama ode-rwałam ją od pracy.

Chciałam przejrzeć, co napisała, ale nie pozwoliła. Mówi, że się wstydzi.

Miały zadany temat: „dlaczego dzieci powinny kochać rodziców?”

Temat trudny — obawiam się, czy dała sobie z nim rady.

Jutro się to okaże.

* * *

Sądny dzień na pensyi. I to wszystko z powodu Kosteckiej.

Darować nie mogę, żem pozwoliła oddać wypracowanie bez mego przejrzenia.

Zaszkodziła sobie fatalnie w opinii nauczyciela. Ten pan sądzi, że tylko głębokie zepsucie mogło podyktować następujące zdania:

„Dziecko niema za co być wdzięczne swoim rodzicom, że mu dali życie, bo o niem nie myśleli. Należy kochać tylko matkę, która cierpi dla dziecka, gdy ojciec się bawi.“

Nauczyciel przekreślił ćwiczenie i z oburzeniem pokazywał przełożonej. Ta na razie nie wiedziała, co robić.

Do głosu zostały powołane nauczycielki. Kafarska radziła, aby Kostecką wypędzić z pensyi i ogłosić w *Kuryerze* cały wypadek: „niech publiczność wie, do czego prowadzi złe wychowywanie dzieci!“

Pobożna Terkowska załamała ręce i wyraziła pewność, że „dziewczyna musiała już oddawać

się djabelskim namiętnościami, gdy tak bezbożnie myśli.“

Na to Mania zapytała, czyby nie spróbować egzorcyzmów?

Widząc, że zanosi się na ostre starcie, prosiłam przełożonej, aby małą oddała mi pod wyłączną opiekę, na co zgodziła się bardzo chętnie.

W ten sposób zdobyłam dziecko.

Niejedna kobieta, aby to osiągnąć, stawia na kartę całe życie...

* * *

W pobliżu naszej pensji leży cichy, mało przez publiczność odwiedzany ogród. Tam poszłam dziś z Zosią na spacer.

Zwarte sklepienia drzew przysłaniały niebo. Na dole w alejach było ciemno, jak o zmroku w goetyckich świątyniach.

Olbrzymi księżyc, niby rozpalona miedziana tarcza, wschodził powoli ponad dachami domów.

Zosia była smutna czy rozmarzona. Ja myślałam również odbiegłam daleko: wspomniałam wieczory letnie nad brzegami Rosi, która w srebrnych blaskach księżyca błyszczy, jak klinga szabli, rzucona na kobierzec bujnych zielonych traw.

Zdaleka dolatują tęskne pieśni parobków i młodyć.

Milkną — nastaje „święta“ cisza stepów, której równa chyba tylko na błękitnych polach Elizyum panuje, gdzie bez szelestu duchy się prześlizgują,

gdzie są czucia bez pragnień, a marzenia bez tęsknoty. Cicho...

Tylko z nadbrzeżnych szuwarów dolatuje jakiś niuchwytny, metaliczny pobrzęk — to harfa stepów się nastraja, struny jej schodzą się w mem sercu, a rozbiegają po wszystkich kurhanach.

I zaczynają grać starą legendę przeszłości, starą baśń o początku uroczystym i potężnym, w środku zmieszaną przez błazeńskie dzwoneczki i gwałtownie urwaną przez pogrzebowe dzwony. Zwykły rozwój rzeczy ludzkich... On czuł, co się we mnie działo i szeptał: to czasy ubiegłe, żyjemy terazniej-
szością smutniejszą, a jednak lepszą.

Brał mnie za rękę i myśli swoje puszczał wraz z memi — jak sokoły — pod obłoki.

Łódka płynęła sama, bez wiosel.

Cicho. .

Wtem jakiś ptak wielki porwał się z nadbrzeżnych trzein i z jękiem pofrunął w dal, jak dusza która musi odlatywać z miejsc ukochanych.

Zmąciła się cisza w powietrzu, zmąciły się nasze myśli, ale nie zmąciły serca.

Bo czuliśmy nad sobą rozlanego w majestacie natury Boga.

Więc wracaliśmy do domu, jak po modlitwie..

A teraz — może on znów płynie w cichej zatoce Ospedaletti, lecz na ramieniu jego już inna...

Czemu istnieje pamięć rzeczy, które powinny znikać, jak sen — bez możliwości przypomnienia?

Zosia pociągnęła mię za rękę. Ocknęłam się z zadumy.

— Czy paniusia gniewa się na mnie? — spytała nieśmiało.

Na razie nie rozumiałam, co ma na myśli. Potem odrzekłam:

— O cóż mogę się gniewać? pisałaś, jak myślałaś, ale myślałaś fałszywie. Za młoda jesteś, aby rozumieć te rzeczy.

— Wszyscy mężczyźni kochają w nas tylko własną przyjemność — szepnęła.

— Jako — w nas?

— No, w nas — kobietach.

Struchlałam. Ta mała uważa się za kobietę i mówi, jak dojrzała w bólu, czy zepsuciu istota.

— Moja Zosiu — odrzekłam szorstko — nie lubię, gdy ktoś rezonuje o tem, co zna tylko ze słyszenia od starszych, niezbyt mądrych przyjaciółek.

Mężczyźni i kobiety mają wzajemne obowiązki; kto się od nich wyłamuje, jest nieuczciwy, ale takich ludzi jest mało.

— A dlaczego tyle kobiet jest uwiedzionych?

Znikło ostatnie złudzenie — z Zosią nie można mówić, jak z dzieckiem.

Chciałam zbadać, jaka trucizna sączy się w tem młodziutkiem sercu, aby ją usunąć i duszę chorą uzdrowić. Pomogła mi sama Zosia — zaczęła mówić zwolna, z zastanowieniem:

— Bo widzi pani ja to wszystko znam z doświadczenia. Moja mama często płacze i nie sypia po nocach. Ja wiem dlaczego: kochała i dotąd kocha jednego pana, bardzo bogatego adwokata.

To mój ojciec. Ale ja go nie cierpię. Gdy przyjdzie do nas, ja uciekam na podwórze.

Raz nadszedł pijany, na mamę zaczął krzyczeć, a potem bić. Wtedy ja — głos jej przybrał odźwięk złowrogi — porwałam nóż...

— Dziecko nieszczęsne! — krzyknęłam.

— I uderzyłam go w rękę. A on — nic, tylko spojrzał na mnie dziwnie, usiadł w kącie i płakał.

Ja też się rozplakałam i uciekałam.

Gdy wieczorem wróciłam, jego nie było, tylko mama leżała chora.

Zawołała mnie i zaczęła mówić o nim: że jest dobry, ale nieszczęśliwy; że mamę kochał, ale ożenił się z inną i teraz tego żałuje; że ja powinnam go kochać, jak on mnie. Chciała, abym to przyrzekła, ale ja nie mogłam kłamać.

Powiedziałam, że jest podły. Wtedy mama się porwała i uderzyła mnie — pierwszy raz. Ale ja mamie tego nie daruję do śmierci.

— Zosiu! mama twoja i bez tego jest nieszczęśliwa; to okrucieństwo nosić w sercu żal do niej tak długo.

— Ja też mamę kocham, bardzo kocham! i ona mnie kocha, ale... jego więcej...

Ostatnią wilię spędzałyśmy, jak zwykle, same. Był tylko chleb, kasza i dwa śledzie. Bo za robotę mamie nie oddano... mama szyje suknie i lekcje daje: uczy języków i muzyki. Często bieda nam dokuczała. I teraz na pensyi, paniusia wie, jestem za darmo.

Otóż wtedy byłam smutna, mama chciała mnie rozbawić, ale ja nie mogłam się śmiać. Mamie przyszło do głowy, iż to z powodu braku słodyczy na wilię; ubrała się i wyszła. A mnie — ot tak było czegoś smutno. Myślałam sobie, jak to dobrze było Panu Jezusowi w stajence obok pasterzy, Matki Boskiej i Józefa...

Mama powróciła, niosąc w wężelku mnóstwo pierników, orzechów i książkę: *Pamiętniki Paska* z obrazkami. Dziwiłam się, zkąd mama wzięła tyle pieniędzy, ale nie chciała mi powiedzieć.

Wkrótce przyszły dzieci, które mama zaprosiła po drodze — od p. Róży córeczka, dwóch chłopców od praczki i jeden uczeń z gimnazjum.

Bawiliśmy się doskonale. Goście odeszli późno w nocy. I zaraz dowiedziałam się, zkąd mama wzięła pieniędzy: spadła jej chustka z głowy przy rozbieraniu i zobaczyłam, że ma włosy obcięte. A miała ogromne, śliczne, złote, aż do kostek. Nieraz się śmiała, że może chodzić bez ubrania i przykrywać włosami. A teraz zrobiła się taka brzydka, że patrzeć na nią nie mogłam. Więc zakryłam się koldrą i płakałam, jak nigdy, całą noc.

I wie paniusia, kiedy on przyszedł na drugi dzień, na mamę okropnie się gniewał, nazwał ją nikiemnicą, że włosy obcięła...

Zosia urwała, kąciki ust jej drżały. A we mnie odżyły wspomnienia lat dziecinnych, kiedy przywiedziona do rozpaczki trulałam się zapalkami... Matko i ojcze! lepiej wam jest w zimnym grobie, niż z sobą razem za życia!

Wzięłam Zosię w objęcia, ona płakać zaczęła, i ja od łez powstrzymać się nie mogłam.

Rodzina — ta święta arka przymierza — czy nie bywa często skrzynką Pandory, z kąd wylatują poniżenie, fałsz, brud, podłość!..

12 listopada.

Dawno nie zaglądałam do tych notat.

Wszystko we mnie skłonne jest do milczenia, nawet wobec siebie samej.

Na pensyi życie płynie dawnym torem: wieczny kołowrotek lekcyj, spacerów, korepetycyj...

Nie pytam się już, jak długo do wieczora, do spoczynku.

Nie zastanawiam się już nad niczem, osobiście nad przyszłością, nie widzę jej przeto ani w czarnych, ani różowych barwach.

Czarne zostały w okresie mego dzieciństwa — różowe... te chyba nad brzegami Rosi. Pozostają szare, niepewne, mgliste.

Na tem tle wyrasta obowiązek. To jednak wielkie słowo. Gwałtem utrzymuje przy życiu i powoli uzdrawia.

Zajęcia swe spełniam bez przyjemności, ale i bez wewnętrznego sarkania. Robię jak koń w kieracie: poważnie, z wyczerpaniem, bez ustanku.

Nawet są chwile, gdy bywam zupełnie szczęśliwa. Zdarza się to podczas zajęć z Zosią (dziewczynka wzięła się do pracy i robi ogromne postępy), albo podczas walnych zgromadzeń „koalicji“.

Zebrania odbywają się raz lub dwa razy na tydzień, gdy, ukończywszy zajęcia i nie czując się zbyt zmęczone, aby wprost iść do łóżek, schodzimy się: ja, Stefka i Mania na pogawędkę. Rzec się wówczas dzieje w małym pokoiku niebiesko tapetowanym, należącym do tej ostatniej. Lampa bez klosza (bo Mania lubi pełne, jaskrawe światło), postawiona na stoliczku, Stefka pół leży na kanapie, Mania umieszcza się przy oknie, obserwując pogodę, ja przy fortepianie.

Czytujemy zwykle głośno jakie poezye, ostatnio Beniowskiego. Znamy wszystkie doskonale ten utwór, ale każda ma w nim swoje miejsca ulubione, jak Mania mówi: swoje febliki.

Oto n. p. feblik Mani:

i sędzę najpiękniejszą z krajów
Jedną maleńką wieś, pełną ruczajów —
Pełną łąk jasnych, gdzie kwitnie wilgotna
Konwalia — pełną sosen, kalin, jodeł;
Gdzie róża polna błyszczy się samotna,
Gdzie brzoza jasnych jest kochanką źródeł —
A zaś przyczyna temu jest istotna,
Że na tych bagnach, gdzie potrzeba szczudeł,
Jam wtenczas bujał na młodości piórach,
Jasny i chmurny — jako księżyc w chmurach.

Na to Stefka odpowiada głosem smętnym:

A jednak i to minęło! — Ojczyzna
Minęła także!...

I zrywając się woła:

A więc niech wszystko mija! Wstańcie burze!
I zwieście mój ślad z tej smętnej pustyni!
I moje myśli, jak łez pełne kruże,
Przechylicie — niech je próżnemi uczyni
Czas....

Pamiętam dokładnie dyskusję, jaka się wówczas rozwinęła.

Stefka rzekła, że gdy konieczną jest rzeczą, aby ludzie się rozradzali — dla dzieci lepiej, aby zginęły, nim na świat przyjdą...

Boże! jaka była świetna Mania w owej chwili! Oczy jej blyszczwały, gdy gorączkowo zawołała:
— To fałsz! Życie ma wielką treść i wielkie zadanie.

Treścią jest walczyć i poznawać, celem zwyciężać i potęgować w sobie ducha.

Miłość ojczyzny, miłość rodziny, są to etapy na wielkiej drodze udoskonalenia.

A Stefka na to: „Daj ci Boże szczęścia jak najwięcej, masz siły, aby go pragnąć i osiągać, jam zbyt zmęczona.“

Robiliśmy dawniej domysły, co spowodować mogło to przygnębienie duchowe w Stefce, lecz gdy zagadnęłam ją, skąd pochodzi jej pesymizm i apatya, czy może kochała bez wzajemności? — odrzekła szyderezco:

— Jak człowiek dokładnie rozumie swego bliźniego! gdy zobaczy twarz niewesołą, zaraz ubolewa: wiem, wiem! cierpisz na żołądek! — albo:

2*

nieszczęsny, kochasz bez wzajemności! Otóż moja droga, zapamiętaj sobie raz na zawsze, iż żołądek mam w wybornym stanie, a nie dojdę nigdy do tego szczytu obrzydliwości i głupoty, jakim jest miłość bezwzajemna!

Nie wiem czemu, ale uczulam, jakby tępy świder wkręcał mi się w serce.

Pożegnałam je i poszłam do siebie.

Ale zasnęłam dopiero nad ranem.

Milcz serce! Albo się strzaskaj, echowe
Narzędzie pieśni, bólu, wiecznie drżące
I obłąkane, niezaspokojone —
Uderzam ciebie w złości. — Milcz szalone!

* * *

Życie moje składa się z tak drobnych wypadczków, że nie mam co zapisywać.

Nic nie przekracza wymierzonych relsów, chyba maleńkie starcia z powodu jakiejś plotki.

Naturalnie, nie zwracam na nie uwagi, czasem jednak opędzam się, jak od much dokuczliwych.

Tak n. p. siedzimy kiedyś wieczorem, jak zwykle w trójkę; nagle drzwi się otwierają, Kafarska staje w progu i mówi głosem patetycznym:

— Amelko! (zaczęła mówić do mnie po imieniu zaraz na drugi dzień przybycia mego na pensję). Amelko!

Pauza.

— Co pani sobie życzy?

— Nie udawaj, że się nie domyślasz!

— Gotowam sądzić, że dziś są moje imieniny.

— Pani przełożona jest oburzona, jest strasznie niezadowolona!

— O cóż chodzi?

— Jakto! miałaś serce wziąć na spacer dzieci bez kaloszy! aby się pozaziębiały! aby rodzice wyprawiali nam sceny?!

— Trudno, aby się zaziębiły, gdy trzynaście stopni ciepła na dworze, a przytem sucho zupełnie.

— Dość, że pani przełożona nie może się uspokoić! powiada, że żadnej z was niepodobna zaufać w niczem, w niczem! Spodziewała się z was prawdziwej pomocy...

— Rzeczą tę wyjaśnię — rzekłam, idąc ku drzwiom.

— Cóż to! awantury chcesz pani przełożonej urządzić? i bez ciebie ma dosyć kłopotów! Wreszcie, ja ci to powiedziałam w zaufaniu.

— Dziękuję za ten zaszczyt, mimo to — pozwoli pani... — i wychodzę, zmierzając do pokoju przełożonej.

Słowa Kafarskiej dotknęły mnie przykro — wyrzut, choćby w jej ustach przesadzony, musiał mieć miejsce, a czułam, że na niego nie zasługuję. Weszłam do przełożonej i bez owijania w bawełnę pytam:

— Podobno pani jest oburzona, że dzieci wyszły na spacer bez kaloszy?

— Ani mi to w głowie było.

— Tak? bo mówiono, że pani jest strasznie niezadowolona, więc chciałam się usprawiedliwić...

— Ale cóż znowu! Że też nic u nas powiedzieć nie można, aby przekręconem nie było!

Gniewałam się na służące, bo panienom kaloszy nie wycierają — oto wszystko.

Porozmawialiśmy przez chwilę bardzo serdecznie i wyszłam.

Wracam z tryumfującą miną — Stefka palcem pokazuje na sąsiednie uchylone drzwi na znak, że siedzi tam Kafarska.

Ale ja nie zwracam na ostrzeżenie uwagi i powiadam:

— Cała sprawa powstała z tego powodu, że pewne osoby nie trzymają się nauki Chrystusa, aby gdy tak — mówić: tak, gdy nie, mówić: nie.

Dlaczego Kafarska ciągle kopie podemną dołki? Mania twierdzi, że pochodzi to z dwu zbrodni, jakie na mnie ciążą: 1) jestem młoda; 2) przełożona używa mnie do czynności administracyjnych, których ster dotąd spoczywał w ręku Kafarskiej.

12 grudnia.

Do koalicji naszej wciągnęliśmy panią Courbet. Jest to piękna, wspaniałej postawy Francuzka, lat trzydziestu, żywa, wesola, sympatyczna, ale z biczkami.

Na wakacje jeździ do rodziców, mieszkających w Paryżu, od których wraca wyelegantowana, jak primadonna. Powoli wstążki odpadają, koronki się

obrywają, na jasnych materyach występują plamy... pani Courbet nie zwraca najmniejszej uwagi. Słusznie bowiem twierdzi, że człowiek zdoła suknię.

Dopiero wpływy atmosferyczne zwracają jej uwagę na zewnętrzną powłokę i wtedy wykazuje wielką pomysłowość.

Naprzykład, zbliża się jesień — p. Courbet ma tylko wspaniałe letnie palto z wakacyj. Ale podkłada pod nie kawał sukna, w kwadrans zszywa białymi nićmi i zadowolona powiada:

— *Tout est fini — tout est bien!*

I rzeczywiście, na zewnątrz taki strój wygląda wcale przyzwoicie.

Ale nadchodzi zima — pomysłowość pani Courbet okazuje się niewyczerpana. Odpruwa w kącie podszewkę, podtyka pod nią olbrzymi płat waty... zszywa kilku ściegami... i znów *tout est bien!*

Jest niezwykła we wszystkim; szkoda tylko, że wie o tem i pragnie swą oryginalność podtrzymywać.

Odżywia się tylko raz na dzień, smażąc bifszyk na maszynie. Do tego zjada dużą miskę sałaty i wypija 2 butelki piwa. Wieczorem wchłania szklankę mocnej, czarnej kawy.

Mimo tych dziwactw pani Courbet da się lubić. Serce ma złote. Nigdy nie ma pieniędzy, bo jeśli nie straci na fatalaszki, oddaje pogorzecom albo na szpitalu.

Pani przełożona lubi ją i ceni, gdyż nauczycielka z niej wyśmienita, uczennice za nią przepadają; za to ogół nauczycielek nienawidzi. Pełno

nie, względem nas uszczypliwy. A mimo to lubimy go wszystkie bardzo.

Uzennice nadto boją się go okropnie.

Kiedys asystowałam na lekcyi w szóstej klasie i byłam świadkiem następującej sceny:

Uzennica wyrwana nie umie lekcyi.

— Szkoda, że panna lekcyami tak się nie zajmuje — prawi Staszecki — jak strojem. Gdyby panna połowę tego czasu poświęciła na przygotowanie matematyki, co na rurkowanie loczków, pewno nie bąkałaby pod nosem takich nonsensów.

Obrażona „panna“ idzie na miejsce.

— Bo nie myślcie, moje panny — zwraca się Staszecki już do klasy całej — żeby nie była wam potrzebna znajomość matematyki, choć młodzieńcy z klasy VII i prawnicy z I roku mówią z wami o czem innem, niż o twierdzeniach Pitagorasa. Chodzi o to, abyście panny raz przestały rachować na laury kapitolijskie!

Innym razem pierwsza uczennica podpowiada koleżankom mimo uwag i próśb Staszeckiego.

Wreszcie Staszecki wstaje i powiada:

— Łudzilem się długo, że do p. Borkowskiej można mówić, jak do człowieka. Gdyby panna była chłopcem, zapisałbym na cztery godziny do kozy. Ale że panna jest istotą uprzywilejowaną i do tego może już na wydaniu, postawię pannę do kąta, jeśli podpowiadanie się powtórzy.

Perora poskutkowała, Borkowska milczała od-
tąd jak zaklęta.

Lubię rozmawiać ze Staszeckim.

Bardzo inteligentny i ocytany, ale pesymista.
Dobrana byłaby para ze Stefką.

A jednak, gdy Stefka zacznie pesymizować,
prosi, by przestała, bo mu działa na nerwy.

Kiedyś radziłyśmy, aby się ożenił.

Odparł, że się boi czarów Cyrcei.

— Chociaż z drugiej strony — dodał — lękam
się przekonać, że nie mam już nic do stracenia.

Dlaczego taki zgorzkniały?

Kafarska zaczęła Mani tłómaczyć to na swój
sposób, ale ta poradziła wykopać dołek, jak się
to dzieje w bajce o Midasie, i tam złożyć zajmu-
jącą tajemnicę.

17 grudnia.

Zbliża się Boże Narodzenie — roboty mnóstwo,
sesye, pisanie cenzur, zestawianie rachunków dla
rodziców.

Życie podobno jest walką, na pensyi rejwachem.

Nauczycielki biegają jak opętane, uczennice nie-
zmiernie gadatliwe, tłoczą się po wszystkich ko-
rytarzach, unikając starannie klas i miejsc ofi-
cyalnych. Odbywa się na wielką skalę znoszenie
kwiatów, którymi obdarowane nauczycielki zapy-
chają wszystkie wazoniki, szklanki, flaszki.

Gdy Mania niektórym paniom zwróciła uwagę,
że niewypada przed rozdaniem cenzur cośkolwiek
przyjmować — odrzekły obrażone, że nie są tak
źle wychowane, aby miały gardzić ofiarą kocha-
jących je dziewczątek.

Nie brak epizodów humorystycznych. Siedzą w jakiejś bocznej klasie dwie nauczycielki, od godziny pilnie zajęte rozmową. Wtem wbiega uczennica i powiada, że idzie p. przełożona.

Zrywają się obie, jedna ucieka, druga, to jest Kafarska, biegnie na spotkanie przełożonej, rozpychając wszystkich po drodze, hałasując i gniewając się na uczennice.

W korytarzu spotyka przełożoną, nie zatrzymuje się, pędzi, jak kula, wołając:

— Przepraszam, przepraszam — nie mam ani chwili czasu.

Przełożona z podziwem zwraca się do Stefki, która obserwowała całą scenę: „Boże, jak ta Kafarska pracuje! Może jest za energiczna, ale nieoceniona, nieoceniona“...

Nasza przełożona jest osobą niesłychanej zacności. Zewnętrznie trochę onieśmielająca swą powagą i stanowczością, w chwilach nieurzędowych jest szczerą, prostą, niewymuszona. Twarz ma ascetycznie chudą, całą postać wyschlą, szczupłą, powiewną. Tylko w wielkich czarnych oczach pali się energia i zapal niezwalczony.

Podobno kochała jakiegoś profesora uniwersytetu, ale nie wyszła zamaż, aby mózdz swobodnie i całkowicie oddać się prowadzeniu pensyi.

Obowiązki swe spełnia z takim poświęceniem, energią i sumiennością, że patrząc na nią, zapomina się o wszystkich dolegliwościach życia nauczycielskiego.

Po skończeniu zajęć, nieraz do późnej nocy pracuje jeszcze nad sobą; to też posiada szeroką i gruntowną wiedzę.

Odznacza się przytem wielkim taktem i umiejętnością zastosowania się do umysłu, z którym ma do czynienia.

Gdy uczennica popełni jakieś znaczne wykroczenie, idzie na niebieską kanapkę.

To znaczy, że przełożona woła do swego pokoju o niebieskiem obiciu i niebieskich sprzętach i długo, poważnie z nią rozmawia. Uczennica wychodzi splakana, przez kilka dni jest zamysłona i prawie zawsze zmienia swe postępowanie na nienaganne.

* * *

Od dwóch dni cisza panuje. Pensyonarki się rozjechały, nauczycielki również. Kilka tylko osób, jak niedobitki armii, snuje się po rozległem mieszkaniu, złożonem z dwudziestu sześciu pokojów.

Mania wyjechała na święta do domu.

Zostałyśmy same ze Stefką.

Wydaje się, jakby nas kto umieścił w pudełku z watą — taka cisza, miękkość, brak zwykłych szturchańców.

Budzimy się, jak młynarze, gdy woda huczeć przestała.

Budzimy się — do czego? do rozmyślań?

Nie, lepiej nas nie budźcie!

To też śpimy zwykle do dziesiątej, czytamy po całych dniach, trochę odwiedzamy znajomych.

Cokolwiek robić, aby tylko nie zgnić przedwcześnie, jak Mania powiada.

* * *

Dziś chodziłam na przechadzkę ze Stefką i jej znajomym, studentem medycyny. Uchodzi za jednego z bardziej inteligentnych i ma opinię „czynnego“. Jest w wieku Stefki i myślę, że może będzie co z ich ciepłych spojrzeń.

Mówiliśmy o pewnem małżeństwie, gdzie mąż noc ślubną przepił w restauracyi i z płaczem skarżył się przyjaciółom, że złamał sobie życie. Student twierdził, jakoby obecnie małżeństwo stawało się coraz większą trudnością dla ludzi inteligentnych, gdyż aby dwie osoby mogły zdecydować się żyć z sobą na zawsze, muszą wprzód poznać się w pożyciu wspólnem.

Dawniej było co innego: żądano posagu i pięknej twarzy, dziś... kobiety człowieka. Ale, aby człowieka poznać, trzeba go widzieć w różnych okolicznościach i t. p.

Słyszac te doktryny, uśmiechnęłam się gorzko. Dziwna rzecz! mężczyzna jest albo naiwny, albo cyniczny — miary złotej nie zna.

— Z czego się pani śmieje? — zapytała 23-letnia, w mundur przybrana powaga.

— Z pańskiej teoryi prób, z których mężczyzna zawsze wychodziłby zawiedziony, a kobieta nawet nazwaćby się nie mogła uwiedzioną.

— Właśnie chodzi o to, aby nie było kobiet uwiedzionych — odparł żywo.

— Chodzi o coś więcej — odrzekłam — aby w razie nieszczęśliwej pomyłki, tak zwykłej u was, na kobietę nie spadał cały ciężar obowiązków i pogardy. Masz pan na to sposób?

Student zaczął tak szeroko rozprawiać o podłości ustroju obecnego, o tem, że trzeba zburzyć wszystko, aby od początku wszystko lepiej zbudować, że już nie odzywałam się więcej.

Ten człowiek jest obecnie w okresie r. 1793, za lat dwa będzie tworzył rewolucję mieszczańską, za cztery... będzie przystawał do wszystkich partyj, które mu zapewnią spokojne trawienie i możliwość używania szlachetnych rozrywek w rodzaju winta.

Kładłam się już do snu, gdy weszła Stefka, stanęła przy oknie, przez które zaglądał księżyc i zadeklamowała przepiękny ustęp z *Pana Tadeusza*:

Nareszcie księżyc srebrną pochodnię zaniecił,
Wyszedł z boru i niebo i ziemię oświecił.
One teraz, z pomroku odkryte w połowie,
Drzemały obok siebie, jako małżonkowie
Szczęśliwi: niebo w czyste objęło ramiona
Ziemi pierś, co księżycem świeci posrebrzona...

Zaczęłam żartować ze Stefki i jej buddyzmu; zawstydzila się, potem rzekła:

— Może byłoby życie lepsze, gdyby więcej było śmiałości iść za swemi pragnieniami.

— Ale nie buddystycznymi?

— Moja droga, — odparła — najgłupsza miłość więcej ma wszechświatowego rozumu, niż najmądrzejszy buddyzm.

Mówiła to z tak głębokiem przekonaniem, iż zadałam sobie pytanie, ażali nie mają słuszności ci, którzy jako istotne powołanie kobiety uważają ideał Lukrecyi i Penelopy: *domi sedit, lanam fecit*.

Ba, łatwo stawać pod takim sztandarem, gdy kto należy do klubu wzajemnej adoracyi. Tylko, że n. p. ja nie mam w perspektywie nawet studenta! Ztąd muszę wierzyć w znaczenie staropanieństwa dla wieku pięćdziesiątego i pogardzać tym, który tak dobrze rymuje z wężem.

Udaje mi się to do pewnego stopnia; pierwsza oznaka: niedbanie o swą powierzchowność. Niedawno poszłam do fotografa, aby rozdać swe podobizny uczennicom, które o to prosiły. Gdy zaś ten pan powiedział mi komplement o mojej, niby „fenomenalnej“ piękności i prosił o pozwolenie wystawienia fotografii, przyjąłam to tak obojętnie, jakgdyby mówiono o moich trzewikach.

Cóż z tego, choćbym była ładna? Dopiero wtedy cenimy ów dar natury, gdy możemy złożyć w upominku temu, któremu dajemy wszystko i od którego żądamy wszystkiego.

* * *

W nocy.

Dzieje się ze mną coś niezwykłego.

Oto siedzę sama w pustej klasie, a zerwałam się z łóżka. Nie mogę spać.

Ścigają mnie wizye...

W liliowym przedświcie pogrążona góraska dolina.

Ciemna zieleń oliwek i jasna pomarańczy odbija harmonijnie od fioletowych skał. Strumienie błękitnymi wstęgami spadają po kamieniach.

Na wzgórzu bieleją śnieżne kolumny greckiej świątyni.

Do niej zmierza w płasach rzesza Nimf i Panów — w rękach szkliste grona winogrodu, na czołach wieńce róż.

Wóz purpurowy ciągną bachantki, na nim — o marmurowych kształtach i granatowych oczach, stoi bóg.

Skinął ręką i cała dolina napelnia się hymnem radości i upojenia.

Wtem cisza... Każdy spogląda zachwycony, z palcem na ustach, aby nie spłoszyć cudownego zjawiska, które odbywa się co dnia przed oczyma śmiertelnych: Z lazuruwo-szmaragdowej toni morza wybiega różowa dziewczęca postać i biegnie po kryształowem sklepieniu, otoczona złocistemi towarzyszkami. Zaczynają igrać i pisać, lekkie, jak łabędzie puchy.

Nagle wszeczyna się popłoch: złote Charity zostają chwilę w niepewności, potem rozbiegają się, jak stado gołębi: na widnokregu nieba ukazuje się olśniewająco jasny Helios.

Spostrzega różową, przejrzystą postać Jutrzenki i biegnie ku niej.

Ta błednieje z obawy i spiesznie zarzuca na siebie szatę srebrem tkaną — ucieka, ale Helios

zdaża prędeż — chwyta ją — ona umiera w objęciach...

O, gdyby Zorzą być na chwilę i w blaskach miłości zaniknąć!...

Rzucam pióro, chcę myśl czemś rozerwać, wstyd mi siebie samej. Będę czytała „Iliadę“:

Ziemia od razu pod nimi zielenią pokryła się świeżą,
Hiacyntami zakwitła, szafranem i koniczynami,
Bujne i miękkie się łoże uszło z trawy i kwiatków.
Na niem legli oboje świetlistym okryci obłokiem,
Złotopromiennym; a rosy kropelki rześisto padały....

* * *

Aż się przeraziłam, przeczytawszy słowa wczoraj pisane. Chciałam tę kartkę wydrzeć, ale niech raczej widnieje, jako ostrzeżenie przed sobą samą.

Są namiętności, które przytłumiane z dnia na dzień wybuchają z siłą niezwalczoną i wołają na głos cały: „Krwi i ciała!“ Wtedy my za obronę mamy wspaniały, komunalami tapetowany parawan cnoty. Chowamy się zań — i wszystko jest w porządku.

A te noce bezsenne, te pragnienia wysuszające, ukrywane, jak zbrodnie!...

I to ma być tryumf ducha?

„Oddajcie ciału, co jest cielesnego, a co jest boskiego — Bogu!“

* * *

1 stycznia.

Coś między nimi zaszło. Halszka skarży się na niestałość rzeczy ludzkich, a on, w liście osobno pisanym do mnie, powiada, że żona jego jest ideałem dobroci, ale on jej niegodzien; pracuje nad powieścią i często w zmroku wieczornym marzy o chwilach, spędzonych w Harasimówce...

Czemu on to wszystko przypomina?

Dlaczego grubem narzędziem dotyka rany, świeżo zagojonej? Czyżby udawał, że nie domyśla się niczego? A w takim razie, co znaczyły słowa na pożegnaniu wyrzeczone:

„Daruj mi krzywdę, jaką ci wyrządziłem.“

Ja żalu do niego nigdy nie miałam, ale dlaczego nawiązuje nici dawno potargane?

Pisze, że mu smutno na obczyźnie, a do kraju wracać się lęka — tam spotka widmo utraconego szczęścia...

Frazes, czy może coś więcej? Jakgdyby mogło być, jakgdyby nie hańbą było coś więcej!

Odpisałam obojgu bardzo serdecznie, radząc, aby wracali do kraju, zajęli się pracą określoną.

Tyle pola, czekającego dopiero na siewcę i oracza!

A praca tęczą osnuje ich miłość..

* * *

Stefek pisuje do mnie bardzo rzadko. Powiada, że woli o mnie myśleć, lub pracować nad czemś z myślą o mnie, niż recytować suche sprawozda-

3*

nia o swem zdrowiu, zawsze dobrem, o stanie budżetu, nietyłe kwitnącym, ile pełnym nadziei, o zajęciach, będących układaniem cegiełek jednych na drugie i wypadaniem tych, które są na dole, w miarę, jak się mnożą te, które są na górze.

— W ten sposób — powiada — nakładam dolnymi kawałkami drabiny części górne — i szturmuję do nieba.

A gdy ma się zwalić ta budowla, oby się zawałiła przynajmniej z wysoka!

Stefek jest to umysł żywy i dzielny, ale posiadający zamało równowagi w swych ambicyach.

* * *

Co to ma znaczyć? Czyżby sarkazm leżał w naturze stosunków ludzkich?

Czy życie musi być pogonią za błędnymi ognikami, wiodącemi na moczary?

Chciałabym wyjść na ulicę i śmiać się ludziom w oczy: jak okropnie zabawne są te figurki o małych wewnątrz sprężynkach i szkle na oczach, powiększającym ich charłactwa do rozmiarów bohaterstwa, ich słabość do tragedyi, ich nieudolność do potężnych wyroków fatalizmu...

* * *

Sprawa czysta, jak łza.

Były zaklęcia, były marzenia, były ciche rozmowy sam na sam; były poezye, były kwiaty, były długie uściski — a potem ślub z inną. Mija

pół roku: dla jednej strony słodczye miłości i rozkoszne kołysanki na falach lazurowego morza; dla drugiej — cmentarne dzwony w duszy, stłumiony jęk ucisku i bólu, nareszcie — kosztem okropnym — przelamanie się, zdobycie praw dla szacunku samej siebie, ukojenie i ciszy trochę.

Ale na gładką powierzchnię zatoki pada skała i tworzy się wir, ciągnący do dna, zawrotny, skrytobójczy...

Ostatnia scena dramoletu:

Zjawia się Oniegin, który spostrzegł, że uczucia swe wysłał pod mylnym adresem. Teraz dopiero widzi, że jego marzenia, jego tęczy, jego sny złote, jego girlandy duchowe, wszystkie zmierzwały do tej pominiętej. Ale złość ludzka! straszna omyłka! posępne przeznaczenie!...

O człowieku! choćby wszystko było stracone — ocal przynajmniej swą godność!

* * *

Dziś mogę myśleć o tem spokojnie.

Najwięcej żal mi Halszki. Ona tak kocha, tak cierpi nad tem, czego jeszcze nie rozumie dobrze, ale przeczuwa i trwoży się — biedna. Czasem doznaję wrażenia, jakgdybym klęczała u stóp białego marmurowego krzyża i modliła się do Tego, pełnego miłości, aby im szczęścia nie odejmował.

Nie daj, Panie, abym ja była zarzewiem, które dom ich podpali i w popiół obróci!

* * *

Otrzymałam list znów od niego. Pisze, że wraca do kraju, bo tu tylko może być szczęśliwy. Jakto... sam? bez żony?

Może to i dobrze — rozetnę odrazu ten wrzód!

10 stycznia.

Odwiedził mnie Staszecki. Byłam mu niezmiernie rada, z czem nie starałam się nawet ukrywać. Ogromnie cenię przyjaźń tego człowieka. Mówiliśmy długo o naszych zajęciach. Nie spodziewałam się, żeby ten chłodny na pozór człowiek tyle duszy kładł w to smutne, niewdzięczne nauczycielstwo. Do życia wiąże go jedynie nadzieja przyczynienia się, aby następne pokolenie było szlachetniejsze i dzielniejsze.

Mówi zwykle bardzo spokojnie, lecz pod tym spokojem gorzeje wielki płomień. Ktoby myślał, że ten Heine tak kocha ludzi!

Nigdy Staszecki nie wydał mi się tak czcigodnym. Nie mówię: sympatycznym, bo jest to zbyt liche i oklepane słowo, zbyt ogólnikowe, aby coś mogło określać.

Człowiek, który cierpi, męczy się życiem a mimo to żyje i walczy dla dobra innych — wzbudza cześć.

Na pożegnanie prosił, bym coś zagrała. Wybrałam *Tannhäusera*, choć Wagner źle wychodzi na fortepianie. Ale czułam się tak silną, że chciałam potężnymi dźwiękami wyrazić tryumfującą harmonię w mem sercu... A potem przeszłam do sonaty brylantowej. Gdym skończyła, rzekł:

— Kobieta, która nie umie grać, ma pół duszy, przynajmniej w oczach mężczyzny.

— Widać, że Mahomet nie znał kobiet grających.

— Niestety! — odrzekł Staszecki tak poważnie, jak gdyby znajomościami Mahometa straszliwie się interesował.

* * *

Dziś lub jutro spodziewam się jego przyjazdu. Jestem spokojna i zimna.

Myszę co zrobiłabym na miejscu Halszki, dowiedziawszy się o wszystkim.

Może przecierpiałabym skrycie, gdybym tylko kochała tego człowieka nerwami, pożądaniem; lecz gdybym go nadto szanowała, zerwałabym wszystkie nici...

Kobiety często nie robią tego przez wzgląd na dzieci. Nie pomyślą, że z dzieci tych wyrastać będą... Zosic.

Falsz i nیکczemność nie mogą służyć za budulec do szczęścia rodzinnego... Belkę przegniłą należy zawczasu odrzucać precz, aby nie nastąpiło zawalenie i nie przygniotło wszystkich...

(Późniejszy dopisek: Jakobinizm emancypacji! kobieta powinna uzdrawiać, nie dobijać, restaurować, nie burzyć).

* * *

Grałam dziś długo i po paru godzinach wstałam tak zdenerwowana, iż musiałam się położyć.

Jestem w dziwnym usposobieniu, niby spokojna, ale bez zdrowia wewnętrznego.

Pali mnie gorycz i targa szyderstwo, a z tem wszystkim...

Z tem wszystkim — ja go Kocham.

To takie proste, jak nóż wbity w serce.

* * *

Był znów Staszecki. Ten człowiek przeczuwa, że ze mną zachodzi coś niezwykłego, bo dziwnie na mnie spoglądał, a przy pożegnaniu rzekł: — „Spokoju, panno Amelio! Przedewszystkiem niech pani nie rządzi się wyobraźnią — to piękna droga do zaczarowanych krain, ale w życiu praktycznym zaprowadza nas często tam, gdzie rozum wyjścia nie widzi, a serce zbawienia nie czeka.“

Mój zacy przyjacielu! rozumiem — chciałeś powiedzieć: tyle jest w życiu ważnych i wielkich rzeczy, że marnością jest wchodząc na góry, nie móc się oderwać od jakiegoś zdeptanego kwiatka...

Ale co zrobić, gdy ogarnia halucynacya i zdaje się, że ten kwiatek — to właśnie góra, od której istność nasza zależy, a może innych...

Kwiatek wydaje się czarodziejem o niesłychanej potędze, talizmanem, który jedynie otoczyć nas może zapachem, ukołysać i uspić...

Lękam się, lękam, lękam tego zdeptanego kwiatka!

D. 9 stycznia.

A więc już — po wszystkim!

Przyjechał.. i widziałam go. Było to przed kilku godzinami — lokaj mi oznajmił, że jakiś pan czeka na mnie w salonie.

W pierwszej chwili doznałam zawrotu głowy. Chciałam go nie przyjąć, ale pomyślałam, że złoży to na karb mojej obawy. Spojrzałam na portret matki — i wyszłam.

Na chwilę przed otwarciem drzwi do salonu stanął mi przed oczyma: czuły, nadskakujący, poetycznie blady, pełen słów pieszczotliwych, gotowy ramieniem otoczyć i z pobłażliwie tryumfującym uśmiechem całować...

Zaśmiałam się w duszy i otworzyłam drzwi. Przywitałam go uprzejmie, ale chłodno, dopytując o żonę i zajęcia.

On z początku mówił z ożywieniem, potem zaczął się mięszać, zająknął parę razy i zamilkł. Przyglądałam mu się bacznie. Musiał być zmęczony podróżą, gdyż wyglądał nadzwyczaj blado, oczy świeciły gorączkowo. Ruchy miał nerwowe, czasem drżał.

Czułam, że odemnie zależy utrzymać spokój i równowagę.

On parę razy próbował zejść na rozmowę o przeszłości, ja za każdym razem zmieniałam temat. Wreszcie wstał i rzekł:

— Pani musi mną bardzo pogardzać?

— Bynajmniej — odrzekłam — na pogardę zasługują tylko ci, którzy nie spełniają zaciągniętych zobowiązań.

— Podajesz mi pani zręcznie truciznę. Bo trucizną dla mnie jest prawda. Jestem nikiemny, ale pani jesteś zbyt surowa dla ludzkiej nędzy...

— Surową nie mam być prawa...

— Lecz gdybyś miała, zostałbym napiętnowany pod pręgierzem jej moralności. Widzisz pani, wiem wszystko... a jednak przyszedłem.

— Poco? — spytałam cicho.

— Aby z ust pani usłyszeć dla siebie słowa potępienia i wzgardy... a wtedy postąpić, jak należy.

Nie wiedziałam, co znaczą te słowa. Zdawało mi się, że chce bodźca do zerwania wszelkich dawnych wspomnień. Więc rzekłam:

— Będziesz pan miał cały mój szacunek, gdy zrobisz szczęśliwą swą żonę.

— A poza tem będę dla pani zupełnie obcy?

— Owszem, przyjaźń dla pana żywiłam zawsze.

— Tylko przyjaźń?

— I nadzieję, że uczciwy człowiek spełni to, co do niego należy.

— Pani myślisz o przeszłości... ja ci się z niej wylómaczę...

— Przeciwnie, mówię o pańskiej terażniejszości. W tem, co minęło, nie widzę nic godnego uwagi.

Milczał, potem głuchym głosem powiedział:

— Bądź pani w życiu szczęśliwa i wybacz, jeśliś choćby przez chwilę stanął na twojej drodze.

— I ja życzę wam obojgu szczęścia — odrzekłam zmieszana.

Gdy wyszedł, stałam przy drzwiach i nie wiem, dlaczego, zaczęłam płakać.

Teraz mi jest lżej, prawie zupełnie dobrze. — Staczałam się w przepaść, lecz na jej brzegu nagle mnie coś wstrzymało. Może to ty, matko, patrząca na mnie tak łagodnie i tak poważnie i tak smutno... uchroniłaś mnie przed swoim losem. A przez to zbawiłaś i tych dwoje...

* * *

Pracowałam dziś dużo od samego rana. Chciałam się rozerwać pracą i udało mi się to w zupełności.

Trochę jestem dziś — jak Stefka mówi — mistyczna. To prawda, doznaję wrażenia ulgi po dźwigniu ciężkiego kamienia, ciszy, po wewnętrznym zgiełku i zamieszaniu.

Mam przed sobą widok jakiejś przestrzeni wielkiej, na której samotnie się wznoszą skały, mchem zielonym i niebieskimi pleśniami pokryte; głogi, rosną w załamach, ptaszęta ćwierkają, źródło, szmerząc wypływa z pod kamienia, a ja po długiej na piaskach podróży, spoczywam w cieniu sykomyry. Patrzę na niebo i czuję nieskończoność. Patrzę na skały, głogi, ptaki i na siebie, i czuję znów nieskończoność.

I szepcę cicho: Panie, dobrze mi tu, zostaw
mnie tak nazawsze!...

* * *

Dziś — jak sądzę — jest już przy swej żonie.
Ona go przyjęła serdecznie i radośnie, zdziwiona,
że wraca tak szybko, a on trochę smutny, że uległ
fantazyi czy nerwom, trochę radosny, że nie utra-
cił czegoś najdroższego, szacunku dla siebie, i nie
złamał istoty, która mu zawierzyła...

* * *

Zdaje mi się, iż posiwiałam w przeciągu tych
czterech godzin. Dusza moja lka, jak rozbita
cytra...

Och, Ty Boże! pozwalasz bić gromom w ludzi,
śniących, że przybili do ciebiej przystani..

Wieczorem Stefka przyniosła mi „Kuryer“ i prze-
czytała, że w hotelu Francuskim Konrad Lasko-
wicki kulą przebił sobie pierś... że doktor nie
robi nadziei... że domyślają się dramatu miło-
snego... Wydarłam jej gazetę i chwyciwszy za-
rzutkę, wybiegłam na ulicę.

Po kilku minutach, długich nieskończenie, do-
różka zatrzymała się przed hotelem — wpuszczono
mnie, jako krewną — weszłam do pokoju, pogrą-
żonego w półmroku.

Nie nie widziałam, ktoś ujął moją rękę i pod-
prowadził do łóżka.

On leżał sino-blady, oddech wychodził mu z piersi rżący i świszający, na usta wystąpiła piana z krwią.

Byłam, jak głaz, choć chciało mi się rzucić na ziemię i rwać włosy...

Doktor posadził mnie na fotelu i mówił: „odwagi! może się go da uratować!“

Jest nieprzytomny, ma gorączkę, bredzi, wymawiał moje imię zdrobniale, potem krew mu buchnęła przez usta, zalała twarz i poduszkę.

Stał się liliowo-biały, sądziłam, że umiera. Uklękałam, płacząc bez łez.

Oto moje skarby — rozbite! oto moje marzenia, krwią oblane! oto mój kochanek konający — dla mnie — przezemnie... Niosłam drogocenną, kryształową czarę, napelnioną winem, moc i wesele dającym, i uroniłam na głazy. Rozprysła w kawały, a napój mnie oblał i purpurowymi kroplami zawisnął na mej duszy...

Czekaj! rozbiję i drugą czarę, wsiąkniemy razem w ziemię. Nie będzie już ani bólu w sercach, ani przekleństw na głowach naszych. Trawa porośnie i brzozy srebrne...

* * *

Nad ranem ocknął się i poznał. Prosiłam, aby nic nie mówił. Patrzył na mnie wzrokiem, jakim spoglądamy na coś, czemu nie wierzymy, ale z czem nam jest dobrze.

Wzięłam jego rękę i pocałowałam, a potem w czoło.

Przymknął oczy i leżał nieruchomy.

Zapytałam, czy nie napisać do żony, aby przyjechała. Zabronił.

— Ja tylko przy tobie chcę umierać — wyszeptał.

Doktor spytał, kto będzie chorego doglądał w nocy, bo na służbę spuścić się nie można. Chyba felczer?

Zdziwiłam się; od czegoż ja tu jestem?

Poszłam do przełożonej, opowiedziałam wszystko w kilku słowach i prosiłam o zwolnienie na miesiąc od obowiązków.

Ten anioł zacny miał łzy w oczach: uściskała mnie i obiecała, że wynajdzie zastępczynię. Wzięłam kilka książek z pensyi, pożegnałam się ze Stefką, mówiąc, że wyjeżdżam do domu, powód zmyśliłam — i przeniosłam się do sąsiedniego numeru.

Teraz oto siedzę przy stoliku, piszę i nadsluchuję przez drzwi uchylone, jak oddycha... Lepiej.

* * *

Spędziłam okropną noc.

Gorączka się podniosła do 40° 7'... doktor zamysłony patrzył na sino-błądą twarz Konrada. Majaczył, krzyczał, że widzi śmierć w kącie pokoju, że się jej boi. Mnie wołał, abym odpędziła widmo. Potem zaczął mówić cichym, przejmującym głosem: — „Zawołajcie Halszkę, niech mi przebaczy, bo nie umrę spokojny. Niech wejdzie, ona tam stoi za drzwiami. Czemu Amelia nie chce

jej wpuścić? Kto ma prawo męża oddzielać od żony?”

Zakryłam twarz — każde słowo paliło mą duszę, jak rozpalone żelazo, którem znaczyli zbrodniarzy.

Doktor starał się mnie uspokoić: — Niech pani nie zważa na to, co majączy w gorączce, jutro ani słowa pamiętać nie będzie.

Ale ja nie zapomnę nigdy...

Odtąd już milczał; pot kroplami wystąpił mu na twarz... była chwila przesilenia, prawie agonii.

Po pewnym czasie, który zdał mi się, jak rok, długim, doktor rzekł: — Wszystko będzie dobrze... teraz niech się pani położy, chorego zostawimy samego.

Gdy wyszedł, siedziałam jeszcze przy łóżku parę godzin. Myśli zebrać nie mogłam, w głowie huczało, przed oczyma zaczęły migotać dziwne twarze, złote, o straszliwym spojrzeniu i wykrzywionych rysach.

Czułam gorączkę, położyłam się, przeleżałam tak do rana w stanie bezprzytomnym. Teraz jest mi dobrze, tylko ten ciągły szum w głowie... Konrad dotąd śpi. Na samą myśl, że mógł umrzeć, doznaję tortur.

„Nikt nie ma prawa męża oddzielać od żony”. — Prawda, prawda! ale dlaczego on to mówił? W gorączce?.. i w gorączce nie powinien był do mnie tak przemawiać.

Konrad się przebudził, jest przytomny, ale nie pamięta, co mówił w nocy. Wziął mnie za

rękę, nie śmiałam jej cofnąć, ale było mi przykro. Może on myślał, że to Halszka?

17 stycznia.

Konrad bardzo lubi kwiaty — chciałam mu przystroić pokój, ale bałam się wybierać pachnące. Dlatego kupiłam przeważnie obce: azalee, kamelie, chryzantemy, gloksynie, oraz rzecz niezwykłą w zimie — doniczkę, pełną naszych bławatków z kilkunastu kłosami pszenicy.

Ustawiłam to wszystko przy łóżku, a gdy się obudził, uśmiechał się do mnie i dziękował wzrokiem. Potem zapytał:

— Dlaczego wszystkie kwiaty dajesz mi bez zapachu?

A zgadując moją odpowiedź, dodał:

— Nie lękaj się, już mi nie w głowie nie zakręci. Daj mi kilka kwiatów wyłącznie od siebie.

Zerwałam bławatków i pszenicy, i podałam mu. Przyjął, milcząc.

D. 21 stycznia.

Zaczyna wracać do zdrowia. Dziś był o tyle silny, że mógł słuchać głośnego czytania. Prosił, abym wybrała *W Szwajcaryi*.

Bałam się, że go to rozdrażni, ale przeciwnie, uspokoił się i rozmarzył.

— Widzisz, moja droga, ja ciebie podobnie, fantazyjnie kocham. Tylko, że Słowacki „umierał z żalu, usychał z tęsknoty,“ ale pozostał zdrów, a ja porwałam za pistolet...

— Czemu nie poszedłeś za jego przykładem — odrzekłam żartobliwie — nie napisałeś większego jeszcze, o trzystu stronicach, poematu, a napewno byłbyś zdrow na ciele i na duszy, jak po hydropatyi.

Uraził się, ale potem wesoło gawędziliśmy o różnych gatunkach miłości.

D. 25 stycznia.

Nauczyłam się opatrywać mu ranę. Ma niewielki otwór, jak dziesiątka, który się szybko zabliznia. Doktor obiecuje, że za tydzień Konrad będzie mógł się podnieść z łóżka.

* * *

Między nami nastąpił jakby niemy układ — nie wspominamy nigdy przeszłości, za to często mówimy o Halce, jej rodzicach, lub wogóle o małżeństwie, wychowywaniu dzieci, stanie naszego społeczeństwa. Ten ostatni temat staram się nawiązywać najczęściej — dziwi mnie, że Konrada on tak mało interesuje.

Raz, czytając na głos *Dwa bieguny*, wyrzekłam zdanie, że nigdzie może tyle sił nie trwoni się marnie, jak w naszym społeczeństwie. A przecież stosunkowo nigdzie tylu rąk i głów do pracy nie trzeba, jak u nas.

Na to Konrad:

— Tak, hodowla ras poprawnych dałaby zdrowie moralne. Dlatego chcesz mnie zrobić hodowcą?
Czy zasłużyłam na taką ironię?

* * *

O ile da się naprawić stosunek Konrada do żony i w jaki sposób — oto myśl, która zajmuje mnie w dzień i nie daje mi spać w nocy. Bo jeżeli żonę kocha i za mną pogonił jedynie ogarnięty urokiem poetycznych wspomnień, powinien przed żoną wyznać wszystko otwarcie i wszystko wytłómaczyć.

Twierdzą, że na kłamstwie można budować szczęście. Ale jeżeli kłamiąc, możemy kogoś zrobić szczęśliwym, za to nigdy siebie. Do szczęścia trzeba wiary w prawomocność, właściwość swego postępowania. Okłamując, dajemy przewagę ukrywanym okolicznościom, bo chociaż od ich konsekwencyi staramy się uchylić — kołysze się ona wiecznie nad nami, jak miecz na nici przypadku zawieszony.

Jest to żywot tułacza, tłumiącego swą godność, ściganego obawą odkrycia, a nie śmiącego wyrąbać sobie szablą, lub zdobyć siłą argumentów, lub zasłużyć pokutą i krzywd naprawieniem — prawa noszenia tej godności wobec siebie i wobec innych.

Lecz w wypadku, gdy Konrad jej nie kocha, czy lepiej, aby udawał uczucie, którego niema i utrzymywał kłamstwo, pustą formę małżeństwa, czy żeby zerwał wszystko, opuścił żonę i — znów wielki znak zapytania. Trzebaby mieć tę lub ową pewność. Jak ją zdobyć?

Obserwując Konrada, dochodzę do przekonania, że nie kocha on ani mnie, ani Haliny, a raczej, że kocha jedną i drugą. Ze mną lubi marzyć, poetyzować — Halka podoba mu się przez swój wdzięk naiwny, prostotę, szczerość, pogodę duszy...

Jest to człowiek, któremu przeciwności zapalają wyobraźnię, a zdobycze ją studzą. Kocha, póki kobieta mu nie wyzna, że gotowa iść za nim.

Z drugiej strony jego natura miękka przywyka do łagodnej, ciepłej dłoni kobiecej, jestem pewna, że gdyby zamiast mnie była n. p. siostra miłosierdzia, przywiązałby się do niej, a raczej zapalałby uczuciem, jak błysk racy, krótkotrwałem, ale gorącym i świetnem.

Czy jest to sumienność? nie, może raczej stałość tego popędu wyobraźniowego, który, mając niejasne poczucie ideału, mierzy nim ludzi, jak obłokiem chrapaszczce; czyni to bez świadomej analizy, wprost z mimowolnego zestawienia dwu wrażeń: spoczywającego gdzieś tam na dnie duszy i płynącego zewnątrz — ze świata.

Ujmuje życie pod kategorią nieokreślonych, niby z Empirejów Platona zaczerpniętych, idei. Nie oddziela tego, co jest, od tego, co by się pragnęło. Stąd mglistość w postępowaniu, stąd niejasność własnych uczuć dla siebie samego. Gotów wszystko zrobić pod wrażeniem, rozdętem przez wyobraźnię, a prawie nic w imię tego, co zna i posiada.

Może się mylę, — wkrótce sprawdzę.

* * *

4*

W rozmowie spytałam Konrada, co zamysła zrobić ze mną.

Zdziwił się niezmiernie i odrzekł wymijająco, że teraz śni rozkosznie, więc poco go budzić?

Zwróciłam uwagę, że gdy długi sen jemu służy, mnie może wyczerpać, szczególnie w obecnym ataku opinii.

— Jakto, więc dbasz o sądy ludzkie! — spytał z żalem.

— Naturalnie! (naiwny wyrzut, który zrobi każda męska pycha: jak to, wobec mnie — twego bóstwa, dbasz jeszcze o ten nędzny, otaczający cię świat!)

— Cóż więc chcesz, abym uczynił?

— Bez ślubu żyć nie możemy...

— Ślub... ależ to niepodobieństwo! nie jestem mormonem.

Wstyd mnie oblał, lecz postanowiłam anatomizować dalej:

— Przyjmij protestantyzm, ślub poprzedni zostanie zerwany, staniesz się wolnym.

— I ty to mówisz z takim spokojem?

— Jeśli chcesz mnie posiadać, nie widzę innej drogi. Wreszcie, co znaczy jedna trudność wobec naszego przyszłego szczęścia?

Milczał.

Po długiej pauzie rzekł:

— To byłoby jednak nieuczciwie z mej strony! w jakim położeniu zostawiłbym Halinę? proszę cię, Amelio, postaw się na mojem miejscu, jako prawego człowieka...

Tryumfowałam.

Słowa Konrada dla każdego uczciwego sumienia były prawdą oczywistą. Ale oczywistość ta, jak wiele innych, gdy chodzi o ścisłość myślenia oraz postępowania, musi być wyrażona i za fundament przyjęta.

Postanowiłam iść dalej i zerwać ostatnią zasłonę z nagiego posągu prawdy.

— Więc gdzie twoja miłość — krzyknęłam — gdy dawnych związków nie chcesz poświęcić dla mnie! Czemu ci jest żona, której nie kochasz wcale?

— Nie kocham, zapewne, ale widzisz, jestem przywiązany do niej. Każdego mężczyznę zdobywa i przykuwa myśl, że jest kochanym, a ona ma dla mnie tyle uczucia... Wreszcie, ty może tego nie rozumiesz, jako kobieta, ale honor mój byłby zadrażniony. Ja nie mogę porzucić zupełnie żony, uciec od niej, jak kantorowicz od swego pryncypała.

— A cóż my ze sobą zrobimy?

— Wyjedziemy tymczasem gdzieś daleko n. p. do Szwajcaryi, a potem... któż myśli o potem! Jedna chwila rozkoszy i upojenia ozłoci nam całe pasmo szarego życia.

— Nie, mój drogi — odrzekłam zimno — masz do wyboru, spalić za sobą mosty, albo ich nie przechodzić wcale. Wybieraj!

Czułam, że rozmowa wywiera nań przykre wrażenie. Nic dziwnego, proponowałam układy, a

mężczyzna znosi tylko zdanie się na łaskę i nie-
łaskę.

Zaczął mówić długo o tem, że kocha mnie nad
wyras, wszak dał tego dowód! ale względem Hal-
ki ma pewne obowiązki. Ona bez niego byłaby
tak nieszczęśliwa, powiedziała mu kiedyś, że nie
przeżyłaby opuszczenia!..

— Słusznie, byłoby straszną niewdzięcznością
nie obdarzać uczuciem takiej istoty. Zatem masz
we mnie siostrę czy przyjaciółkę, ale za to żonę
swą kochaj szczerze i uczeiwie.

Spojrzał na mnie zdziwiony z takiego obrotu
rzeczy.

— Więc będziesz mi tylko siostrą! — westchnął.

Milczałam. Gdyby milczenie to dało się prze-
tłómaczyć na dźwięki, znaczyłoby długi, ironiczny
śmiech. Ale zarazem lekko mi było na sercu, nie-
ma bowiem nic strasniejszego nad niezdecydo-
wanie, gdy każda chwila zacieśnia pętlę sytu-
acji i dla wyjścia niesplamionego coraz mniej zo-
staje miejsca.

Konrad sądzi, że całe zajście ukryć należy
przed żoną, bo gdy się dowie, wieczny żal do
niego w sercu zachowa.

Jestem pewna, że się myli: znam lepiej Halkę
i wogóle kobiety. Porządna, kochająca kobieta
mężczyzny nie potępi, gdy chwilowy szal go ogar-
nie i pogoni za inną.

Ale tej innej za to — nie przebaczy nigdy.

*

*

*

Wykonałam ryzykowny krok, obawiam się jego następstw, ale zdawało mi się, że tak postąpić było moim obowiązkiem.

Napisałam do Halki list, objaśniając jej wszystko. Dodałam, iż byłoby nieszlachetnie, gdyby nieprzebaczyła Konradowi; jeśli ma żywić żal, to tylko do mnie, która dawałam zbyt wiele nadziei w Harasimówce i rozpalalam gorącą wyobraźnię Konrada. Winę swą okupiłam długim bólem i czystością postępowania późniejszego. Niech go zabierze, niech z nim pracuje razem, niech go kocha, jak dawniej i nie zważa na ten wypadek.

Ja już nie stoję między nimi.

* * *

Konrada dręczą zgryzoty, że Halka dowie się o wszystkim z boku i wiadomość ta może niebezpiecznie oddziaływać na jej organizm — spodziewa się bowiem wkrótce rozwiązania. Nie przewidziałam tej okoliczności.

Lękam się okropnie. Noc przepędziłam bezsenne, widząc przed sobą zrozpaczoną twarz Halki po przeczytaniu listu.

Czyżby zawsze wśląd za memi najczystsze pobudki miały nieszczęścia?

* * *

Odebrałam telegram — Halka jutro przyjeżdża. Dzięki Ci Boże! Jestem pewna, że nastąpi między nimi harmonia, jakiej dotąd nie było.

* * *

Staralam się przygotować Konrada do przybycia żony. On, jakby coś przeczuwał, wyrzekł, iż mnie będzie zawdzięczał, jeśli zostanie spokojnym, poczciwym małżonkiem. Jednocześnie wziął moją rękę, przyciągnął do siebie i chciał pocałować.

Spojrzałam mu w oczy i spytałam: czy należę do kobiet, które się znieważa?

Zmieształ się, a potem wpadł w gniew i zaczął dowodzić, że jestem komedyantką, bo mieszkam razem z nim, a udaję mniszkę.

Uczułam niezmierny ból policzka, wymierzonego przez istotę, która niegdyś była mi droga.

— Nie zrywaj białych róż brudnymi rękoma! — rzekłam.

— Już cię ta krew moja poplamiała — zaśmiał się szyderczo. — Już nie zmyjesz tych plam i palić cię one będą zawsze. Wreszcie, po co się ludzi? białe róże rosną dla nas za wysoko!

— A czerwone za nisko...

Poszłam do swego pokoju i długo myślałam — (śmieszne, nieprawdaż?), co czuje drzewo, gdy wiatr jesienny zrywa mu liście.

Aż się zanosi od śmiechu, chyląc koronę na wszystkie strony: bo ten wiatr zrywa liście już zwiędle, a co po nich? Niech lecą z wiatrem...

Ale drzewo śmiać się może, bo wie, iż na wiosnę okryje się nowymi, a serce ludzkie, obnażone z zieleni, schnie bez nadziei.

* * *

Konrad mnie przywołał do siebie, rozplakał się i rzekł: — Daruj mi obelgę, którą ci wyrządziłem! Jestem zepsuty, kapryśny, zły! Tobie szczęścia nigdy daćbym nie mógł, lecz Halce — spróbuję! Wszystko, co lepsze w mej duszy, zwraca się ku tobie z podziękowaniem za to, co zrobiłaś dla mnie, a więcej jeszcze, iż nie będę miał na sumieniu tego dziecka. (Żonę swą zwykle nazywa dzieckiem. Żona-dziecko! wydaje mi się to czemś nie do pogodzenia)...

Mimo wszelkich przejść bolesnych, czuję się dobrze, bo stanęłam w zgodzie sama z sobą.

* * *

(Na pensyi).

Nie chciałam swą obecnością „męża oddzielać od żony,“ więc przed przybyciem Haliny wróciłam na pensję. Odrazu weszłam w tryb dawnych zajęć. Skąd mi się wzięło tyle spokoju? czy to płynie z poczucia obowiązku?

Obowiązek, to jedynie sztandar, który sam przez się zwyciężyć, ani zapalić do czynu — niezdolny.

Do tego trzeba miłości.

Do takiego zwycięstwa trzeba miłości samej siebie: nie umiałam i nie chciałam poświęcić swego porządku moralnego. Może kiedyś zwątpię w jego wartość — dziś go czuję i błogosławię.

* * *

Niespodziewanie odwiedziła mnie Halina. Stała we drzwiach i gdym podeszła do niej, padła mi w objęcia z płaczem. Był to płacz szczęścia. Przepraszała za swój egoizm, dziękowała za poświęcenie, a mnie smutno było, że to „dziecko“ znów może doznać zawodów.

— Ty go kochasz! — mówiła. — Ja wiem, ty go nawet lepiej kochasz odemnie, ale ja silniej! dlatego dobrze, żeś mi go oddała.

Śmiała się, a jednocześnie łzy płynęły po jej okrągłej, białej twarzy.

Biedne wy kobiety! miłość wasza jest rozlaniem swego *ja* w jego *ja*; jest to pokora niewolnicy; jest to płynięcie bez wiosel i steru za jego cieniem. Biedne wy i szczęśliwe! Bo pozbywacie się dumi osobistej i człowieczeństwa, ale za to zdobywacie coś realnego — macierzyństwo, i wierzyście, że ten, który was całuje, jest Apollinem, i że dziecko będzie półbogiem.

Co do mnie, jestem kobietą nienormalną: miłość pojmuję, jako przymierze do walki. Tem się objaśnia łatwość mej ofiary: Konrad jest ideałem w pierwszym określeniu, lecz tylko cieniem — w drugim.

Odkąd to sobie powiedziałam — byłam spokojna.

* * *

Byłam spokojna, aż do dnia drugiego. Wtedy porwał mnie jakiś potwór i zaczął ssać... Tak wyobrażam sobie głowonoga: jestto jedna głowa, a ośm duszących uścisków. Było to coś bladego, nieokreślonego a dławiącego.

Było to zwątpienie.

Bo walczyć, ale za co? zwyciężać, deptać jedne uczucia, w imię jakich lepszych? Nie miałam na to odpowiedzi, albowiem nie było już ani nocy cichej, księżycowej, wiodącej do Bóstwa, ani rozbitej rodziny, którą należało zjednoczyć.

Smutek i czezość wewnętrzna były tak silne, że nie czułam nawet syku gadzin. Gdy przyjechałam na pensję, wnet zbiegły się nauczycielki gromadą, aby mnie oglądać, jak syrenę. W spojrzeniach czułam coś złowrogiego i drwiącego.

Potem przyszła do mego pokoju Stefka i opowiedziała wszystko. Kafarska rozgłosiła, że pod pozorem wyjazdu do domu przebywałam w hotelu z młodym mężczyzną.

Wiadomość Stefki obeszła mię mało: wystarcza być ucziwą; po za tem, co mogą obchodzić histeryczki i karlice?

(Potem zrozumiałam, że choćbyśmy czolem sięgali śnieżnych Himalajów — gady nie stracą swego przyrodzonego prawa: pełzać i kąsać...)

* * *

Ogromny mi brak Mani. Nie wróci już na pensję, gdyż zakłada szkołę 4 klasową, aby utrzymywać polskość na zalanych obcą falą kresach. Chce, żebym jej pomogła w tej pracy; zapewne zrobię to później. Tymczasem tęskno mi do niej, jak do istoty, która jedynie zdolną byłaby podtrzymać gasnącą moc i wiarę...

Kafarska, gdy mnie spotka, kłania się wyniosłe i przechodzi. Inne unikają, szeptać do siebie po kątach. Nawet wśród uczennic spostrzegam ciekawe spojrzenia i uśmiechy.

Ale najgorsze zaczęło się, gdy przybyli sprzymierzeńcy. Pani Courbet wleciała do mego pokoju, jak zwaryowana, obróciła mnie kilka razy w walcu i zaśpiewała jakąś wodewilową piosenkę. Potem zaczęła mówić szybko, że wzbudzam w niej szacunek i uwielbienie, że kto kocha, powinien nie dbać o cały świat, że ona też kochała i mieszkała z kimś przez parę miesięcy w wiosce jurańskiej.

— *Oh, je connais l'amour divin, je connais l'amour...*

Nim zdążyłam odpowiedzieć, pobiegła do innych nauczycielek i najbardziej obgadującym zapowiedziała, że oczy tej wydrapie, która złe słowo o mnie jeszcze powie. Bo obgadują przez zazdrość, a same z rozkoszą uczyniłyby to samo, tylko, że na takie czupiradła nikt patrzeć nie chce...

Prosiłam Courbet na wszystko, aby już więcej mej sprawy nie bronila, bo tylko plotki rozjątrzy i uzasadni. Ale ona zasypała pocałunkami i obie-

cała, że jeśli kto w jej obecności na mnie krzywo mrugnie, da mu po twarzy...

Uczułam się bezsilną wobec tak zacieklej przyjaźni, przypominającej niedźwiedzia, który chcąc odpędzić muchę, siedzącą na czole jego przyjaciela, tak dzielnie uczył ją głazem, że rozbił czerep na drzazgi.

Kto wie, gdyby mi tak zrobiono rzeczywiście, może byłabym wdzięczna. Tylko niestety, czaszka moja długo jeszcze będzie więzić myśli, które wiercą mózg i w nieskończonem tempie kołącą, dopraszając się odpowiedzi.

Bo po co ja żyję? ale o to mniejsza, można żyć, nie zadając sobie tego pytania.

Ale czem było to uczucie, które mi sen odbierało i robiło pustkę tam, gdzie jego nie widziałam, a po którym teraz zostało tylko trochę spielanych wspomnień? Urojeniem? zapewne, ale gdy urojenie znikło, czy jest lepiej? Miałam urojony cel, urojoną namiętność, jedno i drugie wymagało ofiar, walki, cierpienia... Ponośliam to wszystko i było mi przynajmniej znośnie, jeśli nie dobrze.

Zapełniałam sobie życie, a do tego niekoniecznie trzeba celów podniosłych i wartościowych. Czasem wystarcza dobro fikcyjne, jak n. p. sława; czasem kłamiące jak morfina; czasem wprost negatywne, jak choroba, z którą się walczy i walczą ta skupia całą naszą energię, staje się celem życiowym.

A ja nie mam nic — żadnych pragnień i żadnych celów.

Musi to być jakaś anemia duszy, na którą przyszli lekarze wynajdą zapewne jakiś środek hipnotyczny, jakieś poddawanie pożądań, ambicji, słowem tego wszystkiego, co się nazywa zdrowiem moralnem. Niestety, my barbarzyńcy jeszcze nie znamy takiej ospy ochronnej. Dlatego choroba nas dziesiątkuje.

* * *

Dni w życiu ludzkim bywają czasem podobne do tych książek, o których nie więcej powiedzieć nie można nad to, że się je przeczytało. Z takich dni szarych i swą szarością przygniatających składają się lata długie, bezplodne, mające jedyny objaw — starzenie.

Czyż doprawdy, cały ten krzepki organizm, te kształty, o których ludzie mówią, że są wyrzeźbione, ten umysł, rwący się do światła, ta potrzeba wielka kochania, ta żądza życia i rozlewania życia naokół — czyż to wszystko rozwinęło się i żyje, aby zwiędnąć marnie, jak beznasienne kwiaty? Zaiste, lepiej byłoby umrzeć za młodu, nim nastąpi ostateczne rozgoryczenie i ostateczne duszy zbląkanie..

* * *

Nadchodzą święta wielkanocne. Zapach pęczniących pączków i ciepłe wiosenne powiewy wlatują przez otwarte okna.

Nigdy jeszcze nie było mi tak beznadziejnie... Wyobraźnia śpi, uczucia stłumione, tylko myśli, jak zamkowe strażę, błakają się z latarkami po zaułkach duszy i oświetlają pajęczyny, kurze, oraz cenne niegdyś rupiecie, od których teraz bije stęchlizna.

* * *

Co wieczór odbywam lekcye z Zosią; uczy się dobrze, przywiązana do mnie, jak własne dziecko. Gdy jestem smutna, co teraz prawie stałym jest objawem, ona siada u nóg moich, zaglądając w oczy i całując po rękach.

I czemu ja to piszę? wszystko jest tak bezmyślne...

* * *

Niedziela.

Całe popołudnie błądziłam po polach i cmentarzu. Byłam, jak w lunatyzmie, nie wiedziałam, co się dzieje naokół, czułam tylko coś okropnego, co przytłaczało mi duszę.

Głowę wystawiałam na palące promienie słońca, aby się odurzyć; próbowałam się modlić, ale po paru słowach wybuchnęłam śmiechem, aż strach mię ogarnął przed samą sobą.

Potem — co ja robiłam? ab, tak — pisałam coś w notesie... Ledwom odczytała te smutne, dziwaczne, poplątane słowa. Jeden urywek przepisuję:

Idę na cmentarz, gdzie krzyże czernieją,
Tam wśród grobowców i umarłych grona
Może się moja dusza załzawiona
Przejmie niebytu i ciszy nadzieją,
Może zmęczoną wśród życia zmienności
Uśpi tam powiew ją — nieskończoności.
Naprawdę — jakiś niepokój mną targa —
Jakgdybym czuła Samumu zbliżenie,
Gdy śmierć wygląda słodko, jak zbawienie;
Niepokój gorszy, niż bolesna skarga!
W bólu jest życie — cierpienie się zdwaja,
Bołące serce ma — jak harfa — struny,
Na których wichry grają i pioruny,
Tworząc pieśń dncha, co silnych upaja.
Lecz serce moje — to jak cicha urna,
W której jedynie popioły szeleszczą,
Ale nie zagra w niem melodya górna,
Ani nie zadrży tragedya złowieszczą...
Nie nie przeklina, lecz i nie nie kocha;
Niczego nie chce — obce mu nadzieje...
Oh, coś tam strasznie, beznadziejnie szlocha —
Cicho, to dusza moja tak się śmieje.

* * *

Stefka radzi mi opuścić pensję i wyjechać na wieś. Chętnie to zrobię.

Nie wolno straszyć ludzi ponurym wyglądem i nie grać wraz z wszystkimi smutnej farsy, której tytuł: powaga życia.

Powaga — to wielkie słowo! głupcy je szanują, tłumy przed niem się korzą, mędracy niem gardzą.

A ja, która nie jestem ani głupią, ani mędrcom, a z tłumu mnie wypędzono, czuję — znużenie...

* * *

Wymówiłam miejsce przełożonej.

Za dwa miesiące wyjadę na wieś i ulegnę katalepsyi. Piaski, drzewa, dobroduszne twarze i plotki sąsiedzkie — to przytłumi, uśpi i znieczuli.

* * *

Przyszedł raz Staszecki, gdy siedziałam sama w gabinecie chemicznym i patrzyłam bezmyślnie na cyanek potasu, którego przed chwilą używałam do jakiejś reakcyi.

Zapalił milcząc papierosa i rzekł zwolna:

— Jak się zdaje, myśli pani o wybawicielu. Falszywy apetyt! ja też miewam czasem coś podobnego, ale uważam to za błędny kierunek dobrego dążenia.

— Gdy niema celu, wszystkie kierunki są błędne, lub wszystkie dobre — odrzekłam.

— To paradoks. Cel istnieje mimo naszej woli i z nią lub bez niej zmierzać doń musimy.

— A tym celem?

— Życie.

— Ja widzę drugi: nicość.

— Niech pani unika tego wyrażenia. Przedewszystkiem, jest ono niefilozoficzne, powtóre, źle

zastosowane. Nudę lub zmęczenie, jakie nas chwilowo ogarnia, nazywamy pragnieniem nicości, gdy jest to właśnie pragnienie życia, płynącego falą szeroką, rozlewną...

— Tak, lecz skąd wziąć fali tak szerokiej, aby cała dusza zmieścić się mogła?

— Nie jestem metafizykiem, więc bez nadmiernych subtelności odpowiem, że każde szlachetniejsze i wyższe uczucie stać się może źródłem dla takiej rzeki; tylko nie trzeba płynąć po piaskach bezpłodnych, a wysysających. Niech pani pokona chwilowe znużenie, będzie z pani dzielna, mocna dusza.

— Ja wierzę w panią! — dodał.

— Zatem mam kogoś, kto we mnie wierzy! To dużo, to nawet za wiele... łatwowierności. A jednak... jest mi to przyjemne.

* * *

Wszelkimi siłami (za radą Staszeckiego) staram się bronić przeciwko apatyi, która mnie przytłacza, ale napróżno.

Czasem doznaję wrażenia, jak gdybym szła po torfowisku, które zwolna zapada, nogi grzęzną w błocie; gdy jedną z nich wydobędę, druga zanurza się tem głębiej, wreszcie cała kępa wraz ze mną tonie, ogarnia mnie ciecz miękka, wstrętna, sklepienie zamknęło się nad głową, cisza...

Nie mogę znieść liczniejszych zgromadzeń; zgiełk wszelki mnie razi. Czasem jakaś osoba na ulicy, obca zupełnie, takim mnie przejmuje obrzydze-

niem, że muszę przejść na drugą stronę. Doktor twierdzi, że jestto zdenerwowanie i nic więcej. Bardzo być może.

Gdy ojciec mój nagle skończył, doktor mnie pocieszał: — Ależ, kochane dziecko (byłam wtedy jeszcze małą) nie smuć się! żyłka pękła, to każdemu zdarzyć się może!

* * *

Odebrałam od Stefka list bardzo smutny: stypendyum obiecane go nie dostał, wątpi w swoje zdolności, wyrzuca sobie, że mi jest ciężarem. Chce porzucić uniwersytet i iść do biura.

Strasznie mnie to dotknęło.

Odpisałam, że nie wolno mu wpadać w zniechęcenie, bo przed nim jeszcze droga długa, pełna skutecznej, może wielkiej pracy. Niech się nie oburza na omyłkę, czy niesprawiedliwość ludzi — i bez nich damy sobie radę. Od czegoż posiada siostrę?

On nie domyśla się nawet, jakim niepodobieństwem byłoby dla mnie dłużej błąkać się po świecie bez tego przekonania, iż jestem komukolwiek potrzebna i użyteczna. Cały list mój był taki zdrowy, taki pelen wiary i zachęty, że mnie samej lżej i lepiej się zrobiło. Kto wie? może i ja cel znajdę, jak gwiazda biegunowa, niezmienny wśród wiecznych oscylacyj mej duszy...

* * *

5*

Przełożona bywa coraz częściej cierpiąca. Mie-
wa tak straszne migreny, że trwają dniami cały-
mi i czynią ją prawie nieprzytomną.

Nic dziwnego! od lat dwudziestu jest przedmio-
tem nienawiści bogów, czyli mówiąc nowożytnie:
zajmuje się pedagogią. W naszych warunkach jest
to praca Syzyfa.

Miałam dziś czas wieczorem i poszłam ją tro-
chę rozerwać.

Dziękowała mi serdecznie. Rozgadałyśmy się
jak dwie przyjaciółki. Zapytywałam, czemu nie
poruczy swych zajęć komu innemu, jeśli one od-
bierają jej zdrowie. Odrzekła, iż gdy ona ustąpi,
pensję pod lada pozorem mogą zamknąć.

Zbyt dobrze znałam stosunki, aby nie ocenić
całej grozy położenia.

Przełożona ma za sobą osobistą tradycję i wiel-
ką powagę, z którą się muszą rachować; mimo
to pensya doznaje od władzy szkolnej coraz wię-
cej przykrości. Inspektor zjawia się co dni parę,
w tornistrach uczennic szuka podręczników do hi-
stori polskiej, wszystkie miejsca wolne obsadza
Rosyanami.

Jeden z nich, nauczyciel języka rosyjskiego,
nieokrzesany grubianin, wyprawia ciągle sceny
nauczycielkom i uczennicom. Jeżeli która z uczen-
nic nie wyrecytuje bez zająknięcia wszystkich ty-
tułów J. C. Mości oraz jego rodziny (we wstępnej
klasie wyuczenie się ich zajmuje pół roku czasu),
albo omyli się w dacie urodzenia jednego z wiel-
kich ksiąząt — dostaje źły stopień na cenzurę.

— Ojca swego i domu swego możesz nie znać, ale cesarza i jego rodzinę znać musisz! — głosi ten natchniony apostoł oświaty.

Wczoraj miał odbywać egzamin w V klasie. Nie przychodzi na czas o godzinie 9, czekamy — mija wpół, potem dziesiąta, jedenasta, kilku posłańców z listami szuka go po mieście, wreszcie koło południa zjawia się, jak u nas mówią: „zawiany“ — błądy, z napuchłą twarzą i niepewnem spojrzeniem.

Jąkając się, przeprasza przełożoną za spóźnienie: troszeczkę zasnął, przyjaciel „podlec“ go nie obudził, był niezdrów, ale — *eto puściaki!* — dodaje na uspokojenie tych, coby zbyt nie lękali się o jego życie.

Przełożona, milcząc przyjęła wyjaśnienie, tylko się odsuwała, bo zapach spirytusu bił na trzy łokcie.

2 czerwca, niedziela.

Poszłam dziś sama do parku i spotkałam Staszecznego. Siedział zamyślony, spostrzegł mnie, gdy już przechodziła. Usłyszałam, jak przystanął i zaczął dopędzać. Odwróciłam się szczerze zadowolona, że mieć będę na przechadzce towarzysza. Ale był małowówny, wyglądał na zdenerwowanego.

Zapytałam, co mu jest. Zdjął kapelusz, wskazał na siwiejące włosy i rzekł gorzko:

— Włos każdy siwieje, czuję zgon każdego włosa.

Rzeczywiście, w przeciągu kilku ostatnich tygodni Staszecki posiwał.

Chciałam okazać mu współczucie i może pomóc w smutku, którego powodu zlekka się domyślałam. Sądziłam, że idzie tu o Manię, która odwzajemniała się Staszeckiemu sympatyą. Mówiłam długo o jej niesłychanie dzielnym charakterze i wyższym umyśle — zbywał mnie półsłówkami, zdawał się przysłuchiwać z grzeczności. — Wtedy przeszłam bezpośrednio do niego samego i powiedziałam, iż powinien raz wreszcie ustalić sobie byt rodzinny.

Zaśmiał się i pokazując ręką drzewo, spytał: „Czy z tą wierzbą?”

Byłam urażona za Manię. Odrzekłam sucho, że jeżeli ktoś wierzbę pokochał, powinien starać się o jej wzajemność.

— Pyszna recepta! — zawołał — szkoda tylko, że stoją na przeszkodzie ukraińskie rzeki... Nie rozumiałam aluzji. Wszakże Mania pochodzi z Połesia — i wogóle, co mają z nią wspólnego rzeki?

Rozmowa przeszła na tor inny, mówiliśmy o swych znajomych. Staszecki nagle wspomniał nazwisko Konrada.

— Pan go znasz? — spytałam żywo.

— Mój kolega szkolny. Wygląda pani, jakby niezadowolona z tej wspólnej znajomości... Świdrował mnie oczyma, czułam, że się rumienię, ale wnet odzyskałam spokój: choćby wiedział wszystko, cóż w tem dla mnie hańbiącego?

— Nie spodziewałem się nigdy — zaczął znowu — żeby pani była tak przykłądną siostrą miłosierdzia.

Z tonu sądzić nie mogłam, czy mówi ironicznie lub seryo.

— Panie Adamie — rzekłam — nie wiem, w jaki sposób stałeś się właścicielem pewnych tajemnic — proszę, nie wspominaj dni, które przeszły!

— Czy w dniach dzisiejszej niedoli wspomnienie ich tak jest przykre?

Spostrzegłam, że próbuje badać. Jakiem prawem?

— Panie — rzekłam zimno — są wspomnienia, których dotykać pozwalamy tylko bliskim!... Odprowadził mnie do domu więcej jeszcze milczący.

Przykro mi, jeśli go uraziła — jutro to powetuję...

(Tegoż dnia).

Czytałam przez kilka godzin. Za chwilę położyłam się spać. Doznaję dziwnego wrażenia, jak wtedy, gdy przed zmęczonemi oczyma skacze bezustannie czarny punkcik. O czemkolwiek zaczynam myśleć, staje mi przed oczyma blada twarz Staszeckiego i świdrujące oczy.

Czyżbym się lękała jego podejrzeń? Śmieszne to, a jednak...

Podrażnienie, jak przylepiona do ciała smoła, nie sprawia właściwego bólu, ale męczy, denerwuje, tak, że nareszcie chwytamy paznokciami skórę i zdzieramy do krwi..

* * *

Stefka wychodzi zamąż! Powiedziała mi to w tajemnicy, ale jednocześnie pani Courbet, tamta pod sekretem którejś znów, i w jednej chwili cała pensya dowiedziała się o tym znamienym wypadku.

Stefkę otaczają, winszują — pół żartem, pół seryo. Jeden Staszecki nie ukrywa ironii. Stał się tak drwiący i żółciowy, że niepodobna trzech słów z nim zamienić. Stefce gorąco winszował, bo małżeństwo jest doskonałym środkiem na wytępienie inteligencyi: amputuje głowę, a przedstawia bocienie gniazdo.

Na to Stefka: — Mówi przez pana zazdrość — biedny pan! nie mieć żadnego kochającego serca!

— Zlituj się pani i nie lituj się nademną! — odrzekł z nagłym wybuchem niecierpliwości i wyszedł z pokoju.

Rzeczywiście Stefka wygląda, jakby dla nas wszystkich miała wielkie politowanie, taka jest rzetelna, cicha, w spojrzeniu słodka.

Nigdybym nie przypuściła, aby ów jakobin zdecydował się na tak ryzykowny krok.

A jednak — najformalniej, w białych rękawiczkach oświadczył się Stefce.

Za miesiąc skończy uniwersytet, za pół roku się pobiorą i zaraz wyjadą na prowincję, gdzie młody doktor ma już obiecaną posiadłość.

Stefka roi czarowne widoki na przyszłość: domek winem obsadzony, ogródek, w którym będzie sadzić malwy, bratki...

— Kapustę, pietruszkę — dodałam.

— Naturalnie! utrzymanie porządku w pokojach, w kuchni, wszystko to zapełni dzień, wieczorem zaś głośnie czytania...

— A dzieci? — spytałam.

— Nie dokuczaj mi! — prosiła — a wreszcie mów, powtarzaj, ja sama ci powiem, że chcę mieć dzieci, chcę mieć rodzinę, ty i Mania macie inne usposobienia: zimne, abstrakcyjne!

— A Sakia-Muni? czy nie wytoczy procesu dawnej prozelitce?

— Odeślę go do ciebie, powetuje sobie stratę stokroć — odrzekła zadąsana. (Już nawet dąsać się nauczyła, z czem jej bardzo do twarzy). Ale rozjaśniła się zaraz i znów zaczęła opowiadać o małym dworku z winem (albo z clematisem — lepiej z winem!) o Stachu, którego będzie surowo trzymać, choć i bez tego będzie on porządnym mężem i dzielnym doktorem...

Jakie to sielankowe, nieprawdaż? nawet bardzo żartować nie można z takich prostych, szczerych i dobrych uczuć!

*

Było dziś nowe zajście na pensyi.

Inspektor znalazł u jakiejś przychodniej egzemplarz historyi polskiej (cenzuralny), zwymyślał całą klasę, nauczycielkę, potem wpadł do gabinetu przełożonej i przysięgał na honor, że zamknie pensyę.

Przełożona natychmiast pojechała do kuratora i wytłómaczyła mu, że nie może być odpowiedzialną, jeśli która z uczennic przyniesie z sobą książkę, nie należącą do przepisanych podręczników, nb. cenzuralną.

Kurator wysłuchał sprawy bardzo grzecznie, ale powiedział na odchodem:

— Jak dotąd świetnie udaje się pani bronić swego patryotycznego posterunku. Ale co będzie dalej?

Tak, co będzie dalej?

Są u nas ludzie nieuleczalni, ślepi, którzy sądzą, że lojalność i zachowywanie wszelkich przepisów prawnych uwolni od niebezpieczeństwa utraty urzędu, lub możliwości prywatnego zarobkowania, od wywiezienia drogą administracyjną, lub zamknięcia w cytadeli. Ci ludzie nie rozumieją tego, niesłuchanie prostego objawu w dziedzinie niższych instynktów: „chęć ciebie zjeść nie dlatego, żeś przedemną zawinił, ale że czuję apetyt“.

Wobec tego staje się zrozumiałem, dlaczego stanowisko i zajęcie polskiego stróża, polskiego kancelisty, polskiego nauczyciela jest uważane za „posterunek polityczny“, który należy znieść w imię instynktu.

Przełożona, mimo groźby, zawartej w delikatnych słowach kuratora, nie traci spokoju; powiedziała do mnie:

— Będziemy pracować, póki nam pensyi nie zamkną.

— A wtedy? — spytałam.

— Zajmiemy inny posterunek i będziemy pracować dalej, póki nas nie zgniotą zupełnie.

Czułam się porwaną temi słowami, a jednocześnie upokorzoną: „będziemy pracować“, a ja z tych szeregów występuję... Cóż robić? jest coś silniejszego nad obowiązek, honor, miłość idei narodowej, a tym fetyszem wszechwładnym są zmęczone nerwy.

Inspektor dziś (znów!) przyszedł bardzo ugrzeczniejszy, użalił się nad przełożoną, że ma tyle pracy i „kłopotów“ — a potem odwiedził drugą klasę; kazał zmówić „modlitwy“, zadeklamować z uczuciem i zrozumieniem „Boże Carja chrani,“ nareszcie zapytał którejs:

— Kto to jest Rosyanin?

Gdy uczennica, drżąc z przerażenia, żeby nie powiedzieć czegoś niestownego, milczała — inspektor nalegał:

— No, powiedz, powiedz, „gołubuszka“, kto to jest Rosyanin?

— Człowiek — odrzekła niepewnym głosem delinkwentka.

— *Wot głupost'!* ale dla ciebie, dla was, kim jest Rosyanin?

A gdy znów milczała ze spuszczonej oczyma:

— Brat — rzekł łagodnie — brat, wasz brat!

Nieszczęście chciało (bo u nas nieszczęściem jest wszelki wyraz żywszych ludzkich uczuć), że jedna z uczennic wzruszyła na to braterstwo ramionami.

Inspektor - „brat“ stał się nagle zielony, przyskoczył do biednej dziewczynki, pienił się ze złości, tupał nogami i kazał jej postawić dwójkę z rocznego sprawowania. Działo się to w mojej obecności, w mojej klasie!

Gdyby nie obawa narażenia pensyi na zamknięcie, kazałabym temu panu wyjść za drzwi.

Ale musiałam milczeć i zaciskać zęby.

A teraz płaczę i ból mną targa niezmierny...

Jeruzalem! Jeruzalem! biedna ziemi ty!

Gdy twej męce nie poświęcę każdej mojej łzy,

Jeśli ciebie nie ogarnę mym synowskim żalem,

To mnie przeklnij i zapomnij, matko Jeruzalem!

*

Przyszłość moją zdecydowały malce.

Odbywałam dziś zwykle, sobotnie czytanie, którego słuchają jednocześnie trzy niższe oddziały; miało być ostatnie w tym roku. Wybrałam wzruszającą opowieść Amicisa o chłopcu, który potajemnie dopomagał ojcu w przepisowywaniu, przesiadywał nieraz całymi nocami, co naturalnie odbijało się niekorzystnie na jego zdrowiu i postępach w nauce; ojciec zaczął być dla niego suro-

wym, karciał ustawicznie za lenistwo, aż pewnego razu zastał syna, który z czerwonymi od zmęczenia oczyma, blady siedział nad pliką papierów i pisał.

Dziewczyнки słuchały z niezmiernem zaciekawieniem, większość łzy miała w oczach. — Gdy skończyłam, wywiązała się dyskusya o cichem bohaterstwie.

Trudno uwierzyć, ile gorących uczuć, ile skłonności do poświęcenia żywią te małe dziesięcio- lub dwunastoletnie kobietki! z jakim entuzjazmem mówią o czynach bohaterstwa, które znały ze słyszenia lub naocznie.

Posypały się opowiadania: jedna widziała pastuszkę na wsi, który cały swój obiad oddał żebrakowi; druga („poetka“, jak ją nazywają towarzyszki) opowiedziała przerywanym od wzruszenia głosem historję starego tragarza na stacyi kolejowej, który ciężką pracą utrzymywał troje wnucząt. Raz dźwigał jakiś wielki ciężar, potknął się i upadł. Ciężar przygniótł mu piersi i połamał żebra. A on, umierając, rozpacział tylko nad tem, że jego wnuczęta zginą z głodu!

Wtem jedna się odezwała:

— Zosia to też bohaterka!

— Dlaczego? — spytałam zdziwiona.

— Ach, co te małe plotą — przerwała moja nieodstępna trzecioklasistka, oblewając się całą pąsem.

— Niech pani jej nie wierzy — odezwała się rezolutna Mikulska — Zosia od pół roku pomaga

w lekcjach wstępniaczkom; ma trzy uczennice i to jej zajmuje codziennie godzinę rekreacyjną.

— Dlaczego ukrywałaś się z tem przedemną, Zosiu? — spytałam.

Milczała, potem rzekła:

— Bo w tem niema żadnej zasługi, to sprawiał mi przyjemność!

Trzy małe dziewczynki powstały i serdecznie ją uścisnęły. Były to niegdyś bardzo słabe uczennice, obecnie mają zapewnioną promocyę.

Po skończonej godzinie cały tłum dziewczątek otoczył mnie i z wesołymi okrzykami wołał: do widzenia! na rok przyszły znów będziemy z paniusią czytywały takie śliczne rzeczy.

— Czy nie wicie — odezwała się smutno Zosia — że pani od nas odjeżdża na zawsze?

— Na zawsze? odjeżdża? Zdziwiły się towarzyszki i zachmurzyły, gotowe do łez.

— Dlaczego pani nas opuszcza? dlaczego?

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

A tymczasem cały ten wieniec dziecinnych postaci o twarzyczkach anielskich wpatrywał się we mnie z wyrzutem i nieklamany żalem.

— Pani jest chora! — rzekła Zosia.

— Chora? — zaczynały się dziwić i przerażać maleństwa. — Chora? a myśmy o tem nic nie wiedziały! To pewno z naszego powodu! My już będziemy dobrze się sprawować, tylko niech paniusia zostanie, moja złota! — prosiły.

— A będziecie mnie kochały tak samo, jak teraz? — spytałam, ocierając ukradkiem łzy.

— O tak! my tylko mamy nasze tak kochamy, jak paniusię.

— A więc zostanę, moje dziewczątka! mnie też byłoby żal was opuszczać.

Kilkanaście ramionek objęło mnie, kilkanaście ust poczułam jednocześnie na twarzy i rękach, a Zosia, która stała na uboczu, rozplakała się i wybiegła.

Potem, mówiąc mi dobranoc, szepnęła:

— Paniusiu, ja też będę nauczycielką, dobrze?

...Moje wy dzieci kochane! wy moje — naprawdę moje!

Zostanę się, naturalnie, że zostanę. Tylko i wy zostańcie nadal tak dobrymi. Niech pierwszy bal i piąta klasa nie zrobią z was ptaszków, muskających swe piórka!

Ale żeby to nie nastąpiło, trzeba nad wami czuwać. Więc będę!

* * *

Staszecki, gdy mnie dziś spotkał, pogladził swą piękną brodę i z bolesno-ironiczną miną rzekł:

— Pozwoli pani przynajmniej się oplakiwać, gdy nasze miasteczko zostanie przez nią osieroczone?

— Zkąd pan wie, że dłużej nie będę na pensyi?

— Ulicznicy już o tem piosenki wyśpiewują!

— Że też panu wszystko zawsze wyśpiewać muszą...

— To los tych, którzy mają uszy. Dla mnie wystarcza być obserwatorem. Jest pani wesola

i spokojna, zatem można oczekiwać jednej z owych miłych kobiecych niespodzianek, po których porządne *masculinum* błogosławi króla Niebiosów, że go nie stworzył: „ani kamieniem, ani rośliną, ani zwierzęciem, ani niewiastą“.

— Rzeczywiście, jesteśmy zaledwo trochę mniej zmienne, niż mężczyźni.

— Wskutku tego?

— Pańskie wiadomości uliczne oraz obserwacje warte są tyle, co jego błogosławieństwa.

— Jako, więc pani pensyi...

— Nie opuszczam, oto wszystko.

Staszecki zrobił ruch nagły, jakby mnie chciał uściskać. Aż się zaśmiałam w duszy.

Poszłam do przełożonej.

Patrzała zamyślona w okno, nie słysząc drzwi otwieranych. Spozrzegłszy mnie, powstała i rzekła:

— Cóż, p. Amelio! za tydzień wyjedziesz od nas na zawsze... Przyjmij ten drobiazg na pamiątkę wspólnej pracy — i podała mi w złoto oprawną miniaturę Klementyny Hoffmannowej.

— Chciałam panią prosić o wielką łaskę...

— Może chcesz wyjechać wcześniej? Jesteś zmęczona... dobrze, my cię zastąpimy moje dziecko...

Coś mnie w gardle ścisnęło.

— Ależ przeciwnie, chciałam prosić, byś mi pani pozwoliła zostać dłużej na pensyi!

Patrzała na mnie długo, wreszcie rzekła:

— Rozważ, czy nie będzie to nad twoje siły?

— O, nie sądź pani z mego poprzedniego stanu duszy! Gdy trochę odpocznę na wakacyach, dowiodę, jak jestem silna i wytrzymała.

Uścisnęłyśmy się serdecznie, łza jej spadła na mą twarz.

— Da Bóg — rzekła — że będziemy się bronić jeszcze długo!

* * *

Kafarska dowiedziała się, że zostaje i załamała nademną rękę.

— Nieszczęsna! zrujnujesz zdrowie, będziesz wyglądała jak cień! nam zostaw tę niewdzięczną pracę! my tylko znieść ją potrafimy — deklamowała melodramatycznie.

— A jakiegoż eliksiru zdrowia używa pani?

— Odpowiadasz impertynencyą na rady, płynące z serca. Więc zostań, zostań! zaznawaj tu-tejszych rozkoszy, ale przekonasz się, że nie jest tu tak przyjemnie, jak w hotelu...

Za nami stała przełożona. Kafarska, gdy ją spostrzegła, urwała i zaczerwieniła się.

Chciałam wyjść, bo łzy mnie dusiły. Przełożona zatrzymała:

— Panno Amelio, czy nie byłabyś łaskawa objąć od przyszłego roku zajęć administracyjnych zamiast lekcji popołudniowych?

— Nie wiem, czy podołam — odrzekłam.

— Dałaś tego dostateczne dowody. Wzbudzasz szacunek w każdej ucziwej, znającej cię osobie.

Czy nie tak, proszę pani? — zwróciła się do Kafarskiej.

— Ależ tak, tak! panna Amelia taka młoda, a cieszy się ogólnem powodzeniem.

* Była to złośliwość, na którą i teraz odpowiadałam milczeniem.

„Idź swoją drogą i pozwól mówić ludziom“.

Dziś był popis. Wypadł świetnie. Zosia dostała list pochwały. Przysłany z okręgu naukowego dostojnik wyraził podziw, że uczennice robią tak wielkie postępy. Wszyscy w brylantowych humorach.

Po skończonej uroczystości zostałam wezwana do salonu.

Staszecki wyświeżony, z różami na piersiach, podskoczył do mnie i uścisnął rękę.

— Racz pani przyjąć te kwiatki — rzekł, podając wspaniałą bukiet storczyków.

— Ależ panie... — zaczęłam.

— Czy ma pani już miejsce na wakacje? — przerwał szybko.

— Dotąd nie.

— A więc może pani przyjmie o pół mili od Nałęczowa, do jednej dziewczynki; kwota stu rubli. Ludzie zacni, znam ich doskonale, dom przyjemny, odpocznie pani świetnie...

— Dziękuję panu.

— Jakto! nie chcesz pani przyjąć? dlaczego? proszę samej oznaczyć warunki!

— Przecież jeśli panu dziękuję, to znaczy, że gotowam przyjąć i być wdzięczną za jego pomoc. A pan, co z sobą robi przez lato?

— Co do mnie, proszę pani, doktorzy ostatnią nerwową kurację każą odbyć...

— Może w Nałęczowie?

— Zgadła pani.

Zrobiłam poważną minę.

— Tylko niech pani nie sądzi, że to jaki fortel uknuty!

— Obawiam się, że nie będę mogła miejsca tego przyjąć.

— Ponieważ? — wycedził powoli.

— Ponieważ nie chcę rozstać się z Zosią. Chyba, że ci państwo dadzą mi połowę oznaczonej sumy, a w zamian pozwolą, bym ją wzięła z sobą.

— Cóż to — zaperzył się — moich krewnych uważasz pani za spekulantów? Będą szczęśliwi, gdy dla swej córki zdobędą towarzyszkę.

— A więc wszystko w porządku, jutro mogę wyruszyć.

— Tylko — zaczął się uśmiechać złośliwie — tam niema rzek romantycznych!

— Niestety, gdyby nawet były, pedantyzm pedantycznych nauczycieli przerobilby je na trotoary.

— Pedanci dowiodą pani...

— Że umieją ofiarować piękne bukiety i kochać swój naród... Za pierwsze ich się lubi, za drugie... szanuje.

Podaliśmy sobie ręce, serdecznie, po przyjacielsku.

* * *

W sierpniu.

Z dziwnem uczuciem przejrzałam te kartki. Nieświadomie złożyłam w nich kawałek swej duszy. Tylko kawałek i to byleż. Obecnie jestem już inna: doświadczeńsza, a więcej młoda; silniejsza, a mniej złożona. Wiele z tego, co dawniej tylko odczuwałam, dziś rozumiem.

Zycie! ty jesteś, jak otchłań morza, w którą im głębiej zstępujemy, tem prościej przedstawiają nam się twory i zjawiska życiowe, a jednocześnie, tem większą czujemy nad sobą potęgę bezmiarów...

Trudno mi pisać: rechotanie żab z dalekich dolatuje stawów i wśród ciszy nocnej wydaje się przygrywką do snu. Ale, gdy skupiam wszystkie wrażenia: tych gwiazd, miliardami rozsypanych po niebie, w wiecznym biegu spełniających wyznaczoną drogę; i tych drzew, głęboko zadumanych; i tych chat wieśniaczych, gdzie spią zmęczone ludzkie mrówki — słyszę drugą, wielką przygrywkę — do życia...

* * *

Staszecki od tygodnia przebywa na wsi, jutro odjeżdża.

Przed wieczorem, jak zazwyczaj, wyszliśmy na przechadzkę, tym razem daleką, bo aż na wiejski cmentarzyk.

Naturalnym biegiem myśli rozmowa przeszła do tematu istnienia zagrobowego. Staszecki, posia-

dający rozległą wiedzę przyrodniczą i matematyczną, mówił niezwykle zajmująco o granicach poznania ludzkiego, o względności naszej wiedzy i o tem *a priori*, które tkwi w ujmowaniu wrażeń i tworzeniu pojęć ogólnych. „Ewolucya ducha na ziemskim globie prowadzi z konieczności umysł nasz poza szranki doświadczenia i tam każe przypuszczać dalszy ciąg tej ewolucyi.

Hipoteza ta da się uzasadnić z równem prawdopodobieństwem, jak ewolucya w świecie organicznym, jak teoria Kanta i Laplace'a...“

Na uboczu od cmentarza spostrzegliśmy karetę. Zdziwiło to nas, bo cmentarza tego nikt prawie nie odwiedza, jako zdawna opuszczonego.

Wahaliśmy się, czy wejść, nie chcąc zakłócać modlącym skupienia, ale Zosia i jej towarzyszka patrzyły tak błagalnie, że Staszecki uchylił furtki.

Cmentarz ten ma parę wieków przeszłości. Pełno w nim zieleni, starych olbrzymich klonów, jodeł, brzoź; pełno kwiatów i zapachu nigdy niekoszonej trawy. Lubię go, jak starą kronikę, jak granitowego sfinksa o grzywie lwa, piersi kobiecej i mądrych oczach. Próżno staraliśmy się dostrzedz kogokolwiek.

Nagle w cieniu czterech cyprysów, owitych bluszczem, ujrzelśmy postać kobiecą. Aksamitny płaszcz walał się na piasku, a ona przyłgnęła piersią do białego marmurowego krzyża. Był to grób pułkownika z roku 1863. Usłyszeliśmy niełumione łkanie, a potem przejmujący wykrzyk:

„Spotkamy się za grobem, prawda, mój ojczy, że się spotkamy!”

O siostrze! niechaj te słowa, płynące z głębi kochającego, miłością mądrego serca, będą jasnowidzeniem, które tobie ulży w boleści, a mnie da moc do prowadzenia życia dalej...

Wyszliśmy niepostrzeżenie.

Słońce zaszło; purpurowe morze rozlało się na horyzoncie; nieuchwytna smuga zielonkawego seledynu dzieliła je i zarazem łączyła z ciemniejącym granatem nieba.

Ogarnął mnie jakiś mistycyzm i zdało mi się, że ta purpura w dole — to nasze życie, pełne walki; ta jasna, eteryczna zieloność, to nadzieja przyszłości, a dalej ten szafir, to już wieczność...

Z zamyślenia wyrwała nas rozmowa dziewczynek, które zwierzały się wzajemnie ze swych projektów.

Helenka lubi gospodarstwo i marzy o tem, aby matce dorównać i wyręczyć; Zosia pragnie zdobyć dużo wiedzy, stać się cierpliwą i wytrwałą, aby uczyć dzieci.

— Oto nawet taki drobiazg — odezwał się Staszcki — myśli o przyszłości, a my się o nią nie troszczymy.

— Owszem — odrzekłam — wciąż jestem zajęta myślą o niej.

— Czemu ją pani chce wypełnić?

— Rozrostem swych sił w walce.

— A gdy nastąpi znużenie?

— O, to daleko jeszcze, dopiero się odnalazłam, dopiero jestem sobą, dopiero zaczynam żyć.

Czas odpoczynku przyjdzie później, gdy spełnię swoje zadanie i wychowam zastępczynię: Zosię.

— A wtedy zgodzisz się zostać moją żoną?

— Dobrze.

Wziął moją rękę i przycisnął do ust.

— Zbliżyliśmy się do domu.

Przez dąbrowę szła gromada włościan, pobrękując kosami; jedna z dziewcząt, niosących sierpy, silnym, czystym głosem nucila, aż się echo rozlegało po zagajach.

Nagle Staszecki przystanął:

— Niech się pani przysłucha słowom tej piosenki:

Wysoko, daleko
Listek na jaworze,
Kto się w kim zakocha
Dopomóż mu, Boże!

— Biorę to za dobrą wróżbę — rzekł radośnie.

— W takim razie ja za drugą, bo pierwszą już miałam tam na cmentarzu: „spotkamy się za grobem“.

— Ale i w życiu — zastrzegł.

— I w życiu — potwierdziłam.

JÓZEF RYSTAN.

JERK.

BAŚŃ Z NAD BRZEGÓW PÓLNOCNego MORZA.

Z KONKURSU LITERACKIEGO »CZASU«.



W KRAKOWIE,
SPÓŁKA WYDAWNICZA POLSKA
1896.

W KRAKOWIE,
W DRUKARNI »CZASU« FR. KLUCZYCKIEGO I SP.
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.

1896.



Motto: „Apage satanas.“

Jerk był dzieckiem morza.

Mała wysepka, na której ujrzał światło dzienne, była jego ojczyzną, bezbrzeżna przestrzeń morza była pierwszym obrazem, który się odbił w jego dziecinnem oku, a jego ucho pochwyciło szum fali i świst wiatru, jako pierwsze głosy świata.

To otoczenie stało się wkrótce dla niego swoim żywiołem i małym dzieckiem nie znosił już niskiej izby rodzicielskiego domu, ani w drzewie wyłobionej kołyski, ani piosnki, którą mu matka Gonel do snu śpiewała; chcąc go usypiać, musiała go wynosić nad brzeg morza i układać w przypiętej do pala łodzi. Tam dopiero się uspakajał, kołysany falą i usypiany miarowym łoskotem bałwanów, przetaczających się po brzegu.

Wysepka, na której stała zagroda ojca Jerka, była bliską lądu. Wybrzeże lądu było dzikie, puste i skaliste, a na niem sterczała niebotycznej wysokości latarnia morska, która się szczytem

prawie w chmurach chowała. — Jerk, leżąc jeszcze jako niemowlę w kołyszącym się czółnie, spoglądał uporeczywie na tę latarnię, zapatrzony w nią wielkimi, zdziwionemi oczami, wskazując na nią swą małą rączką dziecka.

Gdy już był chłopięciem, biegającym po brzegu wyspy, rzucał nieustanne spojrzenia ku tej niebotycznej wieży, a wieczorem, gdy wśród zmroku jej szczyt zapłonął jarzącym światłem, chłopak nie mógł oderwać od niej oczu i często matki się pytał:

— Matko Gonel, czy to djabeł zapala ogień na wieży?

— Nie, Jerk, to nie djabeł, tylko stary Rakmer — odpowiadała matka.

Lecz chłopiec nie rozumiał, jaka jest różnica między djabełem a starym Rakmerem i nad tem często przemyślał, czyby nie można kiedy djabłu tego ognia zagasić, jak wogóle nieraz przemyślał nad różnemi psotami. To rzucał do morza na brzegu rozciągnięte i wysuszone sieci, to pokryjomu przecinał zwinięte żagle na czółnach, na brzegu leżących, to znowu wylewał tran z lampki w izbie mieszkalnej i napełniał ją wodą morską.

Matka Gonel miała z nim wiele troski i kłopotu, lecz skargi u ojca niewiele pomagały, bo ojciec nieustannie po morzu żeglował, ryby łowił i rzadko się w domu pokazywał.

Była to bowiem rodzina rybaków, z ojca na syna, a żaden z nich nie dożył starości i nie doczekał się śmierci pod rodzinną strzechą. Wszyscy

ginęli na morzu, przy połowie, jak żołnierze na pobojuwisku i każdy z nich szedł ze swą łodzią i ze swemi sieciami na dno nieskończonej głębi.

Tak się stało z dziadem Jerka i z pradziadem Jerka, a o dalszych przodkach już się wieść nie przechowała, lecz niewątpliwie i oni tak samo skończyli. Więc śmierć taka była wprost dla nich spuścizną.

Ojciec Jerka wyjechał raz w letnią noc na półw i więcej nie wrócił. Matka Gonel i mały Jerk czekali długo, czekali parę dni, chodzili, siedzieli nad brzegiem, lecz nadaremnie.

Wreszcie jednej nocy, gdy wiatr świstał i morze szumiało, matka Gonel usłyszała, jak drzwi od chaty skrzypnęły, cicho się otworzyły i ktoś wszedł; ona spoglądnęła i spostrzegła, że to był mąż Krystyan. Wszedł z oczami zamkniętymi, z rękami na piersi skrzyżowanymi i stanął pod drzwiami. Twarz, broda, ubranie było całkiem mokre i woda z niego spływała.

Matka Gonel zawołała go w pierwszej chwili po imieniu, lecz ani się bardzo przestraszyła ani zasmuciła. Oczekiwała już tego, że się jako topielec do niej zgłosi, aby wiedziała na pewno, że żywym już więcej nie wróci.

Upior postął chwilę, wreszcie znikł, a rano Gonel i Jerk zastali jeszcze koło drzwi garść porostów i kałużę morskiej wody, która spłynęła ze sukien topielca.

Matka Gonel kochała gorąco jedynaka, strzegła go, jak oka w głowie, i gdy wyjeżdżał ze sta-

rými rybakami na połów, aby się zaprawić w rzemieśle, troszczyła się o niego i niepokoiła.

Co niedzielę wiozła Jerka do odległego kościoła na łądzie i uczyła go modlitwy do Opatrzności Boskiej, opiekującej się ludźmi na łądzie i na morzu.

Lecz Jerk jeszcze nie podrósł, gdy matka Gonet nagle zmarła i chłopię musiało wsiąść do czółna ze zwłokami matki i odwieść trumnę na cmentarz.

Został sam w chacie, naprzeciw latarni morskiej, wobec nieskończonego widnokreśgu morza, a zapasy z dzikim żywiołem wyrobiły w młodym chłopcu hart i odwagę mężczyzny.

Na pokładzie statku wyrósł, wśród burz i wichrów zmężniał i choć najmłodszy, odznaczał się między rybakami najbystrzejszem okiem, butną i rozkazującą miną.

Rodzicielska chata rzadko go kiedy widziała, bo czółno było jego zwykłym mieszkaniem, a żagiel jego dachem. Czy dzień, czy noc, czy błękit nieba, czy deszcz i wicher, dla niego to było wszystko jedno — zawsze był na morzu, zawsze pianą zmoczony, walczył z falą i szamotał się z wiatrem. Dla niego kołysać się na grzbiecie bałwanów, pod sklepieniem nieba, widzieć pod sobą głębię, nad sobą chmury — witać mewy, jako jedyne towarzyszki, to było życie. Tam był swym panem, władającym wodą i wiatrem i nie uznającym nikogo, prócz siebie — tam zuchwałość jego nie znała granic i sam w to wierzył, że mu

wszystko podlegać musi. Co było u dziecka psotą, to stało się u mężczyzny zuchwałością; niczego się nie bał, bo czegoż się mógł obawiać wobec morza, które codziennie do walki wyzywał, wiedząc, że mu kiedyś uledez musi, idąc na dno do swoich przodków?

Więc zdało mu się, że morze jest jedynem i wszystkim i że prócz morza niema niczego więcej na świecie — ani Boga, ani ludzi...

Żeglował po morzu tygodniami, miesiącami, sam jeden w czólnie, wymijając łodzie i statki, unikając wszelkiego spotkania. Znano jego ciemny, smukły żagiel, nad wodą nachylony, przesuwany się samotnie na widnokręgu i mówiono półgłosem: „To Jerk“, jakby wspomniano złego ducha.

Był sławnym, jako najlepszy sternik i najodważniejszy żeglarz. O jego wyprawach na dzikie morze opowiadano niezwykle rzeczy. Gdy rybacy chronili się na ląd przed nadciągającą burzą, wtedy wyruszał na pełne morze, rozwijał wszystkie żagle, które wiatr kładł prawie na wodę i jechał wprost ku najciemniejszym chmurom, jakgdyby wyzywał niebezpieczeństwo i szukał zguby, a jednak zawsze wracał z czólnem tak pełnem ryb, że brzegami morze garnęło.

* * *

Raz, wśród późnej jesieni, wybrał się Jerk na połów, w nocy, ku Czarnej Wyspie. Powietrze było łagodne, miękkie, prawie duszne, niebo za-

chmurzone a cisza zalegała morze, po którym się zaledwo lekka fala toczyła.

Zapуścił sieci i robiąc wiosłami, sunął zwołna czółnem na poprzek fali, która się rozbijała jednostajnym pluskiem o boki statku. Dwie mewy nieustannie krążyły, żałośnie piszcząc, spuszczając się nad wodę, krążąc naokoło masztów, pobłyskując w zmroku srebrnymi skrzydłami.

Jerk wyciągnął sieć raz i drugi, lecz nadaremnie. Tylko woda z niej wyciekła, ryby nie było ani śladu.

Tymczasem w oddali zaświeciło parę błyskawic zapowiadających burzę. Zapalały się w górze, przeskakiwały po za chmurami i odbijały się strugami światła w głębiach morza. Odległy grzmot dał się słyszeć i silny wiatr zaczął dąć od strony nadeciągających chmur. Fale były coraz wyżej, mewy łopotały skrzydłami, przeraźliwiej krzycząc, a wiatr świstał między sznurami statku.

Jerk zapуścił i wyciągnął sieć raz jeszcze, lecz zarówno pustą. jak poprzednimi razy, a wtedy zaklął i postanowił wracać do domu.

Lecz burza się zbliżała. Błyskawice przelatywały po niebie, skakały w morze, a każdym razem cały widnokrąg zapalał się zimnem, niezemskim światłem, jak gdyby się niebo otwierało, i przeglądało w głębokościach morza. Czarne grzbiety bałwanów wynurzały się w górę, na ich szczycie kołysała się łódź Jerka, a nad nią krążyły dwie mewy, które migotały w świetle błyskawic jak dwa płomyki, tańczące naokoło masztów.

Burza przeciągała bokiem, wzdłuż lądu. Grzmoty toczyły się nieprzerwanie, błyskawice świeciły naokół, a każdym razem, gdy zagasły, tonęło wszystko w otchłaniach ciemności, obejmującej jednym tchem niebo, morze i świat cały. Wtedy mewy, którym ślepiące błyskawice głos odbierały, podnosiły wśród ciemności przeraźliwe krzyki.

W takiej chwili, po jaskrawej błyskawicy, która się do morza, jak snop ognia z nieba zesypała, gdy czarna noc wszystko objęła, Jerk spostrzegł w oddali, na morzu, płomyk, wichrem targany, naprzemian nurzający się w głębiach fal, to wynoszony na grzbiet bałwanów. Wiatr pędził statek w tamtą stronę, więc wkrótce rozpoznał, że to była łódź, jak pochodnia paląca się na morzu.

Domyślił się, że ów piorun, który się wprost do morza spuścił, uderzył i zapalił statek. Wyteżył wrok, czy nie spostrzeże jakich ludzkich postaci czerniejących na tle ognia, lecz nadaremnie; daleko jeszcze było, a błyskawice pomykały po niebie i ślepiły.

W miarę, jak się przybliżał, widział, że płomień przygasał z góry, a gdy był tylko na kilkadziesiąt kroków, dziwny widok przedstawił się jego oczom.

Fala niosła tułów wielkiego, nawpół tonącego czółna. Sterem głęboko nurzało się w wodzie, podczas gdy dziób smutno sterczał w górę, jakby się chciał wydobyć z objęć fali, które go w dół ścigały. Zwęglone maszty dymiły, jak zgaszone pochodnie, a burta od przodu tliła się bladym pło-

mykiem i kopcila białym dymem, który wiatr kołował i roznosił.

Na pokładzie tego statku, podobnego do tonącej głowni, leżał człowiek wśród dymu i płomieni; z głową, wspartą na łokciu, spokojnie wodził wzrokiem na około siebie, jak gdyby mu ani woda, ani ogień nie zagrażały.

Jerk, spostrzegłszy go, zwinął żagiel i chwyciwszy się wiosła, chciał zbliżyć swe czółno do palącego statku, lecz zaledwo zdołał z wysiłkiem pchnąć je ku niemu, bałwan odrzucił czółno jednym zamachem. Raz i drugi nadaremnie się natęzał, więc nareszcie opuścił wiosła i zaczął wołać:

— Ha-ho! Ha-ho!

Człowiek na gorejącym statku usłyszał wołanie, podniósł się i rozejrzawszy, spostrzegł zdaleka statek i Jerka. Ten wołał, że spieszy z pomocą i że nadaremnie chce przybić do palącego się statku, lecz wśród świstu wiatru i szumu bałwanów głos utonął po drodze i nie doleciał.

Tymczasem ów żeglarz, widząc czółno daremnie z falami walczące, dał znak rękami i po chwili spuścił się po pochyłym i nurzającym się pokładzie statku do wody.

Pierwszy bałwan, który się przytoczył, zalał i zatopił go zupełnie, a Jerk, patrząc na to ze swej łodzi, smutno westchnął za towarzyszem w rzemiośle, zagarniętym przez morze, jako należną daninę.

Lecz po chwili spostrzegł przy migotliwym blasku dopalającego się statku, tuż koło swej łodzi,

wynurzającą się z wody wielką głowę i dwoje rąk, rozcinających fale z wysiłkiem.

— Pomocy! pomocy! — dał się słyszeć chrypliwy głos.

Jerk spiesznie podjął wiosło, podał je tonącemu, a ten, uchwyciwszy się drzewca, wy dostał się z mozołem do czółna. Wyskoczywszy na pokład, rażno się wyprostował, strząsnął wodę, spływającą strugami ze sukien i roześmiał się dziwnym, chrypliwym głosem, mówiąc:

— Dziękuję ci bracie za pomoc. Ogień gorący, lecz woda zimna. Możesz liczyć na moją wdzięczność. — I wyciągnął do uścisku rękę.

Był to mały człowieczek, z wielką głową, osadzoną na szerokich, garbatych plecach. Suchą i pomarszczoną twarz otaczała gęsta, ruda broda, podczas gdy brak wąsów dozwalał widzieć śmiechem ściągnięte usta, z których wyglądały błyszczące zęby, zarówno jak wyzierały z pod czapki przenikliwe, świecące oczy.

Przy migotliwym płomyku, pełzającym po tułowie dogorywającego statku, zarysowała się przed Jerkiem ta dziwna postać. Na otwartem morzu spotkał się nagle oko w oko z drugim, obcym człowiekiem, którego piorun nie raził, ogień się nie chwycił, morze nie pochłonęło i który się śmiał ze swego ratunku. I jakoś w tej chwili wiatr ustał, mewy przycichły, a zwykła odwaga opuściła Jerka.

Niepewnym głosem zapytał:

— Kto jesteś? Co się stało z twym statkiem?

— Nazywam się Melf. Jestem rybakiem z Czarnej Wyspy. Piorun sobie wybrał moje czółno, aby po niem skoczyć do morza, lecz mu się na czas z drogi usunąłem.

Pokazując ręką w morze, jak gdyby tam jeszcze było widać zatopiony i skostniały piorun, siadł u steru i zaśmiał się.

Po chwili się odezwał:

— Cieszy mnie, że winienem życie synowi mego przyjaciela, Krystyana. Był to najtęższy marynarz na ładzie i na wyspach... i spodziewam się, że ty od niego nie gorszy?

— To wy znaliście mego ojca? — zapytał Jerk zdziwiony.

— Czy go znałem? Wiele ja wieczorów przesiedziałem u was, na Małej Wyspie, wiele grogu wypilem! A ciebie ile razy układałem z matką Gonel w czólnie, gdy nie chciałeś usypiać!

Te wspomnienia odrazu zbliżyły Jerka do obcego przybysza, więc gdy rozwinęli i przypięli żagiel, usiedli obok siebie przy sterze i zapuścili się w poufną pogawędkę.

Burza pociągnęła ku dalekim brzegom i od czasu do czasu przelatywały jeszcze błyskawice na widnokręgu, lecz w górze rozsuwały się już chmury i przez nie przeglądało gwiazdziste niebo. Wiatr się układał, a choć fale jeszcze silnie biły o przód statku, ten rażno się sunął ku Małej Wyspie.

* * *

Od tego czasu Melf stał się nieodstępnym towarzyszem Jerka. Osiadł w jego zagrodzie, zamieszkał w jego czólnie, a im wyżej fale bryzgały i im głośniej wiatr świstał między linami okrętu, tem bardziej uśmiechała się jego sucha i pomarszczona twarz.

Ludzie, widząc statek Jerka, sunący po morzu i niosący dwie postacie, dziwili się, skąd mu przybył ten wierny towarzysz, jemu, który od lat wielu samopas żeglował po wodach. Lecz wkrótce ich ciekawość została zaspokojoną, bo Jerk od czasu gdy zyskał towarzysza, przestał uparcie unikać brzegów, zaniechał nieustannej włóczęgi po morzu i nareszcie zetknął się z rybakami wysp i lądu, z sąsiadami, wśród których się urodził i wychował, a którzy mu byli dotychczas obcymi. Wielka zmiana zasła u Jerka — bo Melf oswoił go z ludźmi, a ludzi z Jerkiem.

On był wprawdzie zawsze milczący i ponury, lecz Melf przedrwiwał go, mówiąc swym wolnym i cichym głosem:

— Czy ty tego żałujesz, żeś się urodził, czy też żałujesz tego, żeś jeszcze nie umarł? — Nie troszcz się nadaremnie, to wszystko prędzej się skończy, aniżeli myślisz. Mówisz, że świat cały nie nie wart, i że morze to twój pan i karmiciel, do którego twe życie należy. Dotychczas nalykałeś się tylko wiatru i słonej wody, więc spróbuj pierwej, co życie daje, a gdy skosztujesz, wtedy dopiero je przeklniesz, lub pobłogosławisz. Wierzaj mi, że ludzie, to przecież wdzięczniejsi to-

warzysze, aniżeli morskie balwany, które się nieustannie koło ciebie kołyszą i do łodzi ciągle zagładają, jak gdyby głodne na to czekały, aby cię pochłonać.

Po takim przemówieniu zabierał Melf Jerka do czołna i wioził go na ląd, lub na jedną z wysp. On umiał do każdego zagadać, niejednego rozśmieszyć, najmędrszego swemi uwagami zadziwić. Jerk znajdował znowu, mimo swej pozornej dzikości, wiele względów u kobiet, więc od niejakiego czasu czołno Jerka leżało przypięte do brzegu ze zwiniętym żaglem, cicho się kołysząc, jak gdyby rozpamiętywało dawne burzliwe rozprawy, a tymczasem Melf z Jerkiem wesolo się zabawiali na lądzie.

Nadeszła jesień i dzień Zaduszny. Morze było dziwnie spokojne, wiatry ustały, a słońce, mgłą przysłonięte, wisiało z przyćmionymi promieniami, jak czerwona tarcza na niebie, zimne i błyszczące. Rybacy z wysp i z lądu wybierali się tego dnia do kościoła i na obok położony cmentarz, a że i dla jednych i dla drugich była to daleka droga czołnem wzdłuż brzegów, więc już od świtu było widać żagle, sunące w mdłym blasku słońca, po bladej zieleni morza ku dalekiej kościelnej wieży, wyrastającej na widnokręgu, jak igła z morza.

Jerk wybierał się także od rana na cmentarz, chcąc odwiedzić grób matki, lecz Melf odradzał i uporczywie namawiał, aby z pięknego dnia skorzystać i pojechać na połów. Przedrwiwał Jerka, wzbraniającego się jechać na połów w dzień Za-

duszny, w dzień poświęcony pamięci zmarłych, w czasie, gdy wszyscy spieszyli do rodzinnych grobów.

— Dzień Zaduszny — powtarzał Melf. — Co za śmieszny zabobon! Jakby jeden dzień był inny od drugiego, albo jakby zmarli przekładali dzień ten nad inne. Im już żaden dzień nie pomoże! Więc niech spoczywają w ziemi lub w morzu, gdzie kogo śmierć położyła, a niech żywi myślą o tem, co do życia potrzebne. Gdy słońce się schowa, wiatr zadmie, a fale się roztańcują, nadaremnie byś się wybierał na polów, więc jechać dzisiaj i nie tracić czasu na kobiece zabawki i dziecinne zwyczaje.

Jerk dał się namówić. Wsiedli do czółna, rozpuścili żagiel, rozsiedli się, jak zwykle przy sterze i puścili w drogę.

Kościelna wieża niknęła zwolna we mgle po za nimi, podczas gdy czółno wolno płynęło wzdłuż brzegów.

Przed nimi białą żagle, dążące ku kościelnej wieży i tuż, niedaleko, wysunął się statek, płynący z Cichej Wyspy. Z początku wynurzył się, jak biały płatek -- potem zarysował się wyraźniej z wydętymi żaglami i z czerniejącym dziobem, kąpiącym się w zielonej fali, którą rozganiał, dzieląc wodę na dwa białe, pienne grzbiety.

Liczna gromada ludzi w niem się rozsiała. Mężczyźni czarno ubrani, z odkrytymi głowami, każdy trzymający czapkę w ręku, milczący i poważni, kobiety w białych, płóciennych czepcach,

każda z otwartą książką do nabożeństwa, z których pół-szeptem odczytywały dźwięcznymi głosami litanie. Ta gromada czarnych i białych postaci płynęła z myślą o śmierci ku rodzinnym grobom, wśród bladego dnia zimowego.

Gdy ich mijali, Melf wstał i zawołał donośnym głosem:

— Ha-ho! Jedźcie z nami na połów!

Te słowa, rzucone ze śmiechem wśród szeptów litanii, wstrząsnęły ludźmi, jakby między nich wpadła brzydka gadzina. Kobiety podniosły od książek oczy, mężczyźni się obrócili, rzucając niechętnie spojrzenia na tego, który się odważył w dzień Zaduszny jechać na połów i do tego zakłócać modlitwę nabożnych.

Nagle, wśród panującej ciszy, wiatr przeraźliwie zaświstał, jednym podmuchem przechylił czółno z gromadą modlących się rybaków i tak silnie niem zakolysał, że powstało wielkie zamieszanie i kobiety z okrzykiem przerażenia chwyciły się burty.

Z oddalającego się statku Jerka słycać jeszcze było głośny śmiech Melfa, który z uciechą przyglądał się rozbujanemu statkowi rybaków.

Jerk rzucił na Melfa zdziwione spojrzenie, a ten, jakby wyprzedzając zapytanie, odezwał się z uśmiechem:

— W jesieni wiatr czasem niespodziewanie wyskoczy, jak pies z poza płotu, zwłaszcza gdy na niebie czerwone słońce, jak latarnia wisi...

— A czegoż tak chwaliłeś dzisiejszą pogodę i zachęcałeś do wyjazdu? — zapytał Jerk z wyrzutem.

— Nie troszcz się — odrzekł Melf — ryb dość nałowimy i cało do domu wrócimy. Jeszcze morze nieco poczeka, zanim mu posłużymy za strawę.

Czółno rybaków wkrótce zmałało i zamieniło się w drobny płomyczek, świecący zdala w czerwonym blasku słońca, a gdy skręcili ku pełnemu morzu, wybrzeże zasunęło się także wdał widnokręgu, jak ciemniejący rąbek.

Rozpoczęła się praca. Wlekli za sobą sieci, wyciągali je z wody i składali ryby na dno czółna, a każdym razem sieć była pełna. Zdawało się, jakby ryby czekały na ich przybycie, tak się same do sieci cisnęły. Z wielkim mozolem ciężarne sieci z wody dobywali i każdym razem błyszczące kaskady łusek, różnemi barwami mieniające, sypały się do czółna, witane wesolymi okrzykami Melfa.

Lecz ta bogata zdobycz nie zdołała rozweselić zasepionego i mileżącego Jerka, którego myśli odlatywały do przeszłości. Czasy dziecinne, w rodzinnej zagrodzie spędzone, ojciec Krystyan, matka Gonel stawali mu przed oczyma i żal go zbierał, że w dzień, poświęcony pamięci zmarłych, grób matki zaniedbał. Bolało go, że nie dochował zwyczaju, bo wreszcie o modlitwie za duszę matki nie pomyślał, jak wogóle zapomniał się modlić od dłuższego czasu.

Przypomniat sobie pojawienie się ojca w chacie, jako topieleca, i rozważał nad tem, wiele zwłok ludzkich leżało rozsianych na dnie morza, zabłąkanych w ogromnym przestworze, zgubionych zarówno z ziarnkami piasku.

Jego to także czekało niewątpliwie i z dziwnym spokojem wyobrażał sobie chwilę, gdy morze rozтворzy swą otchłań, aby go zagarnąć i jak on legnie w zimnym, mokrym żywiole, gdzie legli jego ojcowie i dziadowie...

Zajęci połowem nie zważali, że południe minęło i że na widnokręgu, koło czerwonej tarczy słońca, ciemne chmury wstawać zaczęły, podczas gdy silny wiatr ruszał się od zachodu. Morze, do niedawna jasne, gładkie i potulne, zmieniło nagle swój pozór. Fale były wysoko i zaglądały na wierzch pokładu, kładąc statek na boki, którego maszt miarowo się kołysał. Morze ściemniało i tylko na samym widnokręgu błyszczał jasny rąbek na wodach, widocznie odbicie pogodniejszego nieba, gdzieś na dalekim wschodzie. Natomiast z zachodu nadciągały chmury, przesuwając się przed tarczą słoneczną, jedne za drugimi, zmieniając szybko kształty i zaciemniając blade niebo gęstą zasłoną.

Melf z Jerkiem nie mogli nad czółnem zapanować, fala dowolnie niem rzucała i o zapuszczeniu sieci nie było mowy. Lecz i powrót do domu wprost pod wiatr, przy rozkołysanej fali nie był możliwy, więc postanowili skrócić ku lądowi i wzdłuż niego starać się dobić do Małej Wyspy.

Nie mogli rozpuszczać wielkiego żagła, bo wiatr chwilami tak silnie uderzał, że groził przewróceniem czółna, więc poprzestali na przednim żaglu i wzięli się do wiosła.

Wiatr dał z boku, czółno leżało, nurzając się jedną krawędzią we wodzie, podczas gdy z drugiej strony bałwany przelewały się przez pokład.

Obydwaj z wytężeniem pracowali wiosłami i wreszcie zdołali przebrnąć z czółnem do lądu, do małej zatoki. Wicher się wzmagał, fale wysoko były; Melf zauważył, że lepiej do brzegu dobić i przeczekać pierwsze uderzenie wiatru, wreszcie potrzebowali wytchnienia, wyczerpani ciężką pracą wiosłami.

Wybrzeże, do którego przybili, było dzikie i puste. Płaski, piaszczysty brzeg leżał wylizany przez morskie fale, które się po nim dowolnie toczyły, a dopiero w oddaleniu wznosił się szereg piaszczystych usypisk, których nagość i srebrna, błyszcząca białość groźnie odbijały od ciemnego i ponurego nieba. Tylko mewy tłumity się z krzykiem po grzbietach usypisk, kołysząc się w locie, naprzeciw wiatru.

Melf z Jerkiem wysiedli z czółna, rozejrzeli się wokoło i spostrzegli zdala, pod usypiskiem, mur z bramą, czerniejący na białym piasku.

Melf wskazał nań ręką i rzekł:

— Tu wiatr dmie nie swojsko. Wiesz co? chodźmy na cmentarz, schronimy się za mur, tam przecież zaciszniej będzie.

Jerk, który się rzadko kiedy Melfowi sprzeciwiał, nie nie odpowiedział, tylko potakująco głowę skłonił i ruszyli pieszo po brzegu.

Przodem szedł Melf, niski, garbaty, z wielką głową, ciężko stąpający, za nim Jerk, rosły, silnie zbudowany, pełen życia i młodości, zwinny i lekki. Po pustem, białem wybrzeżu kroczyły dwie czarne postacie, płosząc przed sobą mewy, które z przeraźliwym krzykiem w górę wzlatywały. — Przed nimi szarzał na piasku długi mur, z krągłych kamieni niedbale ułożony, a do niego przypierała drewniana, na wpół spróchniała brama.

Ta brama nosiła napis: „Cmentarz bezimien-nych.“

Było to miejsce ostatniego spoczynku dla zwłok rozbitków. Żeglarze ginęli gdzieś daleko w głębiach, po krótkiej, strasznej walce z balwanami, a morze wyrzucało z czasem swe ofiary, jako zbutwiałe, porostami osnute, do ludzi niepodobne zwłoki. Otóż na tem dzikim wybrzeżu przeznaczono dla nich miejsce wiecznego spoczynku. Tam wiatry z otwartego morza szumiały nad ich mogiłami, a fale toczyły i podkładały się pod samą bramę, jakby jeszcze raz pragnęły pochłonąć, co było ich własną zdobyczą.

Brama była nawpół otwarta i jedno skrzydło, wiatrem kolysane, skrzypiało żałośnie. Melf z Jerkiem weszli do wnętrza i rozejrzeli się, gdzieby szukać schronienia przed rozpasanym wiatrem, grożącym powaleniem każdej chwili.

Lecz za ledwo próg przestąpili, spostrzegli z wielkiem zdziwieniem, w kącie, pod murem bielejący czepiec kobiecy i przekonali się, że to młoda dziewczyna siedzi na mogile, modląc się z książki.

Gdy ich zoczyła, z pośpiechem wstała i naokół trwożliwym wzrokiem powiodła, jak gdyby szukała sposobu ucieczki. Lecz Melf, zbliżywszy się, powitał ją, grzecznie uchylając czapki.

— Dzień dobry, Lizbet, dzień dobry. Co tu Lizbet porabia, sama jedna, wśród takiej wichury?

Dziewczyna spojrzała na Melfa z nieufnością i nie odpowiedziała. Na to Jerk się przysunął i ze swej strony ją przywitał: Dzień dobry... i coś więcej chciał powiedzieć, lecz zapatrzwszy się w dziewczynę, zamilkł.

— To siostrzenica poczciwego starego Rakmera, latarnika z łądu — rzekł Melf do Jerka. Przecież wy sąsiedzi, znać się musicie — i odwracając się do dziewczyny, dodał: To Jerk, syn Krystyana, z Malej Wyspy, ten sławny zwierz morski, który przez długie lata nie opuszczał czółna i po ziemi chodzić zapomniał. Lecz teraz oswoił się z ludźmi, a Lizbet się przekona, że nie tak straszny, jak o nim mówiono.

Dziewczyna nieśmiało podniosła oczy na Jerka i natychmiast je spuściła, jak gdyby się przerażona widokiem tego mężnego chłopca o odważnej minie i śmiałym wzroku. Po chwili jednak powieki się znowu podniosły i tym razem oczy zawisły na pięknej, śniadej twarzy Jerka.

Melf zaczął poufałą pogawędkę.

Opowiadał, że już oddawna zna starego Rakmera, że go bardzo poważa, jako zacnego i powszechnie szanowanego człowieka, że znał rodziców Lizbet, a nawet ją samą, gdy była dzieckiem.

Teraz wyrosła na smukłą, młodą dziewczynę o bladej cerze, ciemnych oczach i jasnych włosach. Będąc jeszcze dzieckiem, straciła oboje rodziców, którzy w letni, niedzielny ranek wyjechawszy czółnem do kościoła, więcej nie wrócili. Gwałtowna burza, która się nagle zerwała i kilkanaście łodzi rybackich o zgubę przyprawiła, musiała im śmierć zgotować — zaginęli bez wieści.

Małą Lizbet wziął wówczas do siebie Rakmer, brat jej matki i od tego czasu sierota chowała się u starego latarnika. Był to szorstki i mało-mówny marynarz, który zakosztowawszy w swem życiu wszystkich mórz i krajów, osiadł na starość na morskiej latarni. Ta stała się jego jedynem zajęciem i celem jego życia.

Na brzegu w małej cbacie, u stóp niebotycznej latarni, wśród szumu bałwanów, rozbijających się o skały, rosło młode dziewczę, pod bokiem milczącego Rakmera, który dnie przesypiał, a nocami czuwał nad swą latarnią. — Ona przesiadywała samotna w niskiej izbie, ozdobionej rozmaitymi przedmiotami, które Rakmer przyniósł ze swych licznych wędrówek po dalekich krajach. Na ścianach mieniły się wzorzyste materye wschodu, na nich błyszczały rozwieszzone strzały i topory Indyan, chińskie roboty z kości słoniowej biela

w półcieniu, jakby upięte koronki w muszle i koralale wysp Południowego morza zwieszały się festonami pod powalę. Ta mała izdebka mieściła w sobie skrawek obcego świata, a oczy Lizbet przywykły od dzieciństwa do żywych barw i jaskrawych blasków podzwrotnikowych krain, odbitych i skrzepniętych wśród czterech ścian chaty. Lecz za każdym spojrzeniem, rzuconem na świat przez małe okienko, obejmowała ją groza dzikiego morza i szarego, północnego nieba.

Wieczorami, siedząc w chacie wśród zmroku, patrzyła przez okno na długie smugi światła, które rzucone ze szczytu latarni, wlokły się cienkimi strugami ku niedoścignionym horyzontom i wracały ztamtąd, aby się odbijać drobnymi błyskami w zbrojach i muszlach, rozwieszonych wśród ciemnej izby. Ludzi prawie nie widywała; nie знаła, co to zabawa, co śmiech lub igraszka i wychowała się na dzikim pustkowiu, jak kwiat uroczy, który wyrósł w szczelinie nagiej skały.

Pojawienie się Melfa i Jerka na cmentarzu przeraziło ją w pierwszej chwili, lecz zagadnięcie Melfa, który widocznie znał ją i Rakmera, ośmieliło ją nieco i powoli, nabrawszy odwagi, wdala się z nimi w rozmowę.

— Dla mnie niema wesolych świąt i niema nawet smutnych obchodów — mówiła ze skargą w głosie. — W dzień zaduszny każdy spieszy na grób swych rodziców, a ja nie mam ani jednej mogiły, bo oboje rodzice zginęli daleko, w niewiadomej stronie. Gdzież mi szukać ich wspomnie-

nia? Gdzie modlić się za ich dusze? Więc przyszłam tutaj, między biednych rozbitków. Tu czuję się jeszcze najbliższą mych rodziców, tu modlę się za nich i za tych wszystkich nieznanych, których straszne morze pochłonęło i którzy tu na obcej ziemi znaleźli ostatnie schronienie.

Mówiąc te słowa, spoglądała smutnym wzrokiem na morze, jakby mu robiła wyrzut, że jej rodziców zabrało w młodym wieku i że ją skazało na ciężkie sieroctwo.

A to morze groźnie wyglądało. Przy brzegu szmat wody bielił się od piany rozpryskujących balwanów, dalej zaś leżał przestwór morza ciemny, prawie czarny, jak jakieś piekielne jezioro, roztopioną smołą napełnione. Na widno przeregi ciemniało niebo od zachodzącego słońca, a na tem krwawem tle toczyły i dymily się sine, poszarpane chmury, pędzone wichrem, który świstał przeraźliwymi głosami. Od tego morza i od tego nieba odbijał piasek wybrzeża i odbijały mogiły cmentarza swą martwą białością, na której rysowały się cienie trzech postaci, dwóch czarnych mężczyzn i Lizbet z bielszym od wybrzeżnych piasków czepcem na głowie.

Jerk, słysząc skargę dziewczyny, wspomniawszy czasy dzieciństwa, i latarnia morska ze swem czarodziejskiem światłem wysunęła mu się przed oczy. W nią patrzył uporeczywie, jako dziecko, nią miał zajęte myśli chłopięce, a tam, pod tą latarnią, wychowywała się bez jego wiedzy ta piękna dziewczynka, smutna i samotna, bez słońca

i ciepłego serca rodziców. Jak uroczyby była, gdyby jej blade policzki zapłonęły od wzruszenia, a smętne oczy zabłysły ogniem miłości! Drwiące uwagi Melfa o jego dotychczasowem tulaczem życiu przyszyły mu do głowy i po raz pierwszy pomyślał, że życie, to przecież coś więcej, aniżeli wieczny polów, a ziemia z ludźmi, którzy po niej chodzą, przecież więcej warte, aniżeli wodne pustkowie.

— Jak się tu Lizbet dostała? — zapytał Melf.

— Pieszko przyszłam brzegiem z domu. Ciężka droga w piasku i nie wesola, lecz też nie szłam tutaj, aby szukać zabawy — odrzekła Lizbet.

— Ale że Rakmer puścił cię samą w tak daleką drogę? Mógł był ci towarzyszyć — odezwał się Jerk.

— Wuj Rakmer nie rusza się od lat dziesięciu ze swej latarni. On miałby pójść ze mną, tutaj, na cmentarz rozbitków? To go chyba nie znacie. Gdyby jeszcze szło o grę w karty lub kości, to możeby się dał namówić, lecz iść nadaremnie dwie godziny, aby zmówić pacierz za duszę siostry, to nie wygląda na wuja Rackmera.

— Więc dwie godziny potrzebowałaś na drogę? — zapytał Jerk.

— Trzeba iść bardzo zwawo, aby tam zajść za dwie godziny — odrzekła Lizbet. — Nie można ani kwiatów zbierać po drodze, ani się mewom przyglądać. Teraz, muszę już nawet o powrocie myśleć, bo słońce się schyla ku zachodowi, więc nie dobiegłabym do domu przed ciemną nocą.

Na to odezwał się Melf, prosząc, aby z nimi siadła do łodzi: jedna dla nich droga, bo zagroda Jerka leży naprzeciw latarni, więc zamiast pieszo odbywać tę daleką i nużącą drogę, niech z nimi jedzie czółnem, a będzie rychlej w domu.

Lizbet z widocznym przestraczem odtrąciła to zaproszenie, lecz po dłuższej namowie, zwłaszcza gdy widziała, że noc szybko zapada, dała się nakłonić i przystała na powrót czółnem. Melf poszedł naprzód do czółna, a za nim podążyli Jerk z Lizbet. On, rozwinąwszy żagle, położył się przy sterze, podczas gdy oni na przodzie łodzi usiedli.

Wkrótce potem kołysały się ciemne żagle statku na tle nieba, a Lizbet, siedząc u boku Jerka, uczuła się po raz pierwszy szczęśliwą, znalazłszy życziwe dusze w swem sieroctwie i opuszczeniu.

Noc zapadła i wtedy w oddali ukazało się wśród ciemności małe światełko, nieśmiało drgające, jak gwiazda tuż nad ziemią zawieszona. W miarę, jak się zbliżali, światło rosło, jaśniało i wkrótce zapaliła się na wodzie drobna, świetlana struga, po której Jerka statek sunął wzdłuż brzegów.

Wreszcie wjechali na jasną przestrzeń wody, światło ich oblało i ujrzeli nad sobą uwieszone ognisko morskiej latarni.

Dobili do brzegu; Lizbet wyskoczyła z czółna, podziękowała paru słowami, a gdy to się znowu oddalało ku Małej Wyspie, dziewczyna jeszcze długo stała, śledząc wzrokiem wśród ciemności za

znikającym czólnem, na którym jej myśli wraz z Jerkiem w dal popłynęły...

* * *

Nazajutrz, gdy ściemniało, stary Rakmer miał Melfa za towarzysza na morskiej latarni.

Siedzieli w szklanej klatce, na szczycie wieży, zajęci grą w kości na podłodze. Rakmer wysoki, chudy, z długą twarzą, otoczoną siwą brodą, jak wielkim kołnierzem naokoło wygolonych policzków, klęczał na kolanach, spoglądając czarnymi, niespokojnymi oczami na rzucane kostki. Naprzeciwko leżał Melf, wyciągnięty, na jednym łokciu wsparty, z nawpół przymkniętymi oczami, ze zwykłym uśmiechem na ustach.

— Więc nie przypominacie sobie, jak się pierwszy raz spotkaliśmy w Smyrnie? — zagadnął Melf. — Wy byliście wtenczas na „Gwieździe Północnej“, ja na „Wielorybie“. Nasze statki leżały w porcie przez dwa tygodnie tuż, obok siebie, a my siedzieliśmy przez cały czas w małym zajeździe, koło składów węgla, u pięknej Greczynki, gdzieśmy co wieczora w karty grywali.

Rakmer popatrzył na Melfa, namyślił się i rzekł:

— Niech mnie morze połknie, jeśli jestem w stanie przypomnieć sobie, gdzie i z kim w karty grywałem w czasie trzydziestu lat mej włóczęgi po świecie.

— A tutaj, gdyście w domu przebywali, często was przecież widywałem — mówił dalej Melf —

i wtedy nieraz wspominaliśmy czasy naszego pierwszego spotkania w Smyrnie.

— Być może... być może... — rzekł wahająco Rakmer — ale sobie dokładnie nie przypominam i już dawnośmy się chyba nie widzieli, tak obcymi wydaliście mi się, gdy was dziś rano na brzegu spotkałem.

Kości mięszały się w kubku, toczyły się po podłodze, a tuż, koło nich, błyszczało ogromne światło latarni, zamknięte w koszu kryształowych soczewek, oprawnych w mosiężne ramy. Kosz, zegarowym mechanizmem poruszany, wolnym ruchem się obracał, rzucając naprzemian jasne lub słabe promienie na przestwór morza. Za szklaną klatką, w której siedzieli, nie było nic prócz ciemności, otchłań powietrza i otchłań morza ich otaczała i zdawało się, że ta olbrzymia lampa, zawieszona na równo z gwiazdami w przestworze, świeci innym światem, daleko pod jej stopami krążącym.

Od czasu do czasu słychać jednak było przeźliwy krzyk morskiego ptactwa, które jarzącym światłem zwabione, krążyło naokoło latarni, rozbijając sobie głowy i łamiąc skrzydła o szklane płyty zewnętrznej klatki.

Podczas gdy Rakmer rzucał z Melfem kośćmi na szczycie wieży cały pochłonięty namiętnością gry, Jerk siedział z Lizbet na dole, w małej chatce, przytulonej na pustym brzegu do stóp latarni. Zamiast jarzącego światła, błyszczącego na szczycie, mieli małą, tranową lampkę, zaledwo

rozpraszającą cienie niskiej izdebki; zamiast krzyku ptactwa i łopotu skrzydeł, mieli potężny szum balwanów, bijących w pobrzeżne skały, głuszących ich słowa. Lecz oni nie potrzebowali wiele słów i wiele światła. Migotliwy płomyk lampki odbijał się w rozwieszonych zamorskich broniach, rozświecał miejscami gorące barwy wschodnich tkanin, a w półcieniu Lizbet, tuląc się do piersi Jerka, wyznawała mu szeptem swe szczęście. Jej się zdało, że dopiero słońce weszło dla niej na pustem wybrzeżu i już drżała obawą, że znowu rychno zajść może...

* * *

Tygodnie minęły od dnia Zadusznego. Ciężka zima z nieustającymi wichrami i deszczami zapanaowała nad północnem morzem, które leżało pustkami, zapienione i rozkołysane i żaden żagiel nie jawił się na widnokręgu.

Jerk nie kwapił się też do połowu i co najwięcej, jeżeli się wybrał do bliskiego lądu. Tam, w malej zatoce, oblanej światłem latarni, kołysała się wieczorami i nocami przyczepiona do brzegu jego łódź samotna, której tylko cień wernie towarzyszył, drgając i skracając się za każdym poruszeniem statku.

Jerk spędzał czas w chacie z Lizbet, a Melf, zamknięty w górnej klatce latarni z Rakmerem, rzucał kośćmi bez końca.

Lecz czasami Jerk zapadał w zamyślenie, stawał się chmurny i mało mowny i nie ruszał się dniami i tygodniami ze swej zagrody. Melf starał się go wydobyć z tego nastroju, namawiał do wyjazdu, zachęcał i strofował, lecz bez skutku; wreszcie widząc, że daremne usiłowania, sam siadał do czółna i wałęsał się po morzu.

Raz przeprawiwszy się na ląd i przechodząc koło latarni, spostrzegł Lizbet siedzącą na progu chatki i rzewnie płaczącą.

Gdy zobaczyła Melfa, spiesznie fartuszką oczy otarła i przymuszonym uśmiechem go przywitała.

— Gdzie Jerk? Czy nie przyjechał? — zapytała spiesznie.

— Został w domu — odrzekł Melf — i po chwili dodał ze złośliwym uśmiechem: — Boi się wzburzonego morza.

— On się teraz często obawia przeprawy, czy woda spokojna, czy morze wzburzone! — rzekła Lizbet smutnym głosem, oczy zakrywając. — Dawniej nie było dla niego tak złego morza, aby się codziennie na ląd nie wybrał.

— Niech się Lizbet nie smuci, Jerk zawsze wierny, a wreszcie, czyż on jeden na świecie? W danym razie znajdzie się drugi, co pocieszy. Lizbet jest ładną i młodą dziewczyną, która się powinna zawsze śmiać i mówić: Nie ty, to inny... Nie będzie Jerka, to znajdzie się dziesięciu innych i będzie koniec całej trosce.

Lizbet popatrzyła na Melfa z wyrazem zdziwienia i wyrzutu. Nic nie odpowiedziała, lecz gdy

się oddalił, wybuchła rzewnym płaczem: Nie Jerk. to inny... jak gdyby dla niej inni ludzie oprócz Jerka istnieć mogli! Pamięcią wracała do pierwszego spotkania na cmentarzu i do powrotu łodzią do domu. To był początek jej szczęścia, za które teraz łzami i tęsknotą drogo płaciła..

Melf minął latarnię i poszedł brzegiem dalej. Szedł równiną, zarośniętą wrzosem, który w zimie zciemniał, zecerwieniał i zrobił się podobnym do morskiego porostu. Na tem płaskim wybrzeżu nie było śladu ani drzewa, ani krzewu, tylko ciemne, brunatne pustkowie, bez końca, nad którem sklepiło się blade, bezbarwne niebo, jakby szklany dach przyémioną lampą oświecony, cały świat nakrywał.

Od strony morza wznosiły się piaszczyste usypiska, białe, błyszczące, odbijające swą jaskrawością od ciemnego kobierca wrzосу; ku morzu spadały stromo, na płaski, wodą wylizany brzeg, po którym się nieustannie fale toczyły. Dalej za spienioną przybrzeżną falą rozpościerało się ciemne, żelazne morze, nad którem się unosiły srebrno-białe mewy, zwieszające się nad wodą.

Wśród tego pustkowiecia postać Melfa przybierała niezwykle rozmiary i zdawało się, że jakiś olbrzym kroczy po wybrzeżu, a jego wielka głowa i szerokie, garbate plecy potężnie się rysowały na bladym tle nieba.

Przebył długą drogę, która go zaprowadziła do Żeglarskich Skal.

Tam łańcuch piaszczystych usypisk łączył się ze skalistą, stromo do morza spadającą ścianą, przechodzącą w szereg podwodnych ławic. Fale rozbijały się o nie z piekielnym szumem, uderzając z całą siłą o stromą ścianę wybrzeża i rozpryskując się w szmaty białej piany i w chmurę wodnej pary.

Gdy Melf się zbliżył do tego miejsca, spostrzegł człowieka, siedzącego na krawędzi spadzistego brzegu.

Był to młody marynarz, we włóczkowej czapce, z opaloną twarzą, której łagodny wyraz licował z jasno-niebieskimi oczami i ze zarostem twarzy lnianego koloru.

Siedział na kamieniu ze założonemi rękami, jakby na kogoś czekał.

Zaledwo go Melf przywitał, za całą odpowiedź wskazał w dół ręką ku morzu. Tam między skalami leżał tułów rozbitego statku.

Na bok przewrócony, czerniał swem cielskiem, jak zdychające zwierzę, podczas gdy bielejące bałwany, przelewając się i bryzgając koło niego, wyprawiały tryumfalne płasy, jakby się naigrawały ze zwyciężonego i ubezwładnionego przeciwnika.

Wszczęła się rozmowa.

Ów marynarz nazywał się Kurt i był zamożnym rybakim, a zarazem właścicielem pastwisk i zagrody na Cichej Wyspie.

Zagadnięty, wskazał ręką na rozbity statek i rzekł:

— Tam w dole leży mój biedny statek... Patrzyć nie mogę, jak fale o niego tłuką, chcąc go co prędzej zatopić. A ja sam temu winien, sam go tutaj na śmierć i zgubę zaprowadziłem.

Po chwili dalej opowiadał:

— Przed tygodniem wracamy z połowu, a tu od południa zerwał się szalony wichur. Próbujemy płynąć w bok, na ukos wiatru, lecz niepodobna! Fala nas zalewa i widzimy, że na pełnem morzu zginiemy jak szczury. Więc po krótkim namyśle trzeba się było poddać wiatrowi i dać się pędzić wprost ku brzegom, wiedząc, że nas tu czekają... Żeglarskie skały! Zmrok wieczorny zapadł, mgła, ciemno, a fale nas szybko niosą, rzucają nami dowolnie i już zdaleka słyszemy huk bałwanów, rozbijających się o ławice. Już nawet o sobie nie myślałem, tylko o mym biednym statku, który pędził na pewną zgubę. Zdaliśmy się na łaskę Opatrzności. Fala przeniosła nas szczęśliwie na swym grzbiecie przez pierwszą ławicę, lecz o drugą skałę czołno dzióbem uderzyło, skręciło się i legło na boku. Tam była śmierć dla niego. Nam nic nie zostawało, jak skoczyć do wody i płynąć do brzegu.

— I cóż, niema ratunku dla statku? — zapytał Melf.

— Gdyby się morze uspokoiło, możeby się co dało zrobić — odrzekł Kurt. — Trzebaby statek podnieść, jako tako naprawić i znowu na morze puścić, lecz nim się morze uciszy fale do reszty rozbijają biedne czołno i trzeba będzie na zawsze

się z niem pożegnać. A doprawdy dałbym dziesięć razy tyle, co warte, aby je uratować, bo takiego czółna w życiu mieć nie będę!

Gdy to mówił, zdawało mu się, że Melf spoglądał na niego niedowierzającym wzrokiem, więc zaraz dodał:

— Cóż wy myślicie? Do czółna i do żony trzeba mieć szczęście, nigdy naprzód wiedzieć nie można, czy będziecie mieli uciechę, czy krzyż pański.

— Już wy się tam nie potrzebujecie skarżyć, mając taką żonę, jak Elke — wtrącił Melf z uśmiechem.

— A wy zkadź znacie moją żonę? — zapytał Kurt zdziwiony.

— Któżby nie znał pięknej Elke, najpiękniejszej kobiety na wszystkich wyspach i na lądzie — odrzekł Melf z uniesieniem.

— Piękna, bo piękna, lecz jak to kobiety.

— Od kobiety niczego więcej nie wymagać, jak tylko, aby piękną była — zauważył Melf.

— Piękna kobieta, to jak letni dzień — mówił dalej Kurt. — W najpiękniejsze, letnie dni, najczęściej bywają wielkie burze.

— Czyżby Elke umiała czasem burze sprowadzać do waszego domu? — zapytał Melf ze złośliwym uśmiechem.

Na to Kurt spiesznie odrzekł, jakby broniąc żony przed niesłusznym zarzutem:

— Elke jest najlepszą żoną, lecz tak uparta, jak ów wiatr, co u nas na wiosnę wzdłuż lądu wieje. Trzeba mu się poddać i z nim płynąć, bo cię inaczej zatopi. Tak też i z Elke, trzeba się

do niej stosować i robić, czego żąda, innego sposobu niema...

Zdawało się, że chciał się jeszcze dalej nad żoną rozwodzić, lecz tego zaniechał.

Melf wypytywał się o Cichą wyspę, o bydło i paszę i w ten sposób zapuścili się w dłuższą pogawędkę.

Wreszcie Kurt oświadczył, że będzie się zabierał do powrotu, dziś niema mowy o ratowaniu statku, więc nie będzie daremnie czasu tracił, zwłaszcza, że żona na niego czeka.

Na zapytanie Melfa, czem przyjechał, wskazał w oddali na piaszczystym brzegu czerniejące czółno, którem do lądu przybił, poczem pożegnał i puścił się w drogę.

Wkrótce znikł Melfowi z oczu, za skałami, i po długiej chwili ukazał się na dole, dążąc brzegiem do swego czółna.

Melf siedział jakiś czas nieruchomy na kamieniu, wreszcie wstał, podszedł ku krawędzi ściany i rzucił okiem na statek, w dole leżący. Po stromym brzegu, spadającym prostopadle do morza, zeszedł w dół, bez ścieżki lub śladu przejścia, skoczył na najbliższą skalistą ławkę, o którą nieustannie uderzały bałwany i, tam stanąwszy, zdmwał się czekać...

* * *

Kurt wracał do domu i siedząc przy sterze, kierował łodzią, która wolno płynęła ku Cichej Wyspie. Żeglarskie skały białeły w oddali, mgłą się

3*

zasuwając, która ku zachodowi słońca morze za-
legała. Zmrok zaczął zapadać, a Kurt, chcąc wie-
dzieć, wiele mu jeszcze drogi zostaje, często rzu-
cał wzrokiem po za siebie. Lecz wreszcie Żeglarskich skał nie mógł już dojrzeć, natomiast spo-
strzegł jakiś statek, wprost ztamtąd za nim płynący.

To go zdziwiło. Zaciekawiony, nie mógł przy-
sterze wysiedzieć, wstał i wzrok wyteżył. Wtedy
przekonał się, że statek szybko płynie i do niego
się zbliża. Serce mu silniej zabiło, choć sam nie
wiedział dlaczego...

Lecz wtem rozeznał, że statek płynie bokiem
przechylony, jedną burtą dotykający wody, z po-
szarpanym żaglem, z rozstrzaskanym masztem...
Zbladł i zdumiał, bo to był jego statek, a na nim
u steru spokojnie siedział ów nieznajomy, którego
spotkał na brzegu Żeglarskich skał.

Niewiele czasu było potrzeba, aby się obydwaj
zrównali, a gdy Kurt, widząc swe czółno zmar-
twychwstałe, oczy przecierał i głosu wydobyć nie
mógł, Melf powitał go chrypliwym śmiechem i
zdaleka wołał:

— A co? Dobrzem się sprawił, nieprawda?
Statek był tylko burtą pod wodą zaczepiony o
brzeg ławicy... Silnie go pchnąłem, a sama fala
go postawiła. Wyśmienite czółno, chore i zbie-
dzone, a przecież na wodzie się trzyma i szyb-
ciej sunie, aniżeli wasz zdrowy statek.

Kurt patrzył i patrzył z niedowierzaniem i nie
wiedział jeszcze, czy swój statek widzi we śnie,
czy na jawie. Lecz ten płynął na wodzie, choć

przechylony, nurzający się, jak postrzelony pies morski, który ostatkami sił trzyma się na wodzie.

Uciecha z odzyskanej straty wkrótce otrzeźwiła Kurta i zamiast pytać się i dziwić i powątpiewać, dziękował Melfowi, nazywając go swym zbawcą i dobrodziejem i zapewniając go o dozgonnej wdzięczności.

Dalej już obydwaj płynęli obok siebie, dążąc ku Cichej Wyspie.

* * *

Tego samego wieczora w obszernej izbie, o kaflowych ścianach, ozdobionej holenderską porcelaną i cynowemi naczyniami, trzy osoby siedziały przy stole, zapijając gorący i dymiący grog. Tronowa lampa oświecała z góry migotliwym płomieniem piękną, młodą kobietę, o pełnej twarzy, przeźroczystej cerze, z rudawymi włosami, wielkimi szaremi oczami i z ustami, które zdawały się być na białych policzkach krwią naznaczone. Koło niej siedział młody mężczyzna, o jasnych włosach i brodzie, a dalej, pod lampą, wielka, rudowłosa głowa pół stołu sobą zaciemniała. Była to piękna Elke, Kurt i Melf, którzy w ten sposób święcili cudowny ratunek rozbitego statku.

Od czasu tego pierwszego spotkania Melf stał się przyjacielem Kurta i stale przesiadywał w jego zagrodzie, na Cichej Wyspie.

Kurt go uważał za najrozumniejszego i najbardziej uczonego marynarza, Elke za najweselszego

i najdowcipniejszego towarzysza — i wreszcie nie mogli się bez niego obchodzić i każdą dłuższą nieobecność gorzko mu wymawiali.

Wkrótce i Jerk się tam zjawił, przywieziony przez Melfa i gościnnie przez Elke powitany.

Kurt jednak nie był rad temu przybyszowi.

Jerk swą zuchwałą miną raził spokojnego i potulnego Kurta i zaraz na wstępie swem zachowaniem wobec Elke wzbudził w nim zazdrość, a zazdrość, to była jedyna namiętność, będąca w stanie wlać ogień w jego żyły i rozbudzić żar, dremiący na dnie jego duszy. — Lecz Kurt robił, co sobie życzyła piękna Elke, a ona od pierwszej chwili bardzo życzliwie przyjęła nowego gościa.

Zagroda Kurta była największą i najzasobniejszą na Cichej Wyspie. Na czelnej, od starości zczerniałej ścianie budynku błyszczał żelaznymi klamrami wypisany rok 1756 — rok budowy, a ten poważny wiek chaty starczył za dowód dawno osiadłej, a zatem na szczególny szacunek zasługującej rodziny. Przy domu rosło kilka drzewek, od wichrów potraconych i skarłowaciałych, a całe obejście otaczał mur, ułożony z czarnych, krągłych kamieni.

Wśród lata zielona murawa i liście drzew, jakkolwiek morskim wiatrem zwarzone, nieco rozwelewały otoczenie i pozór zagrody, lecz wśród zimy był to smutny i ponury obrazek. Pod ciemnym dachem zczerniałe, ceglane ściany, czarny mur naokoło, szkielety chorych i potraconych drzew, a dalej pusty brzeg i otwarty widnokrąg na szare

niebo. Na białym, nadbrzeżnym piasku, czerniał, jako jedyna ozdoba nawpół spruchniały tułów rozbitego statku, nad którym się mewy z krzykiem unosiły. Dalej, od głębi wyspy, bieląły piaszczyste usypiska, łańcuchem rozciągnięte, martwe i nagie...

Lecz wewnątrz domu rozjaśniała Elke swą pięknością, swym uśmiechem, błyszczącymi oczami i złotymi włosami. Ona nie wiedziała co to jest smutek lub zasępione czoło, zawsze wesola i pogodna, stanowiło przeciwieństwo do smutnego otoczenia. Zdawało się, że w niej tkwi jakiś kawałek jaśniejszych stref, rzucony na dziką i daleką północ, a blade niebo i bezbarwny krajobraz podnosił jeszcze blask jej włosów i przezroczyłość twarzy.

* * *

Zmrok zapadł, gdy Jerk dojeżdżał do swej zagrody. Na morzu panowała cisza, dokuczliwe zimno dawało się odczuwać, a gęsta mgła się rozpościerała. Ponury, zimowy wieczór zachodził, osnuwając wszystko ciemnością, zimnem i wilgocią.

Jerk leżał nieruchomy w czólnie przy sterze, zziębnięty, w sukniach wodą przesiąkniętych, zachmurzony i posępny.

Jechał z Cichej Wyspy i postanowił tam więcej nie wracać. Zęby zaciskał, gdy myślał o Kurcie, a chwile u boku Elke spędzone, z żalem wspominał. Przed miesiącem zaniósł go Melf na Cichą Wyspę i od miesiąca Kurt nie opuszczał żony

ani na chwilę, pilnując jej, jak najęty strażnik powierzonego skarbu.

Cóż mu przyszło z ponętnego uśmiechu pięknej Elke, z błyszczących jej oczu i wyrazistych spojrzeń? Codziennie wracał, zniechęcony świeżym za wodem, więc zarzekł się, w myśli pożegnał Elke i przekleństwo rzucił na Kurta.

Wyskoczywszy z czółna i wszedłszy do chaty, zastał Melfa, grzejącego się przy ognisku. Izba była ciemna, tylko postać Melfa, oświetlona drgającym blaskiem ognia, wynurzała się z cienia. Siedział z rękami, wspartymi na kolanach i z twarzą utopioną w dłoniach.

Jerk nie przywitał go, tylko rzucił się w kącie na ławkę i nogi do ognia wyciągnął.

Melf spojrzał z pod oka i nie odezwał się ani słowem.

Po chwili Jerkiem dreszcz wstrząsnął, a on rzekł:

— Brrr... zimno. Czy niema grogu? — i wstawszy zaczął się krzątać koło komina.

— Z Cichej Wyspy? — zapytał Melf, a choć Melf nie dał mu na to żadnej odpowiedzi, zapytał znowu:

— Cóż tam Kurt porabia?

— Jak zawsze, żony pilnuje, jak łańcuchem przywiązany brytan — odpowiedział Jerk zniechęconym tonem.

— Ma rozum — rzekł Melf. — Gdybym miał żonę, tobym jej ani na chwilę nie odstępował i na każdego warczał, ktoby się do niej zbliżył, zwłaszcza, gdyby się koło niej takie wilki czolgały.

— Gdybyś miał żonę? — zapytał Jerk ze złośliwym uśmiechem i dodał pogardliwie: — Djabła by ci trzeba do pomocy, abyś znalazł taką, któraby ciebie zechciała.

Nastąpiła chwila milczenia.

Wreszcie Jerk się odezwał:

— Dziś byłem raz ostatni na Cichej Wyspie i więcej tam moja noga nie stanie... Mam dosyć tej zabawy. Nie lubię jeździć na połów i zawsze wracać z pustymi sieciami.

— Czy Kurt pojechał dziś na morze — zapytał Melf.

— Razem ze mną z domu wyjechał, jak zwykle.

— A jeżeli ja ci powiem, że Kurt nie wróci z połowu aż jutro rano, czy i w takim razie twoja noga nie stanie więcej na Cichej Wyspie? — pytał Melf dalej.

Jerk obrócił się ku Melfowi, spoglądnął na niego zdziwiony i rzekł:

— Kurt, jak zawsze, wróci za dwie lub trzy godziny, a może już nawet jest z powrotem w domu?

— Ale jeżeli tak sprawię, że on nie będzie mógł wrócić przed rankiem? — mówił Melf, patrząc z uśmiechem na Jerka i cedząc wolno przez usta, słowo po słowie:

— Nie wiem, jakbyś mógł tego dokazać... Chyba go schwycisz na morzu i zwiążesz... Wróci przed północą, jak zawsze wraca — rzekł zniecierpliwiony Jerk.

Wówczas Melf wstał, podszedł przed nim, i założywszy na krzyż ręce, w te słowa się odezwał:

— Za pół godziny latarnia na łądzie zagaśnie... Przy dzisiejszej czarnej nocy Kurt będzie na morzu uwiązany, jak ślepy, wywiedziony na puste pole. Przed rankiem drogi do domu nie znajdzie i nawet się z miejsca nie ruszy.

Jerk wstał z ławki i spojrział niedowierzająco, jak gdyby mu już kto Kurta pokazał, bezradnie błądzącego wśród ciemności i rozpaczającego za swą opuszczoną żoną; lecz za chwilę się ocknął i zapytał:

— Gdzieżby latarnia mogła zgasnąć? Rakmer przy niej siedzi i pilnuje jej, jak oka w głowie.

— Kto chce, wszystko zrobi — odpowiedział Melf. — Oko w głowie, nawet najlepiej strzeżone, wybić można, jeżeli komu na tem zależy. Oddałem Kurtowi stracone czółno, uda mi się zagasić Rakmera latarnię. Lecz nie w tem twoja głowa. Nie trać czasu, wsiadaj do łodzi i spiesz na Cichą Wyspę...

Jerk zerwał się szybko ku drzwiom, a wychodząc, odwrócił się jeszcze ku Melfowi ze zapytaniem:

— A jeżeli latarnia nie zagaśnie?

— Korzystaj z czasu — zawołał Melf zniecierliwiony — bo dla ciebie nie można codziennie latarni gasić, więc w drogę!

Jerk wybiegł na brzeg i wskoczył do czółna, które się kołysało, przypięte łańcuchem do nadbrzeżnego pala.

Wkrótce potem na świetlanej smudze, rzuconej przez morską latarnię, ukazała się łódź, sunąca się wolno ku lądowi.

Minąwszy skały podwodne, u stóp latarni, o które fale z łoskotem się rozbijały, łódź zawinęła do bocznej, w głębokim cieniu zanurzonej przystani i tam do brzegu przybiła.

Z niej wysiadł Melf i wolnym krokiem podążył ku latarni. Przed nim leżał ląd, ginący w ciemnościach nocy, bez głosu lub ruchu, stanowiący z czarnem niebem jeden przestwór, w którym zawieszzone na wysokościach, błyszczało światło latarni.

Melf zanurzył się w tej ciemni i cichymi krokami szedł po miękkim wrzosie i dopiero po chwili spostrzegł słabe światełko, bijące z okna chaty, przypartej do stóp latarni.

To Lizbet jeszcze czuwała.

Zapukał do drzwi i wkrótce ona ukazała się w progu. Zdziwiona była późnemi odwiedzinami, lecz spostrzegłszy Melfa, radośnie go powitała i równocześnie szukała oczami drugiego przybysza, za progiem, gdzie cały świat zakryty cieniem nocy, mógł być ujść jej wzrokowi. Myślała, że obydwaj przychodzą spędzić wieczór w latarni, jak za dawnych czasów, lecz rychło się przekonała, że Melf sam tylko obecny, więc oczy spuściła, a lzy się w nich zakręciły.

— Wyście sami? — zapytała dla pewności.

— Za Jerkiem Lizbet pyta? On ryby łowi. Nie utrzyma go na wodzy. Musi po morzu żeglować i z wiatrami się uganiać, bez tego żyć nie może.

— On, na połowie? W tak ciemną noc? — zapytała Lizbet niedowierzająco.

— Im ciemniej, tem głupsze ryby i tem raźniej idą za palącym się luczywem do sieci, a dla Jerka wystarczy wasza latarnia; więcej światła nie potrzebuje, aby do domu wrócić.

Po chwili zapytał się znowu:

— Cóż tu u was slychać? Wuj na górze?

— Na górze, jak zawsze — odrzekła Lizbet. — Dziś ciemny i mglisty dzień, więc światło się już pali od dwóch godzin. Pójdziecie do niego?

— Zagładnę na chwilę — rzekł Melf.

— Na chwilę? — powtórzyła Lizbet z uśmiechem. — Znam ja tę chwilę, gdy się zagracie w kości, będzie pewnie północ. Nie będę na was czekać, tylko zostawię wam drzwi otwarte.

I smutnym głosem, w którym jeszcze dźwięczał świeżo doznany zawód, dodała:

— Dobra noc....

— Dobra noc! — zawołał Melf i puścił się krętymi schodami na szczyt latarni.

Zaraz na pierwszym skręcie znikło światło lampki, którą Lizbet świeciła, więc po omacku szedł w górę, trzymając się ściany i szukając nogami stopni. Mijał okienka w grubym murze wstawione, lecz noc była tak ciemną, że tamtędy najśłabszy promień światła nie wpadał do wnętrza latarni.

Schody piętrzyły się nad schodami, wąski korytarz kręcił się w koło, a wierzchołka latarni nie było jeszcze widać, zdawało się, że latarnia

niema końca. Wreszcie na skrajcu ukazał się na ścianie jaskrawy promyk i wkrótce Melf ujrzał nad sobą otwór od światła gorejący. Wyszedł po paru ostatnich stopniach, wynurzył głowę do wnętrza klatki i rozejrzał się naokoło, lecz oczy do ciemności przyzwyczajone, tak były silnym światłem oślepione, że w pierwszej chwili niczego nie mogły rozróżnić.

Dopiero po jakimś czasie rozpoznał się w otoczeniu i spostrzegł Rakmera, siedzącego pod szklaną ścianą, na niskiej ławeczce, z rękami na pierśsiach skrzyżowanymi, zapatrzonego w kryształowy kosz z lampami.

Gdy nareszcie Melf wszedł do środka, Rakmer się ocknął i spostrzegłszy wchodzącego gościa, przywitał go życzliwym uśmiechem i słowami:

— Witaj towarzyszu. Witaj! Dobrześ zrobił, żeś mnie samotnika odwiedził. W zimowy, mglisty czas, jaki teraz mamy, noc zdaje się nie mieć końca i godziny się dłużyć, więc gość dla mnie dobrodziejem. Zagramy w kości, a gdy te ostatnie słowa wymawiał, oczy jego radośnie zabłysły.

— Dobry wieczór — powitał Melf, podając rękę. — Zagramy w kości i urządzimy dziś wielką grę. Przeczuwam, że będę miał szczęście i chciałbym wiele wygrać.

— Odemnie nie można wiele wygrać — odrzekł Rakmer — bo oprócz kilku gratów, przywiezionych z mej morskiej włości i rozwieszonych na ścianach chaty i oprócz latarni — i to mówiąc, wska-

zał z uśmiechem na kręcący się, świetlany przyrząd — nie wiele co posiadam.

— Właśnie o to grajmy — odrzekł Melf i pokazał ręką na kosz z soczewkami.

— Żartuj sobie, kochanku — Rakmer się odezwał — i wstał, aby kości poszukać.

Melf za nim poszedł i zagadnął go znowu:

— Wiesz co, naprzód się ulóżmy. Jeżeli przegram, dam ci ten oto nóż — jeżeli wygram, to ci wprowadzie latarni nie zabiorę, ale... zatrzymał się i po chwili dodał: ci ją zagaszę! Mówiąc to, wydobył z pod odzienia długi nóż z rękojeścią, misternie w kości rzeźbioną, w pochwie z węzowej łuski.

Rakmer wziął nóż do ręki i wskazując na głównię, wyrobioną w kształcie końskiego kopyta rzekł:

— To dziwny nóż. Zkąd go masz?

— Po dziadku moim. Końskie kopyto było jego ulubionem godłem — rzekł Melf. — Choć całe życie po morzu, a nigdy konno po lądzie nie jeździł. No, a cóż będzie z latarnią?

— Wiesz ty, że ta latarnia stoi tu, na tem miejscu sto pięćdziesiąt lat i że przez sto pięćdziesiąt lat słońce i latarnia nawzajem się luzowały, podając sobie światło naprzemian, zmieniając się w dzień i w nocy. Zachodzące słońce zegnę zapaloną latarnię, a wschodzące słońce zawsze ją wita. Tak chyba będzie do końca świata.

— Zobaczymy, jeżeli końca świata dożyjemy — rzekł Melf — i obydwaj usiedli na podłodze z kubkiem i kośćmi.

Jarzące światło z góry oblewało dwie postaci, nad grą nachylone. Ich głowy kołysały się, rzucając na podłogę ruchome cienie. Rude włosy Melfa paliły się w świetle olejnych płomieni; Rakmera nawpół naga czaszka błyszczała srebrnym puchem, a ich twarze nurzały się w głębokim cieniu, pod sklepieniami czołami.

Zatopieni w grze, nie zważali na krzyk i pisk ptaków, krążących naokoło latarni, na łopot skrzydeł, uderzających o szklane szyby, nie nie słyszeli, prócz grzechotu w kubku mięszanych kości, nie nie widzieli, jak tylko oka po podłodze toczących się kostek. Jeden drugiemu skwapliwie odbierał kubek, gdy na niego kolej przychodziła, i wyprzedzał kości ciekawym wzrokiem, zanim się po podłodze rozsypały.

Rakmer był górą i miał nadzieję wygranej. Siedział z wyciągniętymi nogami, plecami oparty o podmurowanie kosza, z rękami na piersiach, usta miał zaciśnięte, oczy palające i czekał na ostatnie trzy rzuty, które się należały Melfowi do zakończenia gry.

Pierwszym razem padło ośmnaście oczek, a na to Rakmer się wzdrygnął i ku kubkowi głowę nachylił.

Melf rzucił po raz drugi ośmnaście, poczem Rakmer się zerwał i na kolana ukląkł, a gdy po raz trzeci znowu ośmnaście oczek zaczerniało, wstał, wyprostował się i z zaciśniętymi wargami popatrzał na Melfa pytającym wzrokiem, jakby żądał od niego wytłómaczenia tego niezwykłego szczęścia.

Melf wstał także, powoli się na nogi dźwigając, i rzekł ze zwykłym uśmiechem:

— No, teraz wezmę sobie wygraną.

— Co za wygraną? — zapytał Rakmer.

— Światło twojej latarni — i to mówiąc, obrócił się Melf ku schodkom, prowadzącym do szklanego kosza z lampami.

Rakmer się odezwał z drwiącą miną:

— Dobrze, zabierz sobie latarnię het, na Małą Wyspę.

Lecz Melf stanął na pierwszym schodku, a wtenczas Rakmer zawołał z udanym spokojem:

— Daj spokój! Nie ruszaj, nie chodź tam nawet... bo światło zasłonisz! — i schwycił go za rękę.

Jednak Melf się oparł i wtedy dopiero Rakmer pomyślał, że tamten może naprawdę dybie na jego zgubę i chce zniszczyć latarnię.

Wówczas wziął Melfa za barki, chcąc go ze schodków ściągnąć i odwieść od kosza, podczas gdy Melf go wpół objął.

Spleceni razem, chwiali się przez chwilę na pierwszym stopniu, lecz wkrótce Melf pociągnął za sobą przeciwnika i wydobył się na schodki, tuż do samego kosza.

Tam się zaczęli pasować.

Ich postaci zasłoniły światło i na morze padły nagle dwa olbrzymie cienie. Jakby tytani walczyli, te czarne postaci skakały po powierzchni fal, strzelając ku krańcom widnokregu, wikłając się i rozpraszając na boki.

Nie długo to trwało, bo wkrótce obydwaj stoczyli się ze schodków na podłogę, w kłębek splątani, zszczępieni, jak dwa kłuszące się gady...

Znowu się jednym zamachem na nogi zerwali i pasując się i zataczając, uderzyli w drzwi, na latarniany ganek prowadzące, które się z trzaskiem na oścież rozwarły.

Melf ściskając jedną ręką Rakmera za gardło, a drugą obejmując w pasie, wypchnął go na ganek i przyparł do poręczy.

Tamten, nawpół przytomny, przeczuł może, co go czeka, bo się schwycił żelaznej poręczy i zaparł się o nią z całej siły.

Na tej poręczy zaczęło się straszne mocowanie, koło latarni krążące ptactwo zamąciło się, wydając wrzaskliwe krzyki...

Za poręczą otwierał się grób, z którego dochodził zimny chłód i wilgotny powiew, tam czekała zguba, a na krawędzi ważyło się życie człowieka...

Wreszcie Melf przemógł przeciwnika, przerzucił go na drugą stronę: oderwał jego ręce wraz z przętami poręczy, do których były kurezowo przyczepione i potężnym pchnięciem strącił go w otchłań...

Ciało przewróciło się w powietrzu w dół głową i znikło w ciemnościach, padając w czarną bezdeń nocy, między bałwany, rozbijające się u stóp wieży o skały.

Melf, przechyliwszy się, rzucił w dół wzrokiem, lecz prócz czarnego przestworu, nie nie ujrzał...

Po chwili wrócił do wnętrza klatki, wyszedł po schodach do szklanego kosza i otworzywszy go, jednym podmuchem wszystkie lampy zagasił.

I nagle cała latarnia zniknęła, jakby się w ziemię zapadła, błyszczące smugi światła, bieżące w nieskończoną odległość po wodzie, zagasły, ciemności wszystko ogarnęły.

Ptaki, stadami krążące koło latarnianej klatki, zadziwione i przerażone, zamilkły, zawahały się i zawisły w powietrzu, a wszystkie statki na morzu, stanęły niepewne, nieświadome drogi, oddane na pastwę wichrom i ciemnościom...

* * *

Wiosna się zbliżała, dni bywały dłuższe, słońce przebijało się chwilami przez podarte chmury, ale wiatry wiosenne piętrzyły fale i utrudniały połów.

Więc gdy spokojniejsza pora nastąpiła, rybackie statki z wysp i z lądu żeglowały gromadami ku pełnemu morzu, aby odzyskać stracony czas i zarobek. Pracowano w zapasy, dniem i nocą i wracano z bogatą zdobyczą do domu.

Jednego z tych pięknych dni wiosennych wybrało się grono ludzi z Cichej Wyspy statkiem na morze. Była to wspólna wyprawa, urządzona za namową Melfa, i w czólnie znajdowały się oprócz niego trzy osoby: Kurt z żoną i Jerk.

Wyjeżdżali na połów pod wieczór, z zamiarem pracowania przez noc całą.

Słońce skłaniało się ku zachodowi, zapadając za pierzaste chmury, które jego promieniami ozło-

cone, zdawały się być świetlaną parą, buchającą z niewidocznego, podwodnego wulkanu. Pod stropem zachodniego nieba leżało pomarańczowe morze, zieleniejące w bliższych odcieniach, mieniające się stalową barwą ku brzeżnym horyzontom.

Powietrze łagodne woniało świeżością i zapachem morza, którego woda przybrała po raz pierwszy po długiej, zimowej dobie, jasną barwę i przezroczystość wód stref cieplejszych. Lekka fala marszczyła powierzchnię, zaledwo gdzieniegdzie ubrana w biały grzebyk piany, a po niej sunęło czółno, rzucając daleko za siebie, jaskrawe i migoczące odbicie swych białych żagli.

Piękna, jasna pogoda i wiosenne, upajające powietrze podniecało wesołość rybaków. Cieszyli się na spodziewany obfity połów, na zbliżające się lato. Miniona zima i wszystko, co podczas niej zaszło, znikło w ich myślach, a ważne zdarzenia, jak zagaśnięcie morskiej latarni i śmierć Rakmera, który, jak mówiono, ze zgryzoty miał rzucić się w morze z ganku latarni, zapadły w niepamięć.

Na przodzie czółna siedzieli Jerk i Elke, nie tuż obok siebie, lecz dość blisko, aby mogli półgłosem rozmawiać i zamieniać niepostrzeżone spojrzenia.

Przy sterze Melf z Kurtem leżeli wyciągnięci na dnie czółna, w wielkich czapkach, zaciągniętych na uszy, jakby w pełnej zimie, zasłonięci kłębamii dymu z fajek, które palili.

Rozmawiali ze sobą o rybach, o wietrze, o nadchodzącem lecie, a od czasu do czasu jeden lub

drugi głowę podnosił i naokoło wzrokiem wodził za bielejącym w oddali żaglem, lub za wysepkami, które się rysowały na widnokręgu.

Do jednej z nich czółno się wolno zbliżało, gdy się Kurt do Melfa odezwał:

— Wiesz ty, co ja za dziwny sen dzisiaj miałem?

— Cóż ci się śniło? — zapytał Melf obojętnie.

— Śniło mi się, że szedłem brzegiem morza i znalazłem młodą mewę. Schwyciłem ją, zabrałem i poszedłem dalej, gdy spostrzegłem na wodzie, tuż koło brzegu, piękną, młodą dziewczynę, siedzącą i kołyszącą się na fali. Mewa przeraźliwie ćwierkała, więc żal mi jej było i dałem ją dziewczynie z poleceniem, aby jej pilnie strzegła, pielęgnowała, a gdy mewa wyrośnie, napowrót zwróciła. Lecz za ledwo oddałem jej ptaka, gdy przytoczyła się wielka fala i zanurzyła dziewczynę. Mewa spłynęła na wodzie, lecz z morza wynurzył się wielki, czarny delfin i połknął mewę.

Czółno zbliżało się do małej, piaszczystej wysypki, bezludnej i zapomnianej wśród pełnego morza, do której statki rzadko kiedy zawijały — chyba tylko na to, aby rybacy mogli oczyścić z porostów swe sieci, lub zagrzać się przy pryskającym ogniu, roztlonym wiązką alg suszonych, a od brzegu wracająca fala uderzała w przód czółna, gdy Kurt, obróciwszy się, zapytał Melfa:

— Cóż taki sen może znaczyć? Co złego, czy co dobrego?

Melf rzucił na Kurta ukośne spojrzenie, uśmiechnął się i po chwili odrzekł:

— To rzecz bardzo prosta. Młoda mewa, to twoje młode szczęście małżeńskie, które znalazłeś w poźyciu z Elke, a które jeszcze w pierze nie porosło. Dziewczyna, kołysząca się na fali, to sama Elke, chwiejna i niepewna, jak każda kobieta, a czarny delfin... a czarny delfin...

— A czarny delfin co znaczy? — przerwał Kurt zaciekawiony.

— Delfin? — ciągnął dalej Melf z uśmiechem — patrz! ten polknął twe szczęście małżeńskie i mówiąc to, wskazał ręką na zwierciadło wody, które odbijało wizerunek Jerka. Niebaczny na obecność drugich, zasłonięty żaglem, zbliżył się był do Elke i wpół ją objął, a woda odtworzyła ich postacie.

Czołno samopas puszczone i falą niesione, uderzyło w tej chwili o brzeg wyspy i osiadło na mieliznie.

To uderzenie obudziło Kurta, który, usłyszawszy słowa Melfa, osłupiał i martwymi oczami na niego patrzył. Nagle zerwał się na nogi, w trzech skokach rzucił się na Jerka ze strasznym krzykiem, z którego niewyraźne słowa przebijały. Jak dziki zwierz, który chce kąsać i szarpać, wpadł na niego.

Elke z krzykiem przerażenia na bok odskoczyła, jak ptak spłoszony, który ulatuje z gniazda, a Jerek zasłonił się rękami przed Kurtem, który z kurczowo wykrzywioną twarzą i z okiem krwią za-

szłem, wydawał zachrypłym głosem dzikie, niezrozumiałe krzyki.

Wobec tej kobiety, która, trzymając się konwulsyjnie burty statku, patrzyła przed siebie szklannymi i nieruchomymi oczami, zdrętwiała od przerażenia, wszczęła się między nimi obydwoma walka na śmierć lub życie, podobna do walk drapieżnych zwierząt, gdy zwabione rykiem samicy, walczą ze sobą na puszczy przed jej oczyma — o nią, jako o nagrodę...

Rzucali się po całym pokładzie, tarzali się po deskach, przypierali do masztów, szarpali się, gryźli i dusili.

Ostatnim wysiłkiem dowlekli się nawzajem do burty i jeden drugiego spychał z pokładu do wody, gdy nagle drzewce wiosła mignęło koło ich głów, jak błyskawica, i spadło z całym zamachem na czaszkę Kurta, która jękała pod uderzeniem... Równocześnie ręce jego opadły i ciało omdlało. Jerk tego nie czuł i nie widział; trzymając oburącz Kurta za gardło, dusił go z zaciętkością, wpijał palce w szyję i ostatku sił dobywał, jak gdyby chciał w swym wrogu duszę zadławić.

Wreszcie spostrzegł zgasłe, na wierzch wysadzone oczy i szeroko rozwarte usta, uczuł w swych objęciach martwe i wiotkie ciało i puścił je — a ono spadło z burty w morze, jak wiadro, rzucone z pokładu.

Woda bryznęła wysoko, ciało znikło — lecz za chwilę, gdy fala się dalej potoczyła, odkryło

się znowu, skurezone, w nieładzie, w jakim legło na piasku...

Statek zapadł w grobową ciszę.

Elke stała w miejscu skamieniała, w złotych włosach, z purpurowemi ustami na białej twarzy, podobna do upiora...

Jerk rozpalonem okiem wodził koło siebie, jak gdyby szukał swego wroga, a Melf, wsparty na wiosle, uśmiechał się i po chwili się odezwał:

— Tak kończą mężowie, mający piękne żony!

* * *

Z zagrody na Cichej Wyspie wynoszono zwłoki Kurta.

Czterech rybaków dźwigało na barkach z desek zbitą trumnę, za którą płaczki wyszły z domostwa. Wolno kroczyły, pochylone, śpiewając półgłosem pieśni i zawodząc żałośnie, każda ubrana w długą, białą, powiewną chustę, upiętą na głowie, którą wiatr chwytał i w górę unosił, dowolnie nią igrając. Szły parami, a ich głosy mieszały się w jeden lament.

Stare, zczerniałe domostwo spoglądało błyszczącymi oknami na ten nieliczny pochód, rosnące w ogródku, zgarbione i pochylone drzewka żegnały właściciela, który się wybierał na ostatnią morską przeprawę, a wiatr tańczył naokoło, świszcząc na żałobną nutę.

Orszak wysunął się przez okalający mur i kroczył po nadbrzeżnem pustkowiu, dążąc ku morzu,

gdzie leżały łodzie i gdzie czekała liczna gromada, mężczyzn, kobiet i dzieci.

Rybacy, niosący trumnę, głęboko brnęli w miękkim piasku, zostawiając za sobą ślady, jak na śniegu. Przyszedłszy nad wodę, postawili trumnę na ziemi, a każdy z nich, oddechu zaczerpnąwszy, rękawem pot z czoła obcierał.

Lament i krzyki płaczków się wzmogły i wszyscy otoczyli trumnę, jakby czekając na księdza.

Wtedy wysunął się naprzód z mozołem zgrzybiały starzec, zgarbiony, z pomarszczoną twarzą, zapadniętymi szczękami i zagasłym okiem.

Laską, na której się wspierał, uderzył o wieko trumny i głosem o kościanym dźwięku zawołał:

— Zemsta mordercy!

Lecz nie dokończył, zakaszlał się i wsparł na ramieniu towarzysza.

I rozpoczęło się rzucanie przekleństwa. Każdy z obecnych występował, uderzał pięścią o wieko trumny i wołał:

— Zemsta!

Najpierw zabrzmiały męskie okrzyki rybaków, z których przebijała siła i gotowość pomszczenia ofiary, niskie i zachryple głosy, które się nurzały i tonęły w miękkich zaspach piasku.

Potem przystąpiły kobiety, a ich żalodne, przeźliczne głosy daleko płynęły po wodzie, roznoszone wiatrem na wszystkie strony, jakby mew spłoszonych krzyki.

Wreszcie odezwały się nieśmiałe, drżące głosy dziecięce, łagodnym dźwiękiem tak sprzeczne ze

srogim wyrazem przekleństwa, mieszające się w jedną harmonię, ulatującą gdzieś w górę, aby ztamtąd sprowadzić zasłużoną karę...

— Zemsta! zemsta! — brzmiało różnymi głosami na tym pustym brzegu, po nad szumiącym morzem...

Wreszcie zabrano zwłoki zamordowanego, złożono w największej łodzi, do której siadło czterech rybaków i płaczki.

Rozpuścili żagiel, chwycili się wiosł i wkrótce statek odbił od brzegu, aby zawieść Kurta na miejsce wiecznego spoczynku... a za nim wlokły się po powietrzu, wiatrem unoszone, białe chusty płaczek.

Za oddalającym się czólnem biegły nietylko spojrzenia zgromadzonych na brzegach rybaków, lecz także para oczu śledziła z dalekich, piaszczystych usypisk za znikającym, pogrzebowym statkiem.

Wśród bezludnej pustyni błąkała się kobieta... Przed nią wzlatywały mewy z przeraźliwym krzykiem, za nią ciągnął się na białym całunie piasku sznur stopami wyciśniętych śladów i tylko długi i blady cień jej towarzyszył.

Błąkała się wśród martwego otoczenia, jakby stąpała po wygaśniętej planecie, szła bez celu o marmurowo białej twarzy, z czerwonemi, jakby krwią naznaczonemi ustami, z rozwianymi złotymi włosami i patrzyła błędnemi oczami ku morzu za odpływającym statkiem.

Była to Elke...

* * *

Północ się zbliżała, gdy dwie łodzie płynęły od lądu ku Małej Wyspie.

Obydwie miały liczną załogę, gdyż każda mieściła kilkunastu ludzi. Za wielu ich było, aby się wybierali na połów, przytem cicho siedzieli, nie odzywając się do siebie, niemi i poważni.

Gdy statki przybiły do brzegu wyspy, wysiedli i jakby na dany znak, poszli gromadą. W półświatle czerniały ich postaci, sunące wolno, jak cienie, po białym piasku.

Zaszli przed zagrodę Jerka i obstąpili ją w milczeniu; lecz za chwilę odezwały się równocześnie pod drzwiami i oknami ponure głosy:

— Zemsta mordercom!

— Zemsta mordercom!

— Zemsta mordercom!

I donośne stukania się rozległy.

Z wnętrza żaden głos nie doleciał, zdawało się tylko, że pustka odpowiedziała echem i znowu cisza zaległa czarny dom, spokojnie drzemiący na piaszczystym pustkowiu.

Lecz po chwili nastąpiło przebudzenie. Uderzenia siekier dały się słyszeć, jednej, drugiej, dziesiątej, rozległ się trzask rąbanych drzwi i dźwięk stłuczonych szyb, a gdy pod ciężami drzwi wchodowe runęły, cały orszak ludzi wtoczył się do wnętrza domostwa.

Walka i pasowanie nie długo trwało, Melf i Jerek nie stawiali oporu.

Wkrótce potem gromada ludzi kroczyła znowu ku brzegowi. Kilku z nich stąpiło na przedzie;

zgarbieni, głęboko zapadali się i z całym wysiłkiem ciągnęli po piasku bezwładne ciało za uczone sznury.

Za nimi szło znowu kilka postaci, za którymi włókł się podobny ciężar i wreszcie toczyła się gromada ludzi.

Było to spełnienie wyroku na Jerku i Melfie. Jeden i drugi, skrępowany sznurami, ze spętanymi rękami i nogami, był wleczony po piasku, jak ubity zwierz, którego ciągną na rozświetlenie.

Jerka wrzucono do jednej, Melfa do drugiej łodzi i wkrótce z rozwiniętymi żaglami odbiły czółna od brzegu.

Jerk leżał na pokładzie, spętany i nieruchomy, i wodził naokół błędnymi oczami.

Tuż nad nim sterczał maszt, z wielkim, rozpiętym żaglem, który mu się wydał olbrzymim, czarnym ptakiem, unoszącym się z rozpostartymi skrzydłami i czyhającym, aby go pożreć. — Dalej, naokół niego, siedzieli ludzie nieruchomi i milczący, ciemne, nieznane postacie, odbijające od błado przeświecającego nieba — dla niego stado drapieżnych wilków, czekających na podział zdobyczy.

Statek płynął cicho po wodzie i tylko fala, uderzająca o przód jego, od czasu do czasu lekko pluskała.

Brzeg się oddalał, a łodzie zmieniły swój kierunek.

Wtedy na skrócie jaskrawy promień uderzył w oczy Jerka, a on w nim poznał światło latarni na lądzie.

Ten promyk go ocucił i zapalił w jego głowie dawne wspomnienia.

Widział się dzieckiem, biegającym na brzegu Małej Wyspy, urągającym latarni, jak szatańskiemu oku, widział matkę Gonel, śpiewającą koly-sanke, cień ojca Krystyana, pojawiony w chacie wśród nocy — i lata młodości, spędzone samotnie na morzu.

Przypomniął sobie te czasy, gdy woda i niebo były dla niego całym światem, gdy burze i wichry stanowiły jego jedyną rozrywkę, a słońce i księżyc jedynych towarzyszy; wtedy był swobodnym, bez troski, niezależnym panem, nie uznającym nad sobą nikogo, prócz morza, przed którego potęgą się korzył i ugiął.

Spotkanie z Melfem stanęło mu przed oczyma i to wszystko, co potem zaszło: Biedna Lizbet, którą uwiódł i opuścił, zgon Rakmera, Elke i wreszcie śmiertelne zapasy z Kurtem, którego trzeszczące kości czuł jeszcze w swych objęciach i muskularne gardło, wtłoczone w swoje dłonie..

Głęboki żal ścisnął mu serce i gorzka zawiść na Melfa zapełniła jego duszę...

On go wyrwał z pośród dzikich żywiołów, wśród których wyrósł, gdzie mu było swojsko i spokojnie — on go zawlókł między ludzi, między tych ludzi, których Jerk unikał i nienawidził i którzy go zawiedli na drogę zbrodni i nieszczęścia, jak zawiedli już wielu innych na stracenie... To był chyba szatan, który go zaprowadził na zgubę...

Od dzieciństwa, zawsze o tem wiedział, że jest jak niewolnik, zaprzędany morzu, i że na jego zawołanie będzie musiał złożyć swe kości w ciemnym odmęcie, pójść wraz z czółnem i ze sieciami na dno głębi, gdzie legli jego ojcowie i dziadowie; lecz chciałby był zginać, jak przystoi na prawdziwego syna morza, wśród burzy, szumu bałwanów i poświstu wiatru, po zaciętej walce z żywiołami, wyczerpany i bezsilny...

Tymczasem wieziono go jak zastygłą rybę, którą rzucają do morza, aby nie zatrula połowu...

Wtem wszczął się ruch na pokładzie, ludzie zbliżyli się do Jerka.

On zrozumiał, o co idzie i nagle zabłysła mu w pamięci, jak błyskawica, modlitwa, której go matka Gonel w dzieciństwie nauczyła — modlitwa do Opatrzności Boskiej, opiekującej się ludźmi na lądzie i na morzu. W ostatniej chwili chciał ją wyszeptać, chciał się jej uchwycić, jako ostatniej deski ratunkowej i zginać z myślą o Bogu i o zmarłej matce, lecz nadaremnie... Ciemno i pusto było w jego duszy, jednego słowa świętego nie zdołał wydobyć ze swego wnętrza i walcząc rozpaczliwie ze swą pamięcią o to jedyne, święte wspomnienie swojego życia, legł w mokrej otchłani, słysząc za sobą złowrogie wołanie:

— Zemsta!

— Zemsta! — zabrzmiało także z drugiego statku, z kąd skrępowanego Melfa pogrążono w morze.

Na pokładzie stały w milczeniu postaci, patrzące na ciemną powierzchnię wody, na której rozta-

czały się wielkie kręgi, naokoło potopionych ciał.

Po chwili rozpięli zwinięte żagle, zawrócili łodzie i płynęli ku lądowi.

Lecz zaledwo ruszyli z miejca, usłyszeli w bliskości chrapliwy śmiech i spostrzegli na mlecznem tle nieba statek, pochylony nad wodą, z pełnymi żaglami, przesuwający się koło nich z wielką chyżością.

Był to statek Jerka. W nim leżał przy sterze Melf, wsparty na łokciu, a obok niego siedział Jerk, zapatrzony w morską dal.

I od tego czasu rybacy często spotykali w księżycowe nocy statek Jerka, z dwiema postaciami u steru, szybko sunący z rozwiniętymi żaglami po morzu...



KSIĄDZ PIOTR.

KAZIMIERZ Przerwa TETMAJER.

KSIĄDZ PIOTR

SZKIC

odznaczony najwyższą nagrodą na konkursie
literackim.



W KRAKOWIE,
SPÓŁKA WYDAWNICZA POLSKA.
1896.

W KRAKOWIE,
W DRUKARNI „CZASU“ FR. KLUCZYCKIEGO I SP.
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.



— Jakiegoś to herbu, panie Dzięgielewski? —
Cykorya?

— Ozorya, do usług księdza kanonika dobrodzieja.

— Aha!... No proszę, ktoby myślał... A napiłbyś się panie Dzięgielewski herbu Ozorya wódki?

— Jak wola księdza kanonika. Czemu nie?

— A jakążbyś wacan dziś preferował? Anyżówkę, czy kminkówkę?

— A no, tak po prawdzie, żeby powiedzieć, to kminkówka ze względu, jako jutro jest wtorek, wydaje mi się racjonalniejsza.

— O! Jakimże to górnym stylem przemawiasz! Myślałby kto, żeś z nieboszczykiem Słowackim, *Króla Ducha* komponował. Ale cóż to ma do tego, panie Dzięgielewski, organisto?

— Niby co, za pozwoleniem księdza kanonika ma co do czego mieć?

— Kminkówka do wtorku?

— A no, po prawdzie, żeby powiedzieć, to ona może i nie do niego niema.

— To dlaczegoż wasan powiedziales?

— E, kiedy to jegomość to tylko zawsze tak człowieka musztruje.

Ho! ho! panie Dzięgielewski, organisto kłoniccki! Pamiętasz, jakem was maszerować uczył, tu na dziedzińcu przed plebanią, kiedy to się na burzę zabierało? I karabinem machać? Choć, co prawda, tom sam maszerować nigdy nie umiał, bom służył w jeździe i miał pałasz nie karabin. Pamiętasz, panie Dzięgielewski, jaki był ze mnie tęgi oficer w piątym pułku ułanów, za księcia Konstantego? Jakiego miałem konia kasztanka, ho! Pamiętasz waść, panie Dzięgielewski?

— Jakże mogę pamiętać, księżę kanoniku do-brodziejcu, kiedy wtenczas moja matka jeszcze panną bywszy, w Sabańciszkach na jarmarkach tańcowała?

— A prawda, panie Dzięgielewski, że tyś cokolwiek młodszy odemnie. Wieleż to wiosen sobie liczysz?

— W metryce mam, jakom się urodził w trzydziestym drugim, z ojca Kaspra Mateusza i Kleofazyi Zaścianańskiej, Ozorya Dzięgielewskich, małżonków.

— I od razu miałeś takie żółte wąsy, panie Dzięgielewski, organisto?

— Ou, gdzie zaś! Jakże mogłem wasy mieć, dopiero z łona matki wyszedłszy?

— A był Rzymianin *dentatus*, co się z zębami urodził, dla czegożby nie miał być Dzięgielewski „wasatus“? Czyś to co gorszego od jakowego poganina, albo co?

— Pewnie, żeśmy od pogan lepsi — jeszcze szlachta...

— A widzisz. A ja się urodziłem w siedmset dziewięćdziesiątym dziewiątym, a teraz mamy ośmset ośmdziesiąty szósty, to ileż mi jeszcze do setki brakuje, panie Dzięgielewski, herbu Cykorya?

— Ozorya, żeby po prawdzie powiedzieć, do usług księdza kanonika dobrodzieja.

— Niech mu będzie. No, wiele?

— Żebyś ksiądz kanonik miał dziewięćdziesiąt, toby brakowało dziewięć.

— A żebym miał sto, toby nie brakowało nic, prawda?

— E, kiedy to jegomość musi zaraz człowieka stropić. Jak się zaś od dziesiątki odejmie...

— No, wiele, prędko?

— Ouu, przecież to tak zaraz...

— A nibys taki, panie Dzięgielewski, w rachunkach nagły, jak żyd w tańcu. To już ci pomogę. Trzynastka mi brakuje do setki. Wieleż to czyni?

— Właśnie chciałem powiedzieć, na psa urok, ośmdziesiąt siedem.

— Trzynastka, panie Dzięgielewski, trzynastka feralna cyfra. Ale, jakem szlachcic, jakem Piotr Zalański, nie opuszczę Panu Bogu od setki ani dnia, na honor, nie opuszczę. Czym to jeszcze nie krzepki? Zeszłej niedzieli, pamiętasz waść, jakem huknął z ambony ku panu Karasowskiemu Bolesławowi z Wólki, co był zasnął w ławce, tak się wzdrygnął, aż mu okulary z nosa spadły. Oho! jeszcze się nie dam. Napileś się, panie Dzięgielewski, wódki?

— Jakże, kiedy ksiądz kanonik tylko obiecać raczył?

— No to wyjmijże karafeczkę z kredensu. A że dziś jest poniedziałek, a jutro wtorek, dwie. Nie tę, tamtą, tak. Na tę intencję łykniesz sobie na-przód anyżki, potem kminkówki.

— Za łaską księdza kanonika.

— Łyknałeś?

— Niby tak.

— Teraz drugą.

— Niby już.

— Zakaśże teraz pierniczkiem. Dobry?

— Hm! hm! Delicje!

— No to idźże teraz panie Dzięgielewski, do domu, a kłaniaj się pięknie pani Dzięgielewskiej i pannie Anastazyi Paprykowskiej, jej siostrze

ciotecznej, a ja sobie tymczasem pacierze poranne odmówię. Bóg z tobą, panie Dzięgielewski, herbu Cykorya.

— Całuję rączki księdza kanonika dobrodzieja. Ozorya!

I pan Dzięgielewski, obtarłszy rękawem płowe, siwiejące, długie wąsy, pocałował księdza kanonika niżej łokcia i wyszedł.

Wówczas staruszek przeżegnał się, złożył ręce na piersiach i zaczął chodzić po pokoju jednostajnym, wolnym krokiem, szepeąc półgłosem modlitwy, zaś stary gończy Zagraj, śpiący dotychczas pod kanapą, otwarł najprzód jedno oko, potem drugie, wstał, przeciągnął się, ziewnął, i jak to już od lat dawnych zwykł był czynić codziennie, puścił się krok w krok za swoim panem. Od czasu do czasu staruszek ręką muchy uprzykrzone odganiał, od czasu do czasu kłapał na nie zębami stary Zagraj i tak chodzili obaj aż do śniadania.

W trakcie modlitwy ksiądz Piotr spoglądał niekiedy na ścianę, gdzie wisiały pięknie wypolerowane dubeltówki i tkwiły wielkie, rosochate poroża jelenie, przyglądał się chwilę kwitnącym w doniczkach na oknie hyacyntom i azaleom, albo wybujałym pod oknem malwom i słonecznikom, niekiedy przewiodł mimochodem oczyma po zrównanych w rząd cybuechach i połyskujących piankowych fajkach, lub też nie przerywając szeptu

pacierza, przed szafą z książkami się zatrzymał, tę, ową poprawił, i szedł powoli dalej, pies zaś za nim. Na świat też nieraz spojrział, bo na dziedzińcu uwijali się parobcy w pąsowych kabatach, pan Walenty Mościk, ekonom, krzyczał i komenderował, młode psy rozganiały kurczęta, stary, oblaskawiony żóraw, Marcin, żróbki ploszył i indorom się sprzeciwiał. Gwar był i ruch. Dziewki w żółtych i pstrokatych chustkach na głowie, przechodziły, nucąc tęsknie i rozwiodle, pawie roztańczyły świetne ogony i puszyły się, wlokąc skrzydła po ziemi, gołębie chmurą zlatywały z nad dachów i wznosiły się nad nie, zataczając wielkie koła. Na to wszystko padało poranne słońce, bardzo jasne i promieniste, kładło plamy złotawe na ziemi i stało poświeta mieniącą na lipach i brzozech.

Ksiądz Piotr, nie przestając się modlić, patrzył w okno siwy i cichy, z dłońmi, zetkniętymi przy ustach, a gdy już ostatnie słowa pacierza wyszeptał, jeszcze znaku krzyża nie kładł, tylko stał przy oknie długo i patrzył. I potem znak krzyża na własnych naprzód ramionach uczyniwszy, kreślił go w powietrzu, błogosławiąc z swego pokoju kłonicim łąnom, lasom i wodom rybnym i ludziom w polu robiącym, i trzodom, co się po łąkach pasły.

Tak było często.

Wypiwszy kawę, ksiądz Piotr zapalał piękną fajkę piankową, na długim, wiśniowym cybuchu, z dużym, kosztownym bursztynem, dar nieboszczyka kolatora pana marszałka, i pociągnawszy kilkanaście razy, pocbyłał się w tył fotelu i zaczynał drzemać, przyczem zwykle coś mu się śnić mu siało, pomrukiwał bowiem: ho! ho! i poruszał wskazującym palcem prawej ręki, co czynił zawsze, ile razy opowiadał z zajęciem, lub dawne czasy wspominał.

Miało mu się też co marzyć! Dzieciństwo na prawdę „sielskie anielskie“ w Załanach; służba pod księciem Konstantym, rewolucya listopadowa, kilka lat emigracyi, długa wędrówka, wreszcie kilkadziesiąt lat służby Bożej, twardej i pełnionej po żołniersku, bez folgi, po rozkazie...

Księdzem nie został ten niegdyś świetny rotmistrz ulański z powołania; przyznawał się do tego otwarcie. — Ja — mówił nieraz — urodziłem się kochanku, na księdza, jak moja dziewczka Wikta, co korzec ziemniaków na plecy bierze, na baletnicę. Byłem młody, przystojny, ho! ho! nie biedny, a do tego żywy, lekkomyślny, pusty, ot szlachcie polski i do tego kawalerzysta. Alem poznał, kochanku, w czemeśmy zawinili. Ja, kiedy mi mój luzak, Sobek, chłopak z Załan, szabli niedopolerował, albo butów na czas nie przyniósł, buch go w pysk! Mój ojciec, mój dziad, mój pradziad, wszyscy

Zalańscy za takie same i podobne rzeczy swoich Sobków buch w pysk! Dlatego mi mój chłopak przed pierwszą bitwą uciekł, dlatego żaden chłop z Zalan z kosą do Kościuszki nie poszedł, dlatego w czterdziestym szóstym mego brata stryjecznego Stanisława jego własny lokaj za nogę z konia ściągnął, a potem go chłopci tak zsiekli, że go poznać nie można było. Ja poszedłem robić ekspiacyę za siebie i za innych Zalańskich, poszedłem, kochanku, służyć tym, względem których czulem się winny a przez którą to winę czulem się winny wobec całej Ojczyzny. Bo gdybyśmy byli wszyscy w pole wyszli, Jezus Marya! ho! ho! A czy ty myślisz kochanku, że mnie było łatwo rzucić wszystko, cały świat, który mi się śmiał, sutannę oblec, na wieś iść, dzieci chłopskie chrześcić i szczerbate baby spowiadać? Nieraz myślałem, że nie wytrzymam, kochanku. Jeszcze, jak węgierska wojna wybuchła, o małym sutanny na kołku nie zawiesił i za Karpaty nie ruszył. Ale powiedziałem sobie: zameldowałeś się Bogu do służby, służ! A służba Boża twarda rzecz i On nie żartuje. Kiedy dobry, to dobry, ale jak się rozsierdzi, wszyscy w ką, nawet Michał Archanioł, choć to wielki wojownik i djabłu skórę wyprał, stronami tylko szablą pobrzękuje, a przed Panem Bogiem tak ją cicho w garści niesie, jakby po cesarskich pokojach stapał. A cóż dopiero

marny człowiek, choćby nawet kanonik. Ho! ho! Ale potem jużbym za skarby świata mojej su-tanny nie zwłókl i mojej parafii nie opuścił. Com z początku, kochanku, jako pokutę, jako ekspiacyę podjął, żebym ja pan z panów i oficer kawaleryj-ski między proste chłopstwo schodził, życie mu moje, moje dni i nocy w ofierze niósł, tom się w tem potem rozmiłował. Myślałem sobie: co ja tu jedną duszę w tych Klonicach polską zrobię, tośmy bliżsi zmartwychwstania. A potem rozmiło-wałem się w rzeczach boskich i zacząłem te du-sze nietylko polskimi, ale i boskimi robić. I my-ślałem sobie znowu: co ja tu jedną duszę kłonicą Bogu przysposobię, to On tam, sędzia sprawiedliwy i miłosierny Zalańskim choć po roku jednym po-kuty czyścowej odpuści. A potem przez miłość Boga zacząłem i ludzkość szeroką miłować i tę miłość w kłonicie dusze szczepić... I powiedz mi, możeż być co piękniejszego na ziemi, jak dusze Bogu, Ojczyźnie i ludzkości skarbić? A te kło-niczne dusze, one są gliniaste i kamieniste, ale w nich i czarnoziem jest, one nie są złe, one są nawet często dobre. Tylko one są bardzo trudne i trzeba je kochanku, bardzo kochać i bardzo im pobłażać i ludzkość im świadczyć. Żebym ja był mojego Sobka mniej bił w pysk, a więcej do niego mówił, nie byłby mi on przed pierwszą ba-talią powiedział: „a mnie wciornaści do tego“ —

i uciekł, gdzie pieprz rośnie. I widzisz, mogę śmiało, kochanku, powiedzieć, że do czegoś się zameldowałem, to spełniłem; byłem, śmiało mogę powiedzieć, dobrym księdzem, dobrym duszpasterzem. A żebyś mi to prorokował był tak lat temu sześćdziesiąt, kiedy ja dla panny Jadwigi Karśnickiej siwą klaczą turecką ujeżdżałem, a potem ją na tej samej klaczy wykradłem, Panie odpuszc, dla mego przyjaciela, Hilarka Roszczewskiego, że mnie w su-tannie do trumny będą kładli, kiedy ja myślałem w jeneralskich szlifach na dolinę Józafata jść... ho! ho! Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi... Ho! ho! Niema tam gdzie pana Dzięgielewskiego?

Bez pana Dzięgielewskiego nie mógł się staruszek kilku godzin obejść. Ów zaś pan Dzięgielewski z drobnej, zagonowej, żmudzkiej czy litewskiej szlachty, przywędrował jeszcze z ojcem nieboszczykiem, Kacprem Dzięgielewskim, herbu Ozorya, z Litwy, i znalazł był przytułek w kłó-nickim dworze. Zrazu pomagał dworskiemu pisa-rzowi w rachunkach, ale że do cyfr głowę miał nieosobliwą, a na flecie pięknie grywał, poświęcił się kunsztowi organistowskiemu, i taką z miechów czułość wydobywać umiał, aż się panie Krystynie Kolasikiewiczównie, pokojowej pani marszałkowej, mdło zrobiło podczas sumy i ostatecznie została panią organiściwą, a razem ze stanu mieszczkańskiego do godności szlacheckiej podniesioną.

Z panem Dzięgielewskim toczył ksiądz Piotr dysputy o wszystkim, zaczawszy od owsa i polityki, kończąc na astronomii i motylicy. Droczył się z nim i trafiał go w jego szaraczkową godność szlachecką, przekręcając mu Ozoryę na cykoryę, co się co najmniej od lat trzydziestu zawsze z jednakowym skutkiem powtarzało.

Pan Dzięgielewski nosił na codzień czarny halsztuk na szyi, długi, tabaczkowy surdut, kamizelkę w centki i pasiaste spodnie, na niedzielę zaś i święta, imieniny Papieża i księdza kanonika halsztuk z ciemnego granatu, nowy surdut tabaczkowy, kamizelkę sieraczkową i nowe, pasiaste spodnie. Miał pan Dzięgielewski czapkę z daszkiem, chustki do nosa czerwone z brązowymi kólkami, rogową tabakierę, trzcinę z posrebrzaną gałką i mosiężną pieczętkę z herbem.

Ksiądz Piotr lubił go bardzo.

Koło plebanii było jak w arce Noego. Oprócz zwykłych, domowych zwierząt, miał ksiądz Piotr mały zwierzyniec, w którym sarny, zające i osobliwsze zamorskie gęsi żyły w bezprzykładnej zgodzie. Dozór nad tą menażeryą, jak i nad ogrodem, miały sobie powierzony wszelakie baby i dziady, oraz kaleki i sieroty, jakie się w okolicy udało znaleźć. Ksiądz Piotr zbierał biedactwo, przygarniał, odchowował i wychowywał. Potrzebując dla siebie niewiele, bo go głównie piękne

buty i rewerendy, do czego miał zawsze słabość, kosztowały, a mając i z parafii i z kapitałów własnych znaczne dochody, całe legiony ubogich żywił i odziewał. „Mój sąsiad — mawiał — ksiądz Wajdzik, kiedy kościół w Nowosiółku odnawiali, bronił malarzom po rusztowaniach chodzić, bo mógł który w okno wpaść, a szyby drogo kosztują; grosz do grosza zbija, psu na omastę nie da, żeby po jego śmierci chłopci blachą kościół pokryli i nową wystawili dzwonnice; a ja mówię, że ja lepiej robię. Bo Pan Bóg o blachy na kościele nie dba, tylko o to, jakie się dusze w tym kościele modlą, a czy Mu się dzwon wyżej czy też niżej lipy majda, to Mu także wszystko jedno, byle Mu serca ludzkie ku niebu dźwigał. U mnie by się też to i owo na kościele dało naprawić, ale mnie pierwsza sieroca gęba, niż dziura w gon-tach kościelnych“.

Miał ksiądz Piotr duży ogród cienisty, w którym wiele drzew, dziś już wyrosłych, własną jeszcze ręką sadił, przeszło pół wieku bowiem już na parafii kłoniczej siedział. Na owocach znał się wybornie, hodował je na prezenta dla kolatora i sąsiadów, a kwiatów było u niego wbród. Kiedy się koło nich krzątał, zawsze z nimi rozmawiał. Jedne chwalił, na drugie zrządził, nad innymi się litował. Trzeba było słuchać. — „Uu, takeś to wybujał, narcyzku, ażeś się złamał, widzisz. Po-

czekajże, to cię podeprę. Tak. Teraz ci się będzie lepiej rosło. Trzymajże się dobrze, tak. A ten słonecznik, łobuz, jak się to rozpanoszył! Myślałby kto, że Bóg wie co! Jaki tulipan zamorski albo ananas! Ty zaś czego się tu spinasz, powoju jeden! Patrzcie! Będzie na płot laź! Jakżeby żerdki nie miał! Owa! Jeszcze mi uczciwy groszek do czego złego namówisz. Spróbuj tylko! A te konwalijki, jakie śliczniutki. Jak panienki! Tylko mi się tu nie pchajcie, astry. Ho, ho! Znam ja was. Nibym to nie był przy ułanach. Ho, ho!“

Czasem ksiądz Piotr, gdy się dobrze po obiedzie wyspał, pod wpływem dawnych wspomnień nabierał rycerskiego animuszu, a że zdziecinniały już był trochę przez lata podeszłe, ofiarą padał pan Dzięgielewski. Kiedy się zaniósło na zawieruchę w sześćdziesiątym trzecim, ksiądz Piotr, zakasawszy poly od sutanny, ze starą ułańską szablą w ręku, musztrował na dziedzińcu plebanii ochotników, między którymi był i pan Dzięgielewski, wówczas jeszcze pomocnik pisarza i kawaler. Otóż staruszek bywał od czasu do czasu ciekawy, czy organista nie zapomniał musztry?

— Bierz acan ten długi cybuch, nie ten, tamten, dłuższy — mawiał — a mnie proszę podać ten krótszy. Tak. Bacność! Marsz! W prawo zwrot! W lewo zwrot! Zachodź! Stój!

Organista spocony, zziajany, stawał wyciągnięty jak struna przed kanonikiem, a ten przyglądał się jego postawie, szturchając go lekko cybuchem w brodę i obciągając sieraczkową kamizelkę ku pasiastym spodniom.

Ćwiczenia te wojenne, choć dosyć rzadkie, irytowały mocno gospodynię księdza kanonika, pannę Katarzynę Capikównę, jako „i z powagą stanu kapłańskiego nielicujące, i zdrowiu jegomości szkodzić mogące.“

Milczała jednak do czasu.

Ale raz nieszczęśliwie zdarzyło się, że księdzu Piotrowi, który słynął niegdyś, jako rębacz, i jedenaście pojedynków odbył, a tylko go raz pan Bogusław Chomialski lekko koło prawego ucha drasnął, za co sam miał twarz „rozjechaną“ od ucha po szyję, zachciało się spróbować, czy mu jeszcze „ręka chodzi.“

— Panie Dziegielewski, weź-no dziś ten drugi, krótszy cybuch — rzekł — wstając z fotelu i zdejmując fajkę z cybucha, z którego ciągnął.

— Na co, że śmiem zapytać?

— Zobaczysz. Parujno kwartę.

— Jak ksiądz kanonik mówi?

— Broń aśc brzucha z lewej strony.

Organista zdumiał się:

— Wszelki duch Pana Boga chwali, po prawdzie żeby powiedzieć! Wedle czego?!

— Nie pytaj się nic, tylko słuchaj: Na lewej nodze się oprzej. Lepiej, tak. Przygnij się. Brzuch w tył. Ou, jaki to sztywny masz brzuch. Jakem był w twoim wieku, to jeszcze miałem jak panna Klocia Tymińska, com to jej onegdaj gruszek suszonych do Strzyżowic posłał.. na siedmnaście urodziny. Podnieś głowę. Prawa wolna. Tupnij! Raz, dwa! Wypnij piersi. Ręka tak. Potem tak. Rozumiesz? Ja tak, ty tak! Raz, dwa! *Gardez vous!*

— Podług rozkazu, księżę kanoniku!

— Teraz baczność! *En garde!* Łup!

Organista jęknął, a kwarta poszła tak dobrze, że ugodziła nietylko w brzuch pana Dziegielewskiego, ale i w dwa wazoniki z fuksjami na oknie, które zleciały z wielkim hałasem.

„Biada podrzędnym istotom, gdy wchodzą
Pomiędzy ostrza potężnych szermierzy“

zadeklamował ksiądz Piotr, stając nad skorupami, ale wtem panna Katarzyna Capikówna wpadła do pokoju, czerwona, jak pomidor, gwałtowna, jak bomba.

— Jegomość! — krzyknęła.

— A co? — spytał skonfundowany nieco ksiądz Piotr — nadrabiając miną.

— Wstyd i obraza boska! Żeby tak kto zobaczył! Ksiądz kanonik jak fireyk, z cybuchem po

pokoju! A pan organista mógłby też mieć rozum. Ojciec dzieciom! I niby jakiś szlachcic! Jak się to jeszcze raz zdarzy, nie dam kawy, jak Boga mego, nie dam kawy!

— Owa! Babska groźba, żabie deszcz! — ośmielił się mruknąć ksiądz Piotr.

— Babska nie babska! Jegomość mi też podlotek! — ofuknęła panna Katarzyna. — Może kamizeleczkę białą i żabocik! Patrzcie! — i zapierzona wypadła jak huragan z pokoju.

Ksiądz Piotr jednak był kontent.

— Baba jest zwyczajnie jędza — mruczał — a bądź co bądź ręka nie jest jeszcze zła. Jakby tak padło, ho, ho!

Lubił ksiądz Piotr w letnie popołudnie za ogrodzenie plebańskie wyjść i na ławce pod starym cisem siadłszy, w świat patrzeć. Widział ztąd zboża złociste, pełne modrych bławatków i maków czerwonych, różowe i białe zagony koniczyn, łąki zielone, przesiane mnóstwem różnobarwnych kwiatków, mieniające się pod blask słoneczny. Widział bór ciemny, jakoby pod drżącą, przeźroczą gazą złoto-szmaragdowego światła i gdzieś daleko mgliste, błękitniejące góry; a nieopodal widział jezioro wielkie, cichą, lekko falującą z wiatrem rozchwiej wodną, nenufarami żółtymi u brzegów i szeleszczącym sitowiem zarosłą, iskrzącą się miejscem jak blacha srebrna w słońcu, miej-

scem siwą lub siwo-fioletową. Po jeziorze pływały kaczki dzikie, czerniąc się na topieli sznurami, zawisały ponad niem czaple o skrzydłach szerokich i chmary czajek krzykliwych, a jezioro ciągnęło się szeroko, głęboko w kraj, ciche, senne, lekko z wiatrem faliste.

Wszystko to było zatopione w jakąś sreżogę światła, nieskończenie spokojne, rozległe, prawie bezgraniczne, jakby zasłuchane w wiatr i szum łąk i wody, łagodnej smętności, rozkołysanych tęsknot, jakiejś polnej zadumy i dziwnych, ogromnych upojęń pełne...

Ksiądz Piotr patrzył i patrzył, i zrazu odróżniał zboże od łąk, a las od wody, ale powoli poczynał mu się ten cały duży i rozmaity świat zlewać, łączyć, zamieniać w jedną wspólną barwę, błękitną a prześwietlną. Zboża, kwiaty, trawy i ciche kręgi fal jeziora i czaple na szerokich białych skrzydłach i stada krzykliwych czajek i obłoki przejrzyste i niebo jasno-błękitne. wszystko to napelniało mu oczy i czyniło w nich wielką światłość pogodną i niezmiernie słodką, Zdawało się księdzu Piotrowi, jakoby on już nie świat sam rzeczywisty, ale duszę świata widział, raczej opar jakiś czy mgłę, kolory ziemi niosącą niż samą ziemię.

A potem to widzenie więcej duchem, niż oczyma poczynało się gubić i rozwiewać w przestrzeni

wyłaniających się z pamięci obrazów, niegdyś widzianych. Zatem poczynały się w duszy księdza Piotra rozblękitniać olbrzymie przewieje morskie, z okrętami o białych żaglach i olbrzymie przewieje pustynne; poczynały w niej szumieć cedry Libanu i palmy oaz arabskich, poczynały w niej rósć piramidy milczące i wulkany o czerwonych kiściach płomienia u szczytu; poczynały się jawić miasta wschodnie, stubarwne, i owo rzymskie, martwe, z ziemi dobywane, i ludzi tłumy i zwierzęta dziwne; tworzył się w niej jakiś łagodny, przyémiony odległością czasu chaos wrażeń, ogarniało ją zapomnienie się, zamyślenie. I nieraz dopiero wysłany umyślnie przez gospodynię ulubieniec staruszka, siedmioletni sierota, Ignas Znajda, budził go z zadumy, ciągnąc za sutannę.

— Jegomość!

— A... a co?

— Jegomość spali?

— E, tak mi się tylko nieco zdrzemało.

— Poni gospodyni kozeli pedzieć i prosi, coby jegomość śli.

— Dobrze, dobrze, zaraz idziemy.

— Jegomość!

— A co?

— A cy Pon Jezus to tak po niebie chodzi, jak jegomość po ziemi?

— A tak.

— A cy je bosy?

— A pewnie. Pocóżby tam buty nosił, kiedy ciepło.

— A cy je wielgi?

— Ho, ho! jak świat!

— A to jak pierun gruchnie, to mu między palce od nóg leci?

— A pewnie, pewnie.

— A cy je dobry?

— Ho, ho! Jak miód!

— A miód je dobry?

— A czyś to nie próbował?

— A Pombók?

— A Pan Bóg jest też dobry.

— Jesce lepejsy?

— Nie, jednako, jednako.

— A wielgi je Pombók?

— Taki, jak i Pan Jezus.

— Jegomość!

— A co?

— Poni gospodyni kozeli pedzieć i prosi, coby Jegomość śli.

— Dobrze, dobrze, chodźmy.

— No, to pódźcie. Dojcie reuke. Pomalućku, boście starzy.

I Ignas brał za rękę księdza Piotra i szli razem ścieżką ku plebanii, rozmawiając po drodze dużo i seryo.

Zajęty służbą Bożą i ludzką, a zajęty bardzo ciężko, ksiądz wikary bowiem, studujący dniami i nocami dzieła teologiczne, małą mu był wyręką, nie miał ksiądz Piotr wiele czasu myśleć o śmierci, tem bardziej, iż zawsze zapowiadał, że od setki ani dnia Panu Bogu nie opuści. Ale pewnego jesiennego wieczoru, kiedy słońce zaszło, ostatnie fioletowe plamy kładąc na ciemnym niebie, ksiądz Piotr, który długo przedtem siedział w milczeniu na ganku od ogrodu, zdając się drzemać, zwrócił nagle głowę ku siedzącemu naprzeciw organiście i rzekł poważniejszym niż zazwyczaj głosem:

— Panie Dzięgielewski, mnie się zdaje, że trzeba iść.

— A dokąd, że śmiem zapytać?

— Dalej, niż stąd do kancelaryi parafialnej. Tam... i pokazał ręką ku bielącemu się opodal murowi cmentarnemu.

Dzięgielewski zachnął się:

— A co też ksiądz kanonik dobrodziej wygaduje. Po prawdzie, żeby powiedzieć, to nawet nie przystoi, pfe! Jeszcze można w złą godzinę.

— No, zobaczysz, panie Dzięgielewski, organisto kłoniccki, że mnie już trzeba iść. Już czas, już i tę trzynastkę Panu Bogu odstąpić muszę.

— O, o! Wolalby jegomość nawet nie wymawiać takich przykrości.

— E, już i czas. Spowiadałem się właśnie dziś rano, jakby umyślnie. I komunię przyjąłem. Gotów jestem. Po księdza wikarego też jeszcze posłać można będzie, ale przeprosić go pięknie, bo pewnie nad „Summą teologiczną,“ albo „Naśladowaniem Chrystusa“ będzie siedział. Takich kanonikami robić, nie mnie, starego bajdę.

Od pół szły przez ogród chłodne i zwiędłe wonie jesienne i słychać było cichy, jednostajny szum wiatru.

— Panie Dzięgielewski — ozwał się staruszek.

— Słucham księdza kanonika dobrodzieja.

— Słuchaj waść, ale nie mnie, tylko świata. Słyszysz, jaki to szum? Wydaje mi się, że słyszę obrót całej tej wielkiej maszyny, której Bóg jest budowniczym i maszynistą wiecznym. Kręcą się na osiach planety i słońca, wszystko idzie po swoich drogach i szumi. Cały świat szumi. A On budowniczy i maszynista wieczny słucha i raduje się. Pomyśl tylko, panie organisto kłoniccki, Mateuszu Tymoteuszu Dzięgielewski, herbu cykorya, jaki to ogromny i cudowny szum być musi! Ty myślisz, że jak wiatrak Kuby Michałowego z Zardzawicy, a to jak tysiąc, milion takich wiatraków. Ho! ho! Jak wszystkie fale Atlantyku i wszystkie wichry Sahary razem wzięte. Słuchaj tylko...

— Słucham, księżu kanoniku.

— Słyszysz?

— Słyszę, jak wiatr w ogrodzie szuści.

— A tego szumu świata, tej maszyny ogromnej nie słyszysz?

— Nie, z przeproszeniem księdza kanonika dobrodzieja.

Ksiądz Piotr pomilezał chwilę, a potem znowu zaczął mówić:

— Odsuń, mości organisto, tę szybę od północy. Niech jak najwięcej zapachu z pola wejdzie. Tam, jak tam... może być, jeśli Bóg miłościwy, i światło prześliczne i chóry anielskie i wonie rajskie mogą być i wszelki cud, ale przecież kłoniczekich pól nie będzie, nie będzie tego zapachu z mego parafialnego ogrodu... Wieczność jest długa, ale i pięćdziesięciu lat też pies nie przeskoczy... Te młode wiązy każesz podeprzeć, a żeby grusze dobrze na zimę słomą owinęli... Ho! ho! Takiego zapachu nie będzie... Mości panie Dzięgielewski, ja byłem w Ziemi Świętej i w Arabii i we włoskich pomarańczarniach, a takiego zapachu jak u mnie w Załanach dawniej, a potem tu w Kłonicach, nigdzie nie było. Panie Dzięgielewski!

— Do usług księdza kanonika.

— Czy to już miesiąc wschodzi?

— Niby.

— Jasny jest? Bo mi się źle w tamtą stronę oglądać.

— Jasny.

— To chwala Bogu. Nie chciałbym w nie pogodę umierać.

— Uu, co też to ksiądz kanonik...

— Cicho, panie Dzięgielewski, organisto, cicho. Miesiące poświęci duszy, jasnym gościńcem pójdzie. A i dobrze, jeśli z ganku. To prawie tak jakby z pola. U nas w rodzie mało kto na łóżku gasł. W polu gasli. Dobrze, że się skończyli, bo kto wie, coby z nimi było, tak, jak z innymi. Kotu na łódź szlachectwo bez szlachetności w duszy. Tak, panie Dzięgielewski.

— Słucham księdza kanonika.

— Ubierzesz mnie w nową sutannę, tę na jedwabnej podszewce, pasem jedwabnym przewiążesz, szpilką złotą z Korabiem przepiąć, buty nowe wyglansować, łańcuch kanoniczy na szyję, orderzy moje wojskowe na pierś. Sygnet zostawić na palcu, niech idzie ze mną... Obsypiesz mię kwiatami, dużo macierzanki, bo pachnie, narcyzy w głowach. I szablę moją, mości Dzięgielewski, złamać, bo jestem z rodu ostatni... Cóż to, ty buczysz, panie Dzięgielewski?

— U-u-u... bo ksiądz kanonik tylko mi serce kraje...

— Albo wiesz co, panie Dzięgielewski, szabli łamać szkoda, ale mi ją cicho, żeby ksiądz wikary nie widział, pod sutannę we fałdy włożysz.

W rękach krzyż, nibym ja tylko ksiądz, ale tam, pod bokiem szabla... Czujesz, jak z mego ogrodu pachnie, panie organisto?

— Czu-czuję... księże kań-n-noniku dobrodzieju...

— Testament jest tam w biurku. Wszystko w porządku. Żebyś mi tu zawsze, panie Dzięgielewski, kwiaty w doniczkach podlewał i ogrodu strzegł. Nic nie sprzedawać, nic nie wypędzać. Na wszystko fundusz jest. Na dziady i na baby, na sieroty i kaleki, na zwierzyniec, na Marcina i Zagraja. Wszystko ma być jak było, póki nie wymrze, albo nie wyrośnie i w świat nie pójdzie. U mnie było jedno serce dla całego świata. Sarnię bez kozy takiej prawie litości warte, co i dziecko małe. Bóg wszystko stworzył, wszystko miłuje i o wszystkim wie. Panie Dzięgielewski!

— Co ksiądz kanonik rozkaże?

— Bułanki panu Strzemieskiemu do Topolicy posłać. Broń Boże nie sprzedawać! On im łaskawy chleb da, bo nimi ostatni Zalański jeździł. Mój dziad pannie Bronisławie Strzemieskiej, będąc nieco podchmielon, srebrny imbryczek z ręki wystrzelił, a potem jej do nóg padł, i ona była moją babką. Stąd my krewniacy. Bułanki do Topolicy, siwki księdzu wikaremu na pamiątkę, bo on rad tą maścią jeździ i tych jednych się nie bał. Strzałę weźmie poręcznik Kotwicz, to kawaleryjski koń. Może

da Bóg, jeszcze obaj nie tej trąbki będą słuchali, co dzisiaj. Ho, ho!.. Fajkę z Maryą Antoinettą i kałamarz brązowy z Napoleonem także księdzu wikaremu. Z majątku mego będzie fundusz na zakład wychowawczy, a tobie, panie Dzięgielewski, przekazałem testamentem dwa buhajki, dziesięć tysięcy i jeszcze tam to i owo, a tu masz ciepłą ręką tę tabakierkę szyldkretową z rubinem, żebyś o starym księdzu pamiętał.

— Uu, uu, uu, księżę kanoniku dobrodzieju!..

— A nie klękaj przedemną waść, nie całuj mię po kolanach, fe, wstyd, wszyscyśmy równi. A że ja mam więcej, to ci daję. Tak powinno być i koniec. A nie bucz tak, panie Dzięgielewski, bo ludzi pobudzisz... Narobią się dzień cały, potrzebują spać. Ja się też choć pół życia napracowałem, trza iść spać... A tak przecież dziwnie... Niby się wie, że się ma umrzeć, a tak dziwnie... Ta jutro już może człeka nie będzie, a tu żeby choć jeden listek z lipy opadł, żeby choć jedno źdźbło trawy zawiędło... A przecież wszystko z jednego Boga wyszło, Bogiem trwa... Marność marności jest człowiek i nic tylko marność... Rok, dwa, będą pamiętali, potem zapomną... Niech tam, byle Bóg miłosierny nie zapomni... O resztę nie!

— Jak mi się też żywo przypomina, jakem to pierwszego dnia przyjazdu po alei grabowej w ogrodzie chodził... Takie były te graby, jak i dzisiaj,

rozłożyście i szumiące. Lat 50, pół wieku z górą... Nie chce mi się wierzyć, żeby ta pszenica tak samo prosto rosła, a przecież będzie... Tyle lat... Com ja tu chrzciał, com tu pochował... O, jak to jasno.

Przez liście winne, które ganek gęsto obrosły, poczęła wmykać się światłość miesięczna, cicha i srebrzysta, zawisała na liściach i patrzyła w dół. Szum wiatru, poruszając liśćmi, jakoby przymykał i odchyłał jej powieki. Ksiądz Piotr spoglądał jakiś czas w górę, potem głowa opadła mu ku piersi, a pan Dzięgielewski, któremu grube łyzy spływały na wąsy, słyszał, jak staruszek szeptał:

— Niema co, niema co, trzeba iść. Teraz wieczór, jutro rano, ale trza... Jak to księżyc na mnie patrzy... Jakby mi jasność jaką zapowiadał niebieską. Ale kto wie... Nigdy się niczego nie bał, com się to śmierci napatrzył w oczy, a przecież mi jakoś straszno... Boże bądź miłościw mnie grzesznemu, Boże bądź miłościw mnie grzesznemu... *Mea culpa, mea culpa, mea maxima culpa.* A i krew jest na mojej duszy...

Opuścił jeszcze niżej głowę na piersi i milczał chwilę, ale nagle podniósł ją i silnym głosem przemówił:

— Mości Dzięgielewski, jak odśpiewają *Requiescat in pace*, każesz ze wszystkich moździerzy parafialnych huknąć... Pamiętam, w Olszynie leci na mnie oficer dragoński, jak go chlasnę!

Ale to było w dobrej sprawie, panie Dzięgielewski... Poprawno ten knotek w lampce przed Matką Boską Bolesną... Tak...

Poczem ksiądz Piotr przymknął powieki i począł drzemać, ale organiecie się zdawało, że głowa opada staruszkowi coraz niżej i że oddycha coraz słabiej i słabiej. Trwało to czas jakiś, aż się pan Dzięgielewski zaniepokoił i miał już wstać, aby przywołać pannę Capikównę, gdy zegar uderzył dwa razy na wpół do dziesiątej i we drzwiach, wiodących z sieni do ganku, ukazał się mały Ignaś Znajda w koszulinie i płóciennych majteczkach. Podszedł on ku fotelowi księdza Piotra, i pociągnawszy go lekko za sutannę, ozwał się:

— Jegomość! Póďtecie! Pani gospodyni kozeli pedzieć i prosi, coby jegomość śli spoć. Póďtecie, dojcie renke! Pomalućku, boście starzy. Jegomość!

Ale kiedy ksiądz Piotr nie poruszył się, ani nie odpowiedział, wówczas Ignaś podniósł wielkie oczy na pana Dzięgielewskiego i spytał:

— Panie organisto! cy jegomość pomerli?



JERZY ŻUŁAWSKI.

P A X.

Dwie strofy prozą.

Z KONKURSU LITERACKIEGO »CZASU«.



W KRAKOWIE,
SPÓŁKA WYDAWNICZA POLSKA.
1896.

W KRAKOWIE, W DRUKARNI »CZASU« FR. KLUCZYCKIEGO I SP.
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.



I.

— A jaki koniec tego wszystkiego?

— Niema końca!

— Zgoda i na to. Dążąc, musimy jednakże wiedzieć, do czego dążymy, dokąd, jak?.. Kierunek, cel, o to mi chodzi.

— Niema celu!

— Jakżeż to więc?

— Postęp dla postępu! życie dla życia, dla ruchu, wiru...

— Śmieszne! Już lepiej było odpowiedzieć banalnem zdaniem o szczęściu ludzkości.

— Szczęście? Wiesz, boję się igrać z tem słowem. Wydaje mi się ono tajemniczem i wielkiem, a tak często nadużywanem. Wolę raczej użyć wyrazu: zadowolenie.

— Szczęście czy zadowolenie... mniejsza o nazwę! Gdzie go jednak szukać. Czy w tym postępie bez końca i celu?

— Zapewne. A zresztą...

— Cóż?

— Ja go szukam w sztuce; na płótnie, które pod moimi palcami ożywia się i zapelnia snami, ujętymi w ciało, w kształt i barwę... To moje życie.

— I znalazłeś je, to szczęście czy zadowolenie?

— Jeszcze nie, ale z czasem...

Urwał i po chwili zaczął znowu:

— Inni go szukają po innych drogach, inaczej. Ale zawsze w życiu, bo to podstawa. Mówią: wolność, mówią: poznanie, wiedza, doskonałość...

Do rozmowy wmieszał się trzeci głos, starszy od obydwu poprzednich:

— A spokój? *How thi ink you?* Czy on nie jest szczęściem?

Słowa te, rzucone niespodziewanie tonem zapytania, nie znalazły na razie odpowiedzi. Głębokie milczenie zapanowało w gronie trzech przyjaciół.

Siedzieli oni dokoła małego stolika na werandzie restauracyi, postawionej tuż nad brzegiem jednego ze szwajcarskich jezior. Widok ztąd rozciągał się cudowny i szeroki: na wodę, na góry, i na wielkie, lazurowe niebo. Tuż od podnóża werandy biegło jezioro szklącą i olbrzymią płaszczyną, u brzegów powiewem wiatru zmarszczone nieco i po źwirze i głazach szemrzące melodyę jakąś monotonna; dalej, na środku, spokojne i błękitne odbiciem nieba i zachodzącym słońcem złote.

Setki łódek małych i większych, o białych żaglach, roily się w otchłani wody i światła, obrabianej stokami wzgórz zielonych, rozkosznych, pełnych winnic i ogrodów z białymi willami pośrodku.

Był maj.

Wonie kwitujących róż, bzu i jaśminów snuły się w powietrzu, mocne, leniwe, ciche i upajające bardzo.

W dali widniały śnieżne Alpy, które zachodzące słońce zamieniało teraz w jakąś powiewną koronkę, utkaną z nici białych i złotych, z purpury i fioletu.

A nad tem wszystkim, nad symfonią barw lodowców, rozgorzałych w promieniu konającego słońca, i nad symfonią niewyraźnych a słodkich szmerów jeziora, rozpościerało się niebo, czyste i jasne, teńące tym powiewem rozkosznym, co jednych usposabia do marzeń i snów o tem, co piękne a nieuchwytne, a innym szepce: *carpe diem...*

Przyjaciele nasi jednakże nie zachwycali się w tej chwili cudnym majowym wieczorem. Władysław, młody artysta, i Zygmunt, o cel postępu i szczęście ludzkości pytający, siedzieli cicho ze spuszczonejmi głowami i w myślach zatopieni.

Trzeci z nich Kamil, patrzył wprawdzie przed siebie, gdzieś na szczyty Alp — czy wyżej, w błękit — wątpić jednak należy, czy co widział. Na bladej, ściągłej, jasnym zarostem na angielski sposób utrzymywanym, okolonej twarzy, siadła zaduma i tęsknota; ponad ściągniętymi brwiami zarysowała się głęboka zmarszczka, a około ust błędził dziwny i smutny uśmiech.

Po chwili ocknął się pierwszy. Przetarł czoło białą, troskliwie pielęgnowaną ręką i powiódł

okiem po towarzyszach, starając się odzyskać swobodny wyraz twarzy.

Towarzysze jego milczeli...

Sięgnął ręką po stojący przed nim kieliszek, spojrział nań pod światło, przyłożył do ust i szybko napowrót na stole postawił.

— Niesmakuje mi dzisiaj burgund — szepnął.

Obejrzał się i zadzwonił.

Przybiegła uśmiechnięta kelnerka w białym fartuszkach i przebijając palcami w zawieszonym u pasa torebce z monetą, zapytała, czego sobie życzy?

— Bordeaux!

Kelnerka rzuciwszy stereotypowe: Gleich! wraz z zalotnym także stereotypowym uśmiechem, znikła, by spełnić życzenie bladego pana, którego znała już z hojności.

Kamil spojrział uważnie na milczących wciąż towarzyszy i coś, jakby cień litości, przebiegło po jego twarzy.

— *A pretty girl! Did you see?* Ma ładne oczy... wyrzekł — chcąc widocznie na inne tory zwrócić myśli swych przyjaciół.

Usiłowanie to jednak nie odniosło skutku.

Gdy wreszcie rubinowy bordeaux stanął na stole, Władysław podniósł głowę i rzekł z przy-ciskiem, patrząc na Kamila.

— Spokój — to śmierć!

— Nie! — to szczęście! — odparł Kamil z mocą, poważniejąc znowu.

— Nigdy! — Szczęście leży gdzieindziej, nie w martwości, oh nie! Czuję to: szczęśliwym mo-

żna być tylko, kochając życie i nie pojmem nigdy, jak można spokój szczęściem nazywać!

— Pojmiesz! Jest on szczęściem naprawdę!

Zygmunt patrzył na Kamila w milczeniu, zdziwiony i jakby nie pewny. Wreszcie zapytał.

— Ty to mówisz na seryo?

Kamil skinął głową powoli i poważnie.

— Dziwna! Gdy pierwszy raz wspomniałeś o spokoju, sądziłem, że sztydzisz. Spokój! I ty, szalony duch, jak cię wszędzie nazywają, ty wiecznie gnany po świecie gorączkowem pragnieniem nowych wrażeń i przygód, ty sławisz spokój?

— Tak — i pragnę go. Pragnę go tak, jak każdy człowiek szczęścia pragnie... Czy go jednak znajdę?

Teraz Władysław podniósł zdziwiony wzrok na mówiącego. I nagle zdało mu się, że ta twarz ściała i biała, której nie zdołało opalić słońce równikowe, ani smagające wiatry pustyni — te blade niebieskie oczy, uporeczywie tak przed siebie patrzące — kryją w sobie jakąś zagadkę wielką i tajemniczą. Zdawało mu się, że patrzy na rzecz, którą widywał codziennie, nie wiedząc, że jest dziwna i pełna ukrytego znaczenia. Teraz dopiero spostrzegł w tej twarzy sieć drobnych żyłek, drżących na lekko pomarszczonych skroniach — spostrzegł znużenie wielkie i smutek dokoła młodych a zwiędłych już ust — i gorączkę niemocy wyzierającą z bladych oczu.

Kamil tymczasem powtórzył znowu:

— Czy go znajdę...?

— Na tej drodze, którą idziesz, z pewnością nie! — zawołał Zygmunt. — Wdzierając się na szczyt gór, szukając burz morskich, lub gwaru stolic świata ..

Po ustach Kamila przebiegł lekki uśmiech.

— Czy ty wiesz, czego ja na tych górach szukałem? Czy ty wiesz, przed czym ja uciekałem na bezgraniczne morza i w dziewicze puszcze Indyj? Czy ty wiesz, że czasem — aby być spokojnym — trzeba naprzód uciec przed samym sobą?

Zygmunt wzruszył ramionami:

— Nie rozumiem.

— Wspomnieliście rzecz niedobłą — dodał Kamil po chwili — nie lubię o niej mówić, ani myśleć.

Władysławowi zdawało się, że zaczyna tego człowieka pojmywać. Wyobrażenia niejasne jeszcze i mętne nabierały w jego umyśle powoli kształtu i odbijały od szarego tła. Mimowoli, mechanicznie powtórzył ostatnie słowa Kamila:

— Uciec przed samym sobą...

— Tak — szepnął Kamil i zamyślił się. — Gdy po chwili podniósł głowę, drżała mu nerwowo jedna strona twarzy od kąta ust aż do oka i głos mu się łamał, gdy począł mówić:

— Uciec przed sobą, przed wspomnieniami, przed życiem — o-o! uciec chciałem i chcę, ale nadarmo, nadarmo! Nie opuszczają mnie!

Tyle było głębokiego bólu, tyle bezgranicznej tęsknoty i skargi w jego głosie, iż Władysław

uczul wielką litosć dla tego bogatego i młodego człowieka, który całą ziemię objechał, w pogoni za nieuchwytną marą — spokojem.

— Raz tylko, raz... — szeptał Kamil i wyciągał rękę, wskazując Alpy, oblane złotem zachodzącego słońca.

— Jungfrau! — tam byłem spokojny... Wyszedłem na szczyt sam — bez przewodnika. Tam jest spokój: lody tylko, a śniegi miękkie, białe, ciche. Cały świat był podemną, a nademną tylko — Bóg! Ległem twarzą na śniegu i czułem, że wszystko we mnie ucicha, że mi błogo, dobrze... Nie trwało to jednak długo: orły mnie zbudziły, krząc nademną. — Co tam! Teraz i tego nie będzie! Podobno kolej budują i hotel!... Co tam!

Machnął ręką i pociągnął spory haust wina.

— I drugi raz — nad Gangesem... W cichą, podrównikową noc, kiedy księżyc świeci i gwiazdy, lotosy pachną... Ale nie! nie! Tam wspomnienie moje było ze mną, o było! było!...

Nalał kieliszek i wychylił go jednym tchem.

Następnie obejrzał się i zawołał krótko na przechodzącą kelnerkę:

— Absynt!

Władysław dotknął jego ramienia:

— Kamilu, nie pij...

Kamil zaśmiał się nerwowym, bezdzwięcznym śmiechem:

— Myślisz może, że się zapijam? Nerwy grają we mnie i drżą, muszę je uspokoić. Przeklęte nerwy! Zresztą jedną szklanekę tylko.

— Wiesz, że ci to szkodzi — odezwał się Zygmunt.

— Wszystko jedno!

Mówiąc to, wyglądał, jak obłąkany, lub chory. Nerwowe drżenia przebiegały mu raz wraz po lewym policzku, z oczu wyzierała gorączka straszna, zręca i ręka mu się trzęsła, gdy nalewał wody do szklanki, w której na dnie zieleniło się parę kropel trucizny, zwanej absyntem.

Podniósł szklankę niepewną dłonią i wpatrzył się w płyn, który, zmieszany z wodą, przybrał barwę opalowo-mleczną.

— *La muse verte* — szepnął — *la muse verte...*
Zwrócił się do Władysława.

— Znasz tegoroczny Salon paryski? — zapytał. Władysław skinął głową milcząco.

— *La muse verte!*... Co za przepyszny obraz! Porozrzucane papiery i wypróżniona szklanka na podłodze — i on, w półnieprzytomny, chwiejący się na nogach... Ze szklanki wysuwa się jakiś opar, wyziew — węzowym splotem wije się okolo stojącego, przybiera kształty kobiece, nachyla się nad nim, dotyka dłonią jego twarzy... *La muse verte...*

Oparł głowę o poręcz krzesła i przymknął oczy.

Władysław i Zygmunt milczeli obaj, przygnębienie ogromne przysiadło im piersi.

Po chwili Kamil podniósł się; był już nieco spokojniejszy.

— Darujcie mi — zaczął — darujcie! Rozdrażniony jestem dzisiaj, jak rzadko. Nie wiem sam, co mówię.

Władysław wyciągnął rękę i krótko, gorąco uściśnął dłoń Kamila. Usta mu się przytem poruszyły, coś, jakby słowo: biedny ty! przebiegło po wargach.

— Widzicie — ciągnął dalej — ja przeżyłem wiele i jestem ogromnie zmęczony. Staram się panować nad sobą, ale czasem nerwy biorą górę... nie mogę...

— Jestem szalony, a szukam wszędzie spokoju, zapomnienia — wszędzie.. nawet tu, w szklance, a znaleźć go nie mogę, nie mogę...

— Wy dopiero żyć zaczynacie, wy jeszcze nie wiecie, co to znaczy uciekać przed własnymi wspomnieniami, przed samym sobą, przed wyrzutem... ale...

Urwał i zwrócił się znowu do Władysława:

— Ty artysta; życie przed tobą dzikie, szalone, pełne gorączkowych pragnień i nienasyconych tęsknot. Poznasz to życie, którego tak pragniesz, o! poznasz je, lepiej może, niżbyś chciał. Ale wierz mi, na dnie każdego kieliszka są męty. Wszystko jedno, jakie wino... męty zawsze.... Upijesz się, i co z tego?.. Trzeba się wytrzeźwić ...z bólem głowy! Będziesz pił, aż ci i nektar obrzydnie. Przyjdzie czas, że zapragniesz pokoju, jak ja go dziś pragnę. Proś Boga, byś znalazł tę przystań.

Władysław wznosił czoło. Cichy i zadumany do tego czasu zmienił się w jednej chwili nie do poznania. Oczy mu błyszczały i twarz pałała.

— Tak! — zawołał — życie przedemną dzikie i szalone! Lecz ja je kocham, kocham je właśnie

za to, że takie szalone i dzikie, że się mieni, jak opał na słońcu, że gna, jak obłok po niebie. A są męty w tym puharze, powiadasz? Wszystko jedno! Będę pił wino, będę pił i męty, do dna, do ostatniej kropli, do ostatniej chwili życia! Nigdy tego puharu nie odepchnę, nigdy nie powiem: już dosyć.

— Daj ci Boże!

— Bóg mi już dał to, czego mi trzeba. Mam sztukę; to wino w puharze życia. Ona mnie nigdy nie zdradzi, nigdy nie opuści, ona mnie szczęśliwym uczyni. Dla niej życie, dla niej ruch i myśl; a ona sama dla siebie. *L'art pour l'art*. Precz ze spokojem!

Zygmunt poruszył się niecierpliwie na krześle.

— Frazes.

— Ciebie, Kamilu, pojmuję — ciągnął dalej artysta — pojmuję twoje pragnienie spokoju po burzy: ty nie miałeś sztuki, by się na niej oprzeć w chwili zwątpienia i upadku... Nie wiem wprawdzie, co za cios cię spotkał..

— Sztuki? A wiesz-że ty, czy ona potrafi utrzymać ciężar ludzkiego nieszczęścia?.. A co mnie spotkało? Stara rzecz. Stara, jak świat, a w dodatku głupia i banalna. *Cherchez la femme!*

Uśmiechnął się gorzko i powiódł ręką po czole.

— Jak to było?.. poco mam mówić. Weźcie w rękę pierwszy lepszy romans lub romansidło, a znajdziecie tam... Banalne i głupie, a jednak boli.

— Jak wyglądała? cóż powiem? Dla was, jak tyjące innych, a dla mnie...

Urwał i zamilkł na chwilę.

— Dla mnie była całym światem — dokończył głucho.

— Kto to wie, co w ludzkiej twarzy mieszka! Są takie, których się trzeba chronić. Spotyka się je wszędzie i często. Wyglądają jak dzieci, a są złymi duchami, nie wiedząc nawet o tem... I one niewinne. Ci winni, co życie stawiają na kartę.

Westchnął i powiódł wzrokiem po werandzie. W tej chwili twarz zadrgała mu znowu nerwowo.

— Patrzcie, — rzekł stłumionym głosem, wskazując równocześnie ruchem głowy nieopodal siedzące dziewczę. — Patrzcie! oto macie jedną z takich zagadek przed sobą... Dziecię jeszcze, dziecię, kobieta, sfinks, natchnienie dla artysty i... śmierć dla człowieka!

Umilkł oddechając głęboko.

Zygmunt spojrział przelotnie we wskazanym kierunku i wzruszył ramionami.

— Dziecię i nie więcej! — rzekł i począł bębnić palcami jakiegoś walczyka, wpatrując się w rzeźbiony gzems werandy.

Władysław natomiast spojrzawszy raz, nie mógł już wzroku oderwać.

Na złotem tle ogromnej zorzy zachodzącego słońca rysował się przed nim delikatny profil dziewczęcy, niby ciemna sylwetka, rzucona w morze barw i światła.

Włosy jej prześwietlone promieniami, tworzyły dookoła małej, kształtnej głowy jasną aureolę, do garści iskier rozsypanych podobną.

Patrzała przed siebie — na ciche jezioro — szeroko rozwartemi oczyma, a nozdrza jej lekko się rozdymały, wciągając wonie kaskadami z ogrodów i pól bijące.

W rozchylonych nieco ustach igrał blask kona-
jącego słońca; może je całował...

Władysław patrzył, pochłaniał ją oczyma.

— Madonna! — szepnął niemal bezwiednie.

— Madonna! — i złożył ręce, jak do mo-
dlitwy.

W tej chwili ostry, przenikliwy śmiech odbił się o jego uszy i równocześnie dłoń Kamila spa-
dła mu na ramię.

Podniósł głowę zmieszany.

Kamil patrzył na niego przenikliwie. Koło ust drżał mu szyderczy uśmiech, ale w oczach miał wielką boleść i smutek.

— Madonna! — ozwał się — daj pokój! Nie
błujnij i — nie patrz! Po co patrzysz?

— Piękna jest!...

— Nie patrz! To nie dobrze — dzisiaj nie do-
brze — teraz...

— Chciałbym tę twarz malować — szepnął
Władysław, jakby usprawiedliwiając się.

Kamil uśmiechnął się znowu wpół z szyderstwem
a pół z litością.

— I te usta całować, nieprawdaż?

— Tak.

Kamil powstał szybko.

— Widziałem. Chodźmy już — rzekł — nie
dobrze jest tutaj. Chłód wieczorny przejmuje.

Mówiąc to, wziął pled, na poręczy krzesła zwieszony i począł się nim otulać.

— Chodź, chodź! — powtórzył — W złą godzinę zobaczyłeś tę twarz, w złą godzinę...

Władysław podniósł się powoli i niechętnie.

Chłód wieczorny rzeczywiście coraz silniej czuć się dawał. Słońce już zaszło; czerwona luna na Alpach dogorywała — stawała się fioletowa, popielata, szara. Dwurogi księżyc coraz wyraźniej występował na ciemnym tle błękitu. Dokoła ukazywały się gwiazdy...

I nad całym światem, nad jeziorem, nad górami, nad miastem pełnym ogrodów, zawisła cisza bezgraniczna, wonna i rozkoszna bardzo.

I tylko gdzieś daleko, daleko nad tonią jeziora brzmiał niewyraźny i smętny śpiew.

Nagle wieczorne dzwony zabrzmiały nad miastem.

W tej chwili dziewczę podniosło się i zwróciło głowę. Oczy jej wielkie, spokojne, tajemnicze oczy dziecka spotkały się z gorącym wzrokiem artysty.

Trwało to jedną, krótką chwilę.

Fala ciepłej krwi uderzyła Władysławowi do mózgu, nogi pod nim zadrżały i wszystko mgłą się przed oczami zasnęło.

Chwycił dłonią za poręcz krzesła i spuścił wzrok.

Gdy twarz znów podniósł, jej już nie było — i dzwony przebrzmiały..

II.

Jasne, południowe słońce wpadło złotą kaskadą przez otwarte okno do wnętrza małej klasztornej celi.

Zacisznie tu było i spokojnie.

W kącie stał tapczan, czarną derą przykryty, obok klęcznik drewniany i krzyż nad nim. Dalej cokolwiek stolik, a na nim pośród ksiąg i papierów dzban gliniany, pełen polnych, wonnych kwiatów.

Jedyną rzeczą, wyróżniającą tę celę od innych, były sztalugi z naciągniętem płótnem, z którego wśród ciemnego tła wyzierała jasna postać Chrystusa na krzyżu. Na ziemi i na małym stoleczku obok leżały porozrzucone pędzle i farby.

Przy oknie w szerokim, staroświeckim krześle dębowem siedział zakonnik.

Twarz o wyrazistych i inteligentnych rysach wsparł na dłoni, a wzrokiem błędził po małym klasztornym ogródku.

Kilka starych, rozłożystych lip, o liściach od słońca złotych, i kilka ciemnych wysmukłych jodeł chwiało się tutaj z wiatrem, szumiąc cicho i melodyjnie. Zapach rezedy, tuż pod oknami rosnącej, mieszał się z zapachem świeżo skoszonej trawy i wchodził wolno przez otwarte okna do klasztornych cel.

Zakonnik, siedzący przy oknie, napawał się tą wonią, patrzył na sylwetki drzew, ostro się w błękiecie odrzynające, na grządki, pełne rezedy, na

ścieżki białym piaskiem wysypane, i na stary, czerwony, tu i ówdzie popękany mur, który ogródek klasztorny od gwarne go świata oddzielał.

Patrzył — i na twarzy, nie starej jeszcze, a już pooranej zmarszczkami i życiem zmęczonej, rozlewała się łagodna i słodka błogość. Przymknął oczy, głowę w tył odrzucił i pił letnie, ciepłe słońce, pełnym blaskiem mu się na twarz rzucające, pił spokój, którym tchnęła cęła klasztorna i ogródek mały, i lipy i jodły, i mur czerwony, popękany, od świata go oddzielający. Kaptur zsunął się mu z głowy, suche, białe dłonie bezwładnie opadły na kolana, a twarz chuda, opalona, o rysach wyrazistych i ostrych, zastygła się stała i wyglądała, jak martwa. Od ogorzałości lic odbijało tylko wysokie białe czoło, po którym teraz złote słońce igrało.

Siedział tak długo, milezący, cichy, bez westchnienia, bez ruehu...

Słońce już chyliło się powoli ku zachodowi, już zeszło mu z lica i drżało na białych dłoniach, złożonych na kolanach, zsuwało się z nich na podłogę i pelzło złote ku sztalugom, pod stopy Chrystusa na krzyżu.

Było bardzo cicho.

Wtem dało się słyszeć pukanie i niemal równocześnie drzwi celi otworzyły się z łoskotem.

Zakonnik drgnął, uniósł się nieco i skierował oczy ku drzwiom. Na progu stał braciszek niski, szpakowaty o rumianych policzkach i śmiejącem się oku.

— *Pax tecum, carissime frater!* — ozwał się przybyły.

— *Pax...*

— Ojciec Przełożony przysyła mnie do was, bracie Brunonie. Przyszedł list do was, gdzieś ze świata...

Brat Bruno poruszył się żywo, w tej chwili jednak, jakby zawstydzony, opuścił się znowu na krzesło i z tęsknym uśmiechem powtórzył:

— Gdzieś ze świata...

— Tak. Ojciec Przełożony pozwolił go wam oddać. Oto jest.

Mówiąc to, wyciągnął rękę z listem i otwartą kopertą.

Brat Bruno sięgnął poń i nie patrząc nawet położył obok siebie na oknie:

— *Gratias...*

Przybyły braciszek miał ogromną ochotę rozpocząć pogawędkę. Rozejrzał się po celi, chrząknął, i wydobyl z rękawa wielką, brzozową tabakierę.

— Pozwolicie? — zapytał, podsuwając ją bratu Brunonowi.

Bruno odsunął ją lekko dłonią:

— *Gratias!* nie zażywam....

— Nie zazywacie? hm! To czasem dobrze robi.

I jakby na dowód tego ogromny niuch tabaki wpakował do nosa.

— Tak, tak! to dobrze robi na oczy — dodał i kichnął potężnie raz, drugi i trzeci.

— Piękną nam Pan Bóg dał pogodę — rzekł następnie, zbliżając się do okna.

Brat Bruno nie odzywał się, gość jednak widocznie nie miał ochoty dać za wygraną. Podszedł ku sztalugom i patrzył.

— Mój Boże! jak wy pięknie malujecie, *carissime frater!* Wasz obraz znacznie ładniejszy od tego, co w wielkim ołtarzu...

Zagadnął jeszcze parę razy, lecz w końcu widząc, że brat Bruno mileży uporczywie, chrząknął parę razy niezadowolony, obejrzał się jeszcze raz i wyszedł, kłapiąc trepkami po kamiennej posadzce korytarza.

Brat Bruno został sam.

Chwilę siedział bez ruchu; następnie sięgnął wolno i jakby leniwie po otwarty list i podniósł go do oczu.

— Gdzieś ze świata... — szepnął.

Spojrzał na tytuł.

„Drogi Władysławie!“

Władysławie?.. Co to jest? Ach! tak, prawda! Niegdyś nazywał się Władysławem. Ale to już dawno temu, może rok, może dziesięć lat, a może sto?.. Nie pamięta już dobrze. Tutaj czas płynie tak jednostajnie, bez rachuby, dzień do dnia podobny...

Obracał list w rękę prawie bez myśli. Nareszcie w głowie powstało mu pytanie, kto to może pisać do niego?

Odwrócił kartkę i spojrzał na podpis.

„Twój Zygmunt“...

Zygmunt, Zygmunt? Kto to może być? Aha! już wie! To ten, ten... Tak, pamięta. Szwajcarya, jezioro, Paryż... i ten drugi. Jak mu to było na imię? Kamil?

Drgnął. Wszak on to pamięta! wszak to nie tak dawno temu! Wspomnienia, które siłą woli przytłumił w sobie i zagasił, obudziły się i poczęły krzyczeć, dopominając się o swe prawa. Cała przeszłość ze swemi łzami i śmiechami, cała młodość; wszystko, co przeżył i przeboleł, o czem wierzył, że już zapomniał, stanęło mu teraz przed oczyma, wywołane jednym imieniem, dolatującym go jak echo dawnych czasów.

Martwa maska jego twarzy, którą przed chwilą słońce całowało, pękła — bezbarwne oczy nabrały życia, wargi drżeć poczęły.

Nachylił się i począł czytać.

„Drogi Władysławie!“ — pisał towarzysz dni minionych — „zginąłeś mi z oczu tak nagle i niespodziewanie... Teraz dopiero dowiedziałem się przypadkiem o miejscu twego pobytu i piszę, by ci przypomnieć przyjaciela i te lata, co jak motyle, uciekły gdzieś bez śladu.

„Wszystko mija, a na świecie coraz smutniej i puściej.

„Nie uwierzysz, jak mi tęskno, gdy mi czasem w myśli staną wspomnienia blade już i zatarte, wspomnienia chwil szczęśliwych młodości, łez — wspomnienia drogich twarzy, których już dzisiaj nie widzę. I czasem pytam się, po co żyć dalej?

„Lat tak nie wiele, a tyle w nich już bólu i rozczarowań, tyle straconych twarzy i chwil niepowrotnych, których wspomnienie przejmuje bólem i łoczny.

„To, co mi wczoraj było drogie i jasne, dziś mgłą się okrywa i uśmiech jakiejś tęsknoty na

usta wywołuje. Zapominam sam wiele, a smutno mi, gdy myślę, że i inni zapominają.

„Zdaje mi się, że codziennie pęka jedna z tych nici, któremi w wielką maszynę świata jestem wwiązany — a czuję, że nadarmo starałbym się nawiązać ją na nowo. I zazdroszczę ci myśląc o tem, boś je ty sam wszystkie odrazu pozrywał i nie potrzebujesz patrzeć, jak się rozluźniają — jedna po drugiej — wolno a ciągle. Zazdroszczę ci, a jednak przyznam, że nie miałbym odwagi pójść za twoim przykładem. Żalby mi było słońca, które nademną świeci, ludzi, którzy się śmieją, ruchu, życia...

„Może to wszystko komedia — ale cóż robić! Za kulisami tej wielkiej sceny, którą światem zowią, jeszcze smutniej być musi: tam człowiek zostaje sam. Czuję, że jestem kółkiem w maszynie, z ogromnym pędem lecącej; gniotą mię wprawdzie inne kółka i tryby, ocierają i szarpiają, ale pędzą przynajmniej — i poruszam się, żyję. Lepiej może tak, niż leżeć gdzieś w prochu pomiędzy zardzewiałemi rzeczami.

„Z czasem pęknie kółko i będzie mu koniec...

„Ot widzisz stary przyjacielu: marudzę i nie jestem wesóły. Zobaczywszy mój list, pomyślałeś zapewne, że przyniesie ci on trochę tego powietrza świeżego, które ponad ruchliwym światem wieje — a tymczasem nic z tego! I cóż ci zresztą mam pisać? Drobne, codzienne sprawy, które tu życie nasze wypełniają, nie obchodzą cię zapewne. A zresztą nie obchodziły cię nigdy. Tyś latał na

skrzydłach, ja pcham taczkę. Bola ręce...

„Ożeniłem się i mam syna. Rozkoszne dziecko! Szkoda, że go widzieć nie możesz. Dałem mu „Władysław“ na imię.

„Przed paru tygodniami byłem z żoną w Paryżu. Opowiadałem jej o tobie i pokazywałem dom, w którym niegdyś miałaś pracownię. Mój Boże! ileż to chwil swobodnych i szczęśliwych spędziliśmy tutaj!

„Poszedłem potem do „Salonu“ i widziałem twój obraz. Wisi na tem samym miejscu i tłumy publiczności stają przed nim — całkiem jak dawniej. Imię twoje żyje tu jeszcze na ustach, a mnie smutno, bo myśląc o tobie, myślę, że to wszystko należy już do przeszłości.

„Wracając z Paryża, zatrzymałem się w Zurychu. Poszliśmy z żoną na „Zürichhorn“ do tej restauracyi z werandą nad brzegiem jeziora, kędy to siadaliśmy wieczorami we trzech — pamiętasz? Siadłem znowu przy naszym dawnym ulubionym stoliku i myślałem o was.

„Mój Boże! Mój Boże! — Co się z nami stało!

„Ja pcham taczkę, a coraz ciężiej idzie, bo sił ubywa, ty w klasztorze, a Kamil...!

„Biedny Kamil. Wróciwszy z Brazylii, pojechał do Egiptu, a przed miesiącem czytałem w *Timesie*, że się zastrzelił pod piramidą. Może tam na żółtym piasku pustyni znalazł wreszcie spokój, którego nadarmo całe życie pragnął.

„*Sit ei humus levis!* Modlisz się teraz często, módl się i za niego“...

Brat Bruno opuścił list na kolana; po policzkach splywały mu wolno dwie łzy.

— Zabił się! zabił... — wyszeptał.

Przed oczyma stanął mu pusty, gorącym, żółtym piaskiem zasypany brzeg nilowy z rzadkimi palmami tu i ówdzie. Niebo ciemne, szafirowe, a słońce płynie po niem samotne, palące, jak oko wielkie i otwarte wiecznie.

A pod słońcem piramidy wpół zagrzebane w piasku. Tyle wieków, tyle wieków patrzy na nie to oko! A one, grobowce mumij, spokojne, poważne... Sfinks położył się przy nich na straży i duma... Sfinks! — zagadka...

I zdało mu się, że między piramidami a sfinksem, na żółtym piasku i pod słońcem bezsennem widzi zwłoki blade z roztrzaskaną skronią...

Drgnął i westchnął głęboko.

Słońce zbliżało się coraz więcej ku zachodowi.

Podniósł list i przy blasku ukośnych promieni począł znowu czytać.

„Pamiętasz — pisał przyjaciel — jak siadywaliśmy razem nad jeziorem, rozmawiając i patrząc na Alpy? Tak mi dziwno i smutno, gdy pomyślę, że on dzisiaj nie żyje, a ty, który ruchu i życia pragnąłeś, zagrzebaleś się w murach klasztoru. Zdaje mi się, że wy obaj nie żyjecie, a ja sam zostałem. I tak mi dziwno, tak dziwno!”

Brat Bruno rozwarł szeroko oczy i wpatrzył się gdzieś w głąb celi, kędy już cienie wieczorne kłaść się zaczynały — czy też na sztalugi i Chrystusa białego, wyzierającego z nich.

I zdało mu się, że wstaje przelotnie przed nim mgła jakaś złotawa i niejasna, sunie się, rozszerza, a w mgle tej rodzą się postaci zapomniane, których dawno nie widział.

Spuścił głowę i dumął.

Biedny Kamil!

Oto widzi go! Zachód słońca — Alpy mieniają się i płoną, jezioro szumi jakiegoś pacierze, a wonie leją się z ogrodów... Tyle woni! tyle woni...

Jak on to pamięta, jak on to dobrze pamięta teraz!

Rozmawiał z Zygmuntem. O czym? Aha! — o życiu, o szczęściu. Hej! szczęście!...

„A spokój? *How think you?*“ Słyszy te słowa tak wyraźnie i widzi bladą, zmęczoną twarz.

Ktoś na to odpowiedział: Spokój — to śmierć! Kto? On? on sam? Tak. Ale wtedy... wtedy był inny... Dziś żadnej cząstki w nim tej samej nie ma. Więc cóż? to nie on był zatem? On? Jakie to dziwne, jakie dziwne!

Spokój! Ileż on to musiał przeżyć, ile doświadczyć, nim poznał czar i świętość tego słowa!

Jak to dziwno! Zaczął pracować ciężko myślą, chcąc ująć związek między swym życiem dawniejszym a dniem dzisiejszym. Myśli jednak rwały mu się, jak nici i wiklały tak, że po chwili uczuł się niemi zmęczony. Jeden tylko fakt, jak powtarzający się wciąż motyw fugi potężnej wracał mu uporczywie do głowy:

— Kamil nie żyje, a ja jestem w klasztorze...

A więc?..

Uczuł, że powinien się modlić za zmarłego towarzysza. Sięgnął ręką po różaniec, usta mu się poruszyły :

„ ...i w godzinę śmierci naszej. Amen. Wieczne odpoczywanie...“

Wymawiał mechanicznie wyrazy, lecz ducha nie mógł zmusić do prawdziwej modlitwy.

W miarę jak ziarna różańca przesuwiał, dziwne jakieś obrazy stawały mu w pamięci.

Błysnął w niej najpierw delikatny profil dziewczęcy, sylwetka rzucona w morze barw i światła... Błyskał i ukazywał się i znikał znowu.

Przymknął oczy, myśląc, że widmo odejdzie.

Tutaj jednak zaczęły się zjawiać nowe obrazy.

Oto widzi swą pracownię. Płótno rozpięte na sztalugach. Na dole obrazu chmury ciemne i skłębione i ziemia pod nimi; a tam u góry niebo i jasność na niem mistyczna.

A między ziemią a niebem postać kobieca o znanym mu profilu, z rękami wzniesionymi, unosząca się w górę, wyżej i wyżej...

Obok niej, niżej nieco, w pół jeszcze w cieniu schowany, z twarzą, po której blask już igra, ku niej zwróconą, dłońmi jej szaty uczepony.. on....

A potem, potem?

Zdawało mu się, że widzi Salon na Polach Marsowych. Tłumy ludu przed obrazem młodego polskiego malarza. Falują, jak morze, przypływają i odpływają ciągle, a on słyszy w szumie fal głów ludzkich swoje imię...

Puścił różaniec i podniósł rękę do skroni:

— *Vanitas vanitatis et omnia vanitas...*

Ostatnie słowo odbiło się już tylko lekkim poruszeniem warg.

Widzenie powróciło znowu.

Lecz teraz widzi w tem morzu głów ludzkich tylko jedną głowę, piękną jak marzenie, jak światło...

Ona!

Stoi i patrzy na jego obraz.

Kolana zaczynają pod nim drżeć, chciałby uklęknąć, chciałby wołać: *o stella maris!*

A ona zwraca się ku niemu, spojrzenie jej wielkich, dziecięcych oczu zawisa na chwilę na jego twarzy, na chwilę. I wszystko niknie przed nim: obraz, i ludzie, i wszystko, wszystko! Ją tylko widzi, ją jedną!

— *Vanitas vani...* — nie dokończył.

Oto jest znowu w swojej pracowni. Gałązki kwitnących akacyj zaglądają przez okna i przeszkadzają złotemu słońcu wejść do środka. A tu w środku, pomiędzy obrazami i rzeźbami zaczętemi, które wszystkie, jak zwierciadła, jedną twarz odbijają, stoi... ona!

O stella maris! o regina coeli!

Chce się modlić, chce czołem bić o ziemię, lecz ona zarzuca mu ręce na szyję i rozwartemi do pocałunku usteczkami szeptem: kocham... ja na wieki twoja!

Wypuszczony z rąk różaniec zsunął się na ziemię; głowa mu w tył opadła, pierś oddychała szybko i głęboko. Zapomniał, gdzie jest i czem jest: minione młode lata wróciły.

I jak w kalejdoskopie przewijały się obrazy w jego pamięci, coraz szybciej, szaleniiej, migotliwiej. — Łąki i pola, tajemnicze wnętrza starych świątyń gotyckich, góry śnieżne i lasy i ciche ustrome domki wśród winnic, morskie brzegi pełne słońca i kolorowych muszel, dzwonki sanek po śniegowych płaszczyznach, majowe wieczory i noc letnie gwiazdziste, poranki ciepłe, lśniące rosą i kwiatami, dni jesienne, kiedy deszcz na dworze pluszcze, a w domu tak słodko przy kominku siedzieć we dwoje, godziny motyle i słowicze godziny pędziły przed jego oczyma, a wszędzie „ona“, wszędzie jej usta przy jego ustach, jej dłoń w jego dłoni. — Wszystko to splatało mu się w pieśń jakąś dziwną i słodką, starą już, ale jak stare wina upajającą i namiętną.

I słuchał tej pieśni wspomnień, a tętna były mu na skroniach coraz żywiej, gorącej.

I nagle — co to? Dźwięk jakiś fałszywy, jak żółta plama na błękitnym obrazie — dźwięk szydzący i zimny — rośnie, potężnieje, maści pieśń, gwiżdże, zgrzyta... O ten dźwięk! Wdziera mu się do piersi, targa struny, żre serce, wyjada mózg... wszystko blednie, wszystko się wali... O!

Zerwał się gwałtownie, wyraz strasznego bólu odbił się na twarzy. Przez chwilę błędniemi oczyma patrzył przed siebie i wyciągał ręce, jakby odpychając marę, która przyszła go prześladować znowu w cichej klasztornej celi. W oczach i w całej postaci widać było — strach.

— Boże! — jęknął — Boże! miłosierdzia!

Ciężko dysząc, upadł na krzesło. Zęby blyzczały mu pośród rozchylnych warg, palce zaciskały się kurczowo. Uczuł, że mu brak oddechu. Szybkim ruchem rozerwał habit pod szyją i przycisnął dłonią falującą pierś.

Pod palcami zaszeleściało coś...

Małeńka koperta, pośliznęła już i wytarta.

Wydobył ją i otworzył. Wyleciała z niej wiązka włosów złotych i miękkich, jak jedwab, listek wawrzyńnu złamany i dwa zeschnięte fiołki.

Oto wszystko!

Oczy zaszczyły mu łzami.

Ileż to już lat nosi te pamiątki na sercu! Nie może się z nimi rozstać, nie może! Wie, że to nie wolno, że to nie dobrze, a przecież zabrał je z sobą pokryjomu do klasztoru. Nie mógł inaczej, nie... I gdy kiedyś w trumnę..., to te pamiątki... z sobą...

Pochylił się nad dłonią, w której trzymał te rzeczy zwiędłe i suche. I nastąpiła chwila, kiedy znowu nie dla niego nie istniało pod słońcem i na ziemi, prócz tej wiązki włosów złotych i miękkich jak jedwab, tego złamanego listka wawrzyńnu, fiołków dwóch zeschniętych i wspomnienia dawnego...

Doznawał wrażenia, jakby się znajdował na pustyni wielkiej. Zdawało mu się, że o wschodzie słońca wstał z pod głazu, kędy ani źródła nie było, ani trawy — i poszedł przed siebie prosto, szukając oazy. Szedł przez cały dzień, kalecząc stopy o ostre kamienie, palony słońcem i od promieni słonecznych gorętszem pragnieniem. Pu-

stynne widziadła palm i źródła migotały przed nim zwodniczo. a on je gonił, póki nie znikły. — Lecz oto zachód jest i spodziewa się odpocząć. Coś przed nim majaczy: oaza? Nie! To ten sam martwy głaz, z pod którego wstał rankiem. Łudził się zatem!

Ogarnęła go dzika, bezradna rozpacz. Zimny pot dużemi kroplami wystąpił mu na czoło — ogromny ciężar przywalał mu piersi — dłoń, gniotąc zeschłe listki i włosy złote, zaciskała się kurczowo, coraz silniej, aż ból poczuł w stawach. W gardle go coś dławiło i paliło w ustach. Zamknął oczy.

Co robić? co robić?... Wszystkie podpory pękły mu w ręku i jest sam, tak strasznie sam i tak bezlitośnie na pastwę rozpaczyny oddany. Chciał się wesprzeć na Sztuce, lecz ona, ta ubóstwiana Sztuka nie uniosła ciężaru nieszczęścia jednego, lichego życia ludzkiego. A tak jej niegdyś wierzył! O nie trzeba wierzyć, nigdy wierzyć nie trzeba! Oto później uwierzył znowu, że ciche mury klasztorne dadzą mu wytechnienie i spoczynek po burzy; zamknął się w nich, oddzielił się nimi od świata i już sądził, że znalazł tak gorąco upragniony spokój, już zaczynał zapominać o tem, co było, co bolało i boli — już... i jedna chwila i wszystko na nic! Łudził się zatem!

Co robić?... Jest, jak ptak nad morzem, któremu brak sił do dalszego lotu na wicherze i w burzy, który już skrzydła opuszcza i spocząć pragnie, lecz wokoło woda tylko i spienione bałwany i nigdzie, nigdzie miejsca, gdzieby mógł usiąść...

Więc cóż? zwinąć skrzydła i wpaść w te fale, jak tamten, co pod piramidami leży z roztrzaskaną skronią?...

Jad strasznej myśli począł mu się sączyć w duszę. Zdawało mu się, że widzi jakąś otchłań przed sobą, która go wabi i ciągnie i wola: pójdź, pójdź... Przestał myśleć; sen go jakiś przedśmiertny opadał, ból tylko czuł ogromny, nieuciszony niczem.

Chwile płynęły powoli i głucho. Słońce było już czerwone i drzewa się w niem złociły, wonie stawały się przed zachodem silniejsze, czystsze, świętsze, powietrze łagodniejsze i piersiom miłsze. Ptaki poczynaly śpiewać pieśń wieczorną, pszczoły powracały do ulów, zdała słyhać było głosy i śmiechy robotników, powracających z pola... I najprzód gdzieś daleko, daleko, ozwał się najwcześniejszy dzwonek wiejskiego kościółka, później przyłączyły się do niego inne, bliższe, po miejskich wieżach — aż nareszcie zabrzmiały i dzwony klasztorne w pieśń srebrną, wielką i szeroką...

Anioł Pański zwiastował...

Stare lipy i wysokie jodły zaszumiały w klasztornym ogródku, a ponad niemi gdzieś wysoko, wysoko, płynęły poważne, uroczyste, święte głosy dzwonów. Napęłniały sobą powietrze i srebrną kaskadą wpadały do celi...

Anioł Pański zwiastował...

Brat Bruno usłyszał dzwony i ocknął się, lecz w pierwszej chwili nie mógł sobie zdać sprawy, co to jest? Rozwarł oczy — i zląkł się. Przed nim stoi biała jakaś postać — co to jest?

Wpatrzył się w to dziwne zjawisko, nie śmiejąc prawie oddychać I powoli, powoli zaczął rozpoznawać białą postać Chrystusa, odbijającą od ciemnego tła obrazu, oświetloną ostatnimi promieniami zachodzącego słońca.

— Chrystus!

— Chrystus — i dzwony huczą nad ziemią...

Odtechnął głęboko; zdawało mu się, że rosa odwilża jego spieczone wargi.

Jak te dzwony huczą! jak huczą.

A przed nim Chrystus na krzyżu, z twarzą pełną boleści, a tak spokojną, tak świętą. I zdało mu się, że postać ta mówi do niego w jęku dzwonów — ogromnie dobra, ogromnie litościwa i przebacząca:

— Błogosławieni cisi, błogosławieni spragnieni, błogosławieni, którzy cierpią...

Patrzył i uczył, że postać ta jest mu droższą i świętszą nad wszystko, nad świat cały, bo w niej jest spokój i przystań cicha i szczęście. Zaczynał pojmować. Miał tę przystań tak blisko, a nie mógł jej odnaleźć, nie mógł zrozumieć. Ale teraz rozumie, o! rozumie...

Oaza! wyspa na morzu!

Rysy twarzy, przed chwilą jeszcze kurczem bólu zciągnięte, wyglądały się zwolna; dłoń zaciśnięta otworzyła się, a wiatr wieczorny przyszedł i wziął z niej wiązki włosów złotych i miękkich, jak jedwab, i listek wawrzynu złamany, i dwa zeszkłe fijołki i poniósł je pod mur klasztorny, na kwiaty pachnące i ziola... Jeden tylko włoszek mały, ucze-

piony u rękawa, błyszczał jeszcze i złocił i chwiał się. Wreszcie i on poleciał.

A razem z temi rzeczami dawnemi i zwiędłemi uleciało wspomnienie z serca, które już rozpałało inną miłością, czystsza, większa, wieczna.

Błądą twarz i złożone ręce wyciągnął ku Chrystusowi na krzyżu i począł się modlić:

— O Panie! O Panie dobry i litościwy!

— Oto wszystkie dni moje i ból ich Tobie na ofiarę!

— Oto wszystko, co przecierpiałem, co przeżyłem, niechaj będzie na Twoją chwałę!

— O Panie mój! Ucieczko moja! Mój Zbawicielu!

Zerwał się ze stołka i z jękiem ogromnym rzucił się do stóp krzyża:

— Chryste! Chryste!

Łkanie gwałtowne wznosiło mu piersi i coraz lżej mu było, coraz lepiej...

A dzwony tymczasem huczały po świecie: *Pax tecum! pax tecum!*

Nareszcie dzwony umilkły i słońce zachodziło. Wąskim, ostatnim promieniem, złotym, zajrzało raz jeszcze do celi i oświeciło blaskiem postać Chrystusa litościwą ogromnie i u stóp jej schylonego zakonnika.

Było bardzo cicho...

PIERWSZY UCZEŃ.

1



Upał był nieznośny. Bruki i mury rozpalone tworzyły atmosferę huty żelaznej. Znikąd najbliższego powiewu. Płuca z trudem wciągały powietrze ciężkie, nieodświeżone.

Byłem bardzo zmęczony. Przybyłem był do Warszawy dla interesów i tylko siła woli popychała mię naprzód. Wlokłem powoli strudzone nogi, myśląc z przykrością, że pobyt mój w mieście jeszcze całą dobę przeciągnąć się musiał, gdy na zakręcie ulicy oko w oko spotkałem się z jednym z moich dawnych kolegów.

— Kowacz! — zawołałem, otwierając ramiona.

Był to w istocie Kowaczewski, z którym łączyły mię wspomnienia szkolne i uniwersyteckie i wspomnienia zażyłości ścisłej, którą potem zerwało życie. On przestał pisywać do mnie. Wiedziałem tylko przez ludzi, że go dotknęły wielkie a niezasłużone nieszczęścia. Stracił żonę, którą kochał; stracił miejsce, które mu dawało chleb. Żonę zabrała choroba piersiowa, miejsce zabrał urzędnik, przybywający z Saratowa, którego wiara i pochodzenie nie skazywały na utratę chleba.

— Kowacz! — mówiłem, przypatrując się dawnemu przyjacielowi — toć się doprawdy nie go-dziło!... Wyraźnie chciałeś zerwać ze mną sto-sunki! Na moich tyle listów żadnej odpowiedzi!

— Daruj mi — rzekł. — Taka nieznośna rzecz skarga, a ja tylko do skargi byłem zdolny.

— Wiem, wiem — mówiłem, ściskając jego rękę — ale przecież teraz nie jest tak źle? Zna-lazłeś posadę?

— Nie mówmy o tem. Żyję jakoś. Mało ludzi umiera z głodu... I ja nie umarłem.

— Mój drogi, tyle lat!... Takbym chciał być z tobą dłużej... Masz dziś wolny czas?

— Mam. Wałęsam się po Warszawie. Przyje-chałem z Jekaterynosławia po syna. Myślałem, że mi go oddadzą dziś; tymczasem zatrzymują go na popis. Podobno jest pierwszym uczniem i chcą się nim pochwalić.

Jakaś wielka boleść odmalowała się na obliczu Kowaczewskiego, taka boleść co to powoli żłobi rysy i nadaje im w końcu wyraz tragiczny. Nie wiem dlaczego nie śmiałem go pytać, gdzie i czego się jego syn uczył i o jakim popisie była mowa.

— Więc dziś należysz do mnie! — zawołałem. — Moją sprawę w izbie sądowej odłożono na pojutrze i mam w Warszawie całe dwa dni, z którymi niewiem, co robić. Jadłeś już obiad?

— Nie, ale ja jadam w jednym domu...

— Zrób dziś dla mnie wyjątek. Zapraszam cię do Brühlä.

— Wybacz, mój drogi, ale...

Rumieniec przemknął po czole Kowaczewskiego. Z widoczną przykrością odparł:

— Ja jestem ubogi. Jadam tam, gdzie ludzie ubodzy. Już się do tej stawy przyzwyczailem. Ale tybyś nie mógł. Jestem przytem dumny i obiadu od ciebie nie przyjmę, bobym ci podobnego ofiarować nie mógł.

— Ah, ta nieszczęсна duma! — zawolałem. — Niechcesz mi sprawić takiej wielkiej rozkoszy!... Przecie pamiętasz, żeśmy żyli jak bracia!

— Położenie materyalne okrutnie ludzi dzieli.

— Nie tam, gdzie są serca braterskie! Mój drogi, nie bądź dumnym zemną... Poświęć mi swoją dumę! Pamiętasz, w Lipsku, mieliśmy jednę kasę.

— Ja wiem, że taka duma, jak moja, jest nieznośna dla drugich. Wiem, że to choroba. Choroba ludzi ubogich, jak tyfus głodowy. Ale ona broni, jeżeli nie od podłości, to od podłostek.

— Więc idę z tobą.

— Ułożmy rzecz inaczej, skoro doprawdy idzie ci o moje towarzystwo. Gdzie stoisz?

— W Brühlowskim.

— Za dwie godziny będę u ciebie.

— Kowacz, Kowacz, jakiś ty niedobry, że zemną obiadu podzielić nie chcesz. Przyjdźże jak najprędzej; będę na ciebie czekał. Wiesz, zdaje mi się, że od ciebie wieje moja młodość, moje dawne wybryki! Pamiętasz ten pojedynek? A pamiętasz Gretę? Jeszcze cię widzę, jakieś koło

mnie krążył, by mi zaproponować, bym się wyniósł z mieszkania, bo się do niego miała wprowadzić Greta.

Kowaczewski uśmiechnął się sposobem ludzi nieszczęśliwych, odwykłych od śmiechu.

— Ach, Greta! — ozwał się — dobre było stworzenie. Już od tego czasu nigdy nie miałem tak gruntownie poprzyszywanych guzików. Zdaje mi się, że ona moc swej miłości wyrażała szczególnie w mocnem przyszywaniu guzików.

— Tego jednego ci zazdrościłem.

— Greta?

— Nie Greta, ale tych nieoderwalnych guzików i wycerowanych skarpetek.

— Zawsze jej mówiłem, że będzie z niej doskonała matka rodziny.

— No, nowicyat był nie tęgi!

Byliśmy u drzwi restauracyi. Uściskałem Kowaczewskiego, powtarzając mu jeszcze, jak się cieszyłem na rozmowę z nim i prosząc, by się nie spóźniał.

W restauracyi usiadłem przy osobnym stoliku i kazawszy sobie podać obiad, jadłem go z obowiązku, gdyż gardło moje zaciskała jakaś wielka przykrość. Rzuciłem się był Kowaczewskiemu na szyję z radosnem przeświadczeniem, że chwytam na chwilę straconą z oczu najgorętszą przyjaźń mojego życia, a teraz ogarnęło mię uczucie niesłychanie bolesne. Przypomniałem sobie słowa Kowaczewskiego: „położenie materyalne okrutnie ludzi dzieli“ i zrozumiałem z bólem i wstydem, że

miał słuszną. Odzienie jego, niegdyś fanatycznego eleganta, było wytarte i przy mojem raziło i rzucało się w oczy; jego duma nie na miejscu, napastująca ubogich tak, jak ich napastuje tyfus głodowy, wznosiła się niby mur między wazjemnymi uczuciami przyjaźni. On wobec mnie, któremu się w życiu udawało, nie mógł zapomnieć o swojem ubóstwie.. A ja czy wobec niego zdołam zapomnieć o moich dostatkach? Zaczynała mię ogarniać obawa jego obraźliwości, jego chorobliwej miłości własnej. Żeby go tylko czem nie dotknąć, jak to się zdarza tym, co będąc bogaci, nie rozumieją nędzy! Żeby go co w mojem postępowaniu lub słowach nie uraziło i nie zraniło! Bogaćstwo czasem mimowoli nastąpi brutalną nogą na nędzę. Bo ja teraz czułem, że to, wpośród czego żył Kowaczewski, to była nędza! Nie potrzebował mi tego mówić. Jego wyniszczone ciało, jego błyszczące gorączkowo oczy, jego odzienie, wiszące smutnie na wychudłych ramionach, wszystko głośno wołało o nędzy, o głodzie. Wiedziałem, że dawniej wysoka emerytura matki żywiła ich oboje dostatnio. Matka umrzeć musiała.... Ach, ta duma ubogich! Jakżebym ja chętnie zabrał Kowaczewskiego i jego syna na wieś i dał ich płucom wiejskie powietrze, ich żołądkom wiejskie mleko i owoce! Ale nawet tego proponować nie będę. Dotknęłaby go może sama propozycya...

Nie długo na niego czekałem w pokoju hotelowym. Przyszedł, jak to obiecał. Przez chwilę czułem jakieś skrępowanie, jakiś brak swobody tak

dobrze w jego objęciu się, jak w mojem. Może nam do serdeczności przeszkadzał wykwintny, winem oblany obiad, który spożyłem i ten biedny posiłek, który oszukał głód Kowaczewskiego. Ale wspomnienia dawne przemogły dzisiejsze rozdźwięki. Była nawet chwila, w której zabrzmiał dawny, młody śmiech mego przyjaciela. Przenieśliśmy się myślą w szkolne i uniwersyteckie czasy i pozwoliliśmy naszej młodości odżyć tak dobrze w naszych wspomnieniach, że nam się prawie odrodziła w sercach.

Ja, prawdopodobnie, byłbym się potrafił dłużej trzymać jej skrzydeł, ale Kowaczewski posepniał mi jakoś. Widziałem, jak się po jego czole przesuwiał co chwila jakiś cień, o którego powód nie śmiałem pytać. Wogóle obadwaj nie dotykaliśmy terażniejszości. Wiedziałem, że jest ubogi, nieszczęśliwy i oddalony od swoich, nie miałem więc odwagi mu powiedzieć: „mam żonę dobrą i kochaną, mam zdrowe i zdolne dzieci, mam niezależne mienie“. Nie wiem dlaczego przez usta mi to przejść nie chciało. A może obok dumy, w sercach ludzi ubogich mieści się też drugi, czarny płód nędzy: zazdrość względem szczęśliwszych?

Zacząłem go wypytywać o miasto, w którem mieszkał, o stosunki tamtejsze. Udawałem, że mi ten przedmiot interesuje, on udawał, że chętnie mię w owe stosunki wtajemnicza, ale widziałem, że go nękają myśli inne... może jaka natrętna, uparta a bolesna myśl wyłączna, którą człowiek nosi w sercu, jak uwięzłą, zatrutą strzałę. Ciągle

się zamyślał, na miejscu usiedzieć nie mógł, wielkimi krokami przebiegał pokój, potem siadał znowu, by za chwilę powstać.

Zciemniało się. Zaczęliśmy mówić o wspólnych znajomych i zdawało mi się, że Kowaczewski stawał się spokojniejszy, że w jego głosie brzmiała nuta naturalności i swobody. Ja sam w wieczornym chłodzie i cieniu wypoczywałem z rozkoszą, zapomniawszy o tem, że miał kieszeń pełną, wstydzącą się pustej kieszeni przyjaciela i o tem, że mię od niego dzieliła jakaś przepaść, na zapelnienie której nie umiałem znaleźć środka.

Tak, był z pewnością naturalniejszym i nuta szczeroci stawała się w nim wyraźniejszą. Może mimowoli odczuwał zadowolenie, że cienie nocy osłoniły tak dobrze wyszarzane i zblakłe sukno jego ubrania, jak banalny wykwiut hotelowego pokoju, w którym znajdowaliśmy się.

Opowiadałem mu o niezwykłych losach jednego z naszych kolegów, gdy nagle zatrzymał się przedemną, a mnie, choć było prawie zupełnie ciemno w pokoju, przebiegł jakiś dreszcz, którego sobie wytłómaczyć nie umiem. Odczułem, że w tym człowieku, który stanął przedemną, wrzało coś, że coś tragicznego podnosiło mu się w duszy. Ręka jego opadła na poręcz mojego fotelu, a głos, podobny do jęku, do klątwy, wyrzekł glucho:

— Dziecko mi tu męczą!

Milczałem. Czulem, że dla tej duszy przyszła w cierpieniu chwila, w której skarga jest potrzebą,

w której przyjaźń zdolną jest otworzyć zacięte serce, jak księgę.

— Dziecko mi tu męczą! — powtórzył głośniej.

Chodził przez chwilę po pokoju, a w jego głośnym oddechu czulem, że był wzburzony, potem mówił głosem, w którym były łzy:

— Widzisz, on już nędzny i słabowity przyszedł na świat... Takeśmy sobie roili przyszłość dla niego!.. Boże, ile on nam dał szczęścia samą nadzieją swego przybycia! Wiesz, żona moja była prześlizna, młodziutka, wesoła... Naprzemiany bawiliśmy się, jak dzieci, którym obiecano lalkę, to znowu staliśmy wobec nowych obowiązków zamysłeni, poważni, rozrzewnieni... Ten pierwszy rok pożycia tyle dał nam szczęścia!

Głos Kowaczewskiego miał tony miękkie i słodkie, jak gdyby w ciemnościach coraz bardziej zapelniających mieszkanie, ujrzał był wyraźny obraz utraconego nieba.

— Przyszedł na świat szczęśliwie — ciągnął dalej. — Zosia uparła się go karmić sama... ale ją to męczyło. Nie chciała jednak przyznać się do osłabienia, udawała zdrowie... Przepadała za dzieckiem. Przewijała je sama, kąpała sama, nikomu się nie dała dotknąć swego malca. Nawet mnie nie ufała. Bała się, że go złamię, że go upuszczę... Z początku nie spostrzegaliśmy nic. Do głowy nam nie przyszło, by nasze dziecko miało być głuchonieme. Nianka dzwoniła nad niem grzechotką... przemawialiśmy do niego tym śmiesznym językiem, którym się mówi do niemowląt.

Miał już pięć miesięcy, gdy mię raz tknęło okrutne przecucie: Nasz maleńki był w ogrodzie publicznym, w wózek; my z żoną szliśmy za nim, gdy się z nami zrównał inny wózek, wiozący córeczkę naszych znajomych. Postawiono wózki obok siebie. Zosia poczęła żartować, że trzeba panie zaprezentować młodzieńca. Ja klaskałem w ręce, chcąc otrzymać od naszego malca, by spojrzał w stronę panny, której go przedstawiano. Klaskanie moje wywołało uśmiech dziewczynki, która zaraz spojrzała na moje ręce. Józio się nie odwrócił. Złe przecucie ukąsiło mię w serce, a Zosia zapytała, czy nie byłem chory, że m zbłądł tak nagle. Ja chory? szczęśliwi ludzie mieliby chorować? Od tej chwili zaczęła się dla mnie tajemna męka, nie dająca mi spokoju ani w dzień, ani w nocy. Cały czas, jaki mi pozostawał od biurowych zajęć, spędzałem na czyhaniu na takie chwile, w których Zosia oddalała się od kołyski dziecka. Wtedy, cały drżący, jak złodziej, który się boi, by jego zamiarów nie odkryto, zaczynałem coraz to nowe doświadczenia. „Oj, któż to takie hałasy wyprawia przy dziecku?“ — zawołała raz niańka, wchodząc i jeszcze mię z za koutary kołyski nie widząc. Musiałem się więc wystrzegać i niańki, żeby czasem nie powiedziała czegoś, coby matce karmiącej... Ha, ty nie wiesz, co się ze mną działo, gdym coraz nowych doświadczeń próbował. To mię ogarniała rozpacz bez granic, szczególnie ze względu na nią... Drżałem na myśl o chwili, w której i ona się

przekona... To znowu ni z tego, ni z owego chwytala mię nadzieja. Parę razy dziecię przypadkiem spojrzalo w moja stronę podczas gdy dzwonił lub gwizdał. Wtedy szalalem z radości... Aż raz weszła do mego gabinetu Zosia blada, z powiększonymi przez trwogę oczami.

— Co ci jest?

— Nie... ale widzisz... tylko się nie przerażaj... mnie się zdaje... że nasz Józio... Ale to być nie może! Nie, nie, to tylko ja sobie strachy tworzę... Ja tego nawet wymówić nie mogę...

— Jest przecie zdrów — rzekłem z uśmiechem, który z mej strony był bohaterstwem — tylko co go widziałem... Patrzy tak mądrze! Ah, co to za szczęście, moja droga, że on nie jest ślepy!... Wiesz, bywają wypadki, że się dzieci rodzą ślepe.

Popatrzyła na mnie przez chwilę jak inkwizytor, czytając mi wprost pod czaszką, potem z wielkim krzykiem padła mi w objęcia i zawołała:

— Więc ty już wiesz?

— Nie wiem, ale się boję. Zosiu, potrzeba nam dużo odwagi i poddania się... Ja jeszcze nie wiem, bo uwierzyć nie mogę... zupełnie jak ty, ale może Bóg tak chciał.

Płakała teraz cicho na moich piersiach, a jam już nie miał siły na żadne słowa pociechy. Gdy odeszła, usłyszawszy płacz dziecka, połowa tego straszego ciężaru, który mię gniótł od miesiąca, spadła mi z ramion. Wiedziała, i nie padła martwa u moich nóg! Ach, bo ja ci wyznam, ja wtedy ją szczególnie kochałem! Dziecko kochałem tylko

przez nią i dla niej! Byłem szczęśliwy, że jej dałem, dumny, że przezemnie spłynęło na nią szczęście macierzyństwa. Ale samo dziecię... Dopiero później nauczyłem się je kochać. Wówczas ona mi była wszystkim! O dziecko chodziło mi szczególnie dlatego, że było ono jej szczęściem. Zastałem ją z malcem u piersi, na którą padały łzy ciche i spływały tak, że je Józio wraz z mlekiem połykał. Padłem na kolana przy nich obojgu i objąwszy nogi Zosi, całowałem je namiętnie. Ona rzekła z niewymownym smutkiem, patrząc na dziecię.

— Biedak, trzeba będzie go za to kochać podwójnie.

... Teraz nie mogę pojąć, jak ja się dałem oszukać przez jej spokój, przez jej rezygnację! Sądziłem, że oszczędzam jej bóleści, nie mówiąc z nią o naszym nieszczęściu. Usta nasze w istocie milczały, tylko w jej wzroku czytałem ten wyraz tak straszny, gdy go wymówić trzeba myśląc o własnym dziecku: głuchoniemy. Zosia udała się z Józkiem do lekarzy i jej czerwone oczy nie zostawiły mi wątpliwości co do ich wyroku. Nie łudziłem się więc co do chłopca, ale łudziłem się co do niej. Sądziłem, że to, iż się dziecku czuła potrzebną, ocalało ją od rozpaczki, ale teraz jestem pewien, że to był cios, który ją zabił. Nikła mi w oczach. Zarabiałem wtedy tyle, że mogłem jej dać wszystko, co lekarze za zbawienne dla niej uznali.

Dwie zimy spędziła z dzieckiem we Włoszech. Na lato jechała w góry. Ja mogłem tylko od

czasu do czasu do niej zaglądać... Tak, byłem przynajmniej w stanie dać jej wszystko... Przynajmniej tego mię nie pozbawili! Gdym stracił miejsce, ona już od dwóch lat nie żyła, a Józio miał lat pięć. Dali mi dymisyę. Przez jakiś czas żyłem z tego, co otrzymywałem ze sprzedanych mebli. Kołatałem na wszystkie strony. Ale tyłu kołacze i żebrze pracy! Byli ludzie obarczeni liczniejszą rodziną... Wreszcie otrzymałem miejsce telegrafisty w Kaliszu. Nie wiem, czy wiesz... telegrafista-Rosyanin otrzymuje przynajmniej gratyfikacye, ale telegrafista-Polak..... Z głodu się mrze!

W tej chwili Kowaczewski ścisnął moją rękę, jak w kleszczach, i z tłumioną wściekłością zawołał:

— Ale ja im to wszystko darowałem, tylko tego im darować nie mogę, że sprawili, iż ja moje dziecko własne odepchnąłem od łona po trzech latach tęsknoty i rozłąki!

Po chwili uspokoił się nieco i ciągnął dalej:

— To jest taki dobry i mądry chłopiec... i taki do matki podobny! Zdaje mi się, że tylko ci, co stracili uwielbianą żonę, tak jej dziecię kochać mogą, jak ja kochałem Józia... Mojem marzeniem było oddać go do tutejszego instytutu głuchoniemych. Anim wiedział.. no, po prostu nie przypuszczałem, że tych biedaków uczą dwóch języków! A choćbym był wiedział.. Zkądże ja mogłem wziąć tyle pieniędzy na wywiezienie go z kraju? Wreszcie tu mieszka moja siostra cioteczna, też uboga kobieta, ale przynajmniej jakąś opiekę miałem

w niej dla dziecka. Staralem się o stypendyum, stypendya wszakże są dla prawosławnych. Pensya telegrafisty ledwo na najskromniejsze życie wystarczała, przyjąłem więc miejsce w Jakaterynosławiu. Uczynilem to dla Józia, dlatego, by on się mógł uczyć. Posada to skromna, tęsknota za krajem straszna, a za dzieckiem!.. Alem czuł, że tak postąpić powinien. Trzy lata temu oddałem chłopca do zakładu, zleciłem krewnej mojej opiekę nad nim i pojechałem. Czyś ty kiedy wyjeżdżał, tak z konieczności od swoich na czas nieograniczony? Nie? Śmiałyś się ze mnie, ale ja na moście żelaznym, prowadzącym do kolei petersburskiej płakałem jak kobieta. Mężczyzna jest taki śmieszny, gdy płacze! Ale Józio ze swoim podobieństwem do Zosi stał mi w oczach! Oszukałem biedaka; on nie wiedział, nie rozumiał, że go zostawiam samego... Kochał mię, jak gdybym był jego matką... Trzy lata go nie widziałem. Tęsknota jest straszną chorobą! Nie miałem męskiej siły nad sobą! Uchodziłem między wami za człowieka niezłomnej woli, gdym był prezesem korporacyi w Halle, ale widzisz, to nie to samo!.. Tęsknota w końcu tak złamie człowieka, jak gdyby był kruchą trzcina... Chorowałem w zimie, nie spać nie mogłem... byłem pewien, że mi do snu trzeba polskiej ziemi.... Takie nerwowe przywidzenia! Jadłem też tak mało, że nie mogłem sobie oszczędzić na podróż... Nie uwierzysz, jak statki parowe i koleje powoli mię tu wiozły! Zdawało mi się, że żółwie prędzej chodzą! Powiada doktor, że to

neurastenia, ale ja znowu płakałem, gdym od posługacza na dworcu pierwsze słowo polskie usłyszał. Zawstydzilem się, bo w neurastenii człowiek doskonale rozumie śmieszności i przywidzenia swoje.

Prosto z dworca pojechałem do instytutu głuchoniemych, błagałem, by mi zaraz pozwolono zobaczyć Józia. Wprowadzono mię do ogródka, gdzie się dzieci bawily... Józio mię spostrzega... Myślałem, że zemdleje, zachwiał się, potem widocznie nie mógł jeszcze uwierzyć, wreszcie biegnie ku mnie i ze łzami pada mi w objęcia. Ah, co za chwila, mój drogi, mieć nareszcie na piersi dziecię, za którem się tak strasznie tęskniło!... Biedactwo, było tak wzruszone, że drżało całym ciałem. Po chwili, uspokoiwszy się nieco, patrzy w moje oczy i głosem strasznym, wiesz, tym głosem głuchoniemych, co to rodzi i wstręt i litość, mówi mi słowa czulego przywitania w języku, którego matka jego nie umiała, w języku, w którym otrzymałem rozkaz podania się do dymisji, w języku, którego dźwięki przez całe dwa lata rodziły we mnie nostalgię za mową rodzinną!...

Niewiem, co się naraz ze mną stało... odtrąciłem chłopca, zmierzylem go wzrokiem, w którym wyczytać musiał gniew, wyrzut, pogardę, bo stanął błądy i przestraszony. Bałem się własnej popędliwości, własnej rozpacz, własnego szaleństwa i uciekłem. Nawpół przytomny wybiegłem z ogródka i w pierwszym lepszym hotelu zamknąłem się w pokoju, by być sam, by żadnego wzroku

nie czuć na sobie! Postać mojego biedaka, którą przez trzy lata nosiłem w oczach jak skąpiec nosi skarb, zjawiała się przed moim wzrokiem zmieniona i inna. Widziałem go teraz takim, jakim mi się po trzech latach przedstawił w ogródku, wybiegający ku mnie z rozwartymi ramionami. Jakiż on był blady i mizerny! Widocznie zmęczony był pracą, której go poddawano. Biedak, on może myślał, że język, którym przemówił do mnie, był językiem jego macierzystym, że tym językiem nad jego kolebką mówili do siebie jego rodzice.

Ogarnęła mię wielka litość nad nim, że się stał dla mnie narzędziem cierpienia właśnie w chwili, o której przez trzy lata, jako o najwyższym szczęściu marzyłem. Jego bladość, jego podsiniące oczy bolały mię teraz i przejmowały strachem. Wróciłem do instytutu, ale mi powiedziano, że dnia tego dziecka odebrać na wakacje nie mogłem, a w tej chwili i widzenie się z niem było niepodobnem, bo to była godzina lekcji. Mały był tak wzruszony po mojem odejściu, że zdawało się przez chwilę profesorowi podczas lekcji, że dziecko zapomniało naraz wszystkiego, czego się dotąd uczyło. Żądano więc, bym przed popisem nie przychodził, a o popis bardzo chodziło, gdyż Józio był pierwszym uczniem. Zapytałem, czy syna mego uczono po polsku. Tak, uczono go także po polsku.

Wyszedłem zgnębiony, przed oczami mając ciągle jego bladą twarzyczkę i odtwarzając sobie

w myśli historyę tej całej męczarni, jaką dla głuchoniemego musi być nauka dwóch naraz języków. Czy ty sobie zdajesz z tego sprawę? Jaki to trud dla dziecka, które nigdy głosu ludzkiego nie słyszało, przyswoić sobie pojęcia najprostsze, potem zrozumieć pojęcia abstrakcyjne, najzwyczajniejsze! Jaki trud, to wszystko objąć słownikiem jednego języka! A tu, w Warszawie, te nieszczęśliwe dzieci, te przez palec Boży naznaczone wyrzutki, te istoty upośledzone, które nie wiedzą, co to dźwięk, co to głos ludzki, co to śpiew, obok macierzystego, muszą się jeszcze uczyć języka urzędowego. Oni, którzy żadnego urzędu nigdy piastować nie mogą! W jakim celu się to robi? Czy ty to jesteś w stanie zrozumieć? To tylko na to, by mniej zdolnym pojęcia i słowniki poplątały się w głowie, na to, by zdolniejsi tracili zdrowie, z powodu zbytnej pracy przeciążonego umysłu. Czuję, że tak się dzieje z moim biedakiem. Chwałą się tam nim, jako pierwszym uczniem, a mnie się serce kraje, bo ja przeczuwam, że to przechodzi jego siły, że te dwa języki mi go zjadają! I co tu robić? Co z nim począć?

— Chcesz — rzekłem — pójdę z tobą do instytutu, pokażesz mi chłopca... może rzeczywiście lepiej go odebrać?...

— Dobrze, dobrze, chodź ze mną! Jutro o dziesiątej! Będziemy na popisie, zobaczysz, przyjrzyysz się Józiowi! Taki jesteś dobry, a ja już o wszystkim, nawet o przyjaźni ludzkiej wątpiłem! Różniej mi będzie, gdy przy sobie czuć będę serce

braterskie. Taka mną dziś cały dzień miotała wściekłość! Poprostu gryzłbym i szarpał! Co za los, co za piekielna ironia losn, żeby pierwsze słowa, jakie z ust mego dziecka usłyszałem, były w tym języku!... Biedna moja Zosia! Mówiła, że za to dwa razy silniej dziecię kochać trzeba. Tak, za to, że głuchoniemy i za to, że może nie czynić różnicy między tym językiem, a tym, który nam w żyłach płynie!

Nie przerywałem Kowaczewskiemu, pozwoliłem mu się wyzalić. Chciałem go po drodze ufności i zwierzeń doprowadzić do tego, by przyjął propozycję, którą mu nazajutrz uczynić zamierzałem. Oto pragnąłem mu powiedzieć: Pozwól mi dla dziecka twego uczynić to, co dla mojegobym uczynił. Wyślemy Józia do Lwowa.

Późno już było, gdyśmy się rozstali, naznaczywszy sobie nazajutrz miejsce spotkania na placu św. Aleksandra.

Przyszedłszy tam o dziesiątej, zastałem już Kowaczewskiego, oczekującego niecierpliwie. Przybywałem jednak w samą porę. Bramy instytutu głuchoniemych i ociemniałych były na oścież otwarte, stały przed nimi powozy i doróżki, widzieliśmy osoby wchodzące, ruch na dziedzińcu. Poszliśmy za innymi. Nie byłem dotąd nigdy w zakładzie podobnym i czułem pewien rodzaj przykrości, a zarazem fizycznego wstępu, przestępując próg szkoły, wychowującej dzieci-kaleki.

Usiedliśmy z Kowaczewskim w jednym z pierwszych rzędów w sali, w której miał się odbyć po-

pis. Jego wzrok, jego cała postawa wyrażała niepokój i oczekiwanie. Ale wśród wychowañców, zajmujących estradę, nie było Józia. Stali tam ślepi, którzy zaintonowali śpiew chóralny. Oczy wszystkich tych nieszczęśliwych, z jednym tylko wyjątkiem, zasłonięte były czarnymi okularami, czyniącemi wrażenie latarni, w których światło zagasło. Powoli przejęło mię uczucie bardzo przykre. Zdawałem sobie sprawę z tego, że to są biedacy, którzy nie dowiedzą się nigdy, co to zamienione spojrzenie, a jednak doznawałem jakiegoś nerwowego niepokoju i złudzenia, że z za tych czarnych szkieł coś mię śledzi, że się tam coś zaczęło, co mię niemiłym przecuciem dojmuje. Śpiewali czysto i poprawnie, a jeden z nich grał później na fortepianie, ale grał tak, że wzruszył słuchaczów, grał nietylko palcami, ale i duszą. Ale mniejsza o przebieg popisu.

Wejście Józia oznajmionem mi zostało przez poruszenie się Kowaczewskiego, przez jego nagłą błądź i gorączkowo świecące oczy. I mnie, sam nie wiem dlaczego, udzielił się jego nastrój niezwykły. Byłem wzruszony, byłem rozdrażniony. Dotąd widzę i tego ojca, który setki mil przebył dla połączenia się z synem, i tego chłopca, szukającego wzrokiem ojca po sali. Było w tym dziecięcym wzroku jakby jakieś trwoźne wołanie, jakieś błaganie bolesne, jakiś krzyk rozpaczny. Biedactwo to widocznie tęskniło za objęciem rodzicielskiem i bało się, że go ono znówu odepchnie. Żadne łzy, żadne słowa nie są w stanie wypo-

wiedzieć tego wszystkiego, co mówiły te oczy stęsknionego dziecka, które nie wiedziało, za co od ojcowskiego łona odrzuconem zostało. Józio był bardzo wątły, mały, drobny, z cerą przezroczystą i z zanadto wielkimi oczami, podkrążonemi i podsiniałemi. Jego widok przejmujące czynił wrażenie. Co się tam działo w tem sercu dziecka kaleki, w tej główce o jasnych włosach, której pojęcia musiały się wytworzyć sztucznie, a zapewne nieraz fałszywie i dziwacznie? Chłopiec stał na boku, czekając, aż przyjdzie jego kolej. Inny głuchoniemy wyliczał w tej chwili wszystkie tytuły cesarzów rosyjskich. Głos jego był nieco za cichy, to znowu wybuchał niespodzianymi krzykami, ale był to głos ludzki. Ktoś obok nas mówił sąsiadowi, że ten chłopiec nie był głuchym z urodzenia. Ogłuchł dopiero dostawszy szkarlatyny, gdy miał lat pięć... Ztąd pewne wyrobienie się strun głosowych.

Teraz przyszła kolej na Józia. Rozłożono przed nim mapę, a on głosem, z jakichś podziemi wychodzącym, głosem nieludzkim, który zdawał się rozrywać mu piersi, począł opowiadać cuda Syberyi, wskazując jednocześnie na mapę przezroczystym paluszkim. Mówił po rosyjsku. Nie miałem odwagi spojrzeć na Kowaczewskiego, zresztą zabsorbowały mię własne moje uczucia gorzkie i smutne.

— Tak — myślałem — polskie dzieci, choćby były głuchonieme, trzeba uczyć geografii Syberyi! Potem jest to dla nich, jak znalazł!

Wzrok Józia odkrył ojca w sali. Teraz widocznie tylko dla niego chłopczyzna wyliczał miejscowości i uśmiechał się z zadowolenia, że wszystko tak dobrze umiał. Oczy malca stawały się coraz większe i głębsze, a wysilek przy wydawaniu dźwięków męczył go tak widocznie, że profesor zaprzestać mu kazał. Józio usunął się. Przy tablicy zastąpił go inny uczeń. Ale ja patrzyłem już tylko na tamtego, z wyobraźnią tak silnie podnieconą przez jego twarzyczkę cierpiącą a mądrą, żem w tej chwili mógł odczuć z intuicyą wyraźną, a tak przejmującą, że aż bolesną, wszystką mękę tej sztucznej mowy i tych sztucznych pojęć dziecka i jego uczuć sierocych, wśród ludzi obcych... dziecka, drżącego pod rozgorączkowanym wzrokiem ojca ukochanego, oczekiwanego z tęsknotą, którego objęcie je odepchnęło.

Nie wiem już, jak się odbył dalszy popis. Pamiętam tylko, że wraz z Kowaczewskim wstaliśmy po jego ukończeniu i powoli opuszczaliśmy salę, wśród spieszącej ku wyjściu publiczności. W drzwiach musieliśmy się nieco zatrzymać, bo je zatarasował tłum ludzi. Przed nami szli dwaj Rosyanie w mundurach rządowych. Jeden z nich, otyły i zadowolony, mówił głośno, wedle zwyczaju narodu swego. Usłyszeliśmy następujące słowa:

— Bardzo ładny ten głuchoniemy malec! A jak doskonale opowiadał o Syberyi! Tylko akcentu rosyjskiego nie ma. Akcent zły! Tu by trzeba innych ludzi, innych profesorów... Przysiaglibym, że go po rosyjsku uczył Polak...

TRZY LISTY NARCYZY.



I.

Moja droga Maryniu!

Wiem, że żyjesz, żeś zdrowa i szczęśliwa, że Twój mąż został posłem na sejm, a dzieci rosną i uczą się pod Twojem okiem — to wszystko wiem z ubocza, bo korespondencya nasza upadła. Byłyśmy z sobą przedtem tak szczerze i wylane jak siostry; przyjaźń, zawiązana w klasztorze, przetrwała lata zabaw, nie doznała szwanku przez obowiązki, jakie na Ciebie nałożyło zamążpójście i osiedlenie się na wsi, ani jej zaszkodziło moje odosobnienie się od ludzi i tak zupełnie pochłaniające mnie pielęgnowanie mego biednego brata. Od czasu, jak furta *Sacré Coeur* za nami się zamknęła i z ciszy naszego duchowego i umysłowego życia, wychowanki klasztorne, znalazłyśmy się wśród fal zmiennych a niespokojnych świata, nie było tygodnia, abyśmy wzajem o sobie nie miały wiadomości, aż nagle ustały listy z mej strony i na pytania Twoje byłam głucha.

A dziś odzywam się do Ciebie po trzech latach i wierzę, że zastanie Cię to wezwanie sercem dla mnie nie zmienioną, ale może ten czas milczenia otoczył mnie mgłą taką, że nie poznasz mojej duszy i będę Ci bardziej obcą, niż najbliższa sąsiadka, z którą przeżyłaś wzruszenia walki wyborczej, która Ci z poświęceniem pomogła pielęgnować dziecko w ciężkiej chorobie, albo tylko dwa miesiące razem z Tobą u wód przepędziła.

Jeżeliby tak było, Maryniu, to mi wprost napisz, bo widzisz to, co ja mam Ci powiedzieć o tych latach mego życia, wymaga zrozumienia i odczucia. Kto wie? może wymagać będę i współczucia, nie dla siebie, ale dla tego, którego historia była i moją czas jakiś historią.

I jeszcze jedno zastrzeżenie.

Tyś mnie dawniej nieraz łajała za egzaltację — ja to znosiłam i brałam do serca naukę — teraz o egzaltacyi niech nie będzie mowy, to mnie dotknąć może, bom starsza wiele, bo o lata mniejsza, ale jam prawie Twoja rówieśnica, a syn Twój zaczyna rok piętnasty. Prawda, że to, co ma powierzyć. Twemu sercu nieładna i niemłoda przyjaciółka Twoja, nie jest romanssem, zatem i zastrzeżenie może zbyt uczynne, a jednak je czynię, kończąc na tem wstęp do długiego opowiadania. Czy zaś ten drugi list otrzymasz, zależeć będzie od Twej odpowiedzi. Bądź zdrowa

Twoja *Narcyza.*

II.

Droga Maryniu!

Byłam pewna, żeś się nie zmieniła i że będę mogła wypowiadać się przed Tobą jak dawniej, ale te wieszce niemal przecucia co do stanu mej duszy w osłupienie mnie wprowadziły. „Masz jakiś ważny powód do radości — udało Ci się spełnić rzecz dobrą, inaczej nie szukałabyś mnie, żebym się powodzeniem z Tobą cieszyła“ — piszesz w swoim liście.

Tak, to prawda, dokonałam rzeczy trudnej, a w mniemaniu mojem dobrej. Włożyłam rozbitkowi do ręki wiosło i dałam ster jego błakającej się łodzi — aby dopłynął do brzegu, od niego samego zależy.

Aby Ci dać jaśniejszy obraz zdarzeń, które przed trzema laty pochłonęły mnie całkowicie, muszę Cię wprowadzić na nowo w moje zacisze domowe, w koło moich zajęć, myśli, stosunków i przypomnieć Ci wszystko najdokładniej. — Mieszkaliśmy więc na Nowym-Swiecie, w starym wygodnym domu, który nam rodzice zostawili w spuściznie. Pierwsze piętro było może za obszerne i na nasze stosunki finansowe nieodpowiednie, ale nie miałam odwagi pozbawiać mego brata jedynej przyjemności, jaka mu została, odkąd spadł na niego cios nieuleczalnej strasznej choroby.

Biedny paralytyk w tych wysokich pokojach miał zdrowego powietrza podostatkiem, a siedząc

w głębokiej framudze okna, przykuty niemocą do fotelu, śledził nieustanny ruch na ulicy i nie uwierzyłabyś, jak go to bawiło i zajmowało. Gdy się ściemniało i nie już dojrzeć nie mógł przy migotliwych latarniach gazowych, przysuwało się go do stołu, przy którym reszta wieczoru schodziła na partyi pikiety, albo wista, gdy ten lub ów ze starych przyjaciół rodziny zaszedł do nas na herbatę. Nie było to zabawne siedzieć po kilka godzin z kartami w ręku, i to tak dzień w dzień przez rok cały i nikt pewno z tych, co mówił sobie w duchu: „ta panna Narcyza anielską ma cierpliwość“ — nikt nie przeczuł moich buntów i łamań się, prócz Matki Urszuli, która pozostała nadal moją kierowniczką i podporą.

W lecie bywałam swobodniejszą, bo chociaż zawsze w tym samym pokoju, co mój biedny chory, ale siedziałam z książką lub robotą przez długi, cały dzień i myśl moja karmiła się, to odpoczywała, podczas gdy oczy Edwarda goniliły za szarym tłumem, który snuł się, a snuł od rana do zmroku.

Jesień za to i nasza smutna zima była dla mnie zawsze snem umysłowym. Ledwie bowiem skończyłam po rannej mszy codzienne domowe zatrudnienie, ledwie po obiedzie list napisałam, dziennik jaki przerzuciłam, już dzień zamierał, a wraz ze światłem w pokoju rozpoczynaliśmy nasze nieskończone partye pikiety, dla odmiany przeplatane bitwą w *écarté*, często też, jak wspominałam, przybywali partnerowie i do wista.

Raz na tydzień, w piątek wieczorem, bywałam u ciotki szambelanowej, która mi zawsze wiele serca okazywała i została jedynym łącznikiem między mną a światem.

Kiedy bowiem pierwsza młodość moja minęła, a świetna karyera brata w zaraniu przerwana została jego chorobą, to nas odsunęło od tych sfer, gdzie nie tylko urodzenie, ale zdrowie, szczęście, błyszczący humor i buta powodzenia otwierają wszędzie drzwi i serca, a jedna tylko ciotka szambelanowa była dla nas jednakową i serdeczność jej nieraz w ciężkich chwilach dodawała mi otuchy.

Piątkowe jej przyjęcia w starym pałacu, sztywno trochę urządzonym, były dla mnie wytechnieniem — nie opuszczałam też żadnego. Czasem przesunęło się wieczorem od czterdziestu do stu osób, czasem zebrało się kilku tylko najbliższych przyjaciół i wtedy bywało najprzyjemniej, bo wuj szambelan wychylał się ze swego „sanctuarium“ i miłym, swobodnym humorem ożywiał towarzystwo.

Wuj szambelan, trochę dziki z natury, trochę filozof, literat, a przedewszystkiem namiętny pałac, rzadko zjawiał się w salonach żony, gdy tam zbyt tłumno i gwarno było; wtedy siedział w swym obszernym, narożnym gabinecie i palił, a czytał, albo przy kominku rozmawiał z jakim przygodnym gościem, który, znając domowe zwyczaje, aż tu się zabląkał. Między tymi, którym wolno było bezkarnie samotność jego przerywać,

ja pierwsze zajmowałam miejsce i często wpa-
dałam do mrocznego gabinetu, aby pogawędzić
z wujem.

Zdarzyło mi się przez dwa czy trzy piątki, że
zastawałam tam zawsze kogoś, czyjej twarzy przy
dużym, ciemnym zaroście rozróżnić nie mogłam,
skoro bowiem wchodziłam, usuwał się w cień
wielkich szaf bibliotecznych i zostawało mi tylko
wrażenie, nie pewność, że jest ktoś niewidzialny,
kto słucha mojej rozmowy.

Nie miałam jeszcze sposobności zapytać wuja
o tę szczególną postać, gdy w pewien piątek zrana
otrzymałam od szambelanowej bilecik, zaprasza-
jący koniecznie na wieczorną herbatę. Zdziwiło
mnie osobne zaproszenie, tem bardziej, że to był
piątek adwentowy przed samą Wilią i nazajutrz
mieliśmy z bratem być u wujowstwa na wie-
czerzy.

— I oto, Maryniu moja, zbliża się chwila,
w której ci j e g o przedstawię.

A więc weszłam o zwykłej godzinie do salonu
szambelanowej i zastałam ją samą. Uśmiechnęła
się i rzekła:

— Potrzebowałam ciebie dzisiaj, moja Narcyzo,
ty jedna bowiem potrafisz oswoić dzikiego czło-
wieka.

Jednocześnie prawie otworzył wuj szambelan
drzwi swego pokoju i wprowadził tajemniczego
gościa, który dotąd nie przekraczał progu gabinetu.

— Narcyzo! — odezwał się wuj — przedsta-
wiam ci naszego kuzyna, siostrzeńca, przybranego

syna, nazwij go, jak chcesz, ale uprzedzam cię, że go kochamy z całego serca.

Nieznajomy skłonił się, ciotka szambelanowa zaś, dopełniając przedstawienia, wymieniła jedno z naszych znakomitych nazwisk — ja powiem ci tylko jego imię. Nazywał się Konstanty.

Z początku rozmowa była ogólna, powoli jednak, gdy wuj po herbacie odszedł do siebie na cygaro, a szambelanowa otworzyła jakąś książkę, mój nowy znajomy i ja gawędziliśmy tylko we dwoje; pomnę jeszcze, że o podróżach, i że opowiadał bardzo zajmująco. Wyczerpawszy ten przedmiot do pewnego stopnia, zaczęliśmy wyszukiwać w jaki sposób jesteśmy spokrewnieni, ale gdy wspólna nasza ciotka nie była biegłą w rodowodach, zaniechaliśmy dalszych badań, tem bardziej, że późna wybiła godzina i wuj, zawsze dla mnie uważny, do powozu zaprzęgać kazał, aby mnie do domu odwieziono.

Gdyśmy się rozstawali, Konstanty * powiedział mi z wyraźnem wzruszeniem:

— Jesteś pani bardzo dobrą, a choć nie wiem jeszcze, czyśmy naprawdę krewni, będę myślał o pani, jak o siostrze.

Rozmowa nasza wogóle była tak spokojną i obojętną, że gdyby nie te ostatnie słowa, nie byłabym myślała tak wiele o nowopoznanym, nie zastanawiałabym się, co znaczyła ta wdzięczność w spojrzeniu, jakim mnie żegnał.

Nazajutrz była Wilia i owa wielka wyprawa do szambelanostwa na wieczerzę.

Od rana już biedny Edward zaczął się niepokoić, służący ubierał go powoli, ja zaś wyszłam po sprawunki; główny interes miałam w kantorze komisowym, gdzie nigdy jeszcze nie byłam; interes był cudzy, polecenie ze wsi od znajomych.

Biuro to mieściło się w oficynie na dole, nie odznaczało się elegancją, ani nawet czystością, zwłaszcza że dzień był słotny, błotny, ruch przedświąteczny ożywiony i w pierwszym pokoju, do którego weszłam, prócz mnie, znajdowało się tylko kilku żydów i posłańców, oczekujących swojej kolei. To wrażenie nieestetyczne, ten chłód wilgoci, naniesionej z podwórza, a przejmującej dreszczem wstępu, był jednak niezem w porównaniu ze zdumieniem, jakiego doznałam, gdy w tem otoczeniu znalazłam mego wczorajszego znajomego.

Siedział w drugim pokoju i przez drzwi uchylone widziałam profil jego piękny i wyrazisty, widziałam białą rasową rękę, biegającą spiesznie po papierze i zgięte w łuk plecy, które co chwila prostował, jakby go członki bolaly od przygarbienia. Kaszlał też często wśród tego powietrza, napełnionego dymem i wyziewami.

Nagle zwrócił głowę i spostrzegł mnie. Powstał zaraz, a przyszedłszy wprost, zapytał, czem mi służyć może.

Byłam zmieszana i przygnębiona, nie wiem nawet, jak wypowiedziałam, z czem i po co przyszłam. Zajął się zaraz sprawą, o którą mi cho-

dziło, wyszukał w książkach cyfry i daty, potrzebne moim wiejskim znajomym, a kiedy pożegnawszy go, wybiegłam ztamtąd, myślałam, że mi się to wszystko tylko śniło.

Jakto! ten gość ciotki szambelanowej, przyjmowany serdecznie w salonie, który najlepsze towarzystwo gromadził, ten pan utytułowany, obdarzony znanem nazwiskiem, pracował w kantorze, którego żyd był właścicielem, w tem brudnym, ciasnym, dusznym miejscu, on, człowiek z puszczy i boru?

A więc był ubogi, nędzarz taki, że zaprzedał swą wolność, aby nie umrzeć z głodu. On, Konstancy *, Konstancy... — tak sobie idąc do domu powtarzałam i brała mnie wielka litość, wielka zgroza, mogłam była zatrzymywać przechodniów i opowiadać, jaka to straszna krzywda działa się temu panu, jak tam rdzewiała i pleśniała w wilgoci pospolitego kantoru dawna mitra Gedyminów. I nie dziw mi się, moja Maryniu, żem tak żywo czuła, bo chociaż sto lat już minęło od wielkiej rewolucyi, *je suis malgré tout de l'ancien régime*.

I znów wieczorem w domu szambelanostwa stanęliśmy z nim oko w oko. Zdawało mi się, że on pragnie mówić ze mną osobno, że chce mi coś wyjaśnić i wytłómaczyć.

Ale gdy mieliśmy siadać do stołu, dziki nasz współbiednik, przeprosiwszy pana i panią domu, pożegnał ich i uciekł prawie. Nie pomogły perswazyje wuja i zostało nas tylko czworo do wili. Ciotka szambelanowa rzekła zafrasowana:

— To moja wina, taki przesądny Litwin, jak on, nie siądzie do willi, gdy liczba osób nieparzysta. Trzeba było jeszcze kogo zaprosić — ale kogo?

Zaciekawienie moje rosło z każdą chwilą, przecież dopiero po wieczerzy, gdy wuj z moim bratem zasiadł do pikiety w swym zacisznym gabinecie, a szambelanowa zaczęła przechadzać się ze mną po salonie, odgadłam, że teraz musi odsłonić się przedemną przeszłość Konstantego.

Niebawem też ciotka zatrzymując się, rzekła wprost:

— Nie uwierzysz Narcyzo, jaką mi przykrość sprawiła ta ucieczka Konstantego. Liczyłam na to, że twoją dobrocią i rozumem wpłyniesz na biedaka.

— Skoro mam być lekarzem — odparłam — niechże poznam chorobę. Dlaczego ciocia biednym go nazywa?

— Więc ty nie wiesz jeszcze? Nie przypominasz sobie skandalu, którego on był bohaterem i ta nieszczęśliwa...

Lecz nie było przeznaczone, abym z cudzych ust dowiedziała się tego, co wyraźnie tylko dla mnie było tajemnicą.

Konstanty nagle wszedł do salonu, a pochylając się przed szambelanową:

— Niech się ciocia nie gniewa — rzekł z prostotą.

Nie pamiętała mu też poprzedniej ucieczki do brata, zacna pani, ale, ujawszy jego lwią głowę,

do piersi swej spokojnej przytulila, jakby ukoić chciała wszystkie burze, które nim kolatały bez wypoczynku.

— Gdzieżeś był, dziwaku? — odezwała się w końcu dobrotliwie.

— Ot! włóczyłem się po ulicach w śnieżną zawieję; pustki wokół, prawie w każdym domu okna oświetlone, i rodzina przy stole zebrana, mnie tylko rozbitkowi, wydziedziczonemu, nie wolno marzyć o rodzinnem święcie, ja i ztąd uciec musiałem.

Mówił to wszystko spokojnie, bez deklamacyi, ale tak smutnym głosem, że samo jego brzmienie lży wyciskało. Głos był tak smutny, jak serce.

Ciotka szambelanowa odeszła nas zwolna w zamysleniu i zostaliśmy zupełnie sami w pustej, dużej sali.

Staliśmy więc pośrodku, jakby strachem zdjęci, że ślizka posadzka za głośno nasze kroki odbija, aż Konstanty odezwał się pierwszy z determinacją

— Przyszedłem, aby pani opowiedzieć historję mego życia.

I zaledwie oprzytomniałam po tych pierwszych słowach, już z ust jego zaczęły płynąć potokiem wyrazy gwałtowne, jędrne, obrazowo malujące jego dzieciństwo samotne, jego młodość burzliwą a dziką, jego szalone po lasach wyprawy, niebezpieczne polowania, wszystko, czem się bawić mogła natura bujna, nieokiełzana, potrzebująca wrażeń i czynu, a nie znajdująca jeszcze kierunku i celu.

A potem spotkał kobietę. Była od niego starszą, była zamezną i matką, on ją mimo wszystko, co

ich dzieliło, pokochał uczuciem tak gwałtownem, jak on sam gwałtownym był i nieprzepartym, gdy czego pragnął. Kochali się więc i widywali często, prowadząc dzieło zdrady pod okiem i pod dachem męża, który był dobry i ufny. Ale Konstanty nie był jeszcze upadł tak nisko, aby nie czuć wyrzutów sumienia, a nie wzniosł się na tyle duchowo, aby powiedzieć sobie, że świadomość jej wzajemności i kilka słów zamienionych od czasu do czasu, wystarcza mu na życie całe. Co się działo w sercu kobiety, nie nam sądzić! — Bóg z nią — dość, że w jedno upalne południe, gdy oczy ich powiedziały więcej, niż usta śmiały wyrazić, gdy mąż ufniejszy niż kiedykolwiek, przechodząc przez pokój, gdzie kochankowie siedzieli, złożył na czole żony pocałunek, a przyjaciela serdecznie uścisnął, młody człowiek, po jego wyjściu zerwał się błądliwy i zawołał: Nie tego przymusu, tej podłości dłużej nie zniosę — raczej umrzeć.

Wtedy ona stanęła przy nim i pełna uroków i pokusy szepnęła mu: Lepiej żyć — uciekajmy razem! — I uciekli.

Tu się przedemną mgła zapomnienia rozjaśniać zaczęła i ujrzałam, jak przez sen, cztery małe dziewczynki, w kościele często modlące się przed tysamym oltarzem Matki Boskiej, dokąd i ja wtedy biegłam po pociechę — bo to wówczas spadło na dom nasz to nieszczęście, że chluba i podpora rodziny, brat mój ukochany, paralityka żywot wieść począł. Nie dziwnego, że nie doszły mnie głosy ze świata o skandalu, który poruszył

i dotknął kilka znakomitych rodzin — głucha byłam na wszystko — prócz jęku własnej boleści. Ale teraz, gdy Konstanty w swej wspaniałej szczerości doszedł do epizodu owej fatalnej ucieczki, zdawało mi się, że widzę cztery ciemne główki pochylone jedną troską. Miały one smutne twarze i niedbale uczesane włosy, sukienki ich kosztowne ale niegustowne, obojętna bona, która nigdy serdeczniej do nich się nie odezwała, wszystko to mówiło głośno, że choć zewnętrznej nie było na nich żaloby, muszą być sierotami bez matki. Przypomniałam sobie teraz, jak mi tażsama bona powiedziała kiedyś, że matka tych dziewczątek uciekła. Więc kiedy Konstanty, powiedziawszy mi tak wiele, odszedł odemnie i padł na najbliższy fotel, jakby go przygniotły wspomnienia, ja byłam na tyle nielitościwą, żem się doń zbliżyła z zapytaniem:

— A dzieci?

— Cztery córki zostały sierotami, ze splamionem imieniem matki, jako dziedzictwo — szepnął posepnie i twarz ukrył w dłonie.

Po chwili rzekł:

— Zawiniliśmy i odpokutowaliśmy oboje. Jest na świecie sprawiedliwość! Dla złych niema spokoju, szczęścia, zapomnienia. Zaledwie pomnę jaśniejsze chwile naszej pielgrzymki po obczyźnie. Miłość nasza nie mogła być wesołą, tak bardzo grzeszną była. Ona, niegdyś tak żywa, w towarzystwie słyńąca z dowcipu, w domu kochana w dwójnasób za swój miły i równy humor, nagle

stała się posępną, kapryśną, nerwową, a gdy z po-
za mgły smutku spostrzegła czasem, że nędznem
i biednem czyni to wspólne nasze życie, wtedy,
zamiast nagrodzić mię uśmiechem, którego jak
słońca pragnąłem, wpadała w głębszy smutek,
przepraszała mnie, ale ze łzami, wciąż ze łzami.
A jednak nie ja pierwszy pomyślałem o tem, by
stargać więzy światowe, by ją wyrwać z koła ro-
dziny, szanowaną i dumną, a zrobić odtraconą
od bliskich i dalszych męczennicą. Jam był nie-
szczęśliwy, że ją kochać musiałem z grzechem
i zdradą w duszy, chciałem sam umrzeć, ona mi
nie dała i konaliśmy potem oboje. Z początku
staralem się osłodzić jej życie, wierzyłem, że
smutek minie i nie poddawałem się sam jego
władzy. Ale łzy jej i mnie zgnębiły, stałem się
bez woli i myśli galernikiem, który łańcuch swój
dźwigać ma do śmierci — jednak kochałem ją
jednakowo, czciłem ją, jakby nie było na niej
plamy, bo w oczach swych miała niewinność
aniola i cierpienie ją oczyszczało z dniem każdym.
Nagle zdrowie jej słabnąć zaczęło — kaszlała i sił
miała mniej, niż dawniej. — Była wiotką i szcu-
plą zawsze, ale nigdy chorą, nie przychodziło mi
na myśl, aby ten kaszel, taki zrazu lekki, był
zwiastunem piersiowej choroby, pomimo to zaraz
postanowiłem zmienić miejsce pobytu. Mieszka-
liśmy wówczas od pół roku w Londynie, gdzie
po kilkumiesięcznej włóczędze osiedliliśmy się na
stałe. Dom nasz był wygodny, ale powietrza
mało i schody męczyły moją biedną towarzyszkę;

nająłem jej więc na wsi o godzinę drogi od miasta śliczny, zielony *cottage*, którego ogród, cały w łąkach i malowniczych grupach drzew, łudził nas przypomnieniem rodzinnych stron.

Przypomnienie to jednak było dla mnie goryczą i wyrzutem.

Z majątku mego, zadłużonego już poprzednio i znacznie uszczuplonego przez życie bezładne, jakie wiodłem dawniej, czerpałem teraz wciąż znaczne sumy na kosztowne życie na obczyźnie. Żadne z nas dwojga nie znało i nie rozumiało oszczędności, a pieniądź, który był tylko marnym kruszcem wobec naszych mąk duchowych, płynął szeroko falą, ja zaś pisałem do domu o coraz nowe zasiłki.

Aż dnia pewnego odebrałem od starego rządcy list, który wstrząsnął mną całym.

Pisał on, że jedynie ze sprzedaży majątku może otrzymać dla mnie żadaną sumę, ale że to będzie już ostatni grosz z ojcowizny; pisał dalej, że kupiec jest, że on jednak nie przypuszcza, abym chciał sam siebie i stare sługi swoje pozostawić bez dachu, z tą jeszcze plamą, żeśmy ziemię oddali wrogowi. Bo dziedzictwo moje leżało już na kresach i nie w bratnie mogło się dostać ręce.

Przeczytawszy te słowa przestrogi i napomnienia, wzburzony i nie znajdując drogi wyjścia, uciekłem z domu.

Późno już było, gdy po całodziennem błędzeniu po polach pomyślałem o powrocie. Zdawało mi się, że nie wszystko stracone, gdy ziemia moją

jest jeszcze, że potrafię wyrzec się zbytku, a w pocie czoła, jak kmieć pracować, byle tej hańby oszczędzić sobie i popiołom moich rodziców. Lecz aby pracować, trzeba było wrócić natychmiast, trzeba było skłonić do drogi tę, dla której nie mogło być powrotu.

Ale gdym wszedł pod dach naszego domku nowy cios uderzył mnie na progu. Nasza gospodyni spotkała mnie wieścią, że pani po południu wpadła w omdlenie, że wezwano doktora, który ją ocucił, ale rozwinęła się silna gorączka, która się coraz wzmagala. — Przepędziłem tę noc u jej stóp, słuchając majaczeń o dzieciach, o przebaczeniu, o pokucie, o wszystkim zresztą, dla mnie tylko nie było w jej biednej głowie ni myśli, ni czucia.

Rano przyszedł doktor, zbadał ją starannie, a znalazłszy rozwijającą się gwałtownie piersiową chorobę, zalecił jak najspieszniejszy wyjazd na południe. Wspomniał Algier, Maderę, pewien, że dostatkami otoczonej pacjentki nie brakuje środków do ratowania zdrowia, i odszedł, raz jeszcze zalecając, by unikać, jak wroga mglistej i chłodnej jesieni w Anglii. I tej samej godziny jeszcze wysłałem do rządcy staruszka telegram: „Sprzedać natychmiast!“...

Konstanty po raz drugi w ciągu opowiadania swego ze wstydu zakrył twarz rękami, a teraz jeszcze zdawało mi się, że stara się powstrzymać łzę boleści, co mu się do oka cisnęła na samo

wspomnienie tego wyroku potępienia, jaki napisał wtedy sam na siebie.

— Lecz zaraz nie mogłem wywieźć jej na południe — ciągnął dalej swą spowiedź.

W kilka tygodni później wstała z łóżka bardzo osłabiona i kaszłąca — o podróży nie było mowy. Wyznaję, że odkąd dałem rozkaz sprzedaży majątku, nie miałem chwili spokoju, błąkałem się, jak potępieniec, niewiele w domu przebywając. Jakby jakaś dzieliła nas zaporą, unikaliśmy się wzajemnie, chociaż ona nie знаła przyczyny mojego strapienia. Spostrzegłem kilka razy, że zamykała oczy, gdy słyszała moje kroki, wyraźnie chciała uchościć za śpiącą; albo też cień niezadowolonia osiadał na jej twarzy, gdy zastawałem ją na rozmowie z córeczką naszej gospodyni. Zdawałoby się, że jej przeszkadzam w pieczołotach ze złotowłosem, ślicznem dziewczątkiem, które w mojej obecności odsuwała od siebie.

Nie trudno mi było domyśleć się, że trawiła ją tęsknota za dziećmi i że mnie uważała za sprawcę wszystkich swych nieszczęść. W takim to usposobieniu zastało nas zawiadomienie od bankiera, że mam do odebrania znaczną sumę pieniężną. Nic jej o tem nie mówiąc, wyjechałem do Londynu i nazajutrz dopiero wróciłem do domu, wioząc judaszowe srebrniki. Nie spieszyłem do niej, jak niegdyś, gdy o miedzę mieszkając, nieświadomi przeszłości z tęsknotą liczyliśmy chwile rozłączenia, ale smutny i pociechy spragniony, dąży-

lem teraz podzielić się tem, co mi pozostało, namówić ją i przekonać o konieczności podróży, wyrwać z obojętności, jaka jej nie opuszczała od owej ciężkiej choroby.

Przybyłem, ale napróżno dom cały zeszedłem, jej już tam nie było!...

O! nie pytaj mnie pani, co się wtedy ze mną działo... odeszła odemnie słaba, biedna, bezradna, i nie wiedziałem, gdzie jej szukać. Dopiero oprzytomniawszy, znalazłem na biurku list pożegnalny, w którym prosiła, abym jej pozwolił odjechać w spokoju, w drogę pokuty. Wracała do męża, rzucić się do nóg jego i błagać, by jej przed śmiercią pozwolił zobaczyć dzieci. Znała go pewnie, skoro liczyła na przebaczenie.

— Jeśli chcesz pani wiedzieć jej losy, to ci powiem, że na ręku męża umarła w miesiąc po powrocie, a sieroty wiedzą o niej tylko tyle, że długo, długo chorą była...

— A pan? — spytałam wtedy cicho, bo z nich dwojga większe miałam współczucie dla niego, niż dla tej kapryśnej kobiety, która dla chwilowego szalu poświęciła swoją własną rodzinę, własny spokój i honor, a na całe życie człowieka uczciwego dotąd, rzuciła plamę, dając mu smutną sławę pospolitego uwodziciela.

— Ja... — rzekł Konstanty — zostałem tem, czem mnie pani widzisz... rozbitkiem. Do kraju nie myślałem wracać, nie mając ziemi, tylko wstyd na czole, a z pieniędzmi, które otrzymałem po sprzedaży majątku, nie wiedziałem, co zrobić. Na-

leżało pracować, ale jak, nie miałem pojęcia. Wreszcie wziąłem się do pracy, ale do przemysłu nie dość zmyślny, bez stosunków i przyjaciół, przeszedłem w Anglii przez smutne doświadczenia, które mnie w końcu zniewoliły z ostatnimi setkami rubli powrócić, jeśli nie w rodzinne strony, to przynajmniej do Warszawy. Czym się łudziłem, że wywalczę sobie stanowisko, że związki pokrewieństwa i nazwisko moje wystarczą za dyplomy uniwersyteckie i listy rekomendacyjne, tego już dziś nie pamiętam; wiem tylko, że tu przybyłem znękany i głodny bratniego uścisku, a swoi odepchnęli mnie!.. Tak, droga pani, — dodał, zapalając się — swoi mnie odepchnęli i wszystkie drzwi przedemną zamknięto.

Spółczeństwo nasze ma poczucie moralności, umie karać takich, jak ja, którzy depcą uświęcone prawa i rujnują szczęście rodzinne. Ja to zrozumiałem i dumny byłem, że mnie spotkała pogarda w domu, gdy na obczyźnie taka historia, jak moja, przeszłaby niespostrzeżona.

Ona już od dwóch lat spoczywała w grobie w jej rodzinie, dzięki szlachetności męża i ojca, żyła tylko jej smutna, lecz niezacmiona pamięć, ale w społeczeństwie nie było miejsca dla takiego jak ja wyrzutka.

Gdy zdobyłem tę straszną świadomość o sprawiedliwości, jaka mi się działa, już nie myślałem o nazwisku mojem, ani o tem, że się duszę w miejskiej samotności, myślałem tylko, aby pozostać uczciwym i na życie pracować.

Niestety, ta druga moja wędrówka, kiedy nie do pałacowych podwojów, ale do drzwi biur i kantorów stukalem, była jeszcze boleśniejszą i w zawody obfitszą. W niewielu miejscach dopuszczono mnie przed oblicze osób decydujących, bo wszędzie prawie było przepelnienie, a tam, gdzie potrzebowano ludzi nowych, tam moja postawa i nazwisko były przeszkodą. Wreszcie wyczerpały się ostatnie zapasy i jednocześnie prawie dostałem miejsce tam, gdzieś mnie pani dzisiaj widziała. Jeśli tego jeszcze potrzeba było dla słusznej kary niebios, aby duma moja startą została w proch, jak w proch zdeptałem kiedyś prawa boskie i ludzkie, to się jej poddamę bez szemrania i goryczy. Jam jest człowiek wierzący i błogą jest dla mnie myśl, że im prędzej na ziemi rozpoczęła się męka moja czyścowa, tem krótszą będzie tam, po śmierci...

Oto wszystko prawie, co pani powiedzieć miałem — kończył Konstanty spokojniejszym głosem. — Ciotka szambelanowa mówiła mi o pani, że jesteś dla swego brata siostrą miłosierdzia; pozazdrościłem biedakowi jedyne go skarbu, jaki posiada, i gdym panią poznał wczoraj, obiecywałem sobie zasłużyć na jej przyjaźń, aby mózdz kiedyś otworzyć przed panią serce i wszystkie jego bóle poddać leczeniu tej dobrej, miłosiernej ręki. Ale cóż było taić dłużej moją niedolę, skoro z mało znanym umiesz współczuć, skoro całą głębię dobroci i przerażenia dostrzegłem w twym wzroku, gdyś mnie pani dziś rano poznała i głos ci za-

marł i wstyd cię objął za mnie. Dlatego odrazu wstępnym bojem postanowiłem zdobyć tyle przyjaciół, ile jej dać możesz takiemu, jak ja, nędzarzowi. Ciotka szambelanowa, której tu nie było podczas moich z losem zapasów, pierwsza do mnie rękę wyciągnęła. Po całodziennej pracy jest to jedyne miejsce wytechnienia dla mnie, zresztą nie widuję nikogo z moich bliskich, z moich dawnych krewnych i przyjaciół.

Dosłownie prawie starałam się powtórzyć opowiadanie Konstantego, abyś ty, Maryniu moja, choć w części doznała tego samego, co i ja, wrażenia, gdyś pełna uwagi wtajemniczała się w dramat dwóch serc, rozpoczęty smutnym skandalem, a zakończony śmiercią z jednej, tułactwem i pokutą z drugiej strony.

Czym spała tej nocy, nie wiem, ale prawdą jest, że rozbitek nie napróżno kołatał do mego siostrzanego uczucia i trudno mi opisywać nawet, ile było starań z mej strony, ile pracy moralnej, by go z tego przygnębienia i pokory podźwignąć.

Zaczęłam od tego, że z pomocą szambelana ofiarowano mu miejsce w jednej z instytucyj bankowych, zużytkowując jego znajomość języków do zagranicznej korespondencji. W krótkim czasie poznano się na jego zdolnościach, tak że karyera jego była z góry nakreśloną i jeśli nie świetną to pewną i zadowalniającą; ale do tego, choć on się domyślał, że moją tam znać rękę, jam się nigdy nie przyznawała. Natomiast, gdy

częstym, niemal codziennym był u nas gościem, znajdował zawsze serca, gotowe zrozumieć go, ucho chętne do słuchania jego gawędy, radę, gdy jej pragnął, nawet łzy, gdy opadły go wspomnienia, bo i później nieraz słyszałam z ust jego historię tych dni szczęścia, które były dniami sromu i zgryzoty.

O! moja Maryniu, Konstanty stał mi się, jakby drugim bratem, stał mi się jakby chorem dzieckiem, które im słabsze, tem dla matki droższe. Codziennie śledziłam postęp mojego leczenia na jego duszy, która, nie będąc zatrutą ani zgoryczoną, była podupadłą i bezsilną. Tak nam minęła zima jedna i druga.

Przyjaciół mój, uradowany zrazu nowem zajęciem biurowem, był podatniejszym materiałem do przyjmowania mego wpływu, który cały opierał się na zasadzie kojenia dawnych bólów spokojem i równowagą. Pracowałam nad nim i nad sobą jednocześnie, bo jakiegokolwiek czasem były moje własne strapienia i udręczenia, nigdy nie pozwoliłam nerwom, by się zdradziły przed moim chorym, by opanowały mój humor, mowę i myśli. Tym sposobem, codziennie mnie odwiedzając przez dwa lata blisko, zastawał samą pogodę i zadowolenie, i to działało nań skuteczniej, niż cokolwiek innego, bo pogoda była dlań nowością. I kiedy zaczął normalnie myśleć i czuć, kiedy regularna praca przestała go męczyć i nie wzdychał nad swoją samotną dolą, mając dom szambelanostwa i nasz dom pełen przyjaźni dla niego, kiedy wra-

cał mu szerokim prądem szacunek ludzki, a niektóre dłonie same się do niego zwracały z uściskiem, wtedy z przerażeniem spostrzegłam na jego czole chmurę tęsknoty, która coraz groźniej ćmiła blask jego spojrzenia, rzucając cień melancholii, spokojnej lecz stałej, na całą jego postać. — Co to było? — pytałam w duchu i odgadłam niebawem.

Uzucie to, nie nowe, drzemało tylko uśpione w czasach walki o byt, zastygło na chwilę pod wpływem mojej przyjaźni, a teraz zaczynało go dręczyć pomimo pozornego z losu zadowolenia. Była to nostalgia za ziemią. — Ciasno i duszno mu — myślałam z litością, licząc, ile to czasu upłynęło, odkąd on porzucił swój kawał ziemi, na którym przeznaczonem mu było pracować, żyć i umrzeć, który łanami zboża cieszył jego oczy, lasem kołysał go do marzeń, a piersi jego karmił powietrzem zdrowem i czystem.

Byłam czas jakiś bardzo smutna, czując, że nie jest w mojej mocy dać Konstantemu to, co sam utracił. Aż dnia pewnego przyszła mi myśl, która mi nowej dodała energii i napelniła nadzieją.

Konstanty powinien się ożenić.

Gdym z tej myśli zwierzyła się ciotce szambelanowej, ona przyjęła ją jako dobrą dla niego, jednakże prawie niewykonalną.

— Któraż matka — rzekła ze zwątpieniem — zechce powierzyć dziecko człowiekowi z tak burzliwą przeszłością, któraż kobieta, przywiązana do kraju, uwierzy w szlachetność człowieka, który, mając spuściznę wielkiego imienia i tradycyi, nie

uszanował ani jednego ani drugiego, owszem na lup oddał część ziemi, będącej niegdyś kolebką naszej wielkości.

I miała słuszną szambelanowa, alem jej rzekła na to:

— Wszak ciocia i ja wierzymy w jego uczciwość, bo znamy jego duszę do głębi i wiemy, że jeśli zblądził, to umiał żałować i podnieść się. Przypuśćmy teraz, ciociu droga, że jest kobieta niezamężna a pełnoletnia, sierota, a więc niezależna od wpływów, mogących nieufnością zrazić ją odrazu, bogata i szlacheckiej rodziny, przypuśćmy więc, że ta kobieta przez ciocię lub przezemnie dowiaduje się o przeszłości Konstantego. Przypuśćmy dalej, że umysł jej ukształcony, a serce dobre, zdolne są pojąć, ile wyrozumienia i słodyczy powinna mieć przyszła małżouka takiego jak on człowieka, a gdy nasza przyjaźń i własna jej egzaltacya grunt przygotowują, ukażmy jej tego, któregośmy jej przeznaczyły, wyraźnie o tem nie mówiąc: serce jej domyśli się i samo przemówi.

— Tak sądzisz? — w zadumie szepnęła szambelanowa. — Może to i prawda, ale naprzód znajdź taką kobietę, a potem namów Konstantego, by się z nią ożenił.

— O! ciociu — zawołałam z zapalem, czyż ja nie potrafię przekonać mego przyjaciela, że obowiązkiem jego jest żenić się i to żenić się z osobą majątną?

— A ta narzeczona?

— Czy jej ciocia dotąd nie poznała z opisu? —

To mówiąc, podałam jej dużego formatu fotografię, na której jasnym tle odrzynała się sylwetka amazonki w pełni rozkwitu kobiecego wdzięku, o rysach stanowczych i wielkich czarnych oczach.

— Honoryna! — zawołała szambelanowa. — Ty czarodziejką jesteś, Narcyziu. Jakże mogło mi nie wpaść na myśl, że z natury malujesz wymarzoną bohaterkę.

I prawdą było, że znalazłam taką kobietę, która w zaraniu swej młodości doznawszy bolesnego rozczarowania, jako uboga panienska, później — gdy niespodziewanie odziedziczyła po stryju znaczną fortunę — odrzucała wszelkie propozycje małżeństwa i w majątku swym stale mieszkała, co ją trochę od ludzi i świata odsunęło.

Honoryna miała wprawdzie już lat dwadzieścia sześć, ale była piękną panną, wykształconą przez życie samotne więcej, niż przez książki, dobrą dla tych, którzy od niej zależeli, a sama prawie tak niezależną i od wpływów wolną, jak mi do planów moich było potrzeba; bo choć żył jeszcze jej ojciec, w niezemby on postanowienia córki nie zwienił, tak ją kochał i tak bez zastrzeżeń w nią wierzył. I to mi pomagało, że Honoryna ze mną często korespondowała, więc nie zwlekając po rozmowie z szambelanową, napisałam do niej długi list. Napomknęłam w nim o moich codziennych sprawach i moralnem zadaniu, jakie mam od pewnego czasu, lecząc chorą duszę czło-

wieka, który miał dziwną przeszłość i potrzebuje siostrzanej mojej opieki.

Zauważywszy w odpowiedzi jej pewne zaciekawienie, napisałam drugi raz obszerniej. Wymieniłam nazwiisko Konstantego, i malując, jakim był teraz, nie omieszkalam podnieść każdy jego rys dodatni.

Wielkanoc zbliżała się. Honoryna poczęła mię błagać, abym z bratem do niej przyjechała na święta. Nie wahałam się ani chwili i pojechałam. W długich codziennych rozmowach, gdy imię jego było głównym ich motywem, w końcu postać Konstantego w wyobraźni dziewczyny zajaśniała tem światłem, jakiego pragnęłam, a ta nieszezęsna jego przeszłość, widmo dla każdej innej, dla niej stała się właśnie powodem do sympatyi i źródłem współczucia. — Wyjeżdżałam od Honoryny z jej obietnicą, że za miesiąc odwiedzi mnie w Warszawie, a jako dobry znak poczytałam zmieszanie jej, gdy mnie prosiła o zajęcie się jej toaletą, o przygotowanie kilku nowych sukien, bo ona miała tylko same amazonki.

Z Konstantym w tej samej sprawie postąpiłam inaczej.

W kilka dni po powrocie od Honoryny, gdy przyszedł do nas w zwykłej porze zmięzchu i wypytywał o pobyt na wsi z tą nieokreśloną tęsknotą, która mnie już teraz nie smuciła, jam zaczęła mówić mu wprost o tem małżeństwie, jak o rzeczy ważnej i potrzebnej, jak o dopełnieniu jego życia i zamknięciu pierwszej epoki. Potem miała się rozpocząć praca na roli, jako odkupienie za

tamtę grzech wobec ziemi, a za to, że kiedyś wyrządził zniewagę idei rodzinnej, powinien założyć własną rodzinę, cały się jej oddać i żonie dać to szczęście, które wydarł tamtej kobiecie.

A gdy widząc mnie poważną i stanowczą, on sam się przejął tym nastrojem, nazwałam przed nim Honorynę, aby wiedział, że to nie idea, nie mara, ale istota z krwi i kości, która go zna i posłannictwo swoje wobec niego rozumie.

— I to pani, pani sama uważa to za niezbędne dla mnie? — zapytał z wahaniem.

— Pragnę tego wszystkimi siłami mej duszy, odpowiedziałam.

Zamknięty. Służący wnosił światło, a ja spostrzegłam badawcze oko mego przyjaciela utkwione we mnie.

Portret Honoryny, ustawiony umyślnie pod lampą, zajaśniał teraz i ciągnął ku sobie oczy.

Konstanty spojrzął ku mnie pytająco, ja skinęłam głową.

Tak cicho, bez słów, on poznał swoje przeznaczenie i zadumał się głęboko.

Tego wieczora był dziwnie milczący i rozmarzony. Kilka razy ze szczerem uczuciem przywiązania pocałował mnie w rękę, jakby dziękując za coś, a że przywykłam do wielkiego spokoju w naszej przyjaźni, więc mnie te nagłe objawy wdzięczności nadzwyczaj rozrzewniły.

W tydzień później dopiero wspomniał mi pierwszy o naszej rozmowie i zapytał, kiedy spodziewam się Honoryny.

I już jasnym mi było, że sprawę wygrałam. Wkrótce, w oznaczonym zdawna terminie, przybyła Honoryna.

Żadna z nas, dziwnem uczuciem zdjęta, nie wymieniła imienia Konstantego, choć tak wiele myślałyśmy o nim. U niej była skromność i bojaźń przed nieznaną przyszłością, którą przeczuwała, u mnie bojaźń także przed tem, co zamierzyłam i przesąd, aby nie pomagać już w niczem do spełnienia mego życzenia.

Konstanty tylko wiedział, że zastanie u mnie Honorynę i gdy pewnym krokiem wieczora tego wszedł do salonu, a ja ich zapoznałam ze sobą wzajemnie, on skłonił przed nią głowę, nie spuszczać oczu z hardej dziewczyny, która drżąca wewnątrz, starała się przybrać pozór wyniosłości i dumy.

W tej samej chwili brat zawołał mnie z drugiego pokoju i zatrzymał przy sobie.

Tymczasem Konstanty ujął rękę, która nie miała cofnąć się przed nim i zapytał cichym, ale stanowczym głosem:

— Pani mnie zna, pani wie o mnie wszystko, czy zechcesz pani zostać moją żoną? Błagam, powiedz odrazu: tak lub nie?

A ona milczała, strachem zdjęta przed tym panem, który prosząc rozkazuje, a jednak bez cienia obrazy za śmiałość jego, tak przekonaną była, że jest w tem wyższa, kierująca nią ręka.

— Tak, lub nie? — powtórzył Konstanty.

Honoryna szepnęła :

— Tak.

I nim do nich powróciłam, byli zaręczeni. — Gdy mi Honoryna potem opowiedziała, jak zdobył ją odrazu przemocą, musiałam przyznać, że Konstanty był niezmienny, zawsze ten sam, czy kiedy uciekał w świat z kobietą niewolną, czy kiedy żądał mojej przyjaźni i opieki, duszę swą przedemną odsłaniając, czy kiedy brał żonę, którą za swe przeznaczenie uważał.

Odtąd nie wiele mam ci do powiedzenia, droga Maryniu. Brakuje tu może wiele w tym opisie do zrozumienia postaci Konstantego, ja ci chciałam tylko pokazać, jak on godnym był przywiązania, jak wiele w życiu mem zajął miejsca i jak ono pustem jest teraz. Bo dni szybko płyną w uroczej okolicy, gdzie pełną piersią swobodnie oddycha para ludzi szczęśliwych; ale tu w miejskiem naszym mieszkaniu, gdzie tyle razy o zadowoleniu z losu i wypełnianiu najbliższych obowiązków mówiłam z moim przyjacielem, jakże mi duszno i samotnie, jak bezsilną i zniechęconą się czuje. A biedny brat mój coraz słabszy i coraz mroczniejszy jego umysł, ciężiej i trudniej mi podolać obowiązkom moim, choć ubyła tak wielka troska o szczęście Konstantego i choć mam tę radość, zem zrobiła dla niego wszystko, co mogłam.

Zaczęłam list ten z wieczora jeszcze, a teraz dnieje; z uciechą witam dzień dzisiejszy, bo on ma mi przynieść wiadomość od moich najdroższych przyjaciół. Ztamtąd tylko przychodzi mi

technienie świeżości, które uznojone czoło moje
chłodzi i pieści; zresztą pusto koło mnie, jak na
cmentarzu.

.

W zbiorze korespondencji pani Maryi *** znajduje się list trzeci, tą samą pisany ręką, list, który stanowi jakoby wyjaśnienie i dopełnienie poprzednich. Brzmi on, jak następuje:

Maryniu!

Brat mój nie żyje od miesiąca; pozwól, że samotna i żalobą dotknięta schronię się na czas pewien w Twoim domu. Dlaczego Ciebie szukam, nie dziw się, uciekam sama przed sobą. Niech Ci nawet przez myśl nie przejdzie, że spotkałam się z niewdzięcznością ludzką i że zabrakło mi serca lub opieki Konstantego i Honoryny. Później powiem Ci to lepiej — albo nie — powiem odrazu, abyśmy już nigdy do tego nie wracały. Dom Konstantego jest jedynem miejscem, gdzie mi nie wolno szukać pociechy i schronienia, bo... bo, widzisz, wszystko było pomyłką, a oni tego nie rozumieją, oni oboje błagają mnie, gwałtem do siebie chcą zabrać, rozumiesz mnie? — trzebaż powiedzieć wyraźniej tę prawdę okropną, a jednak tak słodką, że ja go kochałam i dotąd Kocham, że byłam zaślepioną, że może i on... Ale nie! tak się lepiej stało. Honoryna młodsza i piękna, Honoryna dała mu niezależność i swobodę; czyż sama miłość i poświęcenie bez granic wystarczyć mogą za młodość, wdzięki i majątek?

Oni są tutaj. Pozwól mi przyjechać jak najprędzej do siebie, niech się wyrwę z tego koła, gdzie mnie szarpie moja miłość i dręczy ich naleganie, abym się z nimi już nie rozłączała. Muszę uciec, muszę gdzieś się schronić, chcę zebrać myśli, chcę uspokoić się, zanim postanowię, co dalej ze mną będzie, dokąd zwrócę sieroce kroki!....

Ani Konstanty, ani Honoryna nie przeczuwają, że to są ostatnie chwile, jakie z sobą spędzamy na ziemi — a jednak tak być musi!

Narcyza.





**INSTYTUT
BADAN LITERACYJNYCH PAN**

Biblioteka

ul. Nowy Świat N. 72

00-900 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

F

2445